

Mariusz Kwiatkowski

Pełzacz

Szli całą grupą, żartując z siebie i przekrzykując się wzajemnie. Najgłośniej śmiał się Robert Astor. Co chwila puszczał oko do ślicznej Mary Bromley, poszturchiwał ją, próbował obejmować. Owszem, pozwalała mu... Lubiała przekomarzać się z chłopakami, lubiała zawracać im w głowach. Miała opinię pierwszej flirciary w szkole. A wyglądała niewinnie niczym świeżo narodzone niemowlę. Adam Winklis patrzył na tę scenę krzywym okiem. Wcale mu się to nie podobało. Miał swoje ciche plany wobec Mary. Nie zamierzał z nich rezygnować. Problem tylko w tym, że nikt o nich nie wiedział. Był chłopcem chorobliwie nieśmiałym. Lękał się nieznajomych ludzi. Bał się wypowiadać, gdy słuchało go kilka osób.

Zazdrościł Robertowi tupetu, a po cichu go nienawidził. Anna Sanders przyglądała mu się z politowaniem, a poniekąd rozbawieniem. Nie miała w sobie nawet części uroku ślicznej panny Bromley. Przygnała ją tutaj ciekawość, chęć poznania nieznanego. Lubiała odkrywać tajemnice. Lubiała rzeczy dziwne.

Uważała, że każdy problem, nawet najbardziej zagadkowy, jest zawsze do rozwiązania. Nie na darmo uchodziła w szkole za geniusza w dziedzinie fizyki.

Wszyscy mieli po czternaście lat. W tym roku kończyli ósmą klasę.

Tak naprawdę nikt z nich nie pamiętał, komu pierwszemu przyszedł do głowy pomysł odwiedzenia starej Margaret Nelson. Oczywiście początkowo się wahali, ale w

końcu ciekawość zwyciężyła. Na wszelki wypadek zebrali wszystkie możliwe informacje o staruszce. Lepiej przecież z góry było się przygotować na to, co może nastąpić. Niewiele się dowiedzieli. Z tego co usłyszeli, wynikało, że pani Nelson od dawna zaprzestała wróżenia i udzielania porad. Wycofała się z życia publicznego. Stroniła od ludzi. Jedynymi osobami utrzymującymi z nią kontakt byli szeryf oraz listonosz, który unikał, jak diabeł święconej wody, zagładania do domu pani Nelson. Nie chciał nawet o tym słyszeć. „Ona sprowadza na ludzi nieszczęście” - mówił, gdy ktoś mu to proponował.

- Winklis - roześmiał się Robert Astor. - Winklis, przyznaj, że już trzęsiesz tyłkiem. Przyznaj, że masz majteczki pełne strachu...

Winklis poczerwieniał. Pragnął znaleźć odpowiednią ripostę, lecz nic mu nie przyszło do głowy. Mary zaszczebiotała radośnie. Ten szczebiot do reszty wytrącił go z równowagi...

Poczerwieniał jeszcze bardziej.

- Nie przejmuj się nimi, Adamie - wtrąciła Anna Sanders. - Oni wyłącznie z wyglądu przypominają dorosłych ludzi.

- Wcale nie - odzyskał głos w gardle - przecież nie poszedłbym z wami, gdyby było inaczej...

Zamilkli, bo spoza gęstych wiekowych drzew, kładących swymi pniami i potężnymi konarami mroczny cień na ziemię, wyłonił się dom Margaret Nelson.

- To tutaj - szepnęła Mary. - Mój Boże - dodała - jak tu ponuro. Lepiej tam nie idźmy...

- Zwariowałaś - odparł Robert. - Jesteśmy za blisko, aby zrezygnować. Zresztą czego tu się bać...

- Podobno potrafi rzucić urok - szepnęła ponownie Mary. - Podobno ma złe oko...

- To takie głupie gadanie - uspokoiła ją Anna.

Stali przez moment nieporuszeni, uważnie obserwując domostwo, uważnie rozglądając się na wszystkie strony. Pierwszy przemógł się Astor. Przybliżył się ostrożnie do furtki, pociągnął za zamek. Ostre zgrzytnięcie zardzewiałego żelaza przyprawiło ich o mimowolny dreszcz...

Nagle trzasnęły drzwi wejściowe do domu. Na progu stanęła Margaret Nelson.

W dłoniach trzymała najprawdziwszą strzelbę. Nim ktokolwiek zdążył coś zrobić, wystrzeliła z niej w powietrze.

Była wysoka, chuda i bardzo stara. Długie siwe włosy opadały falami na ramiona, oczy płonęły gorączkowym blaskiem.

- Czego tu?! Przekłeta hołoto! - wrzasnęła. - Wynoście się stąd do wszystkich diabłów, bo za chwilę nie poznają was nawet rodzice. Wynoście się wy zafajdane, zasmarkane bachory! Wynoście się! Słyszycie?

Stali cicho jak myszki, przerażeni wybuchem gniewu straszliwej staruchy. Umilkła, lecz nie spuszczała z nich oczu. Strzelbę trzymała wciąż przygotowaną do strzału.

Pierwszy przemógł się Robert Astor.

- Nie chcemy nic złego, proszę pani - oznajmił. - Przyszliśmy po to, aby, aby...

Nie wiedział, jak to powiedzieć...

Ale starucha już wiedziała. Zawsze wiedziała, co się dzieje w głowach innych. Ta umiejętność stanowiła zarazem jej skarb i przekleństwo. Skarb, bo dzięki niej dorobiła się pieniędzy; przekleństwo, gdyż przez nią ludzie zaczęli się jej bać. Z czasem poznała rzeczy, które na zawsze pozbawiły ją szacunku do rasy ludzkiej.

Była starą, znieawidzoną powszechnie kobietą. Nic nie potrafiła na to poradzić.

Od kilku lat, to znaczy od czasu, gdy przekroczyła osiemdziesiątkę, pragnęła wyłącznie spokoju. Na próżno. Zawsze znalazł się jakiś napalenić, próbujący się dowiedzieć, co go w przyszłości spotka. Najgorsze były dzieci. Zakradały się wieczorami pod okna, rzucały w nie kamieniami, a gdy nie wytrzymała, gdy wybiegała drżąc z nerwów na ganek, wtedy ciskały w nią ogryzkami i innymi świństwami. „Ty nawiedzona, przeklęta czarownico - drwiły, przekrzykując jedno drugie - wynoś się do piekła. Wynoś się tam. Wynoś się do Salem...” Wreszcie kupiła sobie broń. Gdy postrzeliła w nogę dziesięcioletniego Geralda Thompsona, przestali ją nachodzić. Stało się to całkiem niedawno. Wcale nie była pewna, czy rzeczywiście zyskała sobie ów wymarzony spokój...

- Czego? - warknęła, nie opuszczając broni.

Patrzyli po sobie, nadal zakłopotani i przerażeni.

- Słyszeliśmy, że pani potrafi powiedzieć człowiekowi, co go spotka - zagadnęła miłym spokojnym głosem Anna Sanders. - Interesują nas te sprawy, dlatego tu przyszliśmy...

Starucha pokiwała głową. Oparła się o strzelbę.

Ostatecznie mogła z nimi pogadać. Tak rzadko miała okazję otworzyć do kogoś usta.

- Już nie robię takich rzeczy - odparła. - To za dużo kosztuje. Wam też nie pomogę. Wynoście się stąd. Nikogo nie potrzebuję. A już zwłaszcza zasmarkanych gówniarzy!

- Nie jesteśmy gówniarzami, proszę pani - zaprotestował Robert Astor. - My naprawdę nie chcemy nic złego...

Spoglądała na nich, uśmiechając się lekko. Później gdy przypominali sobie ten zagadkowy uśmiech, przenikały ich ciarki.

- Dobrze - oznajmiła - porozmawiam z wami. Chodźcie tutaj. Chodźcie do środka... Chodźcie do starej Margaret Nelson...

Robert Astor ruszył pierwszy. Popatrzył na zarośla, na pokrzywy zarastające ogródek... Naraz przypomniał sobie słowa ojca, że to przeklęte miejsce, złowrogie miejsce... Poczł wewnętrzny niepokój. Zapragnął się wycofać. Ale nie mógł już tego uczynić, nie narażając przy tym na szwank swego honoru.

Szedł do przodu, miną nadrabiając brak pewności.

Margaret Nelson patrzyła na niego tak, jakby dobrze o tym wszystkim wiedziała.

Gdy był blisko staruchy i spojrzł na jej twarz, dostrzegł głębokie bruzdy i zmarszczki. Wzrok jego przyciągnęły zielone, pozbawione wyrazu oczy, wyblakłe już, załzawione.

Pani Nelson odwróciła się, niktąc po chwili w holu.

Poszli za nią.

Był to posepny dom. Jeden z tych mrocznych domów, w których nikt by sobie nie życzył mieszkać sam. Stały tam rozliczne staroświeckie meble, pokryte kurzem i pajęczyną. Błyskało lustrem olbrzymie zwierciadło w srebrnych ramach.

Wisiały zagadkowe portrety. Majaczyły wypchane zwierzęta.

Światło zdawało się igrać z tymi wszystkimi przedmiotami, otaczając je delikatną mgiełką promieni.

- Wejździe tutaj - dłoń pani Nelson, zakończona ostrymi powyginanymi paznokciami, zatoczyła łuk wskazując dębowe wielkie drzwi.

Był to duży pokój o małych oknach. Panował w nim mrok, a meble były ledwo co widoczne. Pomimo to dostrzegli w kącie wypchanego kota, zauważyli też na ścianie głowę

jelenia z wielkimi rogami.

Margaret Nelson posadziła ich przy okrągłym stole. Włączyła stojącą na nim lampkę. W oczach jelenia błysnęło światło barwiąc je czerwonią.

Co ja tutaj robię - pomyślała Anna Sanders. - To wygląda zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażałam.

Zastanawia się, po co tutaj jest - przemknęło staruszcze przez głowę. Słyszała myśli każdego z nich. Słyszała ich pytania, słyszała nadzieje i wątpliwości.

Uśmiechała się sama nad ich trywialnością, czasami nawet głupotą. Jednak wszystkie one czarowały jakąś naiwną bez troską.

- Czy to prawda - zapytała Anna Sanders - że pani czyta w myślach i zna przyszłość?

- Owszem - zaśmiała się Margaret Nelson. - Ty na przykład zachodzisz w głowę, po co tutaj przyszłaś...

Dziewczyna zbladła.

- Tak - kontynuowała starucha - potrafię takie rzeczy, ale ich zaprzestałam. Zbyt wiele wynikało z tego nieszczęścia dla mnie i dla innych!

- Jak to? - zdziwił się milczący dotychczas Adam Winklis.

- Bo od tego co mówię, nie ma ucieczki. Gdy komuś przepowiem śmierć, to ona go dopadnie. Gdy rodzicom, mającym schorowane dziecko, oznajmię, że nie ma dlań najmniejszego ratunku, to tego ratunku nie będzie... Rozumiecie teraz?

Przytaknęli.

- Skąd u pani takie zdolności? - spytała Mary Bromley.

- Nie wiem - odrzekła. - Od zawsze byłam inna... Od zawsze się różniłam. Czasami nawet nazywali mnie

odmieńcem... To przyszło do mnie samo. Urodziłam się z tym. Ciężko z takimi zdolnościami żyć, naprawdę ciężko...

- Nie wierzę w te rzeczy - oznajmiła poważnym tonem Anna Sanders. - Nauka twierdzi, że to niemożliwe. Czy może pani na przykład powiedzieć, co mnie spotkało przedwczoraj?...

Spojrzeli na nią z zaciekawieni. Pokręciła przecząco głową.

- Nie mogę - oznajmiła.

- Jak to? - zdziwiła się Anna - przecież pani mówiła, że...

- Mówiłam prawdę. Słyszę ludzkie myśli. Słyszę je wyraźnie. Ale aby poznać przyszłość lub przeszłość jakiejś osoby, muszę ją złapać za rękę... Wtedy widzę wszystko...

Anna wyciągnęła dłoń.

- Proszę - rzekła. - Trochę się boję...

- Nie ma potrzeby - odparła Margaret Nelson. - Jesteś jeszcze taka młoda. Wszystko przed tobą...

Uchwyciła jej palce. Oczy staruszki jakby uciekły w głąb siebie, jakby w coś się zapatrzyły.

- Pokłóciłaś się z ojcem - stwierdziła. - On nie dał ci pieniędzy, które wcześniej obiecał. Ty ich pragnęłaś, bo chciałaś za nie kupić prezent urodzinowy koleżance. Więc się zdenerwowałaś... Potem było ci przykro, gdyż kochasz swojego tatę...

- To prawda - szepnęła Anna. - A przyszłość?

Starucha uśmiechnęła się. Zawsze ją o to pytali. Lubiła nawet ten moment.

Lubiła, gdy do jej głowy wpływały obrazy o zaręczynach, o ślubach... Tylko raz, ten jeden jedyny przekłety raz zdarzyło się inaczej... Tylko ten raz przestała nad sobą panować... Tylko ten raz...

Pochwyciła mocniej dłoń dziewczyny.

I nagle to poczuła. Podobne uczucie jak wtedy. Przestrzeń zawirowała, zaczęła uciekać i nabrzmiewać... Już wiedziała, że się od tego nie uwolni. Zło nadciągało do jej domu potężnymi falami, nadciągało ze wszystkich stron. Była bezradna, była bezwolna niczym puszek na wietrze. Nie potrafiła tego powstrzymać...

Palce Margaret Nelson naraz z całej siły wpiły się w nadgarstek Anny.

Dziewczyna jęknęła z bólu. Odruchowo szarpnęła ręką, aby ją wyrwać - nie dała rady. Wszyscy spostrzegli, że coś się zmieniło... Z ust starej kobiety wypłynęły słowa. Syknęły i zamarły. Nie zrozumieli ich znaczenia. Przeraziła ich raptowna zmiana barwy głosu pani Nelson.

- ON pełźnie - jęczała kobieta. - Jest coraz bliżej. Nie ma dla ciebie ratunku... Zginiesz... Zginą inni... Przyjdą straszliwe dni do Snow Hills... Zginiesz, Anno Sanders... Wszyscy zginiecie... ON już pełźnie...

Ryknęła straszliwym wibrującym śmiechem.

Przeżrana Anna Sanders wyrwała dłoń. Poderwała się od stołu... Wybiegła z domu, wciąż słysząc w uszach szatański chichot. Za nią pędziła pozostała trójka.

Zatrzymali się hen za siedzibą staruchy, gdy im zabrakło w piersiach tchu.

- Przekłeta stara jędza - powtarzał raz po razie Robert Astor. - Przekłeta stara jędza, tak nas nastraszyła...

Anna Sanders wciąż była blada.

Mary Bromley drżała z nerwów.

Adam Winklis milczał.

- Co z wami? - głośno parsknął Astor. - Przestraszyliście się jednej pomyłonej staruchy? Zadrwiła z nas. Udało jej się. To bzdury! Słyszycie? To nędzne bzdety.

Nikt przy zdrowych zmysłach w to nie uwierzy. Pieprzona stara jędra!

- Tak - stwierdziła wciąż przejęta Anna Sanders - to idiotyzmy. Nigdy nie słyszałam czegoś równie niedorzecznego. Tylko skąd ona wiedziała o mojej awanturze z ojcem?

Popatrzyła na nich. Nikt jej nie odpowiedział.

Klub „Piękny Amerykanin” był dosyć duży i znany w mieście. Mieściły się w nim salon ćwiczeń kulturystycznych, sala treningowa boksu, sauna, niewielki basen, sklep spożywczy i całkiem przyjemna kawiarnia.

Dyrektorem ośrodka był trzydziestopięcioletni Jacob Mortimer. Przystojny wysoki brunet, na pierwszy rzut oka wzbudzający sympatię i zaufanie. Oto facet - mówił ktoś, kto go widział po raz pierwszy - któremu można zaufać. Jacob miał jasne niebieskie oczy o ciepłym wyrazie i ujmujący uśmiech.

Tego dnia siedział w kawiarni wraz z Tedem Mertonem, trenerem bokserów, i prowadził z nim trudną rozmowę.

- Posłuchaj, stary! - mówił dopijając już drugą pepsicolę - to fakt, że jesteśmy przyjaciółmi, to prawda, że niegdyś mi pomogłeś, wyświadczając ogromną przysługę... To wszystko szczerą prawdą. Wiem to do ciężkiej cholery! Zrozum jednak! Czasy są ciężkie. Dłużej na forszę czekać nie mogę. Jesteś mi winien dwa tysiące baksów. Co mam zrobić? Wyrzucić cię na bruk wraz ze wszystkimi ludźmi? A może jutro kupić sobie kombajn, wyjechać w pole, obsiać je pszenicą? W okolicy jest wystarczająco dużo farmerów. Nie zamierzam dołączyć do ich grona! Słyszysz? Nie zamierzam...

Ted westchnął. To był trudny rok. Zaczął się bardzo pechowo, gdy jego zawodnik wagi ciężkiej, Tony Whittier, przegrał swoją pierwszą poważną walkę w Nowym Jorku.

Przegrał tak, że chciało się usiąść i zapłakać. Owszem, zapowiadał się ciężki okres. A był dopiero marzec.

- W przyszłym tygodniu ci oddam, Jacob - oznajmił. - Możesz być tego pewien...

- Dobrze... Tyle jeszcze wytrzymam...

Nie patrzyli sobie w oczy. Byli dobrymi przyjaciółmi. Rozmowa każdemu z nich sprawiała dużą przykrość.

Ted, znacznie wyższy od Jacoba, znacznie mocniej zbudowany, był blondynem.

Miał twarz starego poczciwca i smutne brązowe oczy. Z wyglądem kolidował jego charakter. Merton potrafił wybuchnąć nerwami tak gwałtownie jak wulkan lawą. Stawał się wtedy nieobliczalny. Lepiej było schodzić mu z drogi w takich momentach...

- Co słyhać u twojej pięknej żony? - spytał.

- Wciąż to samo. Frances nadal opiekuje się Sandrą. Gdy córeczka podrośnie, Frances może wróci do pracy...

- Macie już niezłą gromadkę! Dwóch chłopców... trzy dziewczynki. Czasami ci zazdroszczę...

- Mógłbyś pomyśleć o założeniu rodziny. Lata wciąż uciekają. Straciłeś tyle okazji. Chcesz do końca pozostać kawalerem?

- Nie narzekam. Przyzwyczailem się. Kobiety uwielbiają sterować mężczyznami, zwłaszcza żony... Chyba bym tego nie zniósł...

Mortimer roześmiał się głośno.

- To wszystko przez twoją mamę - oznajmił kręcąc głową. - Była z niej zacna kobieta, ale trzymała cię twardą ręką, naprawdę twardą. Widocznie nosisz w sobie obawę, że spotkasz podobną...

- Możliwe - odparł Ted. - W każdym razie dobrze mi z samym sobą. Mógłbyś do mnie przysłać swoich chłopaków.

To prawdziwi zabijacy. Chyba poszli charakterami we Frances, bo ty nie przepadałaś za awanturami. Zawsze musiałem cię bronić...

Jacob ponownie się roześmiał.

- To prawda - przyznał. - Muszę już wracać. Pamiętaj o swojej obietnicy.

Wstał od stołu. Kiwnął głową na pożegnanie osiemnastoletniej Ewie Carroll, ładnej i miłej blondynce, pracującej za ladą. Wyszedł przed budynek. Nim wsiadł do samochodu, rocznego fordą Taurusa o pięknej stalowej barwie, rozejrzył się po Dark Street, zapalił papierosa.

Była to cicha ulica, niezbyt ruchliwa, leżąca już na peryferiach Snow Hills, otoczona drzewami, za którymi rozciągało się osiedle ładnych domków.

Miasteczko liczyło sobie pięć tysięcy mieszkańców. Większość z nich utrzymywała się z hodowli zwierząt i rolnictwa. Było parę zakładów produkcyjnych, w tym znana firma Victora Cadogana - „The Raven” zajmująca się wyrobem trumien i rozprowadzaniem ich na całą okolicę, a nawet stan. Było też kilka ośrodków usługowych, a zwłaszcza olbrzymie biuro Richarda Bromleya, pośredniczące w handlu nieruchomościami.

Ale największe znaczenie w Snow Hills miały potężne rody Astorów, Wardów i Vernonów. Ich ziemie, wtłoczone pomiędzy rozległe połacie równin, zajmowały nie tylko teren równinny, obejmowały również pierwsze wzniesienia Gór Skalistych wraz z pięknymi jeziorami i rzekami.

Były to okolice budzące zdumienie i zachwyt swoją przyrodą, nieskalaną jeszcze cywilizacją człowieka. Mogłeś wędrować całymi godzinami, nie spotykając na nich żywej duszy. Mogłeś odnaleźć posępne uroczyska, o których nawet ci się nie śniło. Bywało, że stawałeś w leśnej głuszy przy

wodospadzie lub nad leśnym strumieniem, i pragnąłeś zostać tam na wieczność, oczarowany urokiem tego miejsca. Czasami trafiałeś na zapomnianą mogiłę, patrzyłeś w milczeniu i zadumie na drewniany krzyż, ale nie potrafiłeś odczytać wyrytych na nim liter, bo zatarły je wichry, deszcze i zamiecie. Domyślałeś się tylko, że może to mogiła jednego z tych śmiazków, co niegdyś przemierzali Dzikie Zachód w poszukiwaniu złota...

Ale mało kto o tym pamiętał.

Astorowie zajmowali się hodowlą bydła i uprawą kukurydzy, a także pszenicy.

Wardowie mieli o wiele mniejsze tereny, za to prosperowali najlepiej, hodując indyki. Zwłaszcza w listopadzie ich konta bankowe zasilają strumienie pieniędzy.

Natomiast Vernonowie popadli, ku radości konkurentów, w problemy finansowe, zadłużyli się na potężne sumy w bankach, i zostali zmuszeni do sprzedaży ogromnych stad krów i okazałych połaci swoich ziem. Część rodziny wyemigrowała do większych miast, zostało tylko dwóch mężczyzn, dwóch samotnych braci, szukających w kieliszku zapomnienia...

Ich domostwo, niegdyś piękny budynek otoczony wysokimi drzewami, chylił się powoli ku ruinie. Nie było zainteresowanych kupnem. Być może z powodu opowieści o starym Kirku Vernonie, który dowiedziawszy się o bankructwie, wpadł w szal, zastrzelił swoją żonę, a potem się powiesił. Ludzie gadali między sobą, że wieczorami, przy księżycowych nocach, widują jego zjawę...

Ale były to tylko opowieści. Ziemie Vernonów, ciche teraz i odludne, położone z dala od Snow Hills, czekały na nowego właściciela.

Jacob Mortimer skończył palić papierosa, przydeptał

niedopałek butem, wsiadł do auta, niedawno jeszcze swojej dumy i prawdziwego oczka w głowie. Potrafił opowiadać o nim godzinami. Mogło się nawet wydawać, że opanowała go jakaś psychoza. Jednak miesiące pędziły do przodu, Jacob przyzwyczał się do swojej maszyny, wreszcie mu spowszedniała. Zaczynał myśleć o kupieniu nowej.

Samochody stanowiły jego prawdziwe hobby. Zmieniał je bardzo często, ale każdy z nich na początku wydawał mu się tym jedynym i niezastąpionym.

Ruszył. Minął starą bibliotekę miejską, w której urzędowała sfiksowana pięćdziesięcioletnia panna Emily Bronks, kobieta, jak to mówiła jego żona, znajdująca się w permanentnym rozstroju nerwowym... Emily Bronks... przykra, złośliwa, dokuczliwa...

Jednak pragnął wypożyczyć książkę o funduszach powierniczych, a wiedział, że taka znajduje się w wypożyczalni.

Zatrzymał forda i wysiadł.

Biblioteka mieściła się w starym podupadłym budynku. Czas doprawdy był najwyższy na to, aby ojcowie miasta o nim sobie przypomnieli. Mortimer szarpnął za kłamkę, drgnął, gdy drzwi nieprzyjemnie zatrzeszczały, po czym wszedł na ciemny korytarz. Po obu jego stronach wisiały na ścianach, schowane za szklami drewnianych gablot, okładki najnowszych książek, ale ciężko było w mroku dostrzec ich tytuły.

Jacob wszedł do pomieszczenia, w którym urzędowała panna Bronks. Kichnął.

Kurz, unoszący się w powietrzu, był jedną z przyczyn, trzymających go na co dzień z dala od tego miejsca.

Lecz na Emily Bronks nie czynił najmniejszego wrażenia.

Bibliotekarki nie było przy biurku, najwidoczniej coś robiła pomiędzy regałami.

Mortimer obrzucił je wzrokiem, a potem kaszlnął, dając tym samym do zrozumienia, że nie ma za wiele czasu...

Panna Bronks wyszła zza regału.

- Słyszę, że pan jest - stwierdziła. - Przecież grzmi pan z nosa jak z armaty.

Była to bardzo szczupła kobieta, wręcz chuda. Na jej głowie zostało niewiele włosów, zupełnie już siwych. Twarz o ostrych rysach szpeciły ogromnych rozmiarów okulary, o szklach tak grubych, że nie pozwalały dojrzeć oczu.

Pomiędzy nimi tkwił potężny, haczykowaty nos.

- Bardzo dużo tutaj kurzu, proszę pani... pokręcił Mortimer głową. - Powinna pani częściej otwierać okna...

Panna Bronks wydeła policzki, przymrużyła oczy.

- To moja sprawa, młody człowieku - oznajmiła. - Proszę mnie nie pouczać...

Ty zgryźliwa, pieprzona babo - pomyślał Jacob - oby cię szlag trafił jak najprędzej. Jesteś nie do życia... Jesteś prawdziwą zakałą...

- Chcę pożyczyć książkę o funduszach powierniczych - powiedział głośno.

- Zaraz - chrząknęła panna Bronks niknąc pośród regałów.

Do końca pracy zostało jej tylko pół godziny. Przed chwilą spodziewała się, że doczeka go w świętym spokoju, którego żaden czytelnik nie naruszy swoją osobą. Tak już miała dosyć książek, brudnych książek pokrytych kurzem, zaświnionych odbiciami rąk setek osób. Co prawda mieszkańcy Snow Hills nie czytali dużo, można nawet by stwierdzić, że czytali wręcz mało, jednak nadrabiały to z nawiązką dzieci.

Panna Bronks nie cierpiała bachorów. Nie cierpiała ich śmiechów, pokrzykiwań.

Tak, praca w bibliotece stanowiła dla niej prawdziwą karę za grzechy, ale na żadną inną nie mogła liczyć... Musiała się męczyć...

- Proszę - rzuciła książkę na blat, przymrużając złośliwie oczy.

„Co za wstrętne babsko”.

- Do widzenia - rzekł głośno wychodząc.

Musiał jeszcze odwiedzić pastora Jacksona i wręczyć mu datek na parafię.

Robił tak co pół roku i sądził, że to w zupełności wystarczy. Ostatecznie wielebny nie miał tak dużych potrzeb. W zeszłym roku skończył remont kościoła, a póki co nic nowego na horyzoncie jeszcze się nie pojawiło.

W Snow Hills były tylko dwa wyznania: rzymskokatolickie i protestanckie. Oba kościoły współżyły ze sobą dobrze, a pastor i ksiądz stanowili nieodłączną parę przyjaciół. Ich ulubionym zajęciem było wspólne łowienie ryb. Wyruszali co tydzień na jedno z pobliskich jezior, delektując się tam ciszą oraz spokojem.

Jacob Mortimer prowadził samochód powoli. Do głowy przyszły mu ponownie tamte myśli, o których pragnął zapomnieć, raz na zawsze wyrzucić je ze swojego wnętrza. Pamiętał je bardzo niewyraźnie, pamiętał je, jak gdyby pomiędzy jego obecnym umysłem a tamtymi wydarzeniami rozsnuła się gęsta mgła. Lecz jedno przypominał sobie nadzwyczaj dobrze... mianowicie towarzyszący mu na każdym kroku strach. Małemu wrażliwemu chłopcu, którym wtedy był, wydawał się on czymś bardzo konkretnym i namacalnym.

Przychodził najczęściej wieczorami, gdy dorośli szli

spać, a Jacob zostawał sam w dziecięcym pokoiku...

Meble wyglądały już inaczej niż za dnia, przeistaczały się w rzeczy groźne i nieznane. Za skrzypiącymi drzwiczkami szafy rozwierały się prawdziwe ciemne przepaście prowadzące do piekła... czarne mroczne tunele... Do okien, pokrytych oślizgłą rosą, przylegały posępne twarze...

Jacob wiedział, że coś powinno nastąpić, że coś musi nastąpić. Nie próbował nawet się zastanawiać co, gdyż wydawało się to zbyt przerażające...

Którejś nocy, pozostawiony sam sobie i jak zwykle przerażony, miał po raz pierwszy sen, sen tak straszliwy, tak złowrogi, że przebudził się z niego z krzykiem, rozgrzany i zlepiony potem...

Makabryczny sen powtarzał się przez wiele miesięcy, ale w końcu zniknął...

Jacob Mortimer już dawno zapomniał był o tamtych dziecięcych strachach i niepokojach, jakież więc było jego zdziwienie, gdy ubiegłej nocy upiorny majak doń powrócił i przeraził go nie mniej, niż za tamtych dawnych lat...

Sen w niczym się nie zmienił. Jota w jotę powtórzyło się to samo, co niegdyś...

Wyjechał wraz z ojcem na parę dni pod namiot. Jechali do miejsca, zwanego „Cichą Doliną”. Rosły tam przepiękne lasy, otaczające niewielkie jezioro i wypływający z niego strumyk. Była to cudowna okolica, ulubione miejsce Jacoba. Pływał tam godzinami, a wieczorami łapał ryby.

Rozbili namiot na niewielkiej polance.

Wieczorem ojciec prędko zasnął, ale Jacob nie mógł, gdyż coś go niepokoiło.

Za ścianą namiotu słyszał tajemniczy szelest. Próbował obudzić ojca, lecz ten spał w najlepsze, nie zwracając na nic uwagi.

Wtedy Jacob pomyślał, że nie będzie tchórzem. Na wszelki wypadek włożył za pas ostry myśliwski nóż, po czym z latarką w dłoni wyszedł na zewnątrz...

Noc była jasna, rozjaśniona gwiazdami... Nie potrzebował wcale światła, aby widzieć wyraźnie drzewa, a w dali skaliste zbocze urwiska.

Jednak coś się zmieniło.

Zawsze - jak to określał - gadały ze sobą najróżniejsze zwierzęta. Jeśli się dobrze wsłuchałeś w leśne szmery, to rozpoznałeś głosy sów, puszczyków, pluskanie ryb i setki innych, nieznanych odgłosów.

Ale w tej chwili było cicho, przeraźliwie cicho... W powietrzu zdawała się wisieć jakaś groźba! Noc gęstniała, nabierała kształtów, przeistaczała się, wyciągała ramiona, aby pochwycić w nie ofiarę...

Nagle zabrzmiał krzyk. Przedarł ciszę tak, jak smgnięcie batem rozcina skórę...

Przedarł ją i wywołał za sobą orgię dźwięków. W mgnieniu oka rozpełtało się piekło... W jednej chwili zerwał się wiatr, zawył ze świstem, targnął drzewami, uderzył w namiot...

Przeżony Jacob, nie potrafiący odkryć skąd dobiegł okropny wrzask, ruszył pędem do namiotu, chcąc w ramionach ojca znaleźć ratunek. Rzucił się ku wejściu, prawie w nie zanurkował i wtedy...

I wtedy światło latarki, nawet nie pamiętał, że trzyma ją w dłoni, objęło wnętrze namiotu...

Pierwsze co dostrzegł, to przeraźliwe czerwone oczy bestii pochylonej nad jego tatą... Głowa ojca była... była czerwona od krwi... Błyszczące ciało tego czegoś zniknęło w dziurze, a łeb, zakończony czerwonymi mackami wił się, syczał i... i odwrócił do niego...

W tym momencie się budził.

Tak wyglądał ów przeklęty sen. Mortimerowi zdawało się, że już dawno się odeń uwolnił, przecież z takich rzeczy się wyrasta... A teraz... A teraz majak powrócił.

Wraz z nim powróciły - trzydziestopięcioletniemu mężczyźnie mającemu własną rodzinę trudno było się do tego przyznać - niepokój i lęk. Jacob przypomniał sobie tajemniczą śmierć ojca, którego odnaleziono w rejonie „Cichej Doliny”.

Oficjalnie śmierć jego uznano za nieszczęśliwy wypadek. Podobno potknął się o wystający korzeń i zwałił w dół z urwiska. Nikt nie wątpił w tę wersję. Jednak sen...

Jacob westchnął.

Może lepiej o tym nie myśleć.

Skręcił w dojazd prowadzący do plebanii, zatrzymał samochód. Pastor krzątał się przy ogródku, swoim oczku w głowie. Poświęcał hodowanym przez siebie roślinkom wiele czasu, osiągając znakomite efekty. Uwielbiał, jak każdy, kto ma hobby, opowiadać o swoim zajęciu.

Albert Jackson był postawnym, wysokim mężczyzną w wieku sześćdziesięciu lat.

Trzymał się prosto, miał bujne siwe włosy i pogodne brązowe oczy. Chodził dziarskim krokiem, a gdy z kimś rozmawiał, patrzył zawsze rozmówcy prosto w oczy. Zatrudniał gosposię, panią Sarę Dowson, która parę razy w tygodniu dochodziła na plebanie. W obowiązkach duszpasterskich pomagał mu młody duchowny, Martin Harris.

Pastor Jackson podniósł dłoń do oczu, gdyż słońce pomimo późnej godziny przypiekało dosyć ostro, i spojrział na gościa.

- Jacob Mortimer - zawołał. - Przyjemnie, że mnie

odwiedziłeś...

- Dzień dobry - odparł. - Zrobił się prawdziwy upał...

- Tak. Przyjdzie gorące lato tego roku... bardzo gorące... Może zajdziemy na plebanię?

- Nie. Ja tylko na chwilę! Jak zdrowie?

- Dzięki Panu wciąż dobre...

Jacob wyjął z kieszeni kopertę z pieniędzmi i wręczył pastorowi. Ten skinął lekko głową, ścisnął gościowi dłoń.

- Cieszę się, że parafia ma tak dobre dzieci... - oznajmił, przecierając ręką czoło. - Bardzo się cieszę. Nasze miasteczko jest niewielkie, oddalone o wiele mil od wszelkich ośrodków. Może dzięki temu nie zaginęły w nim dobre obyczaje, a ludzie są nadal przyzwoici...

- To prawda - przyznał Jacob. - Zgnilizna do nas nie dotarła...

- Słyszałeś ostatnią nowinę?

- Nowinę? jaką nowinę?

- Ktoś zainteresował się ziemią Vernonów. Podobno przyjedzie w tym miesiącu ją obejrzeć...

- To chyba plotka...

- Wcale nie. To prawda. Wczoraj odwiedził mnie Richard Bromley. Wiem to od niego, bo on będzie pośredniczył w tej transakcji...

- To musi być prawdziwy bogacz, ten kandydat do majątku Vernonów?...

- Niewiele o nim wiadomo. Bromley stwierdził, że to prawdziwy dziwak i ekscentryk...

- Już go poznał?

- Rozmawiali tylko telefonicznie. Szczerze mówiąc żal mi Vernonów. To ich posiadłości z dziada pradziada. Cóż, sami sobie winni... Nie trzeba było się pakować w wątpliwe interesy... Tak jest zawsze, gdy forsa przesłoni człowiekowi

świat.

- Będę już wracał.

- Proszę mnie któregoś niedzieli odwiedzić z rodziną...

To mi nie przeszkadza i nigdy nie przeszkadzało, że Frances jest katoliczką. Wiesz o tym, mam nadzieję?

- Wiem. Dziękuję. Na pewno skorzystamy z zaproszenia. Żona już od tak dawna nie grała z pastorem w szachy...

- Zawsze mnie ogrywa - uśmiechnął się Jackson.

- To bystra kobieta - stwierdził Mortimer.

Usiadł za kierownicą. Spojrzał na niebo. Gdy rozmawiali, słońce zniżyło się nad dalekimi wierzchołkami gór, barwiąc niebo na purpurę. Jacob westchnął, włączył stacyjkę. Krótka rozmowa z pastorem dała mu bodziec do rozważań, czy on i Frances dobrze zrobili, postanawiając, że się nie wyprowadzą z Snow Hills do większego miasta. Większy ośrodek stwarzał zupełnie inne możliwości dzieciom. Były w nim wielkie biblioteki, uniwersytety, teatry, filharmonie, były różne inne rzeczy, których na pewno brakowało w Snow Hills...

Za to w Snow Hills człowiek otoczony był przyjaciółmi. Znał wszystkich wokoło, a w razie czego mógł liczyć na sąsiedzką pomoc. Do tego ta wspaniała przyroda: te lasy, góry, jeziora, rzeki... Nie! Doprawdy nie było na co narzekać.

Mortimer sięgnął do schowka. Wyjął z niego nową paczkę miętowych gum do żucia i włożył jedną z nich do ust. W ten sposób starał się usunąć przykry zapach pozostający po paleniu papierosów. Sam jednak twierdził, że to niewiele daje.

W każdym razie przyzwyczał się do częstego przeżuwania gum, zwłaszcza zachwalanych w reklamach.

Zmierzchało, gdy podjechał pod dom. Była to ładna willa z rozległym ogrodem oraz podwórzem, w które Jacob zręcznie wkomponował wiele lat temu najróżniejsze przedmioty do zabaw dla swoich dzieci.

Dzieci właśnie z nich korzystały.

Dwaj chłopcy, sześciolatek James i ośmioletni Ron, podskakiwali pod koszem.

Trzy dziewczynki, pięcioletnia Sandra, siedmioletnia Doris i najstarsza z całego rodzeństwa dziesięcioletnia Lisa, kręciły się wokół huśtawki.

Na widok ojca wszyscy podbiegli do forda. Gdy tylko uśmiechnięty Jacob wysiadł z auta, Sandra uczepiła się rękoma jego szyi, beładnie opowiadając, jakiego ładnego misia kupiła jej mama tego popołudnia.

Było to dobre, spokojne dziecko, uczynne i chętne do nauki. Podobny charakter miała Doris. Zupełnie inne cechy leżały w naturze Lisy. Robiła wrażenie dziewczynki niezwykle rezolutnej, pewnej siebie, przy czym zawsze wydawała się nad wiek dojrzała. Już teraz zapowiadała się na prawdziwą piękność.

Wspaniałe długie ciemnoblonde włosy, splecione w dwa warkoczyki, po rozpuszczeniu spadały falami do pleców. A sylwetka wskazywała, że kiedyś Lisa wyrośnie na bardzo zgrabną kobietę. Jacoba niepokoiło, że zawsze lubiła zabawy z obcymi mężczyznami. Lubiała siadać im na kolana i przytulać się do nich. Widział w tym zachowaniu przedwcześnie rozbudzony popęd płciowy.

Wiele razy rozmawiał o tym z Frances, ale ona nie podzielała jego obaw. Po cichu nazywał najstarszą córkę Lolitką...

James i Ron zachowywali się tak, jak na chłopców w ich wieku przystało. Ganiali od rana do wieczora po

okolicznych lasach, łąkach i górach. Bili się z rówieśnikami. Godzinami grali w futbol lub zamieniali się w gangsterów albo Indian...

Jacob uważał, że właśnie tak powinno być.

Przygarnął ku sobie całą gromadkę i ruszył do Frances, która wyszła przed ganek, gdy usłyszała podjeżdżający samochód.

Skończyła w lutym trzydzieści lat. Była wysoką, ładną blondynką o zgrabnej budowie ciała. Kiedyś nawet, przed ukończeniem dwudziestu lat, pracowała jako modelka. Za Jacoba wyszła z prawdziwej miłości, nigdy nie żałując tego kroku. Mortimer bowiem bardzo ją szanował. Był nadzwyczaj dobry dla dzieci.

- Witaj, kochanie - powiedział, całując żonę w policzek. Nim weszli do domu, odwrócił się i spojrzał na niebo i okolicę.

Już zmierzchało. Po jasnoblękitnej przestrzeni niezmąconej nawet jedną chmurką płynął złoty romb księżyca, jednocześnie jej dolne warstwy słońce zabarwiło jeszcze mocniejszą purpurą. Ptaki śpiewały pośród drzew, z których liczne już rozkwiatały, bo od paru tygodni było bardzo ciepło.

Jacob westchnął. Był trzydziestopięcioletnim mężczyzną, mężczyzną o ustabilizowanej sytuacji, mężczyzną z całkiem niezłym dorobkiem życiowym - to pozwalało mu bez zmruczenia powieki patrzeć w przyszłość. Nawet nie podejrzewał, co gotuje mu los...

Mieszkał w pięknej rezydencji przy Piątej Alei w Nowym Jorku, otoczonej zielenią wielkich rozłożystych drzew, oddzielonej grubym murem od świata zewnętrznego. Był to prawdziwy miniaturowy raj, niegdyś należący do znanego polityka, który popełnił samobójstwo, gdy wyszły na jaw jego powiązania z mafią. Potem willa została wykupiona przez bogatego Japończyka, zakochanego do nieprzytomności w początkującej gwiazdce filmowej i zostawionego przez nią na pastwę losu, gdy już go oskubała do reszty z pieniędzy, a przede wszystkim z godności... wreszcie stała się jego nabytkiem.

Miał czterdzieści pięć lat, był wybitnym naukowcem, może nawet najwybitniejszym w swojej dziedzinie na całym świecie. Przez kilka lat pracował w laboratoriach Uniwersytetu Wisconsin w Madison. Prowadził tam doświadczenia tak utajnione, że poza paroma osobami na świecie nikt nie miał o nich najmniejszego pojęcia. Potem zrozumiał, że chce czegoś znacznie więcej: chce własnych niezależnych badań. Nie próbował nawet nikomu opowiadać o swoich koncepcjach. Wyśmiano by go lub potraktowano jak nawiedzonego. Potrzebował pieniędzy, bo tylko one mogły zagwarantować niezależność, pozwalając mu na pójście drogą, która zdawała się tak pasjonującą...

Wtedy zainteresował się giełdą papierów wartościowych. Okazało się, że i w tej dziedzinie jest prawdziwym geniuszem. Bardzo prędko zgłębił tajniki teorii fal Elliota. Koncepcja pięciofalowych struktur impulsu i

trzyfalowych struktur korekty przypadła mu do gustu. Szybko jednak pojął, jak trudno teorię zastosować w rzeczywistości.

W ciągu pierwszego roku inwestowania stracił trzydzieści procent swojego portfela, ale wiele się nauczył. Przyszła chwila, gdy po raz pierwszy podjął słuszną decyzję, zarabiając duże pieniądze. Był na dobrej drodze. Zaczął jeszcze intensywniej studiować teorię Elliota. Osiągał coraz większe sukcesy...

W roku 1997 usłyszał o sklonowaniu owieczki Dolly. Ogarnął go pusty śmiech.

Śmiał się przez kilkanaście minut...

W owym czasie był już właścicielem pięknej rezydencji. W jej podziemiach urządził prawdziwe - jak mawiał - laboratorium diabła. Robił tam takie doświadczenia, że reprodukcja owcy wydawała się przy nich czymś zupełnie niewinnym...

Na pomysł, dzięki któremu je przeprowadzał, wpadł przed pięcioma laty.

Wysłuchał wówczas pewnej audycji telewizyjnej poświęconej Niezidentyfikowanym Obiektom Latającym. Wyglądało to wtedy na wierutne bzdury, ale ponieważ należał do pragmatyków, postanowił sprawdzić prawdziwość owych relacji. Skontaktował się z przyjacielem, zajmującym się takimi sprawami. Ten obiecał pomóc i pomógł. Wyniki okazały się nadzwyczaj interesujące... nadzwyczaj...

Co do kobiet, to cóż, nie miał do nich szczęścia. Owszem, zdarzyło mu się parę razy związać z różnymi paniami... Po pewnym czasie albo on rezygnował, albo rezygnowały one. Wreszcie przyzwyczał się do samotności. Nawet ją sobie cenił.

Tego dnia oczekiwał bardzo szczególnego gościa. Człowiek ten ukończył pięćdziesiąt lat. Chociaż nie figurował

na liście najbogatszych ludzi świata czasopisma Forbes, to niewątpliwie do takich należał. Może nawet był najzamożniejszy...

Henning Porter przybył punktualnie. Towarzyszyło mu dwóch „aniołów stróżów”.

Miliarder był szczupłym niewysokim mężczyzną o cynicznej inteligentnej twarzy.

Nosił okulary. Sposób, w jaki załamywało się w nich światło, wskazywał, że jest krótkowidzem. Grubość szkieł sugerowała niewielką wadę wzroku.

Porter wydawał się niemile zaskoczony, gdy na własne oczy ujrzał gospodarza.

Słyszał o nim najróżniejsze rzeczy, w tym takie, o których lepiej było nawet nie wiedzieć. Musiał jednak przyznać, że wygląd, a także postać Christophera Russella potwierdzają owe informacje.

Naukowiec w faszystowskiej Rzeszy z pewnością uchodziłby za fizyczny wzór esesmana. Największe wrażenie wywierały jego oczy. Miały stalową nieprzyjemną barwę. Zdawały się patrzeć tak, jak gdyby ich właściciel był pozbawiony jakichkolwiek uczuć wyższych. W dodatku nie mrużył powiek...

Porter czuł się w jego obecności, a nigdy mu się to dotychczas nie zdarzyło, jak myszka przy kocie.

- Mam niewiele czasu, panie Porter - oznajmił bez najmniejszych skrupułów profesor. - Dlatego proponuję, abyśmy od razu przeszli do rzeczy. Pańscy ludzie niech tutaj poczekają, a my zjedziemy windą na dół. Pokażę panu moją kolekcję, a jest ona doprawdy wyjątkowa. Przy okazji porozmawiamy o pana problemie.

- Dobrze - zgodził się miliarder.

Wyszli z pokoju do holu. Tutaj Russell uruchomił

pilotem windę.

- To konieczne środki bezpieczeństwa - stwierdził. -
Poza mną nikt nie ma dostępu do niższych kondygnacji
budynku.

- Co pan mi pragnie pokazać?

- Za chwilę pan ujrzy. Proszę o trochę cierpliwości.

Winda się zatrzymała, bezszelestnie otworzyła.
Obszernym korytarzem dotarli do metalowych drzwi... weszli
do środka.

Miliarder drgnął. To było terrarium. Olbrzymie
terrarium. Największe, jakie do tej pory widział.

- Hoduje pan węże? - spojrzał na profesora.

- Tak. To moje hobby. Interesują mnie wyłącznie
jadowite. Są według mnie najciekawsze. Mam też anakondę i
pytona. Stworzyłem im specjalne warunki, bo to duże
zwierzęta. Pokażę panu co ciekawsze egzemplarze. Przy
okazji ustalimy szczegóły naszej, że tak powiem,
współpracy...

- Ma pan szczególne zainteresowania. Ja nie znoszę
wszystkiego, co pełza...

- Tak, wielu ludzi patrzy na to w ten sposób. Ja nie...
Więc pragnie pan, abym sklonował osobnika z pana
komórki?

- Tak!

- Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, że ten osobnik
będzie pana kopią wyłącznie genetycznie?

- To znaczy?

- Cóż... Przyjdzie na świat małe dziecko. Ktoś je
wychowa. Pójdzie do jakiejś szkoły... W sensie psychicznym
nie będzie pana duplikatem. Będzie odrębnym, niezależnym
istnieniem...

- Ale będzie wyglądało tak jak ja i będzie miało moje

cechy charakteru?

- To na pewno.

Zatrzymali się przed jednym z akwariów. Wokół wyrastały z doniczek palmy.

Porter miał wrażenie, że znalazł się w dżungli.

- Niech pan popatrzy na tego węża - uśmiechnął się profesor. - Zapewne nie zna pan jego nazwy?

- Przypomina wielką dżdżownicę...

- Proszę tak nie żartować! To piękne stworzenie. Nazywa się Mamba Czarna. To pełzająca śmierć, proszę pana! Ten okaz ma prawie cztery metry, a porusza się tak prędko, że potrafi prześcignąć konia. Pana ochroniarze nie mieliby najmniejszych szans, gdyby znaleźli się w jego towarzystwie. Gruczoły jadowe Mamby posiadają zapas trucizny wystarczający do zabicia nawet dziesięciu dorosłych mężczyzn. Wąż ten jest ogromnie agresywny. Niekiedy atakuje pierwszy. Wtedy ukąsa kilka razy... raz po razie... Człowiek zaczyna się dusić, serce uderza jak oszalałe...

- Niech pan przestanie. To przerażające. Wróćmy do naszej rozmowy...

- Oczywiście. Rzecz jasna zebrał pan wiadomości o mojej skromnej osobie. Dlatego wie pan, że w tej chwili jestem najlepszy na świecie i najdroższy...

- Pieniądze nie grają roli...

- Rozumiem! Teraz doszliśmy do równie ciekawego przedstawiciela węży. To Tajpan! Jest tak samo niebezpieczny jak jego poprzednik, podobnie agresywny...

- Więc?

- Więc pięćdziesiąt milionów dolarów, panie Porter!

- To strasznie dużo!

- Sam pan powiedział, że forsa nie ma znaczenia. Decyzja należy do pana...

- Dobrze. Zgadzam się. Kiedy pan przystąpi do całej operacji? Ile zajmie czasu?

- Co najmniej dwa lata. Co najmniej...

- W porządku.

- Już teraz przeleje pan na moje konto w Szwajcarii połowę tej sumy, a gdy doczeka pan szczęśliwie swojej młodszej wersji, dalszą część...

Zatrzymali się przed wielkim akwariem, zabezpieczonym od wewnątrz kratami.

- To przedmiot mojej szczególnej dumy - oznajmił Russell. - Przechowuję tutaj anakondę dochodzącą prawie do dwunastu metrów długości. To jeden z największych okazów na świecie. Chociaż podobno widziano egzemplarz dwukrotnie większy.

- Pewnie dużo zje? A co będzie, panie Russell, gdy klonowanie nie wyjdzie?

- Pana połknęłaby na zakąskę... Oczywiście zwrócę pieniądze. Jest jeszcze jedna rzecz... Proszę o absolutną dyskrecję. Nikt nie może o niczym wiedzieć. Tak będzie lepiej dla samego dziecka i dla pana również...

- To zrozumiałe. Przyjmuję pana warunki. W przyszłym tygodniu wpłynie na pańskie konto dwadzieścia pięć milionów dolarów... A teraz chciałbym już opuścić to piękne pomieszczenie. Ciarki mnie przechodzą, gdy patrzę na te gadziska.

- Nie docenia pan ich możliwości - uśmiechnął się profesor. - To wielki błąd. Aha... Jeszcze jedno. Niedługo wyjeżdżam z Nowego Jorku do Snow Hills. To takie niewielkie miasteczko u podnóża Gór Skalistych. Proszę mnie nie odwiedzać. Ja będę się kontaktował co pół roku z panem. Tak będzie najlepiej.

- Dlaczego pan wyjeżdża na takie zadupie?

- Potrzebuję spokoju. Poza tym tam odnalazłem coś, czego od dawna szukałem.

Miliarder nie pytał o nic więcej. Otarł chusteczką z czoła pot. Wydawało mu się, że rozmowa z Russellem wyciągnęła z niego całą energię. Było mu niedobrze.

Pragnął czym prędzej wyjść z tego ohydneho pomieszczenia. Profesor zrobił na nim okropne wrażenie. Przygniótł go swoją osobowością. Przeraził dziwnymi zainteresowaniami. Był jednak wybitnym uczonym, a wybitni uczeni - myślał Porter - mają prawo do dziwactw.

Snow Hills należało do spokojnych miasteczek, było jednym z tych amerykańskich miast, w których życie toczyło się utartym torem, a ludzie przywykli do odwiecznych zwyczajów i ceremonii.

Tak było do zeszłego roku. Wówczas paru mieszkańców dostrzegło na niebie UFO. Wtedy się zaczęło... Przez Snow Hills przetoczyła się lawina dziennikarzy.

Tylko nieliczni z nich napisali sensowne artykuły.

Opinie wygłaszano bardzo zróżnicowane. Jedni ślepo, wręcz bezkrytycznie wierzyli w zaobserwowany fenomen. Drudzy stukali się znacząco w czoło, unikając rozmów na ten temat.

Do nich należała Frances Mortimer. Tylko jej zachowanie wcale nie wynikało z niedowiarstwa, wynikało z obaw przed ośmieszeniem, z wrodzonej ostrożności...

Frances pewnego dnia jechała do rodziny, mieszkającej około pięćdziesięciu mil za Snow Hills...

Była piękna lipcowa noc, upalna noc. Frances czuła się nieco zmęczona, bo tego dnia zwały się na jej głowę najróżniejsze sprawy. Między innymi musiała pójść z małą Doris do dentysty, gdyż nagle rozboleły ją zęby. Potem robiła zakupy, a jeszcze potem malowała ścianę...

Zmierzchało.

Miała za sobą kawał drogi.

Na raz samochodem zarzuciło. Wcisnęła odruchowo hamulec... bezskutecznie!

Nie panowała nad autem. Ford przejechał kilkadziesiąt

jardów, zatrzymał się.

Wszystkie światelka na tablicy rozdzielczej zgasły. Przekręcała klucz w stacyjce na prawo i lewo, lecz nie mogła uruchomić silnika. Wtem, ku jej zdumieniu i przerażeniu, pojazdem zatrzęsło...

Wtedy to ujrzała!

Nad autem unosił się potężny ciemny kształt. Przypominał dysk. Nie słyszała najmniejszych odgłosów. O Boże - pomyślała - to nie dzieje się naprawdę... To nie może dzieć się naprawdę...

Potem coś się stało...

Obudziła się nad ranem w samochodzie, z głową opartą na kierownicy.

Spojrzała na zegarek. Dochodziła godzina piąta nad ranem. Z jej życia uciekło dziewięć godzin. Nic nie pamiętała...

Nawet wołała nie pamiętać. Kiedyś oglądała w telewizji program o latających spodkach. Ludzie opowiadali o swoich przeżyciach związanych ze spotkaniem UFO. Uważała wtedy, że to naiwne bajeczki, mające na celu reklamowanie własnej osoby. Teraz ją spotkało to samo.

Powinna pójść do psychoanalityka, poddać się hipnozie, odtworzyć w pamięci zagubiony czas. Jednak bała się tego, co może usłyszeć. Dlatego starała się zapomnieć. Poza tym milczała z innego jeszcze powodu. Sądziła, była wręcz tego pewna, że Jacob nigdy nie zrozumie jej lęków, a całą historię potraktuje z przymrużeniem oka.

Więc milczała.

Minęło kilka tygodni. Czuła się dziwnie, nie najlepiej. Czasami miała wrażenie rozdawania się... Była zarazem dawną Frances, ale była też i inną, jakąś nową...

Oprócz swoich myśli słyszała w głowie inne, jak

gdyby cudze...

To było straszne. To obłąd - sądziła.

Głos mówił jej o przyszłości, szydził z niej zapowiadając, że przyjdzie dzień, w którym jej nędzne życie dobiegnie końca. Oprócz tego namawiał ją do różnych brzydkich rzeczy. Z początku starała się z nim walczyć. Później zauważyła, że bardzo często ma rację, a nawet w pewien sposób jej pomaga. Wreszcie zaczęła go traktować jako część swojej własnej osobowości. Wcale go nie łączyła z tym, co niegdyś zobaczyła nad szosą, gdy jechała samochodem do rodziny.

Układy pomiędzy nią a Jacobem powoli się zmieniały. Mijało jedenaście lat ich pożycia małżeńskiego... Frances zaczynała czuć pewien niedosyt. Owszem, miała porządnego męża i udane dzieci. Czegoś jednak w tym wszystkim brakowało. Może brakowało odrobiny szaleństwa? Ich związek przypominał pociąg jadący po z góry zaplanowanym torze. Nic nie wskazywało na to, aby z niego zszedł. Właśnie to poczucie niezmienności doprowadzało ją coraz częściej do rozpacz...

Minęło popołudnie.

Była sama w domu. Dzieci bawiły się na podwórzu. Jacob wracał z pracy zazwyczaj około szóstej wieczorem.

Właśnie przygotowywała obiad, kiedy zadzwonił domofon. Otworzyła drzwi, wpuszczając Teda Mertona, przyjaciela swojego męża jeszcze z lat szkolnych.

Oczywiście wiedziała, że łączą ich wspólne interesy. Zawsze gdy spotykała Teda, było jej nieco przykro, ponieważ dała mu kosza, kiedy poprosił o jej rękę, a potem związała się z Jacobem.

Merton zdjął kapelusz, powiesił go na wieszaku. Ubrany był w dżinsowe spodnie i kurtkę, którą również z

siebie ściągnął. Został w białej podkoszulce. Miał silne umięśnione ręce, mocną, ładnie uwypukloną klatkę piersiową.

- Rzecz jasna wiesz - uśmiechnęła się Frances - że Jacoba jeszcze nie ma w domu...

- Wiem - odparł. - Za to ty jesteś...

Jego oczy prześlizgnęły się szybko po pełnych kształtach kobiety, wreszcie spoczęły na własnych dłoniach. Ted, pomimo swojej siły oraz sprawności, należał do nieśmiałych mężczyzn. W tej chwili pomyślał, że całkiem dobrze i sensownie odpowiedział Frances. Byle tak dalej - przeszło mu przez głowę.

- Wejdz do kuchni - powiedziała. - Właśnie przygotowuję obiad. Dotrzymasz mi towarzystwa.

Merton nigdy nie pogodził się z decyzją Frances. Ktoś mógłby powiedzieć, że z Jacobem stanowili parę prawdziwych przyjaciół. Razem ukończyli szkołę podstawową, razem grali w piłkę, razem brali udział w spływach kajakowych, wreszcie każdy z nich starał się o względy tej samej dziewczyny...

Prawda była inna...

Ted Merton nienawidził Jacoba z całego serca i z całej duszy, a znienawidził go w momencie, gdy tamten odebrał mu ukochaną przezeń kobietę. Ted udanie stworzył pozory, że nie ma do swojego kolegi żalu, że pogodził się z sytuacją. Tak naprawdę nadal kochał z całego serca Frances. To uczucie powodowało jego postępowaniem. Dla niej mógł zrobić wszystko. Mógł się nawet rzucić do bagna pełnego aligatorów. Więc tym bardziej mógł oszukiwać Jacoba, wmawiając mu, jaki dobry zeń przyjaciel.

Frances stała odwrócona do Teda tyłem. Krzątała się przy rondlach Zeptera, z których była bardzo dumna, a które

mąż sprezentował jej w rocznicę ślubu.

Czuła na sobie, na swoich plecach, na pośladkach, wzrok Mertona. Nawet sprawiało jej to pewną przyjemność. On nadal się we mnie kocha - rozważała. Rzeczywiście mu na mnie zależy... Tyle lat minęło, a jego uczucia są niezmiennie...

Gówno prawda, malutka - odpowiedział głos w jej głowie. - On pragnie cię, ty naiwna cipeńko, przelecieć... Chodzi mu wyłącznie o twoją słodką dupeczkę. I tak naprawdę powinnaś być z tego zadowolona, bo nie jesteś już pierwszej młodości... Nie masz osiemnastu lat... I nawet się nie zastanawiaj nad tym, co masz zrobić... Po prostu mu pozwól...

To nieprawda, odpowiadała. To podłe kłamstwa. On zawsze mnie szanował. Nadal szanuje...

Przede wszystkim szanuje twój tyłek. Twoją dziurkę...

Przestań!

Boże! Jakże nie cierpiała tego mądrali, tego złośliwca wewnątrz siebie. Po cichu nazywała go, sama nie mając pojęcia dlaczego, Aniołkiem.

- Co u ciebie słyhać, Ted? - zapytała.

- Po staremu - odrzekł.

- Masz kogoś na oku?

- Nic z tych rzeczy. Za bardzo pamiętam dawne czasy...

Umilkła. Wyraźnie dał jej do zrozumienia, jak ogromnie mu nadal na niej zależy.

Było coś wzruszającego w tej trwałości uczuć.

Tymczasem Ted po raz pierwszy dostrzegł w zachowaniu Frances różnicę. Wcale nie zachowywała się wobec niego zimno czy lekceważąco, wręcz przeciwnie!

Płynęło od niej jakieś ciepło, przyzwolenie. Było to tak namacalne, tak nie ulegające wątpliwości, że Merton niewiele się zastanawiając wstał z krzesła, podszedł do kobiety, kładąc dłonie na jej biodrach...

Frances zeszywniała.

- Ted! - ledwo wydusiła ze ściśniętego gardła. - Co ty robisz? Przecież tak nie można... Przecież Jacob...

Ręce mężczyzny przesunęły się niżej. Dotknęły jej nóg, wzdłuż ud powędrowały pod sukienkę. Frances poczuła ciepło, wręcz gorąco płynące od dłoni Teda.

Delikatnie pieściły skórę, jakby niepewne, jakby badające, na ile mogą sobie pozwolić...

Frances zrobiło się przyjemnie. Miętko przegięła ciało do tyłu... Wtedy ręka Teda powoli wpełzła pod jej bluzkę, zatrzymała się na brzuchu, powędrowała ku piersi... Palce mężczyzny dotknęły sutka, lekko go pocierając...

Druga dłoń przesuwawała się wzdłuż uda, aż wreszcie zboczyła pomiędzy nogi...

Frances poddała się ogarniającej ją fali podniecenia.

Ted to wyczuł, stał się pewny siebie.

Pociągnął Frances za sobą, oparł o ścianę. Zsunął z niej majtki, uchwycił dłońmi za pośladki, podniósł do góry. Ona objęła nogami jego plecy...

Ted wszedł w nią ostrożnie, kołysał i delikatnie poruszał biodrami. Jego gorące suche wargi co chwila dotykały białych ślicznie ukształtowanych piersi, a zęby muskały ciemne nabrzmiące sutki...

Przesuwał dłonie po gładkich udach, ciesząc się ich kształtem i przyjemnym lekkim chłodem skóry.

Frances zdawało się, że zamienia się w ptaka. Przed sobą ujrzała błękitne niebo, leniwie płynące po nim białe obłoki. Rozłożyła szeroko, jak najszerzej skrzydła,

pofrunęła... Wzbijała się w przestwór coraz szybciej i szybciej, chłonąc w piersi łapczywie powietrze...

Naraz przeniknął ją potężny przyjemny płomień. Znikała w nim, a jednocześnie trwała...

Ocknęła się w ramionach Teda...

Leżeli na podłodze nadzy. Pieścił opuszkami palców jej piersi.

Frances gwałtownie przymknęła oczy.

- Ted - rzekła - to się nigdy nie może powtórzyć! Rozumiesz? Nigdy!

Pieprzysz, moja droga - oznajmił Aniołek. - Sama wiesz, że było ci tak dobrze, jak nigdy. Zrobisz to znowu... Wyrzuty sumienia nic ci nie pomogą, po prostu tego chcesz i tyle...

- Frances, ja cię kocham... Zawsze cię kochałem...

- Mam męża i dzieci... Co będzie, gdy Jacob się dowie?

- Przecież nie musi! Będziemy ostrożni... Będziemy się spotykali tylko wtedy, gdy wyjdzie z domu, gdy nie będzie dzieci...

- Sama nie wiem. Muszę to przemyśleć. Teraz już idź sobie. Mój Boże, nigdy nie sądziłam, że coś takiego zrobię.

Już wiedziała, że chce się z nim kochać ponownie. Będziemy kochankami, postanowiła. To wniesie coś nowego w moje życie. Ostatecznie żyje się tylko raz, więc należy korzystać z okazji.

Jechali całą grupą. W poniedziałek byli już w Black Kanion, do Snow Hills zostało im czterdzieści mil. Zamierzali tam zostać na dłużej, przynajmniej na dwa miesiące.

Jechali na Hondach. Dwudziestu muskularnych facetów w skórzanych kurtkach, zarośniętych niczym małpy. Towarzyszyły im trzy kobiety. Swojego przywódcę nazywali Procentowym Johnem. Po części dlatego, że potrafił sporo wypić, a po części dlatego, że niewiele potrzebował, aby wywołać awanturę. W każdym razie to właśnie on wymyślił nazwę dla całej gromady, a mianowicie Jeźdźcy Nocy. Nie była to nazwa na pewno wyszukana, jednak dosyć dobrze ich charakteryzowała, ich i ich wyczyny. Zostawiali poza sobą okradzione sklepy, zdewastowane bary, zgwałcone kobiety...

Zatrzymali się trzy mile przed Snow Hills przy ładnej rzece, płynącej bystrym nurtem przez skaliste złomowiska. Tuż przy drodze rozciągała się niewielka łąka.

Na niej rozbili obóz. Postawili namioty. Rozpalili ognisko. Zaczęli przysmażać kielbasy, obficie racząc się piwem z puszek.

- Popatrzcie sukinsyny na to miejsce - krzyknął Procentowy John, obejmując jedną z panienek. - Mówiłem, że to będzie świetne miejsce. Musimy skombinować więcej skórek (tak zawsze nazywał kobiety). Musimy... Wtedy zabawimy się na całego.

Był całkiem inteligentnym człowiekiem. Dobrze wiedział, czego potrzebują do szczęścia jego ludzie.

Potrzebowali, krótko mówiąc, dobrej zabawy, w tym bijatyki, potrzebowali alkoholu, no i potrzebowali dziewcząt. Gdy mieli te rzeczy, to mieli wszystko.

Procentowy John jako jedyny przeleciał wszystkie panienki w swojej grupie. Z jedną miał nawet syna, ale chłopak ciężko zachorował i zmarł. Ta, którą obejmował, nosiła dzwiczne imię Katherine. Wszyscy wołali na nią Kitty.

Kitty związała ubiegłej jesieni z domu. Wyglądała na co najmniej dwadzieścia lat, lecz nie skończyła nawet szesnastu. Patrzyła na Procentowego Johna jak na boga. Pewnie poszłaby za nim do samego piekła. Była to ładna smukła blondyneczka średniego wzrostu, o przedwcześnie dojrzałej twarzy.

Druga dziewczyna miała na imię Dorothy. Liczyła sobie o dwa lata więcej od Kitty. Każdej nocy spała w innym namiocie z innym chłopakiem. Z wyglądu wydawała się nijaka. Włosy miała rude, więc wołano na nią Płomień.

Opatrzność obdarzyła ją zgrabnym ciałem.

Trzecia była najładniejsza. To właśnie jej zazdrościli kumple Procentowemu Johnowi.

Mary skończyła osiemnaście lat. Wyglądała znacznie młodziej. Wyglądała nawet na szesnastcie. Twarzyczkę miała jasną, a niewinną jak u aniołka.

Niebieskie, właściwie błękitne oczy zdawały się nie wiedzieć o brzydkich rzeczach... Zdawały się bezbronne... Długie rozpuszczone włosy ciężkimi miedzianymi skrętami spadały na plecy i bardzo zgrabna figurę...

Procentowy John pilnował swojej dziewczyny jak oka w głowie. To była jedyna „skórka” w jego karierze, do której coś czuł.

- Dziesięciu ludzi pojedzie ze mną do miasteczka -

oznajmił. - Pozostali zostaną pilnować obozu. Nie wiemy przecież, co tu jest grane.

Przyjechali do Snow Hills wieczorem. Ryk motorów postawił miejscowych na równe nogi.

Pierwsze kroki skierowali do baru „Srebrna Gwiazda”. Wchodzili doń jeden za drugim, bacznie się przyglądając innym gościom, którzy na ich widok zamilkli.

- Sporo tutaj hołoty - zauważył Procentowy John, a pozostali parsknęli śmiechem.

John usiadł przy trzech starszych mężczyznach, spokojnie opróżniających kufle, a przynajmniej starających się zachować pozory spokoju.

- Cześć - klepnął dwóch najbliższych po plecach. - Cieszyście się z naszych odwiedzin, prawda?

Siedzieli nieporuszeni. Stary Joshua Parker przybladł. Niegdyś pracował na stacji benzynowej. Różne rzeczy mu się tam przytrafiały, ale zawsze, głównie dzięki sile fizycznej, wychodził z nich obronną ręką. Teraz też by sobie nie pozwolił na zniewagę... Jednak od pięciu lat był emerytem, a krzepy gwałtownie mu ubywało.

Młodszy odeń o kilka lat Andy Hoffman i Tom Penny w ogóle nie lubili zwad. Lubili natomiast wspólne spotkania oraz pogawędkę.

Skąd te bydlaki tutaj się wzięły? - zastanawiał się Joshua Parker. - Nie widziałem ich dotychczas... Ten, co do mnie tak paskudnie się odezwał, wygląda na prawdziwego zbira...

Dwóch ludzi Procentowego Johna podeszło do lady. Stała za nią wnuczka Parkera, Emie Davis, dziewiętnastoletnia ładna brunetka, oczko w głowie dziadka...

- Masz, kruszynko - zagadnął jeden ze zbirów - coś mocniejszego niż piwsko?

Nikt w grupie Johna nie znał jego prawdziwego nazwiska. Wołano nań Szalony Dean, ponieważ miał bzika na punkcie Jamesa Deana. Obejrzał wszystkie filmy z jego udziałem. Sądził, że ma podobny talent. Nikt mnie, myślał, jeszcze nie odkrył, ale do czasu...

Szalony Dean był prawą ręką Procentowego Johna.

Jego kolega, Martin Smith, wyglądał również nieprzyjemnie. Głowę miał wygoloną do ostatniego włosa, i to go wyróżniało od pozostałych kumpli.

- Ma siebie - uśmiechnął się obleśnie. - Prawda, malutka, że masz siebie?

Emie zaczerwieniła się. Prędko spojrzała w stronę dziadka, prosząc wzrokiem, aby przyszedł jej z pomocą... Joshua Parker nie dostrzegł błagalnego spojrzenia wnuczki.

- Prawda? - nalegał Smith.

- Każdy ma siebie - odparła, nie patrząc mu w twarz.

- No, proszę - pokiwał głową. - No, proszę, jakie w tej dziurze są inteligentne dziewczynki... Poprosimy o whisky... Może później poprosimy o coś innego... Na razie tylko o to!

- Dobrze - odparła krótko.

Procentowy John kiwnął niezadowolony głową.

- W tej pipidówce panuje prawdziwy burdel - stwierdził. - To mi się nie podoba. Ale my zmienimy te porządki. Za parę miesięcy sami nie poznacie swojego Snow Hills! Lecz... No tak, drogi dziadku! Nie odpowiedziałeś na moje grzeczne pytanie! Więc jesteście uradowani, rzecz jasna?

- Nie znamy pana i pańskich ludzi - przełamał się Joshua. - Nikomu źle nie życzymy. Skorzystajcie z naszej gościny, potem jedźcie dalej swoją drogą...

- Zaraz, zaraz... Nie tak szybko. Sam powiedziałeś, że nas nie znasz... Poznasz... pomożemy ci w tym, innym

oczywiście też. Zacznę od swojej skromnej osoby. Jak wyglądam: widzicie. Podobno porządne mamusie i porządni tatusiowie, ci co mnie poznali, straszą mną na dobranoc swoje dzieci. Podobno tak robią i, dalibóg, podoba mi się to. Popełniłem w swoim nędznym i jeszcze krótkim żywocie sporo równie nędznych czynów. A mam nadzieję, że popełnię ich znacznie więcej. To tyle... Cieszyście się?

Joshua wbił oczy w stół.

- Jesteśmy porządnymi obywatelami - rzekł przez zaciśnięte zęby. - Nie chcemy tutaj kłopotów!

- Oho! Ojczulek się stawia... Jaki bohaterki ojczulek!...

Procentowy John kopnął raptownie z całej siły w krzesło, na którym siedział Parker. Joshua poleciał jak długi na ziemię. Dwaj jego towarzysze patrzyli po sobie. Żaden nie przyszedł koledze z pomocą. Za bardzo się lękali...

Ale Joshua już miał dosyć. Zerwał się w miarę prędko z podłogi, podskoczył cały w nerwach ku swojemu prześladowcy. Kiedy był prawie przy nim, jeden z ludzi Johna wystawił nogę... Staruszek ponownie zwałił się na podłogę. Tym razem Parker nie wstał. Próbował, lecz tylko jęknął z bólu. Bolała go noga w kostce.

- Zabierajcie się stąd, pókim dobry - wrzasnął Procentowy John.

Towarzyszom Joshuy nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Śpiesznie schwycili przyjaciela pod ramiona. Wyszli z baru. Wsadzili Parkera do samochodu. Tom Penny usiadł za kierownicą.

- Odwieziemy Joshuę do domu - zaproponował. - Potem pojedziemy do szeryfa. Powiadomimy go o tych ludziach. Musi coś z tym zrobić.

- Tak - potwierdził Andy Hoffman. - Tak właśnie

uczynimy.

Pani Parker zbladła na widok męża, chociaż jego koledzy uspokajali ją na wszystkie możliwe sposoby, rękując, że nic takiego się nie stało. Pomogli jej wnieść męża na górę, położyć na łóżku... zostawili przerażoną kobietę, gdy dzwoniła po lekarza.

Tego dnia Sam Wilder, szeryf w Snow Hills, przyszedł wcześniej do pracy. W biurze nikogo jeszcze nie było, kiedy się pojawił. Udał się do swojego gabinetu, usiadł w fotelu, nogi położył na stole, zapalił kubańskie cygaro. Kochał cygańskie cygara. Zawsze błogi uśmiech pojawiał się na jego twarzy, gdy któregoś używał.

Sam wcale nie należał do porannych krasnoludków, wprost przeciwnie. Lubił się dobrze wyspać, dobrze zjeść, porządnie pokochać. Te trzy rzeczy połączone razem zapewniały mu dobre samopoczucie.

Ostatniej nie miał od tygodni. I problem był nie tylko w tym, że Gloria przestała nagle chcieć, że odwracała się w łóżku na drugi bok, gdy próbował wyegzekwować swoje prawa małżeńskie. Problem był przede wszystkim w tym, że staruszka - jak na nią mawiał - zmieniła się nie do poznania. Zmieniła w sposób niezwykle przykry.

Jeszcze rok temu - dumał - ze świecą w dłoni mogłes szukać równie zrównoważonej, spokojnej i oddanej mężowi oraz dzieciom kobiety. Jednak teraz...

Dlaczego mnie dzisiaj sprąła po pysku? Za co? Przecież nie powiedziałem nic złego. Spytałem tylko, gdzie wczoraj była. Rozszalała się w tym momencie jak wiosenna burza... Może... Może na coś choruje? Skąd mogę do diaska o tym wiedzieć? Nigdy nie rozmawialiśmy o takich sprawach... Ja robiłem swoje, ona swoje...

No i mała Amanda, mała Emy... Pięcioletnia, przerażona klótniami rodziców dziewczynka...

- Tatusiu - powiedziała wczoraj wieczorem - dlaczego ty i mamusia tak na siebie krzyczeliście? Nie chcę, abyście tak się zachowywali...

- Nie płacz, Emy - odparł, wycierając łzy z jej policzków. - Nie płacz, Emy...

Tak powiedział córeczce, czując się bezsilnym. Tracił z Glorią wspólny język. Nic nie potrafił na to poradzić.

Tylko co miał robić dalej? A coś przecież musiał zrobić. Wziąć rozwód?

Wykluczone. Nadal kochał swoją żonę. Kochał też Amandę. Bez nich życie straciłoby sens. No i w końcu cieszył się w Snow Hills poważaniem. Pełnił swoją funkcję czwartą kadencję z rzędu. Ludzie przywykli do niego. Nieraz zwracali się jak do ostatniej wyroczni. Rozwód przekreśliłby to zaufanie. Wyborcy by mu tego nie darowali.

Inna kobieta?

Sam uśmiechnął się pod nosem. Nigdy, przenigdy Glorii nie zdradził. I wcale nie dlatego, że nie miał okazji. Owszem, miewał je dosyć często. Był czterdziestoletnim, bardzo przystojnym mężczyzną! Ostre zdecydowane rysy, kasztanowe bujne włosy, lekko siwiejące przy skroniach, co dodawało mu powagi, siwe bystre oczy. Przy tym był wysoki, wysportowany...

Miał swoje zasady. Ot co! Miłość wydawała mu się czymś tak świętym, tak jedynym... Mogła się przydarzyć tylko raz. A jeśli komuś przyrzekło się i ją, i wierność, to należało tych przysięg dotrzymać. Sam pojmował jak staroświeckie to podejście. W końcu w telewizji widział co wieczór odmienne wzorce. To myślał - potwierdza tylko, że świat schodzi na psy...

„Wyprowadzę się z domu na miesiąc, na dwa... To powinno pomóc. Przemyślę sobie pewne rzeczy, a pewne

przemysłu Gloria. Innego rozwiązania nie widzę...”

Ocknął się z rozmyślań. Założył kurtkę. Wyszedł z pokoju. Przywitał trzech swoich zastępców: Adama Gardnera, Waltera Berkleya i Ralpha Wellera.

Wszyscy byli młodzi, zbliżali się do dwudziestego piątego roku życia.

Sam Wilder wychodząc skinął jeszcze głową sekretarce, Doris Taylor, i zamknął za sobą drzwi.

Wsiadł do starego wysłużonego Chevroleta Caprice. Ruszył w trasę po terenie.

Samochód pomimo stu tysięcy mil przebiegu na liczniku trzymał się całkiem nieźle. Wilder mógłby jeździć nowszym, który był na stanie, lecz tak się przyzwyczaił do wysłużonego Caprice, że nawet nie chciał o tym słyszeć.

Co tydzień robił objazd Snow Hills. Uważał, że to w zupełności wystarczy.

Miasteczko wraz z okolicami stanowiło, jego zdaniem, oazę spokoju. Fakt, zdarzały się czasami sąsiedzkie nieporozumienia, a nawet rękoczynny. Niekiedy ktoś wypił za dużo whisky, innym razem komuś puściły nerwy. Ale takich sytuacji było mało.

Poza tym Wilder lubił odwiedzić znajomych farmerów, zamienić parę słów na temat pogody, powspominać stare dobre czasy, pogawędzić o futbolu.

Gdy wyjeżdżał z miasteczka Drogą Miejską NR 1, dochodziła godzina jedenasta.

Najpierw pojechał do Astorów. Lubiał tę rodzinę, bo trzymała się twardych zasad, co wychodziło jej na zdrowie. Mijał olbrzymie połacie łąk i kukurydzy.

Na pastwiskach widział stada krów, czarnych tłustych herefordów. Astorowie dochowali się około czterystu sztuk, a ziemi mieli ponad trzysta hektarów.

Gdy zajechał na podwórze, kończyli właśnie robotę, rozpoczętą o brzasku.

Wracali na lunch.

Sam ujrzał kilka traktorów z przyczepami, wiozących mieszanki dla zwierząt.

Wysiadł z auta, przywitał się ze starym Brianem Astorem i jego trzema synami:

Richardem, Timem i Robertem. Wszyscy mieli twarde spracowane ręce i spalone od słońca, zdecydowane męskie twarze.

- Do ciężkiej cholery - powiedział Wilder. - Jak ty urosłeś, Robercie. Powinieneś zacząć grać w koszykówkę.

- Dziękuję panu - odparł młody Astor, przy ojcu zawsze cichy i skromny.

Sam uśmiechnął się pod nosem. Chłopcy Briana byli prawdziwymi łobuziakami.

Wystarczyło popatrzeć im w oczy, aby to poznać. Jednak przy tacie chodzili cichutko jak myszki przy kocie. Nic dziwnego. Brian miał coś takiego w twarzy, co w każdym wzbudzało szacunek. Mówił zawsze tak, jak gdyby nie miał najmniejszych wątpliwości co do swoich decyzji. Nie na darmo wybrano go kiedyś senatorem.

- Wejdz do środka, szeryfie - zaprosił Astor.

Sam skinął głową, poszedł za nim.

- Przywitał się z żoną Astora, Virginią, i z jej dwiema córkami, Penelopą i Rosalią.

Usiedli przy stole. Na półmiskach dymiły gorące kartofle w łupinach. Na talerzach leżały kawałki wołowego mięsa.

Brian mył jeszcze ręce. Nikt bez niego nie zaczynał jedzenia. Synowie wbili wzrok w talerze, najwidoczniej głodni, a dziewczęta zerkały nieśmiało na szeryfa.

Matka wyszła na moment do kuchni.

Gdy pojawił się Brian, zajęła swoje miejsce.

- Dziękuję ci, Panie, za twe dary - rzekł Astor. -
Pobłogosław ten posiłek, pobłogosław nas, pobłogosław
naszego gościa. Amen.

Usiadł. Począł nakładać zebrany jedzenie na talerze.
Gdy skończył, popatrzył na Sama.

- Dużo w tym roku roboty. Sypiamy po kilka godzin
na dobę i pracujemy od rana do wieczora.

- Dostaliście kredyt?

- Tak, dwa dni temu przedzwonił do mnie dyrektor
banku.

- To pięknie, Brian.

- Dokupimy ziemi od Vernonów.

- Podobno ktoś to już zrobił...

- Wcale nie. Rozmawiałem z Bromleyem. Temu
facetowi zależy na domu i kawałku ziemi wokół niego. Nie
jest farmerem!

- To bardzo dobrze. Brian, mam nadzieję, że na
obradach rady miejskiej, jako burmistrz, poprzysz mój
wniosek w sprawie budowy hotelu...

- Owszem, poprę. To droga inwestycja. Ale moim
zdaniem przyniesie w przyszłości sporo grosza.

- Też tak myślę. Będę się już zbierał. Wy macie swoją
robotę a ja swoją.

- Zawsze jesteś mile widziany.

Sam pożegnał się i pojechał.

Planował jeszcze odwiedzić babcię Nelson.

Staruszka doczekała się fatalnej opinii w Snow Hills.
Była to wyłącznie jej wina.

Niepotrzebnie zabrała się za te całe okultyzmy, za
przepowiadanie przyszłości.

Tak, szło jej całkiem nieźle. Podobno nawet miała prawdziwy dar... Nigdy w te bzdury nie wierzył. Wielu jednak z mieszkańców miasteczka zaklinało się, że to szczerą prawdą...

Mówiono, że Margaret Nelson przepowiedziała śmierć Kirka Vernona i jego żony. Podobno sama nie wierzyła w tę przepowiednię... Gdy się wypełniła, zaprzestała prorokowania...

Kiedy zapomniano o nieszczęsnym wydarzeniu, to pojawiła się następna afera z UFO. Jakiś pijaczek wyszedł wieczorem z knajpy, zobaczył o parę gwiazd za dużo. Niektóre nawet spadały... Snow Hills ogarnęła psychoza obiektów latających...

Sam jeździł w miejsca, gdzie podobno lądowały... Owszem, widział dziwne wypalone kręgi i czarne kuleczki, o których nikt nie potrafił powiedzieć nic sensownego. Owszem, widział... Tylko uważał to wszystko za dowcipną prowokację kilku inteligentnych wyrostków...

A co do starej Margaret... Cóż, było mu jej żal. Kobieta mieszkała samotnie. Nie miała krewnych, nie miała nikogo bliskiego. Nikt - myślał Sam - nie zasługuje na taki los. Nikt nie zasługuje na samotność.

Podjechał pod starą rozlatującą się chałupę pani Nelson. Wysiadł z auta.

Nacisnął w furtce domofon, który mógł zresztą nie działać. Działał. Babcia pojawiła się po chwili na ganku z nieodłączną strzelbą w dłoniach.

Kiedys mnie ustrzeli jak zająca - przemknęło szeryfowi przez głowę.

- Wilder - uśmiech rozjaśnił jej pomarszczoną twarz. - Wejdz, szeryfie, do środka. Wejdz, synku!

Babcia przyzwyczała się do jego odwiedzin. Z

początku była bardzo niechętna, patrzyła nań złym okiem i robiła wszystko, aby go spławić. Kiedy oznajmił, że jest naprawdę miłą starszą panią, przełamał lody.

Sam, nie mający już rodziców, również w jakiś sposób przywykł do Margaret Nelson.

Usiadł za stołem. Popatrzył na staruszkę.

- Co słycać, babciu?

- Niedobrze, synku, bardzo niedobrze...

- Dlaczego?

- Raz: to problemy ze zdrowiem. Chyba długo nie pociągnę. Przyjdzie się pożegnać z tym światem. A trochę szkoda. Dwa: byli u mnie w tamtym tygodniu młodzi ludzie...

- Młodzi ludzie?

- Tak. Chcieli się zabawić, powyglupiać. Ale ja to znowu ujrzałam. To ponownie się zdarzyło!

- Co takiego?

- Ty tego, Sam, nie pojdziesz... Tyle ci tylko powiem, że nad Snow Hills ciągną czarne chmury, bardzo czarne... Ciągnie tutaj zło... Przyjdzie ci z nim walczyć!

- Nie strasz, babciu. Całkiem niedawno UFO nad głowami, a teraz coś nowego? To niemożliwe! Wiesz, jak bardzo cię lubię... Ale zrozum, że nigdy nie wierzyłem w takie rzeczy. Skąd ty możesz wiedzieć, co się zdarzy w przyszłości?

- Bóg mi to dał. Nic na to nie poradzę. W każdym razie zapamiętaj moją przestrozę! W mieście pojawi się człowiek o twarzy anioła. To on przyniesie zniszczenie i śmierć. Wielu ludzi w Snow Hills nie doczeka następnego roku. O ich dusze upomni się szatan.

Trzeba zmienić temat - przemknęło przez myśl szeryfowi - bo ona sama go nie zmieni...

Staruszka spoglądała nań bacznie, jakby pragnęła

wejrzeć w jego serce. Potem delikatnie położyła dłoń na rękę Sama.

- A co u ciebie, synku?

Szeryf opuścił głowę.

- Źle!

- Dlaczego?

- Gloria się zmieniła...

- Zmieniła?

- Tak, to nie ta sama kobieta co kiedyś.

- Sam, jeśli ci ciężko o tym mówić, to nie musisz...

- Muszę, babciu... Tylko słowa tak trudno przechodzą przez gardło. Postanowiłem wyprowadzić się z domu.

- Aż tak źle?

- Aż tak.

- Porozmawiaj z nią szczerze...

- Próbowałem.

- Spróbuj jeszcze raz.

- Nie! Dzisiaj wrócę po rzeczy. Szkoda mi Amandy.

Liczę na to, że moja nieobecność w domu pozwoli zrozumieć Glorii, że popełnia błąd...

- Może masz rację...

- Muszę się zbierać. Zostało mi parę rzeczy do zrobienia.

- Uważaj na siebie - powiedziała pani Nelson, tym razem na jej ustach nie było uśmiechu.

Włączyła wentylację. Otworzyła okno, bo coś ją dusiło w okolicach serca. Jego praca była nierówna. Raz uderzało powoli, to nagle przyśpieszało.

Gloria zachnęła się, gdy w najciekawszym momencie sagi rodzinnej, którą oglądała od tygodni, wyskoczyła reklama. Nie miała już do tego nerwów. Czym prędzej przełączyła program na drugi, tutaj ponownie ujrzała twarz dziewczyny, reklamującej rewelacyjny spray przeciwpotowy do ciała.

Zdenerwowana wyłączyła telewizor.

„Co się ze mną dzieje, na litość boską, co się ze mną dzieje? Przestań! Przecież sama doskonale wiesz, co ci dolega. Powiedz wreszcie o tym Samowi. Powiedz o tym dziecku... Już się nie wywiniesz... za późno... Powiedz...”

Gloria westchnęła ciężko. Zeszła na dół.

Amanda bawiła się swoją ulubioną laleczką. Na widok mamy podniosła brwi do góry. Szeroko, radośnie się uśmiechnęła. Głorię znów coś boleśnie ukłuło przy sercu.

Nie dam rady - pomyślała. - To ponad ludzkie siły. Boże, dlaczego to akurat przyszło na mnie? Dlaczego teraz? Nie mogłeś z tym trochę poczekać?

Usiadła przy Amandzie na podłodze. Pogłaskała ją po główce. Poczula wciąż dziecinny zapach jej włosów.

- Emy - szepnęła. - Mamusia chce ci coś powiedzieć... Coś bardzo ważnego!

Dziewczynka otworzyła szerzej oczy. W głosie matki brzmiał dziwny ton.

Niepokojący ton. Nie miała najmniejszego pojęcia, co oznacza, ale nigdy dotychczas go nie słyszała.

Mama wciąż trzymała dłoń na jej głowie.

- Bardzo cię kocham, córeczko - rzekła Gloria.

Było to trudniejsze, niż sobie wyobrażała. Płacz tłumił słowa. Powstrzymywała się ostatkiem woli, aby nie wybuchnąć.

- Posłuchaj, Emy - szepnęła z wysiłkiem - mamusia musi odejść!

- Odejść? - Amanda spojrzała przestraszona, zrobiła podkówkę. - Odejść?... Nie chcę, mamusiu, abys odchodziła...

Gloria przytuliła mocno dziecko.

- Nic na to nie poradzimy, Emy! Ani ty, ani ja, ani tata. Tak chce Bóg...

- Bóg? Bozia mnie bardzo kocha, mamusiu, bo jestem małą i grzeczną dziewczynką. Jeśli Go ładnie poproszę, to na pewno cię zostawi.

Kobieta przelykała łzy.

- Pamiętaj, Emy - szepnęła ostatkiem sił - że mama nigdy o tobie nie zapomni... Słyszysz, córeczko? Nigdy! Pamiętaj o tym... A teraz baw się dalej... Muszę się położyć. Boli mnie głowa. Muszę odpocząć...

Poszła z powrotem na górę.

Amanda została sama... Dziewczynka wiedziała, że stało się coś okropnego.

Wprawdzie nie zrozumiała do końca słów Glorii, ale coś tak nieprzyjemnego ścisnęło ją w żołądku. I cały pokój nagle zrobił się paskudny. Już wcale nie było w nim miło. Po ścianach pełzły nieprzyjemne cienie, a z każdego kąta wyzierały obrzydlistwa.

- Mama musi odejść - mówiło Coś. - Musi odejść na

zawsze... Rozumiesz, Emy? Na zawsze!

Amanda mocniej przytuliła laleczkę. Naraz zadrżała...

Zamek w drzwiach szczęknął, a potem zabrzmiały kroki.

To tata - pomyślała. - Tata przyjechał...

Zerwała się ucieszona. Wybiegła do holu. Zawisła Samowi na szyi.

- Daj spokój, Emy! - zawołał ucieszony. - Daj spokój, bo zaraz schrupiesz swojego ojca na obiadek...

Podniósł córeczkę do góry. Cmoknął w oba policzki. Po czym, wciąż się śmiejąc, postawił dziecko na podłodze.

Amanda w tej chwili przypomniała sobie rozmowę z mamą... Podniosła piąstki do oczu. Sam popatrzył na nią uważnie.

- Co się stało, Emy? - zapytał.

- Mama powiedziała, że musi odejść - odparła. - Ja nie chcę, tatusiu, aby mama gdzieś odchodziła...

Wilder zmarszczył brwi.

- Mama tak powiedziała? - spojrzał pytająco na Amandę. - Poczekaj, skarbie, tutaj. Pójdę do mamusi i porozmawiam z nią. Na pewno wszystko będzie w porządku...

Odwrócił się. Przymknął oczy. Czuł, że już nic nie będzie w porządku. Szedł powoli po schodach, zastanawiając się, co powie Glorii, gdy zapuka do jej drzwi, a ona poprosi, aby wszedł. Przychodziły mu do głowy najróżniejsze słowa. Wreszcie zebrało ich się tyle, że zaczęły wirować na kształt olbrzymiej karuzeli.

Zapukał.

Gdy był w środku, to co w sobie dusił, odpłynęło. Została pustka. Gloria siedziała na tapczanie ze spuszczoną głową. Patrzył na nią czując, jak głupio zabrzmiał jakiegokolwiek

słowo, które w tym momencie padnie z jego ust.

Ale Gloria odezwała się pierwsza.

- Przepraszam, Sam, za to, że cię uderzyłam - oznajmiła. - Naprawdę nie chciałam. Jestem ostatnio bardzo podenerwowana. Dlatego to uczyniłam...

- Czy coś jest nie tak? - zagadnął, nie patrząc jej w oczy.

- Owszem.

- Emy mi powiedziała, że zamierzasz odejść... Nie musisz tego robić... Naprawdę nie powinnaś... Za długo byliśmy małżeństwem, aby...

Gloria roześmiała się.

- Nie powinnaś - powtórzył Sam. - Wszystko na pewno się ułoży. Wszystko...

Kobieta pokiwała głową.

- To nie tak... - rzekła. - Mogłam od razu ci powiedzieć... Mogłam... Łudziłam się, że to jakaś pomyłka. Nie sądziłam, że spotka to właśnie mnie...

Sam popatrzył na nią zdziwiony.

- O czym ty mówisz, Glorio?

- Miesiąc temu poczułam się niedobrze, bardzo niedobrze... Poszłam do lekarza, do internisty. Zrobili mi całą serię badań. Wyniki były jednoznaczne: mam raka macicy z rozległymi przerzutami. Za późno na jakiegokolwiek leczenie. Ja umieram, Sam!... Tydzień... Może dwa tygodnie... Nie umiałam się z tym pogodzić... Stąd moje wybuchy... stąd nerwy... Jeśli potrafisz, to wybacz...

Wilder stał jak skamieniały. Wielka niewidzialna siła przykuwała go do podłogi.

Podłoga była niczym magnes. Sekunda, dwie i wyciągnie z niego wszelkie siły, wypije krew.... Sekunda, dwie...

Nie potrafił nic z siebie wykrztusić. Rozpacz dusiła myśli. Powstrzymywała słowa...

Wreszcie podszedł do Glorii. Mocno ją przytulił. Po policzkach płynęły mu łzy, nie umiał ich powstrzymać.

I wtedy do pomieszczenia wbiegła mała Amanda. Na sekundę zatrzymała się w drzwiach, chłonąc wzrokiem scenę, zapamiętując ją na całe dalsze życie.

- Tatusiu! - zawołała - jacyś panowie przyjechali.

Sam oderwał się od Glorii. Prędko przetarł dłonią twarz. Nie chciał, aby dziewczynka dostrzegła, że płakał. Powoli odwrócił się.

- Panowie?

- Tak. Czekają na dole.

Wilder zszedł z córeczką po schodach. Zobaczył stojących Toma Penny i Andy Hoffmana. Wyglądali na zdenerwowanych. Tom miał bezwiednie w rękach kapelusz. Andy na widok szeryfa odetchnął z ulgą.

- Co się stało? - zapytał Sam.

- Wreszcie cię znaleźliśmy - odparł Penny. - Przepraszamy, że w domu...

- W porządku...

- Do miasta wtargnęła grupa motocyklistów. To prawdziwe dranie. Przysiedli się do nas, gdy byliśmy w barze... pobili Joshuę Parkera...

- Pobili?

- Tak, Sam... pobili...

- Dobrze. Pojedziemy zobaczyć, co się tam dzieje.

Wilder zdążył nieco ochłonąć po rozmowie z Glorią. Czuł potworny zamęt w głowie. Myślenie przychodziło mu z prawdziwym trudem. Rozumiał dobrze, co żona powiedziała. Jednocześnie sądził, że na pewno się myli. A jeśli nawet nie, to znajdą się lekarstwa, które postawią Glorię na nogi. Tak, to

ciężka sytuacja, ale z każdej sytuacji jest wyjście.

Słuchał bacznie wypowiedzi dwóch starszych mężczyzn. Zarazem wciąż przeżywał rozmowę z żoną. Obrazy nakładały się jeden na drugi. Widział wystraszoną twarzyczkę Emy, to znów poważne oblicze Glorii...

Prowadził samochód prędko, nie zwracając prawie uwagi na drogę, a przeszkody omijał intuicyjnie.

- Są jeszcze - mruknął Andy Hoffman na widok motocykli.

- To świetnie - rzekł sucho szeryf.

Rosła w nim złość, a nawet nienawiść do całego świata. Jakże był głupi, bezmyślnie głupi, że od razu nie pojął prawdziwych przyczyn rozdrażnienia Glorii.

Teraz rozumiał aż za dobrze jej cierpkie słowa, gwałtowne wybuchy gniewu. Biedna dziewczyna nie wiedziała, gdzie się podziać ze swoim nieszczęściem.

Weszli do „Srebrnej Gwiazdy”. Sam trzymał w dłoniach strzelbę.

Procentowy John i jego ludzie bawili się w najlepsze. Jedna z miejscowych laleczek siedziała przywódcy szajki na kolanach. Szarpała pomalowanymi na czerwono paznokciami jego brodę. Pozostali łotrzykowie także nie próżnowali... obejmowali dziewczęta, tańczyli z nimi lub grali w karty i opróżniali któryś z kolei kieliszek whisky.

Sam, wiedziony instynktem, podszedł wprost do Procentowego Johna. Ten zachowywał się tak, jakby w ogóle nie dostrzegł szeryfa.

- Coś ty za jeden? - zadał pytanie Wilder.

Przywódca bandy spojrzał nań w taki sposób, jak gdyby jego widok wywoływał w nim niepowstrzymaną chęć do wymiotów.

- A kto pyta? - obrzucił wzrokiem Sama od góry do

dołu.

- Wilder. Sam Wilder. Jestem szeryfem w Snow Hills.

- Szeryf - parsknął śmiechem Procentowy John. - Szeryf... Też mi coś... Nie wyglądasz na szeryfa. Wyglądasz na prawdziwego dupka, na nędznego kutasinę...

Nie dokończył. Sam błyskawicznie zatoczył strzelbą koło do tyłu, nabrał w barku rozpędu, a potem gwałtownie wyrzucił ramię do przodu. Kolba grzmotnęła Procentowego Johna w szczękę. Potężne cielsko zważyło się na podłogę.

W barze umilkło.

Sam popatrzył na członków szajki. Ich twarze płonęły od agresji i nienawiści.

Gdyby tylko mogli, rozerwaliby szeryfa na strzępy. Było widać, że sposób w jaki rozprawił się z ich przywódcą, zaimponował im.

- Zabierajcie się i wynoście do wszystkich diabłów - zakomenderował Wilder. Nie chcę was więcej tu widzieć! Wasz przywódca spędzi tę noc za kratkami. Co się stanie dalej, zobaczmy...

Odsunął się nieco na bok. Patrzył milcząc, jak śpiesznie wychodzą. Wiedział, że to jeszcze nie koniec problemów. Najpewniej banda stanęła gdzieś obozem i zamierza pozostać w Snow Hills przez parę tygodni. Podobna sytuacja zdarzyła się przed kilku laty. Z początku również były problemy, później motocykliści zmadrzeli. Zachowywali się całkiem przyzwoicie. Nie miał do nich najmniejszych zastrzeżeń. Może i tym razem historia się powtórzy?

Florentina Amandii przyleciała do Stanów Zjednoczonych pod koniec kwietnia.

Samolot Włoskich Linii Lotniczych - olbrzymi „Jumbo”, miękko siadł na płycie lotniska. Florentina, wciąż młodo i atrakcyjnie wyglądająca, zerknęła na swoją dwudziestoletnią córkę, Maritę.

- No i jesteśmy, moje drogie dziecko - wykrzywiła w uśmiechu wargi.

- To olbrzymie miasto, mamoo...

- Koszmarne olbrzymie, kochanie, koszmarne...

Wysiadły z samolotu, a potem poszły aluminiowym korytarzem do następnego i jeszcze następnego. Zjechały ruchomymi schodami w dół, następnie wjechały do góry. Minęły rząd oszklonych budek. Tłum ludzi stał przy odprawie celnej.

Marita, która po raz pierwszy znalazła się za granicą, patrzyła szeroko otwartymi oczyma na barwną ciżbę. Nie przywykła do takich rzeczy. Wraz z matką żyły w niewielkim włoskim miasteczku na Sycylii. Żyły bardzo biednie. Gdyby nie pomoc bogatszej rodziny, poszłyby zapewne żebrac na ulicę.

Urzędnik obrzucił wprawnym okiem paszporty.

- Panie Florentina i Marita Amandii?

- Tak - odpowiedziała starsza.

- Na długo do Stanów?

- Nie. Zabawimy tutaj dwa tygodnie. Na pewno nie dłużej.

- Życzę przyjemnego pobytu - urzędnik uśmiechnął się szeroko do Marity, rzeczywiście nadzwyczaj ładnej.

Przeszły bez problemów odprawę celną w hali bagażowej. Czarny bagażowy umieścił ich rzeczy na metalowym wózku i skierował się do drzwi. Nagle obie znalazły się w kipiącym, przepełnionym różnymi barwami, ludzkim tygłu. Matka wynajęła taksówkę. Poleciała taksówkarzowi, aby jechał na Piątą Aleję.

Mówiła dosyć dobrze po angielsku.

Do Ameryki przyjechała po raz pierwszy od dwudziestu lat. Nigdy, przenigdy nie zapomniała swojej pierwszej wizyty w tym kraju. Właśnie podczas niej poznała przystojnego, bardzo przystojnego blondyna i zakochała się w nim na zabój.

Spędzili ze sobą parę upojnych i burzliwych dni. Później wróciła na Sycylię.

Minął miesiąc. Jej organizm zachowywał się inaczej niż zazwyczaj. Zaczęła podejrzewać, że jest w ciąży. Podejrzenia okazały się słuszne. Nie usunęła dziecka.

Po ośmiu miesiącach przyszła na świat Marita.

Nigdy nie powiedziała córce, kto jest jej ojcem. Jeśli o to się pytała, to mówiła, że był to dobry człowiek, który zmarł dawno temu. Może nawet spróbowałyby odnaleźć przystojnego Amerykanina, lecz nie miała na to pieniędzy.

Marita należała do posłusznych i grzecznych dzieci. Nie miała z nią najmniejszych problemów. Czasami tylko dziewczynka wracała smutna ze szkoły, pytając, dlaczego wszystkie dzieci mają tatusiów, a ona nie. Wtedy przytulała ją i głaskała po głowie.

Pewnego dnia, a było to pół roku przed niespodziewaną podróżą do Stanów, odwiedziła swoją rodzinę, bogatą rodzinę. Na stole leżało czasopismo.

Spojrzała na nie obojętnym wzrokiem i... naraz serce podeszło jej do gardła. Na okładce był Amerykanin, jej Amerykanin, w którym niegdyś tak się zakochała.

Nie wierzyła własnym oczom. Przymknęła je, ponownie otworzyła. Zdjęcie wciąż było...

Czytała łapczywie artykuł. Wynikało z niego, że jej były chłopak został wybitnym uczonym, a przy okazji bardzo bogatym człowiekiem. Wynikało także, że żyje samotnie, nie ma ani rodziny, ani potomstwa...

Serce Florentyny waliło mocno raz po razie, jakby wybuchały w nim kule armatnie. W nocy nie mogła zasnąć. Myśli kłębiły się w głowie. Czuła w sobie olbrzymią radość, to znów wielki smutek. Modliła się do Boga, aby jej pomógł w podjęciu decyzji. Stwórca jednak milczał.

Następna noc minęła na podobnych udrękach.

Podczas trzeciej, kiedy ponownie nie mogła zmrużyć powiek, chociaż była ogromnie zmęczona, uświadomiła sobie, że jej córka ma prawo poznać ojca. W końcu - myślała - każdy ma takie prawo. Christopher oczywiście będzie zaskoczony... Po tylu latach... Kto wie, może mnie nawet nie pozna.

- Maritko - powiedziała nazajutrz. - Lecimy do Stanów Zjednoczonych...

- Do Stanów Zjednoczonych? Po co?...

- Odnalazłam twojego ojca!

Oczy dziewczyny gwałtownie się rozszerzyły. Nie wierzyła, że usłyszała dobrze. Patrzyła zdziwiona na matkę, ale jej podbródek zaczął drżeć, a pod brwiami zalśniły łzy...

- Tak, córeczko! - powtórzyła Florentina. - Twojego tatę...

Później długo opowiadała o wydarzeniach, rozgrywających się przed dwudziestu laty w Ameryce.

Dziewczyna słuchała łąpczywie, potem prosiła matkę, aby opowiedziała wszystko raz jeszcze. Dopytywała się o wygląd ojca, o jego ulubione potrawy, o zainteresowania.

Florentina w niewielkim stopniu zaspokoila jej ciekawość.

Teraz, gdy samochód połykał metry dzielące je od spotkania z tak ważnym dla nich człowiekiem, każda czuła co innego.

Florentina bała się. Christopher mógł się przecież zachować różnie. Mógł sobie nawet pomyśleć, że chcą go obie wykorzystać finansowo, co zresztą po części, przynajmniej w jej przypadku, było zgodne z prawdą. Więc mógł tak pomyśleć i wyrzucić je za drzwi. Rzecz jasna wyda mu się dziwne - rozważała Florentina - że pojawia się dopiero teraz, po tylu latach.

Marita również się bała. Ale był to inny lęk niż u jej matki. Dziewczyna zadawała sobie pytanie, jak ojciec ją przyjmie, czy zaakceptuje taką, jaką jest? Czy będą do siebie podobni charakterami?...

Taksówka podjechała pod bramę.

Florentina wysiadła z wozu, podeszła do domofonu w furtce. Powiedziała parę słów. Po chwili w okienku pojawiła się twarz ochroniarza.

- Czego pani sobie życzy? - zlustrował ją uważnym spojrzeniem.

- Pragnę zobaczyć Christophera Russella.

Mężczyzna uśmiechnął się lekceważąco, słysząc nie najlepszy angielski kobiety.

- Pan Russell nie przyjmuje obcych ludzi - oznajmił.

- Nie jestem obca - pokiwała głową. - Przyjechałam z Sycylii. To kawał drogi. Proszę go zawiadomić...

Ochroniarz zawahał się. Popatrzył na młodszą z

kobiet...

- No dobrze - stwierdził po chwili. - Spróbuję...

Wyjął z kieszeni marynarki telefon komórkowy i wybrał numer.

- Pan Russell?

- Tak.

- Mówi Dick Curtis. Przyszły dwie panie. Czy mam je wpuścić?

- Dwie panie?

- Tak...

- Czego chcą i jak się nazywają...

- Florentina i Marita Amandii - rzekła prędko starsza kobieta. - To sprawa prywatna.

Ochroniarz powtórzył nazwiska.

- To coś osobistego - dodał.

Christopher Russell usiadł w fotelu.

- Florentina Amandii?... Florentina Amandii?... - szepnął do siebie.

Skądś znał to nazwisko. Gdzieś je słyszał. W pamięci ożywały powoli mgliste niejasne wspomnienia. Nie potrafił zebrać ich do kupy.

- Niech wejdą... - rzekł po chwili. - Przyjdź razem z nimi. Trzeba być ostrożnym...

Powoli podszedł do barku. Nacisnął guzik, rozsuwający boczne ścianki, i wyciągnął francuską brandy. Nalał alkohol do kieliszka i ponownie usiadł w rozłożystym, głębokim fotelu.

„Florentina Amandii... Gdzieś już o niej słyszałem... Dawno, na pewno dawno temu... Kto to może być? Czego chce? Może następna posiadaczka wielkiej fortuny, marząca o swej młodszej wersji. Nie, to niemożliwe! Nie pojawiłaby się bez wcześniejszego zapowiedzenia wizyty, bez wstępnej

umowy. To zupełnie coś odmiennego... Zaraz się przekonamy...”

Zabrzmiało pukanie.

- Proszę! - zawołał Russell.

Do środka wszedł ochroniarz, a za nim obie kobiety. Na przedzie szła starsza.

Naukowiec utkwiał w niej zaskoczone spojrzenie. Ona również przyglądała mu się badawczo i prosząco zarazem... Badawczo, jakby oceniając jego wygląd zewnętrzny; prosząco - widocznie czegoś oczekiwała...

Tak, gdzieś ją na pewno widział. Dawno, dawno temu... Miał za dobrą pamięć do ludzkich twarzy. Nie mógł się mylić... Te wyraziste i zarazem delikatne rysy... Te piękne brązowe oczy...

- Słucham? - zagadnął.

Starsza kobieta milczała. Wyobrażała sobie przez całą drogę ten moment, układała w myśli słowa, a gdy wreszcie nadszedł, właśnie ich zabrakło. Poczula, że gwałtownie się czerwieni.

Jednocześnie oceniała Christophera.

Niewiele się zmienił. Przybyło mu trochę zmarszczek. No i chyba wyraz twarzy stał się surowszy niż dawniej...

- Przyjechałyśmy - zaczęła - aby, aby...

Nie potrafiła mówić dalej. Rozpląkała się.

Zaskoczony Russell podniósł się do góry. Ten głos - myślał. - Ten głos... Na litość boską...

- Proszę nie płakać... - rzekł zakłopotany. - Odnoszę wrażenie, że ja panią znam...

Marita nie spuszczała spojrzenia z mężczyzny....

- Owszem - odparła ciężko oddychając Florentina. - Przed laty... Przed wieloma laty... ty i ja... My oboje... My byliśmy...

Ponownie się rozpląkała.

Lecz w głowie Christophera wspomnienia poczęły się błyskawicznie układać w logiczny ciąg: Młodość... Najpiękniejsze lata... Ciepły piasek na plaży... biegnące z szumem fale i piękna przytulona doń dziewczyna... Śliczna Włoszka z Sycylii...

- Pamiętam - szepnął. - Teraz już pamiętam. Byłem wtedy bardzo młody... i przeżywałem chyba pierwszą miłość... Pamiętam...

Florentina płakała...

- To ty, prawda? - rzekł Christopher, nie oczekując potwierdzenia...

Przyglądał się stojącej przed nim kobiecie. Przypominał sobie jej pocałunki, pieszczotliwe słowa, ciemne sploty brązowych włosów. I ten moment, gdy nagle wyjechała, pograżając go w depresji. Przypominał trudne noce, gdy za nią tęsknił, gdy nic tej tęsknoty ukoić nie mogło.

- Tak, to ty - odparł sam sobie i naraz jego twarz stężała. - Zadałaś mi wtedy ból. Dlaczego teraz, po latach?...

- Wiem - skinęła głową. - Wiem... Ale tak musiało być. Wtedy rodzice decydowali za mnie...

Russell uświadomił sobie, że ochroniarz wciąż stoi w pokoju, chcąc nie chcąc przysłuchując się rozmowie. Dał mu znak, aby wyszedł.

- ...o moim życiu... Ty im się nie podobałaś. Gdy już wróciliśmy do Rzymu, okazało się, że jestem w ciąży. Wtedy wygnali mnie z domu...

Naukowiec w jednej chwili zbladł, zachwiał się na nogach. Z trudem doszedł do fotela, po czym ciężko w nim usiadł.

- W ciąży? - szepnął. - Ze mną?

Florentina wskazała dłonią na dziewczynę.

- To twoja córka, Christopherze! Nie miałam środków, pieniędzy... Poza tym nie wiedziałam, gdzie cię szukać... Dopiero niedawno natrafiłam w czasopiśmie na twe zdjęcie. A później pomogli mi w ambasadzie...

Russell zapragnął powstać, chociaż kolana odmawiały mu posłuszeństwa.

Utkwił ponownie wzrok w Maricie, chłonąc całym sobą jej wygląd, jej sylwetkę...

Lecz w dziewczynie wezbrały jak potężna rzeka wszystkie bóle, które przeżywała, tęskniąc nadaremnie za ojcem, wszystkie o nim marzenia, zabawy, gdy tatą nazywała jakieś drzewo lub lalkę, a potem prowadziła z nimi nie kończące się rozmowy... Wszystkie bezsenne noce, kiedy na próżno go przeżywała. Wszystkie modlitwy do Boga, aby ojciec się odnalazł i do niej wrócił.

Więc już nie panując nad sobą podbiegła do mężczyzny i przywarła doń, jak gdyby pragnęła go na stałe zatrzymać.

I wtedy bicie serc tych dwojga ludzi powiedziało im więcej, niż jakiegokolwiek słowa.

Za oknem, małym zakratowanym oknem więzienia w Snow Hills, zapadł zmierzch. Cella pogrążyła się w mroku.

Procentowy John leżał na metalowej niewygodnej pryczy, ale nie czuł tego, bo wciąż nie odzyskał przytomności...

Majaczył.

Biegł przez knieje. Wiedział tylko jedno: że przed czymś ucieka. To coś znajdowało się za nim. Było tak potworne, że nie chciał się odwracać...

Zbudził go ból. Jęknął, przyłożył dłoń do obolałej głowy. Otworzył oczy...

Wzrok powoli przyzwyczajał się do ciemności. Wreszcie zaczął odróżniać poszczególne przedmioty, których w pomieszczeniu znajdowało się niewiele.

Potem wróciła pamięć...

Szeryf! Głupi stróż prawa, co poczęstował go kolbą w szczękę. Łajdak, przeklęty łajdak, sukinsyn jeden...

Johnem targnęła nagle złość. Gwałtowna fala nienawiści poderwała go do góry. Wrzasnął, podbiegł do kraty. Począł w nią uderzać nogami, rękoma... bił w zapamiętaniu w metal, nie czując bólu. W końcu jego siły wyczerpały się.

Osunął się na podłogę...

Zapadł w krótką niespokojną drzemkę.

Ocknął się nie mając najmniejszego pojęcia, ile godzin przespał. Wstał chwiejnie, podszedł do pryczy, ciężko się na nią waląc. Leżał i myślał, co zrobić dalej.

Nie zamierzał puścić płazem zniewagi szeryfowi. Nikt nigdy go jeszcze nie potraktował w taki sposób i to w dodatku na oczach jego ludzi. Nikt go tak nie skompromitował. Zaciskał w nienawiści zęby, wyobrażając sobie, co uczyni z przeklętym stróżem prawa, gdy dostanie go w swoje ręce. Ale nie mógł popuścić wodzy rozszalałej chęci zemsty natychmiast, musiał działać rozważnie...

Czas płynął wolno minuta za minutą, a on układał w głowie plan przyszłych działań.

Nastał ranek.

Zmęczony Procentowy John usnął. Obudziło go szcęknięcie drzwi. Do celi wszedł szeryf. Na zewnątrz stał jeden z jego zastępców.

- Dobrze spędziłeś noc? - zapytał stróż prawa.

- Nie najlepiej - odparł przeciągając się więzień. - Ale mogło być znacznie gorzej...

- Mogło - przyznał policjant.

Procentowy John rozłożył bezradnie dłonie.

- Całkiem nieźle pan mi przywalił - powiedział. - Huczy mi w głowie...

- Zasłużyłeś sobie...

- Chyba tak... Chciałem pana przeprosić... Jesteśmy spokojnymi ludźmi. Wczoraj nieco za dużo wypiliśmy, stąd całe zajście. Więcej to się nie powtórzy!

- Planujecie tu zostać?

- Tak. Rozbiliśmy biwak kilkanaście mil za miastem...

- Jeden z mieszkańców Snow Hills przez was, a konkretnie przez ciebie, ucierpiał!

- Proszę mi wierzyć: to się nie powtórzy.

- Niech będzie... Ale nie spuszczać z was oka. Jeśli coś jeszcze przeszkrobiecie, to nie liczcie na pobłażliwość.

Sam Wilder otworzył celę. Procentowy John

uśmiechnął się, wyciągnął doń dłoń, którą policjant z ociąganiem uścisnął. Wcale nie był pewny, czy robi dobrze, pozwalając bandzie zostać w okolicach miasta. Jednak skrucha przywódcy wydawała się szczerą.

Uśmiech nie schodził z twarzy Procentowego Johna. Nabrał tego idiotę, tego cholernego twardziela, bez najmniejszych problemów. Teraz zaopatrzy się w dobrą broń. Przygotuje ludzi. Ściągnie posiłki i pewnego dnia, gdy nikt w Snow Hills nie będzie się niczego spodziewał, urządzi to całe paskudztwo na amen. A najbardziej urządzi szeryfa.

Był piękny kwietniowy dzień. Wiatr lekko poruszał koronami drzew. Po niebie płynęły delikatne pierzaste chmurki. Dopiero wstawał poranek, więc zanosilo się, że w południe będzie prawdziwy upał.

Pastor Jackson i ksiądz Larry Day wjechali jeepem w boczną leśną dróżkę.

Prowadziła nad jezioro, nazwane przez nich Oazą Spokoju. Był to niewielki zbiornik, głęboki, położony w skalistej dolinie, zewsząd otoczonej lasami.

Schodziło się doń wąską krętą ścieżyną, biegnącą pomiędzy drzewami.

Obaj mężczyźni przedzierali się poprzez zarośla. Larry Day, w wieku Jacksona, znacznie niższy i cięższy, sapał z wysiłkiem. Jego czoło lśniło od potu. Zaczepił końcem wędki o krzak. W ostatniej chwili zdusił w ustach przekleństwo.

- Albercie, to nie jest dzień na łowienie ryb - wydusił z siebie zbolalym głosem.

- Pewnie nie jest - uśmiechnął się pastor, zerkając przez ramię na przyjaciela.

Ksiądz pomyślał o wysokiej szczupłej sylwetce Jacksona, wysportowanej sylwetce, i poczuł w sercu drobne ukłucie zazdrości. Pastor prowadził normalne życie. W Nowym Orleanie mieszkał jego trzydziestopięcioletni syn, Raymond, wybitny informatyk, do którego często wyjeżdżał. Jackson po śmierci żony poświęcił się działalności społecznej. Prowadził zbiórki charytatywne na rzecz biednych dzieci.

Zarośla skończyły się, jakby kto uciął je nożem. Wyszli na polanę porośniętą modrzewiem i świerkiem, za nią błyszczała spokojna tafla jeziora. Dróżka prowadziła nad sam brzeg, schodzący stromo w wodę. Minęło pięć lat od czasu, gdy odkryli to miejsce. Potem wybudowali wygodną kładkę i często na niej przesiadywali.

Pastor wszedł na nią pierwszy. Założył na haczyk robaka, zarzucił wędkę.

Splawik przez chwilę płynął, a później gwałtownie wstał. Był duży i czerwony, doskonale widoczny.

Larry Day zawsze wchodził drugi. Kiedyś, gdy ich znajomość się zaczynała, nie znali swoich zwyczajów, potem gdy je odkryli, starali się owe przyzwyczajenia respektować. Otóż ksiądz w towarzystwie zawsze lubił robić wszystko na końcu, wynikało to stąd, że natura obdarzyła go marnymi zdolnościami manualnymi, dlatego wołał, aby nikt go nie obserwował.

Gramolił się ciężko po dosyć szerokiej kładce, modląc się w duchu do Boga, aby zaoszczędził mu kąpieli we wciąż jeszcze chłodnej wodzie. Pamiętał nadto dobrze, jak ubiegłego roku w podobnej sytuacji poślizgnęła mu się noga.

Chlupnął wtedy niczym ciężka piłka. Zaraz się wynurzył, parszkając głośno, waląc rękoma o taflę jeziora. Pastor rozchichotał się na całego, co księdza doprowadziło do wściekłości. Gdy wyszedł na brzeg i pojął, jak zabawnie wygląda, sam wybuchnął śmiechem.

Ale to było dawno. Od tamtej pory poznał wszelkie zdradliwe miejsca kładki.

Nauczył się dawać sobie z nimi radę.

Usiadł wygodnie obok Jacksona, odetchnął pełną pierśią, rozkoszując się świeżym leśnym powietrzem.

- Wspaniale - westchnął.

Jackson milczał.

Ksiądz założył przynętę.

- Założę się, że dzisiaj nic nie złapiemy - oznajmił.

- Ty nie złapiesz, ja oczywiście tak...

Splawiki stały w miejscu, żaden z nich nawet nie zadrżał.

- Wrócimy do naszej rozmowy? - zapytał Larry Day.

- Do tej ostatniej?

- Tak, właśnie do tej.

- Cóż, nadal uważam, że Kościół rzymskokatolicki popełnia błąd, nie zezwalając księżom na zmianę stanu cywilnego. Człowiek jest tylko człowiekiem. Nie gnębią cię, Larry, żądze cielesne?

- Szczerze mówiąc gnębią i to jak jeszcze!

- Zawsze cenilem twoją prawdomówność. Sam powiedz, dlaczego odbierać człowiekowi to, co mu się należy?

- Takie jest prawo.

- Prawo ludzkie, nie Boże. Mówiłeś mi ostatnio, że pomimo dobrych stosunków z parafianami, pomimo przyjaźni ze mną, czujesz się nieszczęśliwy, gdyż nie masz nikogo bliskiego...

- Tak mówiłem...

- Twoi przełożeni wymagają od ciebie zbyt dużo. Zresztą i większość z nich nie jest święta. Powiedz mi, stary, tak szczerze, czy zdarzyło ci się kiedykolwiek naruszyć śluby czystości?

Larry poczerwieniał, a potem roześmiał się.

- I to niejeden raz - stwierdził.

- Niejeden?

- Uprawiałem samogwałt...

- Na litość boską... Larry... Przecież jesteśmy tu sami...

Większość facetów wyciska siódme poty ze swoich ptaszków. Nie jesteś wyjątkiem.

- To przecież grzech!

- Nie tak znów wielki. Oczywiście lepiej panować nad swoimi żądzami...

Larry przez chwilę milczał.

Miał problem i sam nie wiedział, jak z nim sobie poradzić. Problem był całkiem poważny, a nazywał się Lisa Mortimer...

Ksiądz kochał dzieci, a one kochały jego. Znał ich najskrytsze tajemnice. Zawsze wstawiał się za nimi u rodziców. Gdy patrzył na dorosłych, na ich wieczny brak czasu, na ciągle zapracowanie, zagonienie, na walkę o pozycję, o pieniądze to w ufnych, uśmiechniętych dzieciach widział jedyną nadzieję na coś lepszego.

Może one zmienią ten świat - powtarzał sobie.

Lecz Lisa była inna.

Lisa pomimo kształtów dziecka, pomimo dziecięcej twarzyczki, pomimo swoich dziesięciu lat, patrzyła nań oczyma dorosłej zalotnej kobiety. Lisa, idąc na lekcje religii, zakładała krótką sukienkę i ciemne rajstopy. Potem czekała, aż pozostałe dzieci wyjdą z klasy. Wówczas garnęła się do księdza, przytulała, siadała mu na kolanach, chwytając go za dłonie, kładła je na swoich udach.

- Wujku - mówiła doń, bo tak się zwracała do wszystkich dorosłych mężczyzn. Wujku, czy wiesz, że rosną mi piersi.

- Musisz porozmawiać o tym z mamą - odpowiadał zakłopotany, gdyż ptaszek gwałtownie mu twarśniał, chociaż starał się ten proces całą swoją siłą woli powstrzymać. Lisa, a był pewien, że to czuła, przytulała się jeszcze mocniej.

Powinien ją odgonić albo skrzyczeć... Nie potrafił.

Krótkie sam na sam z małą Mortimer sprawiało mu olbrzymią przyjemność. Było podniecające, a zarazem niewinne, ponieważ nie mógł z nią...

W każdym razie Lisa zabrała mu spokój. Miał świadomość, że sprawy posuwają się za daleko. Na dobrą sprawę ktoś mógłby go nawet oskarżyć o pedofilię, a tym samym wpędzić w potężne kłopoty. Ale był najzupełniej normalny. Nie odczuwał najmniejszego pociągu fizycznego do dzieci, uważał to za wstrętne.

Był za jak najsurowszym karaniem zbrodniców seksualnych.

Jednak Lisa... Jednak Lisa była inna!

- Mam brzydkie ciagoty, Albercie...

- Brzydkie?

- Tak.

- Może po prostu normalne?

- Lepiej o tym nie mówmy.

- Skoro tak sobie życzysz.

Ksiądz pomyślał o Lisie. Pomyślał o jej smukłych, opalonych na brąz nogach, o gładkich udach, o włosach rozwiewanych przez wiatr. Zaprzagnął dotknąć dziewczynki chociaż na moment. Zaprzagnął poczuć zapach jej skóry...

Diabeł - pomyślał. - Boże przenajświętszy, to diabeł nastaje na moją duszę. Nie mogę ulec jego podszeptom.

- Albercie?

- Tak, Larry?

- Czy czasami miewasz sny?

- Co masz na myśli?

- Okropne nocne majaki, w których ktoś cię goni, w których przed czymś lub przed kimś uciekasz.

- Moje sny są pogodne.

- A moje nie...

Ksiądz umilkł. Przez chwilę nic nie mówił. Dobierał w sobie odpowiednie słowa.

Naraz zaśpiewał głośno jakiś ptak. W wodzie coś błysnęło. Wyglądało to tak, jak gdyby słońce nagle zanurzyło się w toni. Zdziwiony Larry Day pochylał się mocniej nad lustrem, aby uchwycić sens tego zagadkowego zjawiska.

- Bo za dużo dumasz o przykrych rzeczach...

Pastor, nie doczekawszy się odpowiedzi, spojrział zdziwiony na przyjaciela... i zamarł. Larry Day wyglądał co najmniej źle. Zbladł, oddychał szybciej. A już najdziwniejsze w tym wszystkim wydawało się to, że się niebezpiecznie przechylił w coś uporczywie wpatrując. Jackson z miejsca podążył wzrokiem w tę stronę, nic jednak nie dostrzegł.

Larry ujrzał, jak woda się rozstępuje... Fale wirowały niczym kolorowe kręgi, tworząc pośrodku siebie próżnię, biegnącą w nie kończącą się głębię. Z owej głębi płynął ku księdzu jakiś kształt, którego nie potrafił rozpoznać. Zimny chłód ścisnął jego serce, narastając gwałtownie niczym huragan, narastając do granic wytrzymałości...

Przymknął przerażony oczy, pragnąc w ten sposób uciec od zjawiska.

Usłyszał ciche szmery, szepty.

- Larry - brzmiało wokół. - Larry... Nie wycofuj się... Patrz...

Polecenie zabrzmiało tak sugestywnie, było tak nie do powstrzymania, że chcąc nie chcąc je wykonał.

Zobaczył przed sobą potworne czerwone oczy, rozjarzone złem i drwiną. Oczy inteligentne, lecz równocześnie wyzute ze wszelkich uczuć. Postać, której stanowiły centrum, była tak niesamowita, inna od czegokolwiek, co było mu znane, że bezwiednie oddał moc...

Nie potrafił oderwać od niej spojrzenia.

- Larry... - pęczniał głos, a kapłanowi zdawało się, że pełzną w nim tłuste glisty, że za chwilę wypełnią jego gardło.
- Larry... Przyszliśmy po ciebie... Będziesz nam służył... Będziesz na wieki nasz... Zawsze tkwiło w tobie ZŁO... Wiesz o tym dobrze... My w tobie tkwiliśmy... A teraz zbliża się dzień przeznaczenia... dzień próby... Niedługo uderzymy... Przerzniemy dziewice, dobierzemy się do ich ciepłych cipek... Rozwalimy małżeństwa... Zniszczymy rodziny... A ty, przewielebny księżu Larry, będziesz z nami... Będziesz naszym sługą...

Czerwona macka, zakończona spiczastymi pazurami, porośnięta czarną szczeciną, śmignęła naraz do twarzy Daya.

Ksiądz wrzasnął ze strachu.

Albert Jackson wciąż obserwował przyjaciela. Gdy ten nagle się osunął, lecąc na głowę do wody, pastor natychmiast za nim skoczył. Złapał mocno za kołnierz, dociągnął do brzegu, na szczęście niezbyt odległego. Day, błądy i półprzytomny, oddychał w miarę równo.

- Leż spokojnie - rozkazał Jackson. - To na pewno atak serca. Gdy tylko poczujesz się lepiej, zawiozę cię do szpitala.

Ksiądz pokręcił przecząco głową.

- Mój Boże! Mój Boże, co to było? - szepnął.

- O czym ty mówisz? - zdumiał się Jackson.

- Nic nie widziałeś?

- A co miałem widzieć?

Day milczał. Przez całe życie nie spotkało go nic podobnego... Zapewne jego przyjaciel miał rację. Najwidoczniej zasnął, a pozbawiony dopływu krwi mózg wytworzył halucynacje. Z drugiej strony pamiętał, że najpierw zobaczył, a dopiero potem utracił przytomność.

- Już mi lepiej - zakomunikował, podnosząc się z

ziemi i otrzepując ubranie. Wracajmy, jestem zmęczony...

Nie chciał opowiedzieć pastorowi, co przydarzyło się w rzeczywistości, w jego rzeczywistości. Sam nie do końca to rozumiał, sam sobie nie dowierzał...

Nie, nie będę nic mówił - postanowił. - Albert i tak wydaje się dosyć zdenerwowany. Zastanowię się nad tym wydarzeniem... Wtedy coś postanowię, dopiero wtedy...

Olbrzymie metalowe drzwi zasunęły się cicho.

Christopher Russell zerknął na zegarek. Dochodziła piąta rano. Wstał tak wcześnie, aby nie obudzić Florentyny i Marity. Florentyna za dwa dni wracała do Włoch. Jej córka zostawała.

To nagłe wydarzenie wywróciło jego życie do góry nogami. Przywykł do samotności, która nauczyła go zgryźliwości i stronienia od ludzi, a także nasączyła pesymizmem. Miał zresztą swój gatunek za niewiele warty. Niekiedy żałował, że doń należy. Rasa ludzka, jego zdaniem, wcześniej czy później była skazana na wymarcie. Jeśli - myślał - do dnia dzisiejszego nie doszło do jakiejś potężnej katastrofy - to wyłącznie dzięki szczęśliwemu zrządzeniu losu.

Russell w końcu stał się tak przykry, tak niezdolny dla otoczenia, że odwiedzali go wyłącznie ci, co naprawdę musieli.

W rzeczywistości jego posiadłość, jego podziemne laboratoria, gdzie dokonywał zgrozą napawających doświadczeń, przypominały wielką trumnę, przygotowaną do zepchnięcia w głąb ziemi.

Gdy pojawiła się Marita, a pojawiła w sposób wręcz czarodziejski, nieoczekiwany - Russell prędzej by uwierzył w cokolwiek, ale nie w to, że w dalekim świecie żyje jego dziecko - do ponurych wnętrzu domu naukowca zawitała prawdziwa wiosna.

Marita była tak czarowną istotą, dziewczyną tak

przepełnioną radością życia, zachwyconą każdą jego sekundą, rozkochaną w kwiatkach, w podróżach, że nie sposób było pozostać wobec niej obojętnym. Tryskała energią, ale energią przepełnioną subtelnym ciepłem. Przy tym jej uroda rozkwitła bujnie, ciesząc oko wszystkich, co mieli chociaż przez chwilę z nią do czynienia.

Rzekłbyś, że to najprawdziwsza Carmen z krainy czarów i miłości... Jednak od tamtej różniły ją cechy charakteru: prawdomówność, szczerść, odwaga.

Marita - zachwycona, wręcz zaszokowana nagłym odnalezieniem ojca, w co już od dawna przestała wierzyć, o czym przestała marzyć - starała się na gwałt odrobić utracone lata. Nie odstępowała Christophera nawet na krok. Z początku zwracała się doń bardzo nieśmiało. Trudno jej przychodziło wydusić z siebie słowo: ojczec. Ale gdy spostrzegła jego zakłopotanie i skrywane ogromne wzruszenie, kiedy usłyszał je po raz pierwszy, zrozumiała, jak się cieszy z jej istnienia.

Była mądra. Od razu pojęła, że należy do ludzi skrytych i trudnych. Nie wypowiadał na próżno zdań. Nie był też za rozmowny. A ją i matkę traktował z początku nieufnie.

I tak faktycznie było! Sceptyczny wnikliwy umysł Russella nie pozwalał mu uwierzyć w fakt, w który pragnęło uwierzyć jego serce. Christopher wynajął najlepszych detektywów, aby sprawdzili wersję podaną przez Florentinę. Pod byle pretekstem wysłał dziewczynę na badania medyczne, potwierdzające lub obalające jego ojcostwo. Zorganizował to tak sprytnie, że ani matka, ani córka nie miały najmniejszych podejrzeń.

Zarówno jedno jak i drugie uwiarygodniło słowa Florentyny.

Russell zrozumiał, że Marita faktycznie jest jego

córką.

Spędzał z nią mnóstwo czasu. Mówił mało. Ona szczebiotała jak ptaszek, opowiadając ufnie o najróżniejszych sprawach.

Nabierała powoli odwagi. Przyszedł moment, gdy rzekła do Christophera: tatku. Popatrzył na nią zadowolony. Nagle przyszła mu do głowy dziwna myśl, nie związana z sytuacją oraz z tym, co właśnie mówiła Marita. Bezpowrotnie minął okres - dumał - kiedy gaworzyła, stawiała pierwsze kroki, poznawała świat.

Los nie pozwolił mi w tym uczestniczyć. Uczułem to jako bolesną krzywdę, jako coś okrutnego. Odebrano mi, tak to rozumiał, rzecz niezwykle cenną.

Minęły dwa tygodnie od przyjazdu obu kobiet, gdy Florentina zakomunikowała, że muszą wyjeżdżać. Russell wieczorem, kiedy Marita już spała, udał się do pokoju jej matki.

Czytała akurat książkę. Odłożyła ją. Spojrzała wnikliwie na Christophera.

Nieśmiało usiadł na łóżku.

- Powinniśmy z tym wszystkim coś zrobić - zagadnął.

- Też tak sądzę - odparła.

- Nie mam nikogo - rzekł. - Nie mam rodziny. Pomyślałem sobie, że może ty, Marita i ja postaramy się nadrobić stracony czas... Dawno temu nie dane nam było... Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

Florentina kiwnęła głową. Rozumiała aż nadto dobrze.

- Więc może teraz?

- Christopherze - spojrzała nań wnikliwie - o czym ty mówisz?

- Proponuję, abyś została moją żoną...

- Twoją żoną?... To...

- Proszę cię, nie przerywaj. Wtedy byłem biedny jak mysz kościelna. Dzisiaj jestem milionerem. Zapewnię tobie i twojej... i naszej córce godne życie!

Kobieta uśmiechnęła się. Myślała o minionych latach, podczas których było jej tak ciężko, podczas których nie miała czasami co włożyć do garnka... A potem przyszło jej do głowy, że jednak niekiedy Bóg wysłuchuje modlitw ludzi uczciwych, wynagradzając ich krzywdy i udręki.

- Zgadza się - odparła.

Christopher klasnął w dłonie. Jego zimne oczy rozświetliło uczucie.

- Będziemy mieli piękny ślub - oznajmił.

- Nie tak prędko - potrząsnęła głową. - Muszę wrócić na parę dni do Włoch. Pozalátwiać najróżniejsze sprawy. To nie potrwa długo. Gdy się z tym uporam, natychmiast wrócę...

- W porządku. A Marita? Czy Marita może ze mną pozostać? Niedługo wyjeżdżam do małej, ślicznej miejsciny, do Snow Hills. Kupuję tam posiadłość... Zamieszkamy w niej po ślubie... Maritę zabrałbym ze sobą...

- Nie mam nic przeciw temu. Dziewczyna przecież szaleje za tobą. Cały czas tatko powiedział, tatko zrobił... Niech zostanie!

- Dziękuję.

Christopher Russell ocknął się z rozmyślań. To wcale nie było dobre, że pozwolił sentymentom zapanować nad sobą. Ale życie samo napisało taki scenariusz.

Niewiele mógł w nim zmienić, a przede wszystkim nie chciał zmieniać.

Tym niemniej, dobrze zdawał sobie z tego sprawę, powinien uważać, i to bardzo uważać...

Wszystko zaczęło się pewnego czerwcowego wieczoru

przed dziesięcioma laty, gdy zadzwonił do niego niejaki Jason Fleet, niegdyś jego serdeczny kolega i współpracownik, a potem naukowiec zatrudniony w tajnej sekcji NASA, zajmującej się między innymi UFO.

- Christopher, mam coś dla ciebie - oznajmił. - To na pewno cię zainteresuje!

I faktycznie miał. Spotkali się w jednym z waszyngtońskich hoteli. Fleet wydawał się podekscytowany. Rozglądał się trwożliwie na wszystkie strony, tak jakby się obawiał zamachu na swoją, skromną zresztą, osobę.

- Gdy stąd wyjdę - stwierdził. - Zapomnij, że mnie w ogóle widziałeś...

- Co się stało?

Fleet drżącymi rękoma otworzył czarny neseser. Wyjął z niego foliową torebkę, na dnie której Russell dostrzegł czarne kulki.

- To najbardziej niesamowita rzecz, Christopher, z jaką dotychczas się zetknąłem. Posłuchaj uważnie! W roku 1984 skontaktował się z nami Rosjanin, niejaki profesor Jurij Primakow, biolog. Opowiedział o nie zidentyfikowanym obiekcie latającym, widzianym w okolicach miasteczka Padriesko... Udał się tam, aby przeprowadzić badania. UFO pozostawiło po sobie, według jego słów, krąg wypalanej ziemi. Nie znalazł ani na niej, ani w niej najmniejszych śladów życia, znalazł natomiast zagadkowe czarne kulki. Zbadał je. Stwierdził, że zawierają DNA, DNA z kosmosu, z rejonów wszechświata dla nas zupełnie nie znanych. Próbował coś z tym zrobić, ale nic mu nie wyszło. Wtedy część znaleziska przesłał nam, prosząc o potwierdzenie wyniku swoich badań...

- I co? - zapytał Russell.

- Miał rację. To coś zawierało DNA. Jednak my,

podobnie jak on, również nie potrafiliśmy nic z tym uczynić. Oficjalnie nie zaprzeczyliśmy wynikom badań Rosjanina, jak również ich nie poparliśmy. Jedynym człowiekiem - według mnie potrafiącym ten problem rozwiązać, jesteś ty...

Russell, zerkając z niedowierzaniem na kolegę, przyjął prezent. To co usłyszał, nie mieściło mu się w głowie. Ale cóż mu szkodziło zbadać ciemne kuleczki? Nic...

- Naprawdę sądzisz - zadał pytanie - że pochodzenie tego czegoś jest pozaziemskie?

- Chyba tak...

W jego słowach zabrzmiało coś dwuznacznego... Christopher o nic więcej nie pytał. Miał świadomość, że Fleet mógł się spotkać w swojej pracy ze sprawami, o których wołałby nigdy nie słyszeć. Cienka kreska oddziela rzeczywistość od koszmarów, trudnych nawet do wyśnienia.

Christopher - natychmiast po przyjeździe do domu - udał się do pracowni. A tam, poddając próbki różnorodnym doświadczeniom chemicznym, zupełnie zapomniał o posiłku.

Nie ulegało wątpliwości, że kulki faktycznie są pochodzenia organicznego i zawierają kwas dezoksyrybonukleinowy: nośnik informacji genetycznej. Russell, badając ten kwas, nie wierzył własnym zmysłom!

Każde DNA jest zbudowane z dwu spiralnie skręconych nici, przy czym jedna nić stanowi ciąg nukleotydów, prostych związków zbudowanych z cząsteczki kwasu fosforowego, cukru dezoksyrybozy i jednej z czterech zasad azotowych: adeniny, tyminy, guaniny albo cytozyny. Podczas samopowieliania się cząsteczki DNA, nazwanego replikacją, obie nici rozdzielają się. Każda z nich jest matrycą, do której dobudowuje się z zapasu nukleotydów nić uzupełniająca.

Łączenie następuje poprzez wiązania wodorowe.

Adenina zawsze wiąże się z tyminą, a guanina z cytozyną.

DNA badane przez Russella było INNE!

Składało się nie z dwóch nici, lecz z czterech. Nukleotydy natomiast, różniące się zdecydowanie budową, były zbudowane z pięciu związków, pośród których Christopher rozpoznał tylko kwas fosforowy. Nie ulegało wątpliwości, że pozostałe substancje są nauce najzupełniej nieznane. Tym niemniej budowa DNA wskazywała na podobną rolę nukleotydów, co w kwasie dezoksyrybonukleinowym pochodzenia naturalnego.

Zdumiony i trochę przerażony Russell rozpoczął wieloletnie badania.

A teraz, gdy zamknęły się za nim metalowe drzwi, stał przed rezultatem owych doświadczeń...

Pomieszczenie wydawało się olbrzymie. Wypełniał je półmrok. Wiodła przez nie dróżka przysłonięta olbrzymimi palmami i kwiatami. Wysokie rozłożyste rośliny oplątane pnączami upodabniały pomieszczenie do dżungli amazońskiej...

Ścieżkę przecinał bystro płynący strumyk. Z sufitu zwisały liany...

Russell wpakował olbrzymie pieniądze w wystrój przestrzeni.

Doszedł do metalowych potężnych krat, kryjących za sobą wielkie, porośnięte zielskim drzwi. Nacisnął czerwony przycisk. Drzwi rozsunęły się bezszelestnie, odsłaniając ciemność, przez którą oczy nie potrafiły się przebić.

I wtedy do uszu naukowca doszedł dźwięk, ścinający mu za każdym razem krew w żyłach, pomimo że znał go od dawna. Nie wydawał się należeć do istoty z normalnego świata. Wibrował mrocznym przeznaczeniem, niosącym w sobie zapowiedź śmierci i zagłady.

Russell pobałł, zamyślił się, a później prędko nacisnął raz jeszcze czerwony guzik, zamykając drzwi.

- Jak tu pięknie - oznajmiła Kitty, przyglądając się drzewom, skąpanym w purpurze zachodzącego słońca.

Siedziała wraz z Procentowym Johnem na wzgórzu. Przed sobą mieli skalistą dolinę, zanurzoną w zieleni, przegrodzoną rzeką.

Mężczyzna podniósł do ust puszkę z piwem, pociągnął z niej potężny łyk. Minał tydzień od jego pobytu w areszcie, a on wciąż nie potrafił zapomnieć o upokorzeniu, jakie go wtedy spotkało.

- Jak dla kogo, dupeńko - mruknął. - Jak dla kogo.

Kitty, zadurzona w nim po same uszy, nie zwróciła najmniejszej uwagi na ten epitet Procentowy John zamyślił się.

W takich momentach wygląd przekraczał, można by rzec, o wiele jego intelekt.

Zamyślony wyglądał dostojnie i mądrze.

A zastanawiał się nad tym, kiedy przyjadą do miasta jego koledzy. Przedzwonił już do przywódcy Aniołów Dżumy z Chicago, starego, okrutnego Siwego Boba, zdążającego wraz z pięćdziesięcioma ludźmi ku Snow Hills. Rozmawiał z Krwawym Fernandem, szefem Czarnych Zabójców z Los Angeles, z którym kiedyś siedział przez pięć miesięcy w jednej celi stanowego więzienia w Dakocie.

Fernando wiódł za sobą czterdziestu mężczyzn...

Wszyscy oni ciągnęli jak groźne przeznaczenie na ryczących hondach, na harleyach dawidsonach.

Ile jeszcze - zastanawiał się Procentowy John - do ich

przyjazdu? Tydzień? Dwa?

Nieważne... W końcu dotrą. A gdy będą na miejscu, rzucimy to przekłete miasteczko wraz z jego kurewskimi zarozumiałymi mieszkańcami na kolana... Zrobimy tutaj porządeczek. Zrąbiemy tyłeczki mamuśkom i ich córeczkom, a tatuśkowie będą na to patrzyli.

Procentowy John uśmiechnął się zadowolony. Słyszał dawno temu słowa: Jeźdźcy Apokalipsy. Nie miał najmniejszego pojęcia o tym, skąd pochodzą, o czym mówią. Wiedział jedynie, że zwiastują przybycie ludzi niosących za sobą to wszystko, co najgorsze.

- Będziemy jak ci jeźdźcy - mruknął sam do siebie. - Właśnie tacy będziemy...

- Co mówisz? - zerknęła nań szybko Kitty.

- Nieważne, skórko, naprawdę nieważne...

Zapatrzył się w daleką przestrzeń i otworzył następną puszkę z piwem.

W obozie było wesoło. Płonęły ogniska. Dźwięczały gitary. Dym niósł zapach pieczonego mięsa. Słońce powoli zniżało swój bieg nad wierzchołkami drzew.

Było czerwone i ogromne Szalony Dean siedział przy Mary, obgryzając łapczywie indyjskie udko z resztek mięsa. Jego wielkie zębiska, białe i mocne, nadające się do reklam telewizyjnych, wpijały się kość.

Gdy skończył, zaproponował dziewczynie spacer. Zgodziła się. Dean zerknął wokół, czy nie widać Procentowego Johna na horyzoncie. Prędko wyprowadził Mary na leśną drogę. Dłuższą chwilę szli w milczeniu. Potem usiedli.

- Powinniśmy stąd wyjechać - stwierdziła dziewczyna, a nie doczekawszy się odpowiedzi, ciągnęła dalej:

- To miejsce mi się nie podoba. Miasteczko mi się nie

podoba... Ludzie mi się nie podobają...

- Robisz dobrą minę do złej gry? - warknął Szalony Dean.

- O co ci chodzi?

- Procentowy John wariuje za tobą. Powiedz mu, że masz dosyć tego grajdołka, a natychmiast stąd wyjedziemy...

- Przeceniasz moje możliwości!

- Wcale nie przeceniam... Jesteś śliczna!...

Jego dłoń, zakończona grubymi mocnymi paluchami o ostrych, brudnych paznokciach, przyłgnęła do pleców Mary. Dziewczyna wzdrygnęła się, lecz nie odtrąciła ręki mężczyzny. Zachowywała się tak, jak gdyby jego gest nie miał dla niej najmniejszego znaczenia.

- Jeśli Procentowy John się dowie - pokręciła wolno głową - że smalisz do mnie cholewki, to upiecze twój tyłek...

- Wszyscy smalą do ciebie cholewki. A Johna nigdy się nie bałem... Nadal mam go gdzieś. Przyjdzie jeszcze mój dzień. Zobaczysz, że przyjdzie...

- Będę czekała. A na razie odwał się ode mnie. Prosiłeś o rozmowę! W porządku. Na więcej nie licz...

Mary nagle podniosła się do góry. Odmaszerowała prędko, dumnie kręcąc zgrabnym tyłeczkiem. Dean śledził go, nim zniknął wraz z właścicielką w gęstej zieleni...

- Parszywiec - burknął do siebie. - Parszywe bydlę. Ma wszystko. A ja, choć jestem jego zastępcą, nie mam nic. To musi się zmienić. To nie powinno trwać dłużej. Przeklęty, pewny siebie pijaczyna... Niech go piorun strzeli...

Przypomniał sobie poprzednią noc, gdy Procentowy John dotykał na oczach wielu ludzi Mary, dotykał i pieścił, sadzał na kolanach, a ona poddawała się miękko, i wdzięczyła się, i śmiała... Płomień ogniska oświetlał jej twarz, grał na niej cieniem, wibrował...

Deana zżerała zazdrość. Niczym jadowita żmija wgrzyła mu się w duszę, wpuściła w nią jad, rozpalala się z każdą sekundą bardziej i bardziej...

Muszę ją mieć - postanowił. - Zakradnę się którejs nocy do jej namiotu, gdy będzie sama. Wezmę ją, nie zważając na nic...

A potem Procentowy John cię zabije - odpowiedział wewnętrzny głos.

Tak, to całkiem prawdopodobne - pomyślał. Facet był prawdziwym szajbusiem, cholernym psychopata. Dean dosyć widział, aby w to wątpić. John potrafił zgwałcić, potrafił zbić do utraty przytomności. Znęcał się okropnie nad zwierzętami. Mało tego, Dean słyszał o swoim szefie tak nieprawdopodobne opowieści, że wołał nad nimi się nie zastanawiać, tym bardziej nie miał zamiaru ich sprawdzać...

Ale teraz...

Teraz trawiła go żądza pięknej Mary... Pięknej Mary, mającej go za nic, mającej go za łajno, za taniego chłopczyka, pozostającego na usługach u Procentowego Johna.

To się zmieni. Tylko musi postępować mądrze i sprytnie. Wtajemniczyć w swoje plany odpowiednie osoby. Przekonać je, że szef jest nic nie wartym świrem i... I samemu objąć niepodzielne rządy nad Rycerzami Nocy.

Dean westchnął.

W marzeniach te plany wyglądały pięknie, lecz w rzeczywistości...

Podniósł się ciężko. Ruszył w drogę powrotną. Zszedł ku rzeczce, wraz z nią przedzierając się do obozowiska. Była to najprostsza i najkrótsza droga. Strumyk płynął warto. Cichy szmer wody niósł w sobie spokój. Dean podnosił co chwila kamyki i ciskał nimi w rwącą toń...

Doszedł do modrzewiowego zagajnika. Tuż za nim

rozłożyli namioty. W zakolu rzeki ujrzał schyloną nad wodą Dorothy. Przyszło mu do głowy, aby z nią zamienić parę słów. Wydawała się prawdziwą szmatą, ścierką co noc czyszczącą inne naczynie... Był jednak okres, kiedy wodziła za nim spojrzeniem, wyróżniając go spośród innych, z którymi sypiała. Nie potraktował jej za dobrze, potraktował ją tak, jak na to zasługiwała. Lecz mógł to zmienić, wmówić naiwnej i pustej jak szklanka po whisky dziewczynie, że mu na niej zależy. Na pewno mógł...

- Hej - zawołał głośno i pomachał ręką.

Podniosła do czoła dłoń, aby zobaczyć kto woła, bo słońce świeciło wprost w twarz. Poznała Szalonego Deana. Zaczęła mu dawać znaki, aby do niej podszedł. Co też uczynił, klując się przy okazji kolcami dzikiej róży.

- Szukałem cię - uśmiechnął się.

- Mnie?

- Tak, ciebie...

Dorothy założyła tego dnia obcisłe dżinsowe szorty i białą koszulkę, pod którą nie miała stanika. Dziewczyna była wyjątkowo zgrabna. Jędrne, dosyć duże piersi, zakończone ciemnymi, wyraźnie widocznymi pod bluzeczką sutkami, przyciągały uwagę. Dean poczuł ochotę, by natychmiast przerznąć ją w tym lesie, na trawie, pośród bzykających much. Ale przypomniał sobie, że śliczna rudowłosa Dorothy kochała się z kim popadło. Ta mała, pomyślał, to istny zbiornik spermy... Prawdziwy tankowiec...

Kiedy tak pomyślał, chuć mu momentalnie minęła. W końcu paru znajomych chorowało już na AIDS... Nikt, łącznie z nimi, nie wiedział, gdzie się tym świństwem zarazili.

„Strzeżonego Pan Bóg strzeże”.

Dean przybliżył się do kobiety. Uścisnął ciepłą,

spoconą dłoń.

- Jesteś śliczna jak zwykle... - wykrzywił twarz w obłęsnym uśmiechu, lustrując jej sylwetkę. Lubiła, gdy faceci w ten sposób wyrażali swój aplauz dla jej urody.

Wyděła pogardliwie wargi.

Nie podejrzewała Deana o dobre intencje. Był szcwanym sukinsynem. Na pewno czegoś od niej pragnął. Jakiejś drobnej przysługi, jakiegoś paskudztwa.

Owszem, kiedyś nań leciała. Stare czasy. Była młoda, głupia i niedoświadczona.

Niedoświadczonym dziewczętom różne rzeczy się zdarzają. Przede wszystkim nie pojmują, że każdy z mężczyzn jest tyle wart, ile wart jest jego przedłużacz. Bo przecież właśnie to narzędzie steruje poczynaniami facetów.

Bezwartościowi, prymitywni durnie.

- Przejdź do rzeczy! - strzyknęła śliną pod nogi.

- Usiądziemy?

Spojrzała uważniej. Szalony Dean rzadko posługiwał się takim tonem, grzecznym tonem. Z reguły był opryskliwy i zarozumiały.

- Usiedliśmy! I co teraz?

- Procentowy John ma brzydkie plany wobec ciebie...

Wzdrygnęła się. Szef od wielu miesięcy traktował ją źle. A stało się tak wtedy, gdy w grupie pojawiła się ta cholerna cizia, śliczna Mary. Śliczna jak bezchmurne niebo i niewinna niczym nowonarodzone niemowlę... Przynajmniej tak wyglądała. A to na facetach zawsze wywołuje piorunujące wrażenie. Lecą do takich jak ćmy do światła.

- Brzydkie?

- Bardzo brzydkie...

- Bredzisz!

- Już mnie nie ma!

Dean udał, że odchodzi.

- Poczekaj! - pochwyciła go za ramię. - Mów, co jest?...

- Jest problem, maleńka... Poważny problem, mój ty Płomyczku... Tylko nie wiem, czy ci o nim mówić. Gdy powiem, to narażę się Procentowemu Johnowi... Ogromnie narażę... A ty wiesz chyba najlepiej, jaki on potrafi być. Lepiej nie ryzykować.

- Znam jego możliwości. Więc?

- On chce cię spławić!

Dorothy zeszywniała. Przez lata pobytu pośród Jeźdźców Nocy przywykła do nich. Zrosła się z nimi. To oni stanowili jej dom. Zastępowali rodziców, których nigdy nie ujrzała na oczy, rodzeństwo, krewnych.

- Spławić?...

- Tak - kłamał jak z nut. - Ty oczywiście nic o tym nie wiesz... Trudno abyś wiedziała... Posłuchaj! Procentowy John ma swoje układy z przemytnikami ludzi. Załatwia im raz na jakiś czas niezłą cieżę, zgarniając za to ciężki szmal...

Dorothy wytrzeszczyła na Deana oczy. Z trudem pojmowała jego słowa.

Usiłował jej chyba wyjaśnić, że nie w pełni jest bezpieczna. Kiwała wolno głową, trawiąc w sobie sens usłyszonej wypowiedzi.

- Przemytnicy ludzi?

- Spławią cię za granicę... Do końca życia będziesz robiła za kurwę!

- Nie chcę!

Dean westchnął.

Nigdy nie miał wysokiego mniemania o jej inteligencji. Jednak nie sądził, że jest aż tak głupia.

- Powinnaś uciekać, Płomyczku! Jak najprędzej

uciekać. Albo...

- Albo?
- Trzymać się mnie. Pragnę załatwić tego sukinsyna...
- Procentowego Johna?
- We własnej osobie. Pomożesz mi?
- Ja?
- Ty...
- Niby jak?
- Chcę go usunąć, rozumiesz?... Usunąć raz na zawsze.
- On na to nie pozwoli!
- Dorothy! Ja go chcę zabić.

Dziewczyna umilkła. Jej oczy, duże, lecz puste, rybie, spoglądały bezbarwnie na Szalonego Deana. Nie było w nich nic ani na tak, ani na nie.

- A co ja mam do tego? - spytała.

- Pomożesz mi. To w twoim interesie. Wywabisz sukinsyna do lasu. Będę tam na niego czekał. Ciało zakopie my. Nikt nie dowie się, jaki los spotkał przywódcę Jeźdźców Nocy. Ludzie pomyślą sobie, że dał dyla. Na jego następcę wybiorą mnie. Ja natomiast nigdy nie zapomnę o tobie. Będziesz prawdziwą księżniczką.

Dorothy pojaśniała.

- Księżniczką?
- Tak, królową...

Ponownie umilkła. Wzięła w dłoń kijek i poczęła nim kręcić najróżniejsze esy floresy na ziemi. Dean spoglądał na nią wyczekująco. Pograżyła się w swojej czynności. Wyglądała tak, jakby zupełnie zapomniała o mężczyźnie.

Naraz zaczęła śpiewać.

- Noc ciemna, ciemna w lesie, i schodzą już się krasnoludki, jeden duży, a pięciu jest malutkich, do zamku pójdą czarną drogą...

Przerwała.

- Co ci jest? - zapytał zdziwiony Dean. - I co to za głupia piosenka?

- Sama nie wiem... - potrząsnęła głową. - A piosenkę nucila mi mama, gdy byłam malutka. Nie pamiętam dalszych słów. Zdarza się, że nagle ją sobie przypominam, przypominam sobie jej melodię. Wtedy zaczynam śpiewać... Tak bardzo pragnę zaśpiewać ją całą... Jednak nie potrafię...

- Zapomniałaś, o czym ci mówiłem?

- Mówiłeś o śmierci. Chcesz wykończyć Procentowego Johna...

- Tak. Pragnę go odesłać do wszystkich diabłów.

- Pocałuj mnie, Dean...

Spojrzał na nią zaskoczony. Westchnął. Znał Dorothy na tyle, aby wiedzieć, że potrafi trzymać język za zębami. Tak przynajmniej sądził. Teraz miał już wątpliwości. Zachowywała się co najmniej nienormalnie. Czy ona ma wszystko po kolei w głowie? - zastanawiał się.

- Nie martw się, skarbie - oznajmiła. - Wykończymy go.

Otworzyła usta. Lekko wysunęła czubek różowego języka. Szalony Dean przymknął powieki, całując dziewczynę.

Szary Chevrolet Caprice skręcił miękko z drogi w bocznice. Połknął jeden wzgórek, potem drugi, wolno jechał ku obozowisku.

Procentowy John odsunął od siebie piękną Mary.

- Do diabła - mruknął pod nosem. - To szeryf. Czego ten dupek tu szuka?

- Pewno ciebie, kochanie - odparła dziewczyna. - Mam odejść?

- Siedź. Musimy zrobić na nim dobre wrażenie.

Sam Wilder trzasnął drzwiczkami auta. Rozejrzał się bacznie. Pomyślał, że banda znalazła sobie jedno z najładniejszych miejsc w okolicy. Ale on przestał je lubić od czasu afery z UFO, gdyż właśnie tutaj, w tym rejonie obserwowano najwięcej nie zidentyfikowanych obiektów latających. Szeryf kopnął ze złością puszkę po piwie, leżącą na dróżce.

Szedł wzdłuż namiotów. Ludzie Procentowego Johna patrzyli nań to ze złością, to zaczepnie. Nie zwracał na to uwagi. Po chwili znalazł namiot przywódcy.

- Cierpi pan, szeryfie, na brak zajęć? - spojrzał na niego krzywo John.

Oblicze Sama Wildera pozostało obojętne. Wciąż nie wiedział, czy postąpił słusznie pozwalając gangowi pozostać w rejonie Snow Hills. Z tej decyzji mogły wyniknąć problemy, i to całkiem poważne problemy.

Jak na razie Procentowy John zachowywał się przyzwoicie.

- Wpadłem zobaczyć, przyjacielu, co porabiasz...

John skrzywił się słysząc słowo: przyjaciel.

- Taki mały sprawdzian?

- Tak, właśnie taki mały sprawdzian...

Szeryf, nie pytając o pozwolenie, przysiadł na trawie, zapalił papierosa.

Popatrzył na błękitne, ciemniejące już niebo. Pomyślał o dniach, gdy przyjeżdżał do Cichej Doliny wraz z Gloria. Była to wtedy ich Dolina, ich ukochane miejsce. Kiedy przymykał oczy, słyszał wesoły, pełen słońca i radości śmiech siedemnastoletniej, beztroskiej dziewczyny. Właśnie tutaj, nad Gwiezdną Rzeczką, wyznała mu, że przy nim czuje się bezpieczna. Pośród wielu drzew znaleźli młody dąb. Nazwali go Swoim Szczęśliwym Dębem. Urósł od tamtej

pory. Sam widział z dala jego rozłożyste mocne konary.

Tymczasem Gloria...

- Zamyślił się pan, szeryfie? - John spojrzał zarazem pytająco i badawczo na gościa.

- Może - odparł tamten. - Nie zaśmiejcie tego miejsca. Puszki na ziemi są zupełnie niepotrzebne.

Procentowy John zacisnął zęby. Przeklęty gnój. Dyktuje mu, co ma robić. Poczekaj trochę - przemknęło mu przez głowę. - Niedługo zrobię z twego prześlicznego Snow Hills śmietnik, prawdziwy śmietnik...

- Okay, szeryfie.

- To twoja dziewczyna? - Sam popatrzył na Mary.

- Tak.

- Ile masz lat? - zapytał ją.

- Osiemnaście. Mogę robić, co mi się podoba.

Sam pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Twoi rodzice oczywiście wiedzą, gdzie jesteś?

- Wiedzą.

- Dałbym sobie głowę ściąć, że nie...

- Cóż, gdybym kłamała, byłoby o jednego szeryfa mniej...

Sam przytaknął ze zrozumieniem głową.

- W gruncie rzeczy, malutka, niewiele mnie to obchodzi. To twoje życie i twój tyłek. W porządku, przyjacielu, jak na razie dotrzymujesz słowa. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciw moim odwiedzinom?... Następnym również?

Procentowy John rozłożył szeroko ręce, przyoblekając twarz w niewinny uśmiech.

- Zawsze jest pan tu miło widziany!

Sam Wilder skinął głową na pożegnanie. Rozmawiał z tymi ludźmi tak, jak gdyby rozdzielała ich ściana mgły. Miał

wrażenie, że jedną swoją częścią uczestniczy w pogawędce, a drugą jest gdzie indziej. Drugą znajdował się przy Glorii.

Nieprawdopodobne, że spotkało to właśnie ich. „Słyszysz na co dzień takie rzeczy. Przyzwyczajasz się do nich. Ale kiedy spadają na ciebie, nie potrafisz ich zrozumieć.”

Lekarz powiedział Samowi, że dla Glorii nie ma nawet cienia ratunku.

Zapadał zmierzch.

Mike sięgnął po butelkę wódki.

- Kurwa, pusta! - zaklął. Był w hotelowym pokoju, najtańszym pokoju - paskudnym, ciemnym i brudnym - i bał się, że spędza tu swój ostatni dzień. Zalegał z płatnościami od tygodnia, dlatego nie spodziewał się, aby Roy Sanders, właściciel „Wymarzonej Nocy”, wytrzymał ów stan dłużej.

Mike skończył przed tygodniem trzydzieści lat. Fakt ten spowodował w nim napływ najróżniejszych wspomnień. Ale jakby nie zaczynał swoich rozważań, to zawsze wysnuwał z nich podobny wniosek: Świat - wnioskował - jest do dupy. I ja też jestem do dupy.

Mike odwrócił się na bok, zerknął na Nicka. Brat, młodszy odeń o trzy lata, zalał się ostatniej nocy w trupa. „Z pewnością cały dzień spędzi w wyrze. A potem powtórzy wczorajszy wyczyn, opróżni butelkę, aby nie myśleć o rzeczywistości.”

Jesteś dupkiem, Mike'u Vernonie - rozważał. - Obaj jesteście dupkami. Śmieje się z was całe miasto. Jedyne, co pozostaje, to spakować manatki, i wziąć nogi za pas.

Westchnął.

Najchętniej zamknąłby oczy i zasnął, uciekając od doczesności. Jednak we śnie powracał tamten dzień. Powracał szczególnie po szczególe, chwila po chwili, powracał wraz z całą udręką, z całym bólem.

Jego ojciec, Kirk, powrócił wtedy w fatalnym nastroju z Nowego Jorku. Mike wiedział tylko jedno, wiedział, że

ojciec pojechał tam w bardzo ważnych interesach. Ważne interesy oznaczały dla Mike'a ważnych ludzi w szykownych garniturach, kredyty bankowe i karmę dla zwierząt, a także same zwierzęta.

Kirk Vernon miał fatalny humor i nawet się nie przywitał - co nigdy mu się nie zdarzyło - z rodziną. Poszedł do swojego pokoju. Zamknął się w nim. Nie wyszedł nawet na kolację...

Nazajutrz, po skończonych robotach przy zwierzętach, Mike pierwszy wszedł do domu. Zdjął, jak zwykle, kurtkę w holu, zajrzał do gościnnego pokoju.

Zobaczył krew. Dużo krwi. Podłoga i dywan pływały we krwi. Jego matka leżała bez śladu życia. Leżała blada, obca... Przez kilkadziesiąt sekund patrzył na nią o niczym nie myśląc. Patrzył tak, jak gdyby ktoś go zahipnotyzował.

Sekundy mijały jak na zwolnionym filmie.

Wreszcie krzyknął rozpaczliwie.

Podbiegł do telefonu. Zadzwoił na policję, prosząc równocześnie o pomoc lekarską, chociaż ta zdawała się niepotrzebna.

W chwilę potem, a trząśł się z nerwów, coś go tknęło, aby pójść do pokoju ojca.

Był to wręcz wewnętrzny przymus.

Poszedł.

Sypialnia Kirka Vernona tonęła w słonecznym świetle. Pomieszczenie zdawało się drżeć wraz ze świetlistymi strużkami, płynącymi nieprzerwanie od okna. W złotych cieniach unosiły się drobne pyłki.

Ojciec Mike'a wisiał na drążku do ćwiczeń fizycznych. Pod jego ciałem leżało przewrócone krzesło.

Kirk Vernon kołysał się delikatnie to w jedną, to w drugą stronę. Z jego wpółotwartych ust wyleciała duża

mucha.

Mike zemdlał.

Później było dużo szumu, dużo policji, dziennikarzy, wywiadów, pocieszenia, rozmów. I cały czas to samo w głowie: dlaczego? Gwar wokół wydawał się nierealny. Wszystko wydawało się koszmarnym snem, z którego za chwilę się przebudzisz.

Prawda wyszła na jaw wraz z odczytaniem testamentu.

Rodzina Vernonów straciła prawie cały majątek. Kirk, doprowadzony tym faktem do ostateczności, odebrał życie sobie i swojej żonie...

Jednak policja miała co do tego wątpliwości.

Dlaczego Vernon w przypiływie szaleństwa zabił tylko żonę i siebie? Dlaczego nie uczynił tego samego z synami? W dodatku uchodził za twardego faceta i jak mawiał Sam Wilder, prędzej by nastał potop na ziemi, niż Kirk zrobiłby tak obrzydliwą rzecz.

Poza tym - gdyby rzeczywiście planował wyprawić się na tamten świat - zabiłby tylko siebie, nikogo więcej. Zawsze podejmował samodzielnie decyzje, nikogo, oprócz siebie, nie obarczając za nie odpowiedzialnością...

Jednak fakty pozostawały faktami, a dowodów na inny przebieg tragedii nie wykryto.

Mike Vernon przetarł oczy. Wstał z łóżka. Otworzył okno.

- Nie otwieraj! - poprosił Nick, przewracając się z boku na bok.

- Obudziłeś się? - Mike obserwował trawnik przed hotelem. - Masz twardy łeb. Sądziłem, że do południa będziesz żywym trupem.

- Idę rzygać - powiedział Nick.

Mike słyszał, jak ciężko podnosi się do góry, a potem,

zataczając, wędruje do toalety. Przebiegł go dreszcz obrzydzenia, kiedy jego młodszy brat wydawał z siebie co chwila burzące odgłosy.

Położył się z powrotem na tapczanie. Włączył radio. Wysłuchał lokalnych wiadomości. Nie było w nich nic ciekawego. Przełączył odbiornik na inny program. Ktoś lekko i delikatnie grał na gitarze jazz. Mike pozostał przy tej muzyce.

Ponownie pomyślał o rozpaczliwej sytuacji swojej i brata. Najgorsze, że obaj nie mieli sił do walki. Nie wdali się w swojego ojca, twardego Kirka Vernona...

Mike zachnął się. Kiedyś mógł tak sądzić, kiedyś, lecz nie teraz, gdy los okazał się tak paskudny.

Zapalił pallmalla.

Spocony, blady Nick wrócił z łazienki.

- Co dalej, Mike? - zapytał.

Starszy brat rozłożył bezradnie ręce.

- Znów się zalejemy - rzekł. - Ale nie możemy pić w nieskończoność. Nie mam nawet forsy na zapłacenie Sandersowi za tę norę. Musimy wziąć się w garść i znaleźć robotę. Trzeba zapomnieć, że niedawno byliśmy milionerami, mieliśmy śliczne sportowe samochody i nie mniej śliczne panienki. Samochody zabrali wierzyciele, a panienki odwracają się do nas tyłkami. To cała prawda, mój kochany braciszku...

Mike pragnął coś jeszcze powiedzieć. Usłyszał kroki pod drzwiami. Zamilkł, spodziewając się najgorszego. Drzwi otworzyły się bez pukania. Do środka wtoczył się Roy Sanders, niewysoki, okrągły jak beczuszka, mężczyzna o miłej twarzy i zimnych małych oczkach, sprytnych oczkach.

- Forsa, chłopcy! - zakomunikował bez długich wstępów. - Potrzebuję od was forsy...

- Musisz, Roy, jeszcze troszkę poczekać - odparł Mike Vernon. - Jutro coś ci zapłacę.

Sanders potrząsała przecząco głową. Oczka błysnęły mu zimnym lodem.

- Coś ci powiem, Mike - oznajmił chłodnym tonem. - Już mnie to nie obchodzi, jak się nazywacie. Mam to w dupie. Świetlane lata waszej rodzinke dobiegły końca. Nie zapłacisz mi nawet grosza, twój braciszek również, bo obaj jesteście złamanymi kutasami i...

Mike wyskoczył niczym sprężyna z pościeli. Nim Sanders zorientował się, co się dzieje, twarda pięść grzmotnęła go w szczękę. Hotelarz miękko upadł na dywan. Przez sekundę spadał w coś ciemnego. Gdy otworzył powieki, zobaczył przy swoim policzku tłustą plamę. Później dostrzegł schylonego nad sobą Vernona.

Wstał, masując dłońią twarz.

- Pożałujesz tego, Mike - stwierdził. - Naprawdę pożałujesz. Za godzinę ma was tu nie być. Zabierajcie swoje manatki i wynoście się do wszystkich diabłów. Jeśli nie, to zawiadomię szeryfa!

Trzasnął drzwiami.

Mike opadł bezwładnie na jedyne krzesło.

- Narobiło się - rzekł obojętnym tonem.

Brat patrzył nań zakłopotany.

- Spakujemy się, stary - powiedział. - I pójdziemy do baru. Potem może znajdziemy jakąś stancję. Dzień trwa długo.

Mike przytaknął.

Dochodził wieczór.

O tej porze „Srebrna Gwiazda” zamieniała się w świątynię rozrywki. Bar na dole urzędował nadal, serwując klientom więcej trunków niż za dnia. Miękko płynęły

nastrojowe melodie.

Większość gości szła po schodach na górę. Było tam kilka obszernych sal i kilka znacznie od nich mniejszych, z różnorodnymi urządzeniami. Były więc pokoiki przeznaczone dla par szukających samotności, z wielkimi, ale potwornie trzeszczącymi tapczanami. Była sala gier komputerowych, kradnąca naiwnym małodatom pieniądze z kieszeni, była - mająca największe powodzenie - sala hazardu.

Właściciel „Srebrnej Gwiazdy” nazywał się Louis Ward i należał do klanu Wardów. Był najstarszym synem Billa Warda, głowy rodu, a oprócz tego radnym.

Louis skończył trzydzieści pięć lat. Wydawał się typem człowieka zdolnego do wszystkiego, aby zarobić następny milion. W krótkim czasie udało mu się stworzyć sieć podobnych do siebie lokali. Zarabiał na nich całkiem niezły grosz.

Powodzenie w interesach, a miał olbrzymie, nie oznaczało, że wyrzekł się roli farmera oraz hodowcy indyków.

Snow Hills opuścił przed tygodniem. Interesy wyгнаły go aż na Florydę i jeszcze z niej nie wrócił. Jakie to interesy, nikt nie wiedział, nawet jego ojciec.

Louis Ward - z jakichś powodów, znanych wyłącznie sobie - lubił Mika Vernona.

Ten, licząc na jego pomoc, wraz z bratem przyszedł do „Srebrnej Gwiazdy.” Ale Warda nie zastał.

Siedzieli obaj przy odrapanym stoliku, patrząc na puste butelki po piwie. Świat wirował im w głowach. Byli jednak w miarę trzeźwi i świadomi swego położenia.

- Prześpimy się pod gołym niebem - oznajmił Mike. - Jutro rozejrzemy się za pracą.

- Nie musiałeś uderzyć tego dupka, Sandersa, w mordę. Może pozwoliliby nam zostać jeszcze parę dni.

- Może.

- Zamówimy po piwie?

- Już nie. Na to też mi się skończyły pieniądze.

Nick pociągnął łyk z prawie pustego kufła.

- Wciąż nie rozumiem - zabełkotał, opuszczając głowę, nie patrząc bratu w oczy - jak do tego doszło...

- Nikt nie rozumie.

- Mike! Coś mi mówi, że to wszystko było nie tak. Powinniśmy, powinniśmy... odkryć prawdę... To nasz obowiązek. Stary za bardzo kochał mamę, aby grzmotnąć w nią z dubeltówki. Zawsze ją szanował... Zawsze... Rozumiesz?... On nie mógł, Mike... On naprawdę nie mógł...

- Przestań pieprzyć. Widziałem, co zrobił.

Nick umilkł. Mike'owi nagle zrobiło się żal brata. Nic jednak nie powiedział.

Pomyślał o minionych latach, dniach. Przypomniawsobie najważniejsze wydarzenia. Twarze ojca i matki, ich mimikę. Przypomniawsobie dłonie rodziców na swojej twarzy, na głowie: ciężką, twardą i spracowaną dłoń Kirka Vernona, silną, promieniującą zdrowym krzepiącym ciepłem i miękką delikatną dłoń matki.

Mike nigdy nie zastanawiał się nad życiem. Brał je jak leci. Cieszył się nim. Teraz pojął, że może zamienić się w koszmar. Nie kończący się koszmar.

Nick dopił piwo.

- Nie pieprzę, Mike. My jesteśmy dupkami, ale nasz ojciec był twardym facetem. Nie wierzę, aby popełnił samobójstwo!

- Stracił majątek, a my wraz z nim.

- To nie powód. Zacząłby od nowa. Nie poddałby się.

- Przestań, do ciężkiej cholery. Czy ty nie potrafisz wciąż zrozumieć, co się stało?

Mike Vernon wstał chwiejnie od stołu. Podeszedł do Emie Davis. Dziewczyna starała się nie patrzeć mu w oczy.

- Emie - powiedział z trudem. - Zapłacę następnym razem. Przekaż Louisowi, że pragnę z nim pogadać.

- Przekażę.

- Nie wiesz, kiedy wróci?

- Za tydzień...

- Cholera, to szmat czasu.

- Nic na to nie poradzę - rzekła dosyć opryskliwie, bo pragnęła tę rozmowę jak najprędzej zakończyć.

Mike spojrzał na nią. Skinął głową. A potem wraz z bratem, podtrzymując Nicka, aby nie upadł, wyszedł na zewnątrz.

- Mamusiu! Boję się, bardzo się boję.

Czternastoletnia Anna Sanders przytuliła się do matki, zamykając oczy, pragnąc choć na chwilę zapomnieć o swych koszmarach. Minęło już parę tygodni od pamiętnej wizyty u Margaret Nelson, a ona wciąż słyszała tamte przeraźliwe słowa: - „Zginiesz... Zginą inni... Przyjdą straszne dni do Snow Hills... Zginiesz, Anno Sanders!”

W całym jej życiu nikt nie powiedział czegoś równie potwornego. Fakt, niekiedy słyszała przykre rzeczy. Mama na przykład miała do niej pretensje, że za mało pracuje nad językiem angielskim. Nazywała ją śmierdzącym leniem. Ojciec z kolei patrzył krzywym okiem na jej kolegów, wyobrażając sobie najwidoczniej, że jego córka jest równie urodziwa jak Marylin Monroe, co wręcz zmusza chłopców - a przecież młodzi chłopcy są niegodziwi, bo chuć rozpiera im spodnie - do polowania na wdzięki małoletniej Anny Sanders.

Ona sama uważała się za normalną nastolatkę. Co więcej miała na tyle rozumu w głowie, aby wiedzieć, że ten okres musi minąć, jak muszą minąć wszystkie okresy ludzkiej egzystencji.

Nigdy nie zastanawiała się nad śmiercią. To było równie odległe, jak przypuścimy... Nie, to w ogóle nie wchodziło w rachubę. Dni płynęły tak wolno, tak nieskończenie wolno. Rok wydawał się wiecznością, a kilkadziesiąt lat było po prostu nie do pojęcia. Tak, kiedyś skończy osiemnaście lat... kiedyś...

Ale okropna pani Nelson - wciąż słyszała przeraźliwy

skrzekot jej głosu, wciąż widziała zielone zażawione i wyblakłe oczy, nagle rozjarzone diabelskim błyskiem - odebrała Annie raz na zawsze spokój oraz poczucie bezpieczeństwa.

Powinna potraktować wypowiedź starej jako bełkot, wierutną bzdurę, zasługującą na salwę śmiechu. Tak właśnie powinna to potraktować, lecz nie umiała.

To podłe przeświadczenie, nie mające nic wspólnego z logiką, że Margaret Nelson nie myliła się, było silniejsze. Wyplýwało z głębi jestestwa Anny. Żadne racjonalne wyjaśnienia nie potrafiły go zagłuszyć.

Przyszedł do niej lęk. Ścisnął za gardło czarnymi łapami... Nie chciał już ich rozewrzeć.

Po lekcjach wracała prędko do domu, trwożliwie rozglądając się po zaroślach, niepewnie zagłębiając oczyma w mrok drzew. Tam nic nie ma, nigdy nie będzie - powtarzała sobie. - To tylko halucynacje. Drzewa szumiały tajemniczo, a ten szum nie miał nic wspólnego z łagodnym szelestem liści, wywołanym powiewem wiatru.

Kiedyś, przed wizytą u Margaret Nelson, lubiła samotność. Sam na sam ze sobą pozwalało na wiele rzeczy, na przykład na ciekawe doświadczenia, na pisanie pamiętnika, na niewinne marzenia...

Teraz samotność stanowiła przekleństwo, ponieważ zawsze tej samotności towarzyszył strach.

- Czego się boisz, kochanie! - matka spojrzała na nią z widoczną troską. - Czy coś się stało?

Trzydziestoosmioletnia Mabel zaniepokoiła się nie na żarty. Należała do gatunku matek chuchających zawsze na swoje pisklątko, niezależnie od ich wieku i stanowiska wobec takiego podejścia. Anna, co gorsza, była jedynaczką. Więc Mabel tym bardziej interesowały losy jej dziecka.

Oficjalnie panią Sanders należało zaliczyć do tak zwanych gospodyń domowych lub żon swoich mężów. W każdym razie granicę egzystencji tej kobiety wyznaczały kościół, kuchnia, dzieci. Ona sama nie widziała w tym nic złego. Nigdy nie miała wielkich ambicji. Nie śnił jej się łądacki Hollywood, w którym małżeństwo zapowiada rozwód, a rozwód małżeństwo. Nie pragnęła stanąć w światłach reflektorów, błysnąć szlagierem piosenkarskim, chociaż w tej dziedzinie Bóg obdarzył ją nieprzeciętnymi zdolnościami.

Nie! Mabel Sanders zadowalała się ogródkiem domowym, myciem naczyń, a przede wszystkim pilnowaniem ukochanej córeczki, jedyne dziecko, prawdziwego oczka w głowie.

- Tak! - odparła zapłakana dziewczyna.

Pani Mabel już wiedziała w czym rzecz. Chłopak. Oczywiście chłopak. Pierwsza zawiedziona miłość. Takie rzeczy zdarzają się nierozsądnym czternastolatkom. A później zapłakane poduszki. Srebrne pamiątki, pierwsze wiersze. Wcześniej czy później to musiało nastąpić.

- Jak on ma na imię, moja droga?

Anna spojrzała na matkę z oburzeniem w oczach, z tak zwanym świętym oburzeniem. Mabel Sanders pojęła, że to nie to, o czym myślała.

- Co się, Aniu, stało? - zadała to pytanie znacznie bardziej zaniepokojona.

- To nie chłopak, mamó! - odparła Anna.

- Więc co?...

- To stało się parę tygodni temu. Nasza paczka... no wiesz! Robert Astor, Mary Bromley, Adam Winklis, no i ja... My... My się nudziłyśmy... To był taki głupi dzień. Jeden z tych dni, kiedy człowiek nie wie, co ze sobą zrobić. Ktoś

wpadł na pomysł, aby pójść do Margaret Nelson, aby z nią pogadać. Pomysł przypadł nam do gustu. Wszyscy poczuliśmy dreszczyk emocji. Sama wiesz, co ludzie wygadują o tej kobiecie... To naprawdę było ciekawe... Rzecz jasna nie wierzyłam w zasłyszane gdzieś bajeczki... Nie jestem malutkim dzieckiem.

Mabel Sanders przymknęła oczy. Uchodziła za pobożną kobietę, nawet bardzo pobożną. Czytywała codziennie Pismo Święte. Kilka razy na tydzień chodziła do kościoła na nabożeństwa. Wierzyła w Boga, wierzyła też w szatana. Gdy tylko usłyszała nazwisko Margaret Nelson, zbladła, machinalnie się przeżegnała. Moja córka - myślała - nieświadoma tego, co robi, poszła do czarciego domu... Poszła do tej przekłętej przez ludzi i przez Boga czarownicy, którą należałoby spalić na stosie.

Mabel Sanders na pewno nie należała do tolerancyjnych osób. Jeśliby żyła w czasach średniowiecza, to jako jedna z pierwszych podpaliłaby stos pod starą Nelson, wierząc, że uwalnia świat od przekłętego zła. Ludzi jej podobnych było w Snow Hills znacznie więcej. Ukryte w ich sercach namiętności, przekonania, że właśnie oni są wybrańcami Boga, tylko czekały na stosowny moment, aby wypełznąć niczym wąż na zewnątrz i kąsać, i niszczyć tych, co postępują odmiennie.

- I poszłicie tam? - zapytała cicho, ale w jej głosie zakipiała ukryta złość.

- Poszliśmy...

- Anno Sanders! Popełniłaś błąd. To przeklęty dom. Powinnaś wiedzieć, że uczciwi chrześcijanin omija takie miejsca z daleka. Gdybym mogła, to wyгнаłabym tę przekłętą Margaret Nelson z naszego kochanego Snow Hills raz na zawsze. Na nieszczęście są w tym miasteczku ludzie,

co nie dzielają moich poglądów.

Anna milczała.

- Co było dalej?

- Przywitała nas ze strzelbą...

- Mój Boże!

- Ale weszliśmy do środka...

- Tak?!

- Mówiła nam różne rzeczy. Powiedziałam, że w to nie wierzę. Złapała mnie za dłoń. Była wtedy straszna, mamó, tak przerażająco straszna. Coś się w niej zmieniło. Wyszczęła, że umrę, że wszyscy umrzemy...

Anna Sanders spuściła głowę. Zaczęła płakać.

Jej matka zbladła, zacisnęła wargi. W pierwszym odruchu mało nie uderzyła córki w twarz. Biblia wyraźnie ostrzegła człowieka, aby nie bawił się we wróżenia oraz przepowiednie. Bóg tego zabraniał. Ktoś, kto szedł do osoby zajmującej się takimi świństwami, brał część jej winy na siebie - przynajmniej tak sądziła Mabel Sanders. Najgorsze, że ta przekłeta starucha nie tylko sprzeniewierzyła się Panu, Margaret Nelson przede wszystkim zaprzedała duszę diabłu, bo wyłącznie diabeł mógł ją uprzedzić o losach Vernonów...

Opamiętała się. Anna już zapłaciła za swoją głupotę.

- Masz się modlić, dziecko! - szepnęła Mabel, wwiercając się wzrokiem w zapłakane, opuchnięte oczy córki. - Masz się modlić, gdyż ubliżyłaś Bogu! Zadarłaś z szatanem...

Dochodziło południe.

Roboty było mniej niż zwykle, może i dobrze, bo słońce zalało ziemię powodzią światła. Panował prawdziwy upał. Chłopcy krzżeli się w stajni przy koniach.

Robert akurat doglądał swego ulubionego gniadosza, podarowanego mu przez ojca na dziesiąte urodziny.

Kątem oka zerkał na starszych braci, rozebranych do pasa. Zarówno Richard, jak i Tim nie mieli powodów do narzekań, jeśli chodziło o ich walory czysto fizyczne. Twarde, wyrobione mięśnie napinały złocistobrazową skórę, lśniąca potem, zgrzaną od wysiłku. Ich ciała, silne, lecz zarazem tajemniczo lekkie w drżących promieniach słonecznych, wpadających przez okna, przyciągały wzrok.

Robert miał świadomość, że jest podobny do swoich braci. Uśmiechnął się z zadowoleniem, nalewając do misy wody. Najstarszy z rodzeństwa dostrzegł ten gest.

- Przerzynałeś już śliczną Mary Bromley? - wyszczerzył zęby.

- To nie twoja sprawa, Richard - burknął Robert. - Jeśliś taki ciekaw, to powiem ci, że to kwestia czasu. Jak czegoś chcę, zawsze dostanę. Taki mam charakter!

Bracia roześmiali się.

- Prawdziwy synek taty - pokiwał głową Tim. - Prawdziwy Astor.

- A żebyś wiedział, że prawdziwy...

- No dobrze! Pójdiesz wieczorem trochę porozrabiać?

- Porozrabiać?

- Tak, zabawić się, dupku jeden!

- Nie nazywaj mnie dupkiem...

- Dobrze, malutki! Do miasta przyjechała banda motocyklistów. Zatrzymali się w okolicach Cichej Doliny. Chcemy im się przyjrzeć. Podobno jest pośród nich całkiem ładna cizia...

- Ładna, mówisz?

- Tak, baranku, prześliczna. Ale ty masz jeszcze mleczko pod nosem, więc...

Robert zachnął się. Obaj starsi bracia lubili z niego dworować. Jednak zarazem bardzo o niego dbali.

- Pójdę - odparł natychmiast.

Richard otworzył usta, aby odpowiedzieć, i od razu się pohamował. Do stajni wszedł bowiem sam Brian Astor, były senator, burmistrz w Snow Hills, jeden z najbardziej wpływowych ludzi w stanie. Wszedł i rzucił krótkie ostre spojrzenie na wszystkich swoich synów.

- Rob i Tim - oznajmił - dzisiaj wasza kolej.

Obaj chłopcy wyszli za ojcem na zewnątrz. Przed stajnią stało paru facetów zatrudnionych na farmie do prac sezonowych. Przyzwyczaili się do widowisk serwowanych im raz na parę dni. Teraz również na nie czekali.

Brian Astor, z pochodzenia Irlandczyk, katolik w każdym calu, wychowywał swoje pociechy na prawdziwych twardzieli. Środki prowadzące ku temu miał najróżniejsze. Na pewno nie było pośród nich filozofii, czy też łaciny klasycznej.

Były senator niedbałym krokiem podszedł do ogromnego pieńka, wkopanego w ziemię, podniósł leżące na nim dwie pary rękawic bokserskich, po czym podał swoim synom.

- Zakładajcie - nakazał.

Pomógł jednemu i drugiemu zawiązać sznurowadła.

- Pięć razy po dwie minuty - zakomunikował, cofając się.

Robert zaczął pierwszy. Był szczuplejszy od brata. Poza tym nie tak barczysty, nie tak umięśniony, parę lat różnicy robiło swoje. Za to braki w sile nadrabiał szybkością.

Tim wypuścił dwa potężne sierpowe, prawy i lewy. Oba przefrunęły nad błyskawicznie skuloną głową najmłodszego z Astorów. W tej samej prawie chwili trzy proste wylądowały na szczęce Tima.

Zabrzmiały oklaski.

Było jednak widać, że bracia nie chcą sobie uczynić krzywdy. Nie zadawali ciosów z pełną siłą. To co robili, prędzej można było nazwać sparingiem, niż normalnym pojedynkiem. Obaj poruszali się zwinnie niczym dwa dzikie koty, błyskawicznie zmieniając pozycje.

Brian Astor podniósł do góry dłoń. Jego surowa twarz nie zmieniła wyrazu, za to blask oczu zdradzał, jak dumny jest ze swoich synów.

- Wystarczy! - zawołał. - Na dzisiaj dosyć. Ted Merton całkiem nieźle was wyszkolił... - powiódł wzrokiem po obecnych. - Czy ktoś z was pragnie zmierzyć się z którymś z moich chłopców?

Głucha cisza stanowiła wymowną odpowiedź.

Brian Astor pokiwał zadowolony głową. Miał w życiu wszystko, o czym marzy za młodu mężczyzna, co pragnie zdobyć: piękną żonę, wartościowe dzieci, pozycję, prawdziwych przyjaciół, szacunek u ludzi. Mógł chodzić z podniesioną głową.

Wieczór przyszedł szybko. Około dziewiątej bracia wsiedli do jeepa Grand Cherokee. Ruszyli w stronę Cichej Doliny. Zabrali ze sobą na wszelki wypadek broń, chociaż

raczej dla dodania sobie animuszu, niż z myślą o jej użyciu. Mieli też noktowizor, lornetki, noże i kilka puszek piwa.

Po kilkunastu przejechanych milach skręcili w sobie tylko znaną drogę. Dojechali nią do skalnego urwiska. Wysokie jodły i modrzewie kryły mrokiem samochód.

Wysiedli.

Richard ostrożnie podszedł do zbocza. W dole, hen za Ciemnymi Stawami, za Gwiezdnym Strumykiem, czerniały namioty motocyklistów. Widoczność, pomimo lekkiej szarości na niebie, była doskonała. Bez trudu odróżniali poszczególne sylwetki.

- Jest ich niedużo! - stwierdził Richard, przykładając do oczu lornetkę. - Może dwudziestu. Na pewno nie więcej. Nie wiem, czy zdają sobie sprawę, że w tej okolicy bez trudu można się przywitać z niedźwiedziem. Misie są głodne, więc tym bardziej mogą nabrać ochoty na odwiedzinę...

- To ich problem - skwitował Tim. - Słyszałem, że nieźle załatwili Joshuę Parkera.

- Jeśli tak, to należą im się baty.

- Od tego jest szeryf.

- Pomożemy mu!

- Nie teraz, Tim. Za wcześnie na to. Dopóki zachowują się grzecznie, nie powinniśmy szukać z nimi zwady.

- Przecież mieliśmy się zabawić? - Robert spojrzął na brata.

- Tak mi się, Rob, powiedziało.

- To co robimy?

- Mamy około pięciuset jardów do źródła, z którego wypływa Rwać Potok.

Zejdziemy wzdłuż jego biegu w dół. Potem, gdy będziemy w lesie, przedostaniemy się do Ciemnego Lustra.

Obejdziemy staw i będziemy przy obozowisku motocyklistów.

- To kawał drogi! - zauważył Tim.

- Masz coś lepszego do roboty?

- Chyba nie.

- To siedź cicho.

Robert, zadowolony, że bracia zabrali go z sobą, co zdarzało się rzadko, milczał, bez wahania podążając za nimi. Przeszło godzinę zabrało im dotarcie do wywierzyska. Droga była trudna. Co chwila przebijała się przez gęste krzaki, wbiegała pomiędzy drzewa, wznosiła się lub opadała.

Zdrój, kolisty, otoczony potężnymi głazami, wypełniony krystaliczną, niebieską wodą, bardzo zimną, dawał początek strumykowi, co serpentyną skręcał pomiędzy drzewa i skaliska, przedzierając się niżej i tworząc tam łańcuch niewielkich głębokich jeziorek.

- Gdzieś tu jest pieczara - szepnął cicho Tim.

Jego głos zabrzmiał tajemniczo, zawierał niepokój i niedomówienie. Robert szybko zerknął na brata.

- Pieczara?

- Tak. Wielka ponura pieczara. Richard i ja nigdy jej nie znaleźliśmy. Legenda mówi, że Indianie ukryli w niej skarby: złoto, pieniądze. Miejsce to znał wyłącznie Crazy Horse. Tylko on potrafił tam dotrzeć. Ale podobno nigdy tego nie zrobił...

- Skąd wiesz?

- Interesowałem się tym, gdy byłem w twoim wieku. Podniecały mnie opowieści o olbrzymich bogactwach, złożonych w pieczarze przez największych wojowników Siuksów.

- Lipa. Kto ci o tym powiedział?

- Tom Path...

- Ten stary zdziwaczały Meksykanin, co zmarł rok temu?

- Właśnie on. Był mieszańcem. W jego żyłach płynęła krew Siuksów. Dziadek Toma należał do najwybitniejszych szamanów plemienia. Przekazał mu tajemnicę.

- A Path tobie?

- Właśnie...

- Niby dlaczego miał to zrobić?

- Lubił mnie. Żłopał whisky od rana do wieczora. Nienawidził całego świata. Był samotny. Ale mnie lubił. Chyba dlatego... Richard też wierzy w tę historię.

Richard pokiwał twierdząco głową.

- Jest coś jeszcze - powiedział Tim. - Czarownicy Siuksów wezwali potężne siły, potężne złe moce, aby stały na straży u wrót pieczary.

- Co za głupota. Każda bajka o ukrytym złocie zawiera te same idiotyzmy. Chyba w to nie wierzycie? Jesteście ode mnie starsi, bardziej doświadczeni...

- To oczywiście prawda, Rob! - pokiwał głową Richard. - Może to faktycznie bzdury. Jest jednak w tym podaniu coś ciekawego, jest jakaś tajemnica, coś takiego, nie wiem, czy mnie zrozumiesz, co sprawia, że krew prędzej krąży w żyłach. Pamiętasz tę zagadkową śmierć w górach Benjamina Mortimera?

- Pamiętam...

- On znał dobrze Patha. Podobno Meksykanin również jemu przekazał zagadkę. Mortimer spędzał w górach całe dnie i noce. Na tych co go znali, czynił wrażenie faceta pochłoniętego jakąś obsesją.

- I wy zamierzacie szukać tej szczególnej pieczary?

- Nie. Już to robiliśmy. Niestety bez powodzenia. Być może ty będziesz miał więcej szczęścia.

- Nie zwariowałem do tego stopnia! Więc sądzicie, że ktoś przyczynił się do śmierci Mortimera?...

Starsi bracia spojrzeli natychmiast po sobie, jak gdyby porozumiewając się błyskawicznie...

- Rob! My nic nie sądzimy. Wiemy, że okolice Cichej Doliny to dziwne miejsce. Jeśli dodasz do tego, co usłyszałeś od nas, artykuły w gazetach o UFO nad Snow Hills, to naprawdę ze świecą w ręku szukać miasteczka równie interesującego jak nasze.

- Zaprzestaliście przecież poszukiwań tej pieczary?...

- Nie mieliśmy czasu - odparł Richard. - Kiedyś do tego wrócimy, ale nie w tej chwili...

Coś przede mną ukrywają - pomyślał Robert.

Byli prawie na dole urwiska. Przedzierali się przez ostatnie drzewa i zarośla, za nimi otwierała się mała łączka, za nią ponownie zaczynał się las, mokry i wilgotny, a dopiero za nim znajdował się staw.

- Ja też niedawno przeżyłem interesującą przygodę - pochwalił się Robert.

- Jaka? - zapytał Richard.

- Odwiedziłem z kumplami tę sfiksowaną Margaret Nelson. Starucha oznajmiła nam, że wszyscy zginiemy. Nigdy nie słyszałem czegoś równie idiotycznego - roześmiał się. Zawtórowało mu milczenie.

Spojrzał zaskoczony na braci. Obaj unikali jego wzroku.

- Ta kobieta zawsze wie, co mówi - oznajmił poważnym tonem Tim. - Musisz na siebie uważać.

Robert przystanął. Roześmiał się głośno, był nieprzyjemnie zaskoczony.

Wewnątrz siebie poczuł drobne ukłucie niepokoju.

- Chyba zwariowaliście? - wziął się pod boki.

- Musisz uważać - powtórzył Tim.

Zapanowała nieprzyjemna atmosfera. Robertowi wydało się naraz, że mrok wyciąga łapy, sięgając nimi w dusze jego oraz braci.

- To właśnie stara Nelson przepowiedziała śmierć Mortimera - powiedział cicho i poważnie Richard. - Przewidziała też tragedię w rodzinie Vernonów i pojawienie się UFO nad Snow Hills.

Robert nie odpowiedział. W głowie mu się to nie mieściło, o czym mówili Tim i Richard. Do tej pory traktował lekko gadanie Margaret Nelson. Ale jego starsi bracia, których bardzo szanował, nie podchodzili do tego w ten sposób. Znał obu wystarczająco dobrze, aby wiedzieć, że tak postępując, mają ku temu określone powody.

- Dajmy spokój tym gadkom - zaproponował Richard, a pozostali bracia go posłuchali.

Byli już prawie przy pierwszym ze stawów. Tim wskoczył na wielki kamień, przyłożył dłoń do czoła.

- Dobrze idziemy - rzekł. - Przejdziemy jeszcze przez ten gąszcz. To niedaleko: dwadzieścia jardów. Słyszycie szum wodospadu?

Słyszeli wyraźnie.

Szli w miarę prędko. Ściana lasu skończyła się. Stali na górze u szczytu niewielkiej kotliny. Strumyk, kipiąc, spadał ze skalnych zboczy w dół, tworząc pierwsze z jeziorok. Rano, zwłaszcza gdy świeciło słońce, promienie, tańcząc pośród spadających strumieni, tworzyły precudny widok. Można było rozkoszować się nim godzinami.

Richard, idący przodem, zamarł.

- Spójrzcie! - szepnął zaskoczony.

Na jednym z kamieni siedziała dziewczyna... Rozczesywała długie, spadające na plecy włosy.

- No! No! - mruknął zdumiony Tim. - Z tej odległości trudno ocenić jej urodę. Jest chyba całkiem niezła. Skąd ona, do licha, tutaj się wzięła?

- Na pewno należy do gangu - mruknął Richard. - Zostańcie tutaj. Ja zejść na dół. Z nią ktoś może być, więc miejcie oczy szeroko otwarte!

Spojrzał na braci, po czym zniknął w zaroślach, przedzierając się przez nie do stawu. Ziemia, grząska i wilgotna, utrudniała schodzenie. Jeszcze gorzej było, gdy przechodziła w oślizgły kamień. Podrapany i zmęczony dotarł w końcu do zbiornika. Odsapnął chwilę nad brzegiem. Dziewczyna wciąż tkwiła na miejscu o parę jardów dalej.

Richard przetarł czoło. Ostrożnie, krok za krokiem, przybliżył się do nieznanym.

Nie słyszała jego kroków, nikogo też widocznie się nie spodziewała, gdyż zadrżała słysząc niespodziewane słowa.

- Kogo to los zagonił w tak śliczny zakątek? - zapytał najstarszy Astor.

Patrzyła nań wylęknięta nie na żarty.

- Kim ty jesteś?

- Nie obawiaj się - odparł. - To odludne miejsce, ale znam je od dziecka i czasami tutaj bywam. Ciebie nigdy jeszcze nie widziałem. W Snow Hills także nie mieszkasz, bo na pewno bym cię znał. Jestem, jak widzisz, przystojnym chłopcem. Mam dziewiętnaście lat. Nazywam się Richard Astor.

Dziewczyna roześmiała się. Wypowiedź niespodziewanego gościa sprawiła, że nabrała pewności siebie. Przeskoczyła błyskawicznie przez parę kamieni, stanęła obok niego. Pachniała miętą, ziołami oraz czymś nieuchwytnym, kojarzącym się z wiatrem. Wciąż roześmiana, wyciągnęła ku niemu dłoń.

Astor na moment przestał rozumieć, co się z nim dzieje. Tak przepięknej istoty nigdy dotąd nie spotkał. Przez jego ciało przeszło coś na kształt prądu elektrycznego. Trafił weń, można by rzec, piorun, co nie wyrządzając krzywdy, w mgnieniu oka go odmienił.

Nieznajoma patrzyła błękitnymi jak niebo oczyma, niewinnymi, pełnymi jakichś marzeń i dalekich oczekiwań, o których Richard nic nie wiedział. Było w jej spojrzeniu coś tak delikatnego, coś tak wymownego, a zarazem nadzwyczajnego, że chłopcu serce ścisnęła tajemnicza słodycz... Sarnie niebieskie oczęta wciąż się w niego wpatrywały i uśmiechały. Wiatr zaś dmuchnął mocniej, rozwiewając złocistobrazowe włosy...

- Jestem Mary Lester! - rzekła pewnym głosem, widząc jakie wrażenie uczyniła na chłopcu.

- Nie jesteś stąd, prawda?

- Tak jakby...

- Należysz do gangu motocyklistów?

- Jestem razem z nimi!

Richard na moment umilkł. W głowie mu się nie mieściło, aby taka dziewczyna zadawała się z takimi obwiesiami.

- Przyszłaś tu sama?

- Niekiedy lubię samotność. A ty?

- Na górze czekają moi bracia, Robert i Tim.

- Zabezpieczyłeś się?

- Lepiej być przewidującym...

- Chyba tak...

Astor zebrał się na odwagę.

- Chciałbym cię lepiej poznać! Czy to będzie możliwe?

- Zapraszasz mnie?

- Tak. Chciałbym, abyś odwiedziła mój dom.

Roześmiała się.

- Jesteś śmieszny - rzekła. - Przecież my się w ogóle nie znamy!

Richard przez parę sekund nie potrafił wydusić z siebie słowa. Na ogół był śmiały, ale był taki wobec sióstr, z którymi nigdy nie miał najmniejszych problemów, a także wobec rówieśników, którym z kolei imponował siłą. Mary Lester wydawała się kimś zupełnie innym. Pochodziła z innego świata. Była księżniczką z bajki, nagle postawioną na jego drodze.

- W takim razie poznajmy się...

- A jeśli kogoś mam? - zapytała.

- A masz?

- Chyba za dużo pragniesz wiedzieć...

- Więc przyjdiesz?

- Nie wiem... Zastanowię się... Może... Fajnie, że cię poznałam! Muszę już wracać...

Podążyła mu dłoni, a po chwili zniknęła.

Richard wciąż tkwił na tym samym miejscu, nie mogąc ochłonąć po niespodziewanym spotkaniu. Wreszcie zebrał się w sobie i zaczął się wdrapywać do góry. Kiedy stanął przed braćmi, ci popatrzyli nań złym okiem.

- Zwariowałeś? - rzekł Tim. - Trzeba było nas zawołać...

- Przepraszam - odparł. - Ona mi się spodobała. Nigdy nie spotkałem kogoś takiego!

- Jasny gwint - wyszczerzył zęby Tim. - Nasz braciszek chyba się zakochał.

Richard milczał.

- Idziemy do obozu? - zapytał Robert.

- Nie ma sensu - odrzekł Richard. - Dziewczyna z

pewnością uprzedzi o nas swoich towarzyszy. To zbyt niebezpieczne.

Po cichu jednak miał nadzieję, że nikomu nie powie o ich spotkaniu, a w końcu zdecyduje się nawet go odwiedzić.

- Wracamy - oznajmił.

Tego samego dnia Adam Winklis włókł się ze szkoły w stanie skrajnej rozpacz.

Właśnie tego pięknego poranka roku 1998 doszedł był do wniosku, że należy do skończonych nieudaczników. Mało tego, na ostatniej godzinie lekcyjnej wezwano uczniów do gabinetu lekarskiego, a tam okazało się, że na tablicy okulistycznej nie potrafi przeczytać nawet największej litery. Pięciu kolegów z klasy było świadkami tej kompromitacji. Natychmiast przewzali go Kretem.

Trzech mądralińskich szło za nim, szydząc z jego ułomności. Nie należeli wcale do złych chłopców, wprost przeciwnie. Tylko czasami lubili z kogoś pożartować tak troszkę dla niewinnej rozrywki.

- Krecik! Zezowate szczęście! - wołał jeden z nich, nawet specjalnie nie zastanawiając się nad doborem wyzwisk.

Winklis podniósł głowę dumnie do góry. Nie będę się przejmował durniami postanowił.

- Mamusia przytuli kochanego synka! - krzyknął któryś.

- Odczepcie się od niego! - usłyszał naraz zagniewany dziewczęcy głos za swoimi plecami.

Odwrócił się, ujrzał Mary Bromley, co go zdziwiło, bo nie spodziewał się, aby ta „zarozumiała pięknotka” darzyła go choćby cieniem szacunku. Tymczasem wyglądało na to, że się pomylił.

Dziewczyna i chłopcy stanęli naprzeciw patrząc na siebie spode łba. W końcu ci drudzy, widząc pogardliwą minę

Mary, zrezygnowali. Panna Bromley podeszła do kolegi, wyglądającego jak zbity pies.

- Powinieneś się bronić - rzekła. - Facet nie może dopuścić do czegoś takiego...

Adam patrzył w ziemię. Wstydził się. Zupełnie też nie wiedział, co jej odpowiedzieć. Pozazdrościł Robertowi Astorowi, który na pewno w takiej sytuacji umiałby się znaleźć i zaimponować dziewczynie.

- Co ci jest? - spytała.

Nagle w nim wezbrało.

- Ja chyba ze sobą skończę - oznajmił.

Mary zrobiła wielkie oczy.

- Skończysz?

Co ona, ta panienka z dobrego domu, mogła wiedzieć o jego popieprzonym życiu? Dobrze, powie jej. Niech usłyszy. Niech się dowie!

Cierpienia i krzywdy, jakich doświadczył do tej pory, a spotkało go ich - tak uważał - wiele, przepełniły w jednej chwili jego wnętrze.

- Mam dosyć, Mary!

- Czego masz dosyć?

- Jestem biedakiem. Moja matka żyje z zasiłków, a ojciec siedzi w więzieniu za złodziejstwa. Stara mnie nie rozumie. Robi mi awantury, a w dodatku chleje alkohol. Ludzie się nami brzydzą. Nie mam przyjaciół. Jeden Astor mnie toleruje, choć sam nie wiem dlaczego. Nie mam ubrań, nie stać mnie na książki. Ja już tego nie wytrzymuję. Nawet nie potrafię ci tego opowiedzieć. Wyobraź sobie zapach wódki w domu od rana do wieczora... Zасыpiasz z tym zapachem i z nim się budzisz...

Mary wzruszyła ramionami.

- Słyszałam o takich rzeczach - oznajmiła. - Nie

powinieneś się poddawać.

- Dobrze ci gadać. Gdybym chociaż był dobrze zbudowany, silny, gdybym potrafił grać w piłkę, dobrze biegać... Ale nawet tego nie umiem...

- Nie każdy musi umieć!

- Ja nic, Mary, nie umiem.

- Rzeczywiście, niedobrze z tobą, Winklis. Wiesz co! W przyszłym tygodniu wyprawiam prywatkę z okazji czternastych urodzin. Przyjdź do mnie. Oderwiesz się trochę od tych niewesołych myśli.

- Naprawdę?

- Pewnie, że naprawdę.

Kiwnęła głową i już jej nie było. Winklis został na chodniku z otwartymi ustami.

Nie dowierzał sam sobie. Gdyby nie lekki wietrzyk na twarzy, tak prawdziwy, tak namacalny, i gdyby nie to, że uszczypnął się w policzek, a ten zabołał, jak powinien zabołeć, pomyślałby, że śni. Mary Bromley go zaprosiła. No proszę!

Chyba nie jest tak głupia ani pozbawiona uczuć, jak to sobie wyobrażał. Mary Bromley...

Świat poweselał w jednej chwili.

Leżała w wannie. Zgrabną nóżkę o jedwabistej skórze, nóżkę zakończoną kształtną, pieszczącą oczy swoim widokiem, stopą, oparła na marmurowej krawędzi. Rozmawiała z koleżanką, małą cichą Penelopą Astor, o dwa lata starszą od niej. Mądrą, grzeczną, zawsze na miejscu, zawsze ułożoną, zawsze na niedzielnym nabożeństwie z buzią w ciup... Penelopą, zwaną w kręgu znajomych Penny.

- Piekło jest w tobie słodka Penny! - mówiła jedwabistym głosem młodziotka kobietka. - Piekło jest w tobie i we mnie. Bo tak w rzeczywistości Rajskie Wysepki są

dla prawdziwych nudziarzy. A życie trwa za krótko, aby trwonić je wyłącznie na naukę. Życie to też miłość. To chłopcy zbrązowali od słońca, muskularni... weseli...

- Och, Mary, co my obie wyprawiamy... Gdyby nasi rodzice się dowiedzieli... Gdyby się dowiedzieli...

- Nie dowiedzą się, malutka...

- Och, Mary, robimy złe rzeczy...

- Ale te rzeczy nas pociągają. Zawsze pociąga nas zło.

Wiesz, Penny, co mi się przyśniło ostatniej nocy?

- Co takiego?

- Facet o twarzy Juliusza Cezara i ciele olbrzymiego Murzyna, trenującego od dziesięciu lat kulturystykę. Przywiązał moje białe delikatne dłonie, dłonie o długich cienkich paluszkach... Cisnął mną na tapczan... Leżałam naga, bez ruchu... Leżałam zdana na niego, a on patrzył i patrzył...

- Mary, czasami mnie przerażasz. Jesteś ode mnie młodsza, ale taka... sama nie wiem. Nie znam nikogo takiego jak ty.

- Znasz mnie lepiej niż inni. A ja ciebie. Dwie grzeczne panienki w białych sukieneczkach, ulizane na co dzień, a wewnątrz z czarnymi sercami, oto my w całej okazałości.

- Może... Znalazłaś frajera?

- Znalazłam. To chłopak z klasy. Głupiutki i prościutki. Nawet nie pomyślał, że chcę mu zrobić takie kuku. Nawet mu to do głowy nie przyszło. Myślał biedaczek, że znalazł dobrą ciotkę Mary, co z rozkoszą wysłuchała jego problemów. Mało brakowało i opowiedziałby mi, jak w nocy moczy łóżeczko...

- Dureń!

- Oczywiście. Przestraszone pisklątko do zarznięcia. A

wiesz, Margaret Nelson doprowadziła moich przyjaciół do dreszczy. Świetnie się u niej bawiłam. Ona wierzy w swoje słowa.

- Mówiłam ci...
- Mówiłaś.
- Do widzenia, Mary!
- Bywaj, Penny!

Dziewczyna leniwym ruchem odłożyła słuchawkę. Wzięła igłę, leżącą na marmurowym blacie, otaczającym wannę, lekko nakłuła nią opaloną skórę na przedramieniu. Kropelka czerwieni narastała najpierw słabo, potem coraz silniej.

Mary przybliżyła do niej język. Dotknęła nim krwi, posmakowała, uśmiechnęła się. Po chwili zagłębiła się w wannę, obserwując, jak czerwień przenika wodę.

Pewnego kwietniowego dnia, a był to jeden z ostatnich dni tego miesiąca, Margaret Nelson zaczęła szyć sobie suknię do trumny. Cięła nożyczkami, a później obszywała igłą czarny atłasowy materiał, wyobrażając sobie, jak będzie w nim wyglądała, kiedy przyjdzie na nią czas.

A czas ten, jakże dobrze to czuła, zbliżał się wielkimi krokami.

Nawet nań czekała z pewnym utęsknieniem, ponieważ przeżyła wystarczająco dużo i miała życia powyżej dziurek w nosie. Tak naprawdę - myślała - to ludzkie losy przypominają zwariowany taniec z dobrym, zazwyczaj, początkiem i z najróżniejszym finałem. Jedni ten taniec już kończą, drudzy zaczynają, nie wierząc, że kiedyś też go muszą zaprzestać.

Tak, widziała wystarczająco wiele.

Chyba nie zdąży doczekać tego strasznego koszmaru, który jak groźne chmury, ciągnął powoli nad Snow Hills. Pierwszy raz ujrzała to, gdy złapała za dłoń Anne Sanders. Potem przychodziły do niej okropne sny, zamieniając ciepłą jeszcze krew w sople lodu.

Przeznaczenia, dumiała, nikt nie zmieni.

Wydarzyło się to już wiele razy. Zupełnie wbrew niej, bo przecież wcale nie pragnęła mówić ludziom takich strasznych rzeczy, wprost przeciwnie, marzyła, aby wiecznie prorokować o udanych dzieciach, o przyszłych bogactwach...

Jednak kiedy usiedli, kiedy ich dotknęła...

Przeznaczenia nikt nie zmieni.

Czarne posępne chmury napływały nad miasto. Nikt

jeszcze nie dostrzegał zagrożenia. Nikt nie łączył poszczególnych faktów i wydarzeń, dla niej już oczywistych.

Jeśli by nie znała swych możliwości, jeśli by nie doświadczyła ich wcześniej, gdy jej umysł funkcjonował w miarę sprawnie, pomyślałaby, że zwariowała, tak nieprawdopodobne i koszmarnie było to, co jej powiedziała ręka Anny Sanders.

- Ta dziewczyna się boi - szepnęła do siebie - ale jeszcze nie wierzy. Nikt, póki co, nie wierzy. Tak samo nie ufał mi Mortimer i Astor. Opowiadali ze śmiechem, jak wpadli mnie odwiedzić, a ja im nawciskałam nieprawdopodobnych bzdur.

Tak opowiadali.

Jednego znaleziono w Cichej Dolinie. Drugi zastrzelił żonę, a sobie założył stryczek na szyję. Tak, jak im powiedziałam...

Drgnęła.

Ktoś zakolał do drzwi.

Pewno Sam Wilder. Nieszczęśliwy człowiek, silny i nieszczęśliwy. Lecz ilu jest zadowolonych? Ilu?

Margaret Nelson wstała z trudem z tapczanu. Wydawało jej się, że jej nogi nie mają nic wspólnego ze sobą. Jedna podążała tam, druga tam. Dwa, pozbawione mięśni szcudła. Dwa piszczele z odrobiną mięsa obciążonego suchą, pergaminową skórą.

„Kiedyś byłam ładną kobietą. Kiedyś...”

Słowo - kiedyś - brzmiało irracjonalnie. Nieraz zastanawiała się nad długością życia. Tak na dobrą sprawę jedyne, co można było stwierdzić, to że jest ona względna. Człowiek z reguły powinien dociągnąć co najmniej do siedemdziesiątki. Siedemdziesiąt lat: szmat czasu. Tylko kiedy o nich myślisz, to nie wydają ci się dłuższe od jednego

dnia.

Margaret Nelson otworzyła drzwi.

- Wejdz, Sam - powiedziała. - Wejdz i usiądź na którymś z tych rozlatujących się krzesel. Jesteś jedyną osobą, pamiętającą o moim istnieniu. Niebo ci to w przyszłości wynagrodzi.

- Szyjesz, babciu Margaret, nową suknię? - szeryf zatrzymał spojrzenie na jej dziele?

- Tak. Coś odpowiedniego na wieczny spoczynek. W sam raz na bal z jego czartowską mością...

- Przestań, szanowna pani Nelson. Na pewno trafisz w to drugie miejsce.

- Chyba ty jeden tak sądzisz... Siadaj na tym rozlatującym się krześle. Co z twoją żoną?

- Pomyliłem się. Bóg tylko wie, jakie mi rzeczy chodziły po głowie. Już nawet zastanawiałem się, czy nie znalazła sobie kogoś innego. Prawda jest inna.

- Jaka?

- Gloria umiera, babciu Margaret. Umiera na raka. Nic i nikt nie jest w stanie jej pomóc. To ostateczne stadium choroby. Powiniennem zacząć załatwiać formalności pogrzebowe. Tak mi ciężko, jak nigdy dotąd. Wolałbym, aby mnie dopadło to przeklęte choróbsko.

- Przykro mi, Sam. Jedyne, czym mogę cię pocieszyć, to słowem, że życie nie kończy się po śmierci. Przechodzimy w inny stan. Tam kiedyś spotkasz swoją żonę. Wszyscy tam się spotkamy.

- Nie wiem. Ufam Bogu. Zawsze mu ufałem. Ale czasami nachodzą mnie wątpliwości. Powiedz mi, babciu Nelson, czy ludzie rzeczywiście mówią o tobie prawdę?... Czy faktycznie wywróżyłaś śmierć starymu Mortimerowi, a potem Kirkowi Vernonowi? A jeśli tak, to skąd wiedziałaś?

Jakie siły za tym stoją?

- To nie są, chłopcze, dobre siły, nie wydaje mi się też, aby należały do złych. Może potrafię się do czegoś podłączyć, do czegoś, co można nazwać uniwersalną księgą. W tej księdze, pojmujesz, zapisano przeszłość i przyszłość. Zresztą tak naprawdę czas istnieje wyłącznie dla ludzi. A co do Vernona i Mortimera... Tak, widziałam, co ich spotka...

- Może to przypadek?

- Za dużo tych przypadków. Daj mi dłoń!

Głos Margaret Nelson zabrzmiał zdecydowanie.

Wilder, niepewny czy robi dobrze, wyciągnął rękę. Starsza kobieta mocno ją pochwyciła i naraz mężczyzna poczuł zalewającą go falę gorąca, wręcz ukropu. Przed oczyma mignęły mu czarne plamy. Margaret Nelson oddychała szybciej.

- Twoja żona nie umrze, Sam - powiedziała syczącym cichym głosem. - Widzę ją otoczoną wnukami. Ale ty... przed tobą wyłania się bestia. Przyjdzie ci z nią walczyć... Musisz wierzyć, Sam... musisz wierzyć...

Przestała.

Wilder przez moment siedział otępiały. Serce uderzało mu ciężko w piersi.

Poczuł, że ma spocone czoło oraz dłonie. Bez wątplenia coś siedzi w tej staruszce - pomyślał. - Tylko co? Jeśli faktycznie umie zobaczyć przyszłe wydarzenia, to z Glorią się pomyliła. Lekarze wyraźnie dali mi do zrozumienia, co się z nią stanie. Babcia nie powinna mnie pocieszać!

- Nie musisz mówić takich rzeczy! - pokiwał głową. - Glorii nic już nie pomoże.

- Powiedziałam, co powiedziałam. Tak się stanie. Przekonasz się. Z pewnością tego nie doczekam, ale tak się

stanie.

- Gdy gadaliśmy ostatnio, wspomniałaś o czarnych dniach, czy czymś takim, w Snow Hills. Co chciałaś przez to powiedzieć?

Margaret Nelson westchnęła ciężko, skuliła się w sobie.

- Nie uwierzysz w to, Sam. Nikt w to nie uwierzy!

- Co zobaczyłaś? - nacisnął.

- Nikt z młodych ludzi, którzy wtedy do mnie przyszli, nie przeżyje. Za nimi pójda drudzy. SZATAN, ZŁO - nazwij to, jak chcesz, zatrzyma swoje spojrzenie na Snow Hills. Takie jest przeznaczenie, Sam. Nie zmienisz go.

W tydzień później nad miastem przeszła silna burza. Lunał ulewny deszcz. Tak zaczęło się parę dni wręcz fatalnej pogody. Ulice i chodniki tonęły w wodzie.

Ludzie w czasie wolnym od pracy najchętniej siedzieli w domu albo szli do któregoś z kościołów pomodlić się.

Larry Day, proboszcz parafii imienia Wniebowstąpienia Boskiego, przygotowywał dziecięcy chór do corocznego konkursu pieśni religijnych, obejmującego swoim zasięgiem cały stan. Przykładał się do tego zajęcia ze wszystkich sił. Tradycją było, że zespół zawsze lokował się w pierwszej trójce. Ksiądz miał nadzieję, że w tym roku również zajmie któreś z pierwszych miejsc.

Dzieci stały w trójszeregu. W pierwszym najniższe, w drugim średnie, w ostatnim zapewne przyszli członkowie drużyn koszykarskich.

Lisa Mortimer, ubrana w różową sukienkę, śpiewała bardzo ładnie. Nie spuszczała oka z proboszcza, reagując na każdy jego gest. Należała do najzdolniejszych dzieci. Larry Day wiązał z nią duże nadzieje, podobnie jak rodzice dziewczynki i jej nauczyciele.

Lisa - z rozpuszczonymi włosami, falami spływającymi po plecach, z lekka zaróżowionymi policzkami, z pięknymi błękitnymi oczętami - wyglądała jak prawdziwy aniołek.

- Zaśpiewamy raz jeszcze ostatnią zwrotkę - powiedział ksiądz. - Jest o wiele lepiej, niż ostatnim razem. Postarajcie się, aby w słowach: „Chociażbym szedł ciemną

doliną, zła się nie ulękę”, zabrzmiało więcej pewności siebie, więcej niezachwianej wiary.

Proboszcz podniósł ręce, robiąc tę swoją wniebowziętą minę. Lisa z trudem powstrzymała uśmiech.

- Pan jest moim pasterzem - zaczęły śpiewać dzieci. - Niczego mi nie braknie...

Melodia przepełniła sobą niewielkie pomieszczenie. Ksiądz przymknął oczy, poddając się jej urokowi i słodyczy. Kiedy ucichła, przez moment nadal trzymał je zamknięte.

Był zawieszony w jakiejś przestrzeni, z której wcale nie chciał powracać. Dzieci przypatrywały mu się poważnymi oczyma. Znały dobrze te chwile. Pomiedzy sobą mówiły, że ojciec Day rozmawia w takich momentach z Bogiem lub przynajmniej patrzy na jego oblicze.

Większość z nich wyobrażała sobie Stwórcę jako sędziwego staruszka, dobrotliwego i wiecznie uśmiechniętego, o długiej, spływającej na pierś białej brodzie.

Proboszcz się ocknął.

- Dobrze - uśmiechnął się. - Bardzo dobrze. Na dzisiaj wystarczy. Możecie wracać do domu. Pamiętajcie o piątkowej próbie. Zacznie się o tej samej godzinie co dzisiaj. Zresztą przypomnę wam o tym na lekcji religii.

Dzieci w mgnieniu oka rozbiegły się. Została tylko Lisa Mortimer.

Larry Day podszedł do swojego biurka. Usiadł na krześle i wpatrywał się w dziewczynkę.

- Co się stało, Liso?

Była taka śliczna. Jej uroda nie dała się opisać słowami. Zawierała w sobie jakieś pragnienie, smutek, a zarazem nadzieję. Wydawała się pełna oczekiwania na coś, co powinno nastąpić... a zarazem pragnęła od tego uciec. Lisa

szczebiotała wdzięcznie jak ptaszek, uśmiechając się tak, że człowiek mógł zapomnieć o najgorszych problemach.

Podeszła bliżej.

Dopiero teraz dostrzegł, że jej sukienka wcale nie jest długa, a nogi, szczupłe i smukłe, obute są w brązowe delikatne rajstopy.

Serce uderzyło mu mocniej. Nie potrafił nad tym zapanować.

- Tak, Liso?

Patrzyła nań ogromnymi oczętami uśmiechając się lekko, tak jakby wiedziała, co dzieje się w jego duszy, chociaż wiedzieć nie mogła. Nikt nie mógł...

Ale Bóg - tego był Larry Day pewien - już wiedział.

Szatan również.

Usiadła mu miękko na kolanach.

Zawsze tak robiła, bez najmniejszej zapowiedzi. Wstrzymał oddech, czując na kolanach ciepło jej ciała i słysząc szmer rajstopy ocierającej się o jego sutannę.

- Lubisz mnie, księżu proboszczu!? - zapytała. - Lubisz mnie tak samo jak inne dzieci, prawda?

Och! - pomyślał. - Jak ona może tak mówić. Przecież rozumie, że znaczy dla mnie strasznie dużo. Przecież wie, jakie miejsce zajmuje w moim sercu. Nie, to ja wiem. Ona jest niewinnym dzieckiem, potrzebującym uczucia, tylko tyle. Kto wie? Zapewne nie obdarzają nim biednej małej w domu.

Siedziała na jego kolanach trzeci raz. Zazwyczaj prędko wstawała, śmiejąc się, opowiadając szkolne dowcipy, patrząc na księdza spod oka. I pytając, czy ksiądz kocha takie dziewczynki jak ona, takie dziewczynki, co czasami grzeszą. Lecz grzeszą niewiele, tyle co brudu za paznokciem, choć ona zawsze ma czyste paznokietki.

A proboszcz, czując w sobie ów dreszcz jednocześnie

miły i przyprawiający go o trwogę, gdyż wiedział, kto za tym stoi, odpowiadał, że i owszem, lubi małe dzieci, gdy są grzeczne. A ona, mała Lisa, zawsze jest grzeczna i poslušna. Tak, bardzo ją lubi.

Te pogawędki uznawał za zupełnie niewinne, przynajmniej starał się je za takie uznać. Jednak niekiedy, jak obrzydliwa glista, pełzała w nim myśl, że to troszeczkę więcej, niż powinno być. Małe co nieco za dużo.

Pogłaskał ją zamiast odpowiedzi po miękkich pachnących włosach.

Oparła się o jego pierś, i przytuliła tak, jakby to było zupełnie naturalne, jakby to czyniła na co dzień.

- A wiesz - opowiadała cichym głosem - dzisiaj muszę pozostać w domu z rodzeństwem. Strasznie tego nie lubię. Naprawdę tego nie lubię. Jestem najstarsza i chyba dlatego każą mi tak robić. A oni, to znaczy Sandra, Doris, James i Ron, wcale mnie nie lubią. Są niedobrzy... Pomagam im, wychodzę z nimi do parku, opowiadam o duchach, a oni...

Umilkła.

Proboszcz z jakiegoś powodu poczuł ukłucie strachu. Przez moment chciał postawić dziewczynkę na nogi, ale jej miękkie ciepło, delikatne i świeże, przenikało tak przyjemnie... tak przyjemnie...

Lisa już nic nie mówiła.

Przywarła jeszcze mocniej plecami do piersi księdza, tak jak gdyby pragnęła poczuć bicie serca starszego mężczyzny.

Delikatne smukłe paluszki, zakończone różowymi paznokciami, dotknęły szorstkiej szyi Larry'ego Daya. Dotknęły i zaraz się cofnęły. Bo przecież - dumal - nie zrobiła tego umyślnie. Na pewno nie...

Lisa pochwyciła dłoń proboszcza i ni stąd ni zowąd

położyła na swojej piersi...

Ksiądz poczerwieniał. Pomyślał, że pragnie weń się wtulić, pragnie, aby się nią opiekował...

Tak sobie rozważał, lecz w nim samym coś się zmieniło. Puściła jakaś kłódka, jakiś zamek, jakaś zaporą. Nic nie umiał na to poradzić. To było tak, jakby przeszedł pięćdziesiąt mil po pustyni rozpalonej słońcem, szczyrzącej kły nieskończonym piachem, i naraz ujrzał płataninę zielonych drzew, a w ich cieniu ożywcze źródło... Znikło wszystko... wszystko... Pozostała wyłącznie niebieska woda... Wyłącznie...

Larry Day wstrzymując oddech, krztusząc się w sobie od własnej śmiałości wszak ktoś mógł wejść; co by powiedział na taki widok? - przycisnął dziewczynkę ciut mocniej, ciut... Prawą dłoń powoli i ostrożnie, bardzo powoli położył na jej kolanie. Trzymał przez moment bez ruchu, obawiając się reakcji Lisy, modląc się w duchu, by nie poderwała się z przeraźliwym krzykiem...

Modlił się.

Lisa Mortimer siedziała spokojnie, w pół otępiąła, nieświadoma. No, może nie w pełni świadoma...

Jej także sprawia to przyjemność - przemknęło księdzu przez głowę.

Palce, obejmujące kolano Lisy, rozluźniły się, podniosły się nieco do góry, a potem zaczęły je głaskać, najpierw niepewnie, ostrożnie, badając na ile mogą sobie pozwolić. Potem pewniej, lecz wciąż leciutko, spokojnie i łagodnie.

Larry Day gwałtownie westchnął. Przemógł się resztką swojej woli, krzyczącej z głębokich odmętów.

- Wystarczy, Liso - sapnął. - Muszę iść... Ty też powinnaś iść...

Zdjął ją z siebie, wstał. Przez parę sekund spoglądali jedno na drugie.

Dziewczynka była poważna.

- Dlaczego nie mogę zostać? - zapytała.

Larry Day, gdy wypowiedziała te słowa, zrozumiał, że tam na dole, w tej przeklętej mrocznej strefie, starającej się pokonać jego psychikę i rozum, jest sztywny, twardy niczym granit.

Lisa w tym momencie spojrzała mu w oczy, jakby odgadując o czym myśli.

- Idź już - poprosił. Było mu niedobrze.

Opadł na krzesło, gdy wyszła.

Jestem przeklęty - myślał. - Deprawuję małą i w dodatku sprawia mi to przyjemność. Pomóż, Boże. Spraw, aby szatan nie miał do mnie dostępu. Spraw, aby uchronił przed mą chucią to dziecko. Sam bowiem jestem słaby... Obiecuję sobie, że nigdy nie dam żądom zapanować nad duszą. A potem... Potem staję się bezsilny, bezwolny... Proszę cię, panie! Wejrzyj na mnie!

Larry Day zamknął drzwi na klucz. Poszedł do kościoła. Tam leżał długo przed ołtarzem, prosząc o wsparcie.

Tego samego dnia, dochodziła godzina piętnasta, sześciolatek James Mortimer, niewysoki chłopczyk o dobrotliwej twarzy, skradał się krok po kroku wzdłuż muru swojego domu, aby zobaczyć, czy ktoś się nie chowa za kątem.

Zerknął i aż podskoczył, bo przed sobą zobaczył Rona. Nim się opamiętał, brat minął go w pędzie, owiewając ciepłym powietrzem. James ponownie przegrał.

Obrócił się z niesmakiem na pięcie. Powędrował pod drzwi, gdzie czekały nań pozostałe dzieci.

- Więcej się w to nie bawię - oznajmił z ponurą miną. - Szukałem was czwarty raz, więcej nie chcę...

Popatrzyli na siebie rozczarowani. James był zawsze taki zabawny, kiedy ich szukał.

- W porządku - oznajmiła Doris - pobawimy się w coś innego.

- Już nie chcę - rzekł James.

Dziewczynka wzruszyła ramionami. Pochwyciła za dłoń Sandrę, ciągnąc siostrę do piaskownicy, sprawionej całkiem niedawno przez ojca. Zamierzała zbudować wraz z nią zamek. Chłopcy, jej zdaniem, do takich spraw się nie nadawali, więc przestała zwracać na nich uwagę.

Ron, w dalszym ciągu mający ochotę na chowanego, przez jakiś moment spoglądał rozczarowany na siostry, potem splunął pod nogi, co oznaczało, że nie są mu potrzebne do szczęścia.

James z kolei spoglądał na niego, niepewny, co będzie dalej.

- Idziemy stąd - rzekł stanowczo starszy z braci.

- Gdzie?

- Tam gdzie słońce zachodzi...

Kiedy Ron tak mówił, to zawsze to oznaczało, że jest w nie najlepszym humorze.

Lepiej wtedy było zacisnąć zęby i w ogóle się nie odzywać. Lecz James z natury swej należał do niecierpliwych dzieci, pragnących znać wszystko od początku do końca.

- To za daleko... - rzekł niepewnym tonem.

- Głupiś - odszczeknął Ron.

Już wiedział, co należy zrobić. Chłopcy z klasy wiele razy opowiadali o straszliwym osamotnionym domu Vernonów, w którym powiesił się jeden z nich, a przedtem zastrzelił żonę. Podobno widywano go i wieczorami, i

dniami, jak spacerował sobie z obrzmiałą szyją, czerwoną twarzą, wytrzeszczonymi oczyma i sznurem w dłoni...

Ron spojrział na brata.

- James, jesteś odważny?
- Pewnie, że jestem.
- Nie boisz się duchów?
- Duchów nie ma.

Usiedli. Ron zaczął wtajemniczać Jamesa w swoje plany.

- Pójdziemy tam - powiedział - i przekonamy się na własnej skórze, jak to jest. Poza tym będziemy mogli pochwalić się kolegom.

Pomysł spodobał się Jamesowi. Nie znosił nudów, a tutaj zapachniało czymś ciekawym. Był tylko jeden problem.

- To chyba daleko? - zerknął na starszego brata.
- Nie tak bardzo. Parę razy tam byłem...
- Byłeś? I co?
- Chałupa jak chałupa...

Ron powiedział to tak obojętnym tonem, jakby pokazywał na siebie palcem mówiąc: co mi tam jakieś paskudne zjawy. James ponownie na niego zerknął, tym razem z widocznym podziwem.

- Rodzice się wkurzą, kiedy nie przyjdziemy na kolację...

- Do kolacji zdążymy!
- A jeśli nie?
- Głów nam nie urwą. Chodź!

W dwie godziny później przyjechał do domu Jacob Mortimer. Przywitał się z dziewczynkami, rozejrzał za chłopcami, lecz nigdzie ich nie znalazł.

- Gdzieś poszli? - spojrział na Lisę, która już zdążyła wrócić z kościoła.

- Nie wiem, tatusiu. Oni zawsze coś nabroją.

Mortimer pokiwał twierdząco głową, uśmiechając się od niechcienia. Tak, w żyłach Jamesa i Rona płynęła jego krew. Dokazywali tak samo, jak on za szczenięcych lat.

Lekki uśmiech zszedł mu z twarzy. Powrócił na nią surowy, zamyślony wyraz.

Jacob wszedł do domu. Zostawił rzeczy w holu, zajrzał do gościnnego pokoju.

Frances moczyła nogi w miednicy, wypełnionej żółtym roztworem jakiegoś świństwa i przy okazji czytała jeden z romansów Harlequina. Mortimer nie znosił literatury tego rodzaju, podobnie jak Frances nie przepadała za lekturą podróżniczą, uwielbianą przez niego.

- Halo, kochanie! - rzekł.

- Cześć - odparła.

Wyglądała wyjątkowo ładnie. Mortimer był dumny, przyglądając się żonie. W swoim czasie zawróciła w głowie niejednemu chłopakowi, ale to on został tym szczęśliwcem, którego wybrała.

Usiadł na kanapie obok Frances.

- Wiesz, zabiję tego drania! - powiedział. - Zabiję sukinsyna jednego!

- Ależ, Jacob!... Kogo masz na myśli?

- Kogo? Teda Mertona oczywiście. Dupek od tygodni nie oddaje mi pożyczonych pieniędzy. A powinien to dawno uczynić. Łajdak jeden. Robi ze mnie balona. Nie zamierzam dłużej na to pozwalać. Pożycz przyjacielowi pieniądze, to na pewno go stracisz.

- Ted to porządny facet. Ma problemy, jeśli nie oddaje.

- Gównno mnie obchodzą jego problemy. Każdy ma swoje, ja też!

- Pogadaj z nim...

- Gadałem setki razy.

Frances przymknęła oczy. Ted przychodził do niej prawie codziennie.

Przychodził, kiedy tylko zdarzyła się okazja, kiedy Jacoba nie było w domu, kiedy dzieci spały. Kochali się do szaleństwa, zapominając o jakiegokolwiek ostrożności. Merton był nadzwyczaj dobry w tych sprawach. Z trudem powstrzymywała się od krzyków, gdy sprawiał jej rozkosz.

Co do wyrzutów sumienia, to miała je wyłącznie na początku. Ostatecznie Jacob też ją kilka razy zdradził - znalazła na to dowody, chociaż niezbyt oczywiste. Za rękę nigdy go nie złapała. Sprawa rozeszła się po kościach.

Kochanka Jacoba gdzieś tam wyjechała, a on wkrótce o niej zapomniał.

- Czego chciał Merton? - spytał jej mąż.

- Merton? - zdziwiła się Frances.

- Przecież był u nas wczoraj?

- Wcale go nie było! - odparła Frances, rumieniąc się nieco.

Jacob umilkł. Przypatrzył się bacznie żonie. Coś mu tu nie grało. Wyczuwał jakieś niedomówienie, jakiś fałsz, jednak za nic nie potrafił skonkretyzować tego uczucia.

- Ewa Carroll powiedziała mi dziś w pracy - wciąż przyglądał się Frances - że widziała go, jak wchodził do naszego domu.

- Musiała się pomylić - odparła.

- Tak, chyba się pomyliła.

Przez chwilę nic nie mówili. Kłamstwo ma krótkie nogi - pomyślała Frances. Jacob jest inteligentny. Zacznie się zastanawiać, stanie się podejrzliwy. Zacznie węszyć. Muszę bardzo uważać. Pieprzenie ma wiele zalet, ale stanowi zbyt wygórowaną cenę za rozpad małżeństwa. Mam za dużo do

stracenia. Może powinnam być twarda. Natychmiast zrezygnować z Teda. Chyba nie potrafię.

On tak wspaniale mnie słucha. Jest taki delikatny. O wszystkim mu mogę powiedzieć. Ma zawsze tak rozmarzone oczy, kiedy na mnie spogląda.

- Przycisnę drania! - pokiwał głową Jacob.

- Nie wiem, kochanie, czy dobrze zrobisz. Wcale nie usiłuję bronić Mertona. Jest mi obojętny. Ale to twój kolega, a nawet przyjaciel. Nie podejmuj decyzji pod wpływem nerwów, potem możesz tego żałować...

- W ogóle żałuję wszystkiego, co ma związek z tym dupkiem...

Jacob urwał. Zamyślił się.

- Kochanie - zakomunikował - w poniedziałek wyjeżdżam na tydzień do Dallas. Rozumiesz, jak to jest. Muszę spotkać się z różnymi ludźmi, pozalać różne interesy.

- Rozumiem - rzekła. - Nie mam nic przeciw interesom, o ile nie mają pięknych jasnych włosów i zgrabnych ud.

Roześmiał się.

- Tobie i tak nikt nie zagrozi - stwierdził.

Czuł się już lepiej psychicznie. Ted Merton rzeczywiście go dobijał swoim chamstwem i tupetem. Tego dnia ośmielił się na niesłychaną bezczelność.

Oznajmił, że to wcale nie jego, Teda Mertona, wina, że nie oddaje forsy, tylko Jacoba, bo on mu ją pożyczył, czyli on ponosi największą odpowiedzialność za ten niefortunny zbieg okoliczności...

Dam mu jeszcze tydzień - przemknęło Mortimerowi przez głowę. Ostatni tydzień. A później go naprawdę przycisnę. A teraz koniec. Nie chcę więcej myśleć o tym

kutasie.

Minęli Dębowy Las, a raczej mieszany las, zarośnięty krzewami, dzikimi jeżynami, pokrzywami, i wyszli na polną drogę, prowadzącą na skróty do farmy Vernonów.

James otarł z czoła pot. Wędrowali już od dwóch godzin. Obaj trochę się zmęczyli. Jednak widok w oddali murów domostwa samobójcy wykrzesał z nich nowe siły.

Teren był potwornie zaniedbany. Zarośnięty najróżniejszymi chwastami i wysoką trawą. Wały się po nim deski, cegły. Dzicz na każdym kroku i widoczny brak ręki gospodarza.

- Strasznie tutaj - wzdrygnął się James.

- Tchórz cię obleciał? - roześmiał się Ron, choć wcale mu do śmiechu nie było.

Tak naprawdę cieszył się, że nie wpadł na pomysł, aby przyjść tu w nocy. Tylko upiór, podobno, pokazywał się także za dnia.

- Boję się, Ron. Lepiej wracajmy do domu.

Starszy z Mortimerów potrząsnął pogardliwie głową. Postanowił zaimponować bratu. Nic go nie mogło od tego odciągnąć. Nawet strach pulsujący w żyłach.

- Podobno ma czerwone oczy - jęknął James. - Świeące czerwone ślepia. Gdy nimi na ciebie spojrzysz, to nie ujdiesz cało. Upiór przyjdzie po ciebie!

- Strasznie się boję - kiwnął ramionami Ron.

Teraz widzieli wyraźnie dom. Był brudny, miał powybijane okna, w niektórych widniały wstawione deski. Wiejący od jego strony zrywami wiatr przynosił zapach stęchlizny, kociego moczu i czegoś jeszcze, czego nie umieli rozpoznać.

- Ron?!

- Co takiego?

- A jeśli to nie bajki, jeśli spotkamy tego upiora?...

- Przestań pieprzyć! Dobrze!?

Powiedział to twardym szorstkim głosem, usiłując w ten sposób dodać sobie odwagi.

- Wracajmy, Ron!

- Zamknij się.

Dom z bliska robił jeszcze gorsze wrażenie. Obaj bracia zadarli głowy do góry, spoglądając na odległy dach, wzorowany - Kirk Vernon należał do ekscentrycznych ludzi - na gotyckich zamkach. Był to jedyny taki budynek w okolicy, a może nawet w całym stanie.

James, znacznie wrażliwszy od brata, miał wrażenie, że coś spogląda na nich obu, śledząc baczenie każdy ich krok. Czuł się z sekundy na sekundę gorzej i mniej pewnie. Jednak rozumiał, że Ron nie ustąpi.

- Wchodzimy - powiedział.

- Ron...

- Co?

- Ja naprawdę się boję.

- Jesteś głupi...

Ron Mortimer strzyknął śliną pod nogi, dając w ten sposób do zrozumienia, co myśli o gadaniu młodszego brata. Potem zdecydowanym krokiem podszedł ku wpółotwartym drzwiom.

W holu zalegał mrok. Ron przedzierał się wzrokiem po pustych kątach, osnutych sitowiem pajęczyn. Spoglądał na meble pokryte zabezpieczającym płótnem i szedł wolno dalej.

James wytrzeszczył oczy ze strachu. Miał w sobie pewność, przenikającą żyły zimnem, że zaraz coś oślizgłego dotknie z tyłu jego karku. Stary posepny Kirk, ze sznurem zwisającym na piersi, na pewno gdzieś tam sobie był, obserwując z okrutnym uśmiechem dwóch nierozważnych

chłopców, co chcieli się popisać odwagą. A obok Vernona szczyrzyła zęby jego żona, z twarzą rozwaloną przez kulę.

- James?

Chłopak aż podskoczył.

- Co takiego? - szepnął.

- Wchodzimy na górę. Musimy odnaleźć pokój, w którym... No wiesz... Uważaj na schody. Mogą być spróchniałe...

Schody skrzypiały. Wydawały z siebie długie zawodzące jęki. James pomyślał o kotach, wyjących wieczorami jak potępiency z piekła. Kiedy usłyszał po raz pierwszy ten koci jazgot, skamieniał. Nie wszystko na tym Bożym świecie jest ładne - powiedział wówczas ojciec.

- Szkoda, że nie wzięliśmy latarek - zauważył Ron. - Tutaj jest całkiem ciemno.

James wpatrywał się usilnie w kolana brata, wolno i ostrożnie podnoszące się do góry. Ron wspinał się powoli, na paluszkach, rozglądając się na wszystkie strony.

On również się boi - przemknęło Jamesowi przez głowę. - On również...

Ron przełknął ślinę.

Stał na górnym korytarzu, na tym samym, po którym niegdyś Kirk Vernon szedł swoją ostatnią drogą, prowadzącą prosto do piekła.

Ron przymknął na chwilę oczy.

Teraz i on poczuł tajemniczą wibrację, nakazującą mu natychmiast wyjść z domu. Jego wewnętrzny głos wcale nie prosił, wcale nie dyskutował, po prostu rozkazywał.

Chłopiec przystanął niepewnie. James, do tej pory znajdujący oparcie w odwadze i zimnej krwi Rona, ujrzał jego wahanie i także się zatrzymał.

- Wracamy! - oznajmił Ron Mortimer.

Nie musiał tego powtarzać dwa razy. James natychmiast się odwrócił... Biegł po schodach w tempie znacznie szybszym, niż się po nich wdrapywał. Za sobą słyszał brata, który też przyśpieszył.

Po paru minutach stali na dworze, oddychając głęboko i spoglądając na siebie.

- On tam był - powiedział przymykając oczy James. - Wiesz o tym, prawda? Dlatego zawróciliśmy?

- Bzdury. Nikogo nie było. Zapomnieliśmy latarek, a po ciemku mało co widać. Nadrobimy ten błąd.

- Chcesz tu przyjść raz jeszcze?

- Tak, w nocy. To będzie znacznie bardziej podniecające.

Ron pragnął za wszelką cenę udowodnić bratu, że ma gdzieś upiora, ale przede wszystkim pragnął to udowodnić sobie. Pamiętał swój strach sprzed paru minut i złościł się na siebie. To James zaraził go swoimi obawami i głupią gadką.

Pokaże więc smarkaczowi, że naprawdę jest odważny.

Minęło jeszcze parę minut. Ron zapomniał o nagłym lęku, zepchnął go w podświadomość. Winą za niepowodzenie wyprawy obarczył brata. Jednak zachował to dla siebie.

Szli prędko z powrotem. Rozmawiali o sprawach, z którymi dom Vernonów nie miał nic wspólnego.

- Tatku, tutaj jest bajecznie. To naprawdę twój prywatny odrzutowiec?

Christopher Russell z trudem powstrzymał uśmiech.

Siedział z córką w wygodnych głębokich fotelach w maszynie przystosowanej dla trzech, czterech osób, zawierającej wszelkie udogodnienia łącznie z małym basenem i z salką gimnastyczną.

- Naprawdę - odparł. - Za pieniądze, córeczko, można kupić prawie wszystko, niektórzy twierdzą, że wszystko.

- Kiedy dolecimy do Snow Hills?

- Nawet nie zdążysz mrugnąć... i już będziemy na miejscu.

- Dlaczego wybrałaś właśnie Snow Hills?

- Prowadziłem tam badania naukowe. Okolica bardzo mi się spodobała. Pragnąłem wtedy spokoju, a w owej miejscinie go odnalazłem.

- Wytłumacz mi, czym ty tak naprawdę się zajmujesz?

Russell pomyślał o swoim laboratorium. Pomyślał o wszystkich latach spędzonych na wprowadzaniu genów do komórek rozrodczych najróżniejszych zwierząt.

Posunął się tak daleko w swoich pracach, że z nikim już nie mógł o nich rozmawiać, nawet z innymi naukowcami.

- Inżynierią genetyczną, kochanie.

- O matko, co za straszne słowa. O co w tym chodzi?

Russell wybuchnął śmiechem.

- Czy wiesz, co to jest gen? - zapytał.

- Nie.

- Popatrz na siebie i na mnie.

- Ja jestem ładna, ty brzydki, ale miły.

- Właśnie - odparł całkiem poważnie. - Twoje cechy są wynikiem połączenia dwóch elementów, nazwijmy je elementami dziedziczności. Jeden z nich pochodzi od mamy, a drugi ode mnie. Właśnie je, mówiąc w wielkim uproszczeniu, nazywamy genami. Odpowiadają one za prawidłowy rozwój organizmu i jego odpowiednie funkcjonowanie. Jeśli gen, nośnik informacji genetycznej, ulega uszkodzeniu, czyli mutacji, to na świat przychodzi kaleki osobnik. Na pewno słyszałaś o hemofilii?

- Słyszałam.

- To przykra choroba. Wystarczy drobne skaleczenie, aby doszło do śmierci. Inżynieria genetyczna prowadzi do usunięcia chorego genu i zastąpienia go nowym. W każdym organizmie są geny odpowiedzialne za masę czynności, chociażby za włosy na głowie. Kiedyś na przykład do jądra zapłodnionych komórek jajowych myszy wprowadziłem szczerze geny kontrolujące wzrost. Wyhodowałem myszy olbrzymy. Mysie potwory...

- To straszne! - Marita spojrzała na ojca szeroko otwartymi oczyma, ale on nie zwrócił na nią uwagi.

Przypomniawszy sobie, jak po raz pierwszy odszyfrował obce DNA.

Pracował dniami i nocami bez najmniejszego sukcesu. Poznał, co prawda, dosyć szybko budowę tajemniczej substancji, ale doświadczenia przeprowadzane na zarodkach, a polegające na wszczepieniu tej substancji do ich macierzystego łańcucha informacji genetycznej, nie wniosły nic odkrywczego. Młode osobniki rozwijały się normalnie, bez najmniejszych zaburzeń. Obce geny ginęły gdzieś po drodze.

Wtedy zaczął robić to inaczej. Udoskonalił przede wszystkim swój sprzęt badawczy, wydając na to tysiące dolarów. Miał chyba najnowocześniejsze laboratorium na świecie. Wykorzystując dokładność aparatury wprowadzał DNA w ściśle zaplanowane miejsca. Pewnego razu, postępując tak z myszą, osiągnął sukces.

Potulne zwierzątko, słabsze od innych, w ciągu jednego dnia zmieniło się nie do poznania. W tłumie podobnych sobie spychane dotychczas na bok, zaczęło odgrywać pierwszoplanową rolę. Mało tego! Russell dostrzegł, że mysz zachowuje się tak, jakby jej mózg uległ znacznemu poszerzeniu, jakby zyskał dodatkową inteligencję. Zwierzę zamknięte w skomplikowanym labiryncie wraz z kotem, zawsze wyprzedzało jego ruchy, nigdy nie pozwalając się schwytać...

Przed wszczepieniem obcego DNA nic takiego się nie zdarzało.

Wniosek był jeden! Tajemnicza substancja nie powodowała zmian somatycznych, powodowała jakieś zmiany psychiczne w organizmach.

Russell przez lata badań zaserwował specyfik z kosmosu pokaźnej liczbie zwierząt. Rezultat zawsze był taki sam: żadnych mutacji w kodzie genetycznym, za to zmiany w percepcji, zmiany na lepsze... Pewnego dnia postanowił wprowadzić DNA do własnego organizmu. Fakty świadczyły o tym, że nic mu nie grozi. Pomimo faktów bał się. Zawsze istniało prawdopodobieństwo, że ludzki organizm nieco inaczej potraktuje ową substancję.

Jednocześnie prowadził doświadczenia nad stworzeniem nowych gatunków biologicznych, w czym doszedł był do perfekcji. Miał na swoim koncie wprowadzenie do zapłodnionej komórki rekina genów

ludzkich, odpowiedzialnych za sprawne funkcjonowanie mózgu. Zmutowane zwierzę żyło sobie spokojnie w basenie pochłaniając na śniadanie olbrzymie kawały okrwawionego mięsa. Było bardzo żarłoczne, o wiele żarłoczniejsze od swoich krewniaków. No i wyglądało trochę inaczej...

Jeśliby ktoś spytał Russella po co to robi, odparłby, że lubi się bawić w Pana Boga.

Na początku dziewięćdziesiątego siódmego roku w jego laboratorium przyszedł na świat osobnik, którego nazwał PEŁZACZEM. Czuł się bardzo nieprzyjemnie, gdy stał przed swoim dziełem, spoglądając w jego krwawe czerwone źrenice.

Twór ów, w każdym swoim ruchu, niósł ze sobą technienie straszliwej śmierci...

Marita wciąż patrzyła na ojca.

- To ciężka praca, córeczko - powiedział, wrywając się z zamyślenia. - Ciężka, a może i niebezpieczna. Niewielu ludzi pojmuje jej znaczenie...

- Więc robisz podobne rzeczy, jak ci faceci, co sklonowali tę owieczkę?

- Tak, podobne. Jestem tylko od nich znacznie lepszy. Nie mówmy już o mojej pracy. Pomówmy o tobie. Twoja matka nie zgromadziła wystarczających środków na to, aby zapewnić ci odpowiednie wykształcenie. Postanowiłem nadrobić ten niefortunny zbieg okoliczności, rzecz jasna, gdy wyrazisz zgodę...

- Co masz na myśli?

- Pięknie śpiewasz. Masz rzadko spotykany talent. Słyszałem, jak śpiewałaś „Ave Maryja”. Wynajmę najlepszych nauczycieli, którzy nadadzą szlif twoim uzdolnieniom.

- Bardzo bym chciała...

- Wspaniale, kochanie. Gdy wrócimy ze Snow Hills, zacznę nad tym pracować...

Zamilkli.

Marita pogrążona w rozważaniach spoglądała przez okno, podziwiając widoki.

Christopher Russell usnął.

Obudził się już w Snow Hills. Wprost z lotniska zawiózł córkę do hotelu, pomógł jej się rozpakować. Zjedli lunch. Następnie wyszedł do miasta, wynajął samochód i pojechał nim do biura Richarda Bromleya. Pośrednictwo w handlu nieruchomościami - głosiła wywieszka nad drzwiami eleganckiej willi. - Fachowe doradztwo, pomoc, konsultacje. Tanio i lepiej niż gdziekolwiek.

Po zimnej twarzy Russella przemknął uśmiech, kiedy przeczytał te ostatnie słowa.

Uczony wszedł do biura, został przyjęty ciepło przez sekretarkę, która zawsze tak witała gości z grubszym portfelem. Po chwili usiadł w głębokim fotelu w zacisznym, przytulnym gabinecie Bromleya.

Mężczyzna palił grube cygaro. Wyjął je na moment, gdy wstawał, witając się z gościem. Russell, przyjrzawszy mu się, kiedy stał, odniósł wrażenie, że jeszcze bardziej przytył.

Richard Bromley był niski i nieprzyzwoicie gruby, ale miał bystre oczy. Wyglądał na takiego, co zawsze mniej mówi, niż myśli. W każdym jego ruchu, spojrzeniu, zdaniu zawierała się jakaś dwuznaczność. Tak, tak... - zdawał się odpowiadać - tak pan twierdzi, lecz ja wiem swoje...

Oddychał ciężko, jakby miał problemy z sercem lub chorował na astmę.

- Proszę, jednak pan przyjechał... - zagadnął. - Czyżby rzeczywiście zdecydował się pan na kupno posiadłości Vernonów?

- Tak - oznajmił Russell.

Bromley przypatrywał mu się nieruchomymi oczyma, co na uczonym sprawiało przykre wrażenie, że ma przed sobą zimnokrwistą rybę.

- Robi pan świetny interes - oznajmił.

- Mam nadzieję.

- Ta posiadłość jest w nie najlepszym stanie. Ale remont nie pociągnie za sobą wielkich kosztów... Wartość budynku, moim zdaniem, będzie z roku na rok rosła. W dodatku tamtejsza ziemia to prawdziwy miód. Gratuluję panu, panie Russell, dobrego wyboru.

- Nie jestem farmerem, drogi panie. Szukam ciszy i spokoju.

- Och, z pewnością pan je tutaj znajdzie. Z pewnością!... A co do pieniędzy...

- Pieniądze nie grają roli. W tym tygodniu przeleję należną sumę na pańskie konto.

- W takim razie możemy podpisać umowę. Czy nie ma pan do niej żadnych zastrzeżeń?

- Nie. Przejrzałem ją wraz z adwokatem. Wszystko jest w porządku.

Bromley skinął głową.

- Wiedziałem, że tak będzie - oznajmił. - Wydaje mi się, że kiedyś już pan odwiedził nasze Snow Hills. Najwidoczniej miasto bardzo przypadło panu do gustu?

- O tak. Przyjechałem tu zeszłego roku.

- Podczas pamiętnego nalotu UFO?

- Właśnie.

- Jest pan dziennikarzem?

- Niech pan nie wyciąga pochopnych wniosków. Zajmuję się czymś innym.

- To dobrze. Kiedy słyszę o kosmitach i latających

spodkach, to mam ochotę strzelać.

- Uważa pan to za bzdury?

- Potworne, proszę pana.

- Pójdę już. Przyjechałem razem z córką. Niedługo dołączy do mnie żona.

- Cóż, życzę państwu przyjemnego pobytu w nowym domu.

Wstali. Bromley wyszczerzył zęby w symbolicznym uśmiechu. Za żadne skarby nie chciałby znaleźć się na miejscu swojego gościa. W nie zidentyfikowane objekty latające wprawdzie nie wierzył, ale za to wierzył w duchy. A już szczególnie obawiał się miejsc, w których mieszkali samobójcy, skazani - zdaniem Bromleya na wieczne potępienie.

Marita spała w słonecznym pokoju „Wymarzonej Nocy”. Obudził ją warkot silnika samochodowego. Ktoś za oknem usiłował na próżno zmusić go do pracy.

Dziewczyna, zmęczona podróżą, przycisnęła do głowy poduszkę, lecz to wcale nie pomogło.

Usiadła w łóżku przez moment rozglądając się błędnym wzrokiem po pomieszczeniu. Po paru sekundach przypomniała sobie gdzie jest i co robi.

Zerknęła na zegarek. Ojca nie było prawie półtorej godziny.

Wstała, wyjrzała przez okno. Na niebie zaświeciło słońce. Na ulicy stało kilka samochodów. Po przeciwnej stronie jezdni spostrzegła bar. Poczowała się głodna.

Postanowiła tam pójść, zjeść hot-doga, czy coś w tym rodzaju.

Wprawdzie ojciec prosił, aby bez niego nigdzie nie wychodziła, ale to było niedaleko.

Powędrowała do łazienki. Przeplukała zimną wodą

twarz. Umyła zęby, skropiła skórę na uszach i przy szyi perfumami, kupionymi od dystrybutora firmy Amway.

Rozpuściła włosy i rozczesała. Kiwnęła zadowolona głową, wróciła do pokoju.

Założyła cienkie rajstopy, krótką spódnicę i lekkie beżowy sweterek.

W recepcji hotelu zostawiła wiadomość dla ojca, że poszła na przekąskę do baru po drugiej stronie ulicy.

Na dworze było chłodniej, niż się spodziewała. Przez chwilę myślała, czy nie wrócić, aby ubrać się w coś cieplejszego. Dała spokój. Weszła do lokalu, który raczej kojarzył się z restauracją i to wytworną, niż z barem. Stały w nim ławy z dębowego drewna, wykonane w kształcie głębokich wygodnych foteli i stoły, szerokie, mocne, o rzeźbionych bokach. Każdy stół, wraz z towarzyszącą mu ławą, oddzielał od następnego drewniany parkan, wysoki na metr, i przybrany sztucznymi kwiatami.

Po drugiej stronie znajdowała się pijalnia, sporządzona w mniej wykwintny sposób, a przeznaczona najwidoczniej dla biedniejszych klientów.

Marita od razu polubiła to miejsce.

Pięknie tu - pomyślała i podeszła do lady. Nie zauważyła, że wszyscy dyskretnie ją obserwują.

Młoda blondynka przyjrzała jej się uważnie, obrzucając spojrzeniem od dołu do góry i oceniając urodę, figurę, a także ubranie.

- Poproszę hot-doga - rzekła Marita - i coś do picia. Może być herbata...

- Niech pani usiądzie - odparła dziewczyna. - Zaraz podam. Pani na pewno jest w naszym mieście przejazdem?

- Och, nie! Kupujemy tutaj dom...

- Dom?... - szybko powiedziała dziewczyna,

otwierając szerzej oczy.

- Tak! Będę mieszkała w Snow Hills.

- Więc to pani ojciec kupuje posiadłość Vernonów?

- Zgadza się...

Widać było, że dziewczynę świerzbi język. Jej policzki zaczerwieniły się z podniecenia, a wzrok rozblysnął nieskrywanym zainteresowaniem.

- To fascynujące... To takie ciekawe... Ale ja bym się obawiała na pani miejscu...

- Dlaczego?

- Chętnie porozmawiam. Proszę usiąść. Zaraz przyjdę z posiłkiem. Gości jest niewielu, więc...

Marita uśmiechnęła się, wyciągając dłoń.

- Mówmy sobie po imieniu. Nikogo tu nie znam. Będiesz moją pierwszą koleżanką, a może i przyjaciółką.

- Jestem Emie... Emie Davis!

- A ja Marita Russell!

- Usiądź. Zaraz przyjdę...

Marita, zadowolona że w tak nieoczekiwany sposób zawarła nową znajomość, usadowiła się na jednej z ław. Za moment pojawiła się Emie z tacą. Zdjęła z niej hot-doga i dwa kieliszki...

- To szampan - uśmiechnęła się. - Francuski szampan. Wypijemy go z okazji twojego przyjazdu. Czy jesteś Amerykanką? Masz taki dziwny akcent...

- Pochodzę z Sycylii. W Stanach jestem od niedawna.

- Ach, tak...

Emie Davis, wnuczka Joshuy Parkera, wcale nie miała - jak mawiał jej dziadek dobrego charakteru. Miała tylko przywoity wygląd, którym wprowadzała ludzi w błąd co do swojej osoby. Moja Emie - twierdził Joshua, kiedy już wypił - to pomimo młodego wieku złośliwe i nadmiernie gadatliwe

babsko. Jak ona uwielbia plotki. Powiedz jej dwa słowa, a zrobi z nich sto o zupełnie odmiennym sensie...

Tymczasem Emie zastygła z wrażenia. Wiedziała, że Christopher Russell mieszkał od lat w Nowym Jorku... Co w takim razie jego córka robiła we Włoszech? - zadawała sobie pytanie. Muszę do tego dojść - postanowiła.

- To piękny kraj!

- Byłaś już w swoim domu?

- Jeszcze nie.

- Na twoim miejscu - szepnęła Emie opuszczając oczęta i bawiąc się kieliszkiem - trochę bym się bała!

- Bała?!!!... Czego?

- Nic nie słyszałaś?

- Nie...

Emie westchnęła bardzo ciężko.

- Wybacz, że właśnie ja ci to powiem - znaczyło to westchnienie. - Jednak wcześniej czy później sama dowiesz się prawdy. - Poprzedni właściciel - oznajmiła - zastrzelił swoją żonę, a potem się powiesił...

- To przykre. Ale takie rzeczy się zdarzają...

- Nie rozumiesz... Pochowano go na nie poświęconej ziemi... On jest przeklęty... Przeklęty na wieki... Jego zjawa błądzi wieczorami wokół swego domostwa. Podobno ci, co ją ujrzą, skazani są na śmierć...

- Nie wierzę w takie rzeczy. Jeśli ją spotkam, to postawię jej drinka. Sądzę, że się nie obrazi.

Emie wydeła policzki, naburmuszyła się.

- Myślisz sobie, że jestem głupiotka?

- Wcale tak nie myślę...

Emie utkwiała wzrok w drzwiach i uśmiechnęła się. Sytuacja sama przychodziła jej z pomocą. W progu stanął Sam Wilder a towarzyszył mu starszy z braci Vernonów.

Dziewczyna zerwała się do góry. Właśnie tego jej było trzeba. Ciekawe, co zrobi ten niedojda, gdy się dowie, kim jest jej towarzyszką?

- Mike - wrzuciła na usta jeden z najpiękniejszych, najzdradliwszych uśmiechów - Mike, chciałabym cię z kimś poznać... Pana, szeryfie, również...

Vernon kołysał się to w jedną, to w drugą stronę, popatrując na Emie nieprzytomnym wzrokiem. Miał tak dużo alkoholu we krwi, że pragnął paść na pierwsze lepsze łóżko, zapominając na śmierć o Bożym świecie. Problemy, kłopoty, kobiety... Cóż go to mogło obchodzić, gdy w kieszeni nie było grosza, a życie rozlatywało się w gruzy?

Szedł niepewnie za Samem Wilderem i prawie oparł się o jego plecy, kiedy ten nagle stanął.

- Marito! To nasz stróż prawa, Sam Wilder - uśmiechnęła się lekko Emie. - A to Mike Vernon... Panowie! Przed wami przyszła właścicielka farmy Kirka Vernona... panna Marita Russell!

Przed Mikiem huknął naraz grzmot. Wpatrzył się w młodą kobietę szaleńczymi oczyma, rozumiejąc i zarazem nie rozumiejąc... W przytłoczonej nieszczęściem głowie jak nocne ćmy wirowały wspomnienia. Już nic nie pojmował. Nie rozumiał, kto zawinił i dzięki komu pałęta się po ulicach Snow Hills, wyśmiewany przez dawnych znajomych, którzy kiedyś widzieli w jego rodzinie wzór do naśladowania, a teraz wycierali sobie jej nazwiskiem gęby. Pojmował jedynie to, że jest strasznie nieszczęśliwy, biedny...

I...

I rosła w nim potężna złość na cały świat, że go tak stłamsił, zepchnął na samo dno. A rosła zwłaszcza na tę śliczną ciemną dziewczynę, uśmiechającą się tak niewinnie... tak niewinnie wyciągającą rękę. Na tę dziewczynę, co

ośmieliła się wykupić jego ziemię, jego dom, a wraz z nimi i jego marzenia.

- Ty przekłeta dziwko! - syknął nienawistnie. - Myślisz, że masz prawo? Kto ci je dał? Dlaczego zabierasz coś, co należało od lat do mnie. Dlaczego?

Zachwiał się...

Marita zbladła. Nie potrafiła oderwać spojrzenia od opętanych nienawiścią oczu Vernona. Widziała w nich czarną otchłań bez dna.

- Zabiję cię, suko - cedził dalej. - Zabiję cię, ty przekłeta dziwko z piekła rodem.

Już nie potrafił się powstrzymać. Wyciągnął ku niej dłonie zakrzywione niczym szpony. Skoczył do jej twarzy, krzycząc z gniewu.

Sam Wilder, zaskoczony niespodziewanym rozwojem sytuacji, w ostatniej sekundzie pchnął Vernona w bok, Ten upadł. Gdy się podnosił, szeryf uderzył go w twarz. Mike rozciągnął się na podłodze.

Wilder, zakłopotany, pokręcił głową, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Przepraszam panienkę - rzekł wreszcie. - To się więcej nie powtórzy. Mike Vernon jest dobrym facetem. Ostatnio sporo przeszedł. Może dlatego stracił nad sobą panowanie. Jeszcze raz przepraszam...

- Nic mu nie zrobiłam - szepnęła Marita.

- To prawda. On za dużo wypił... Proszę jednak zrozumieć! To kiedyś była jego ziemia, jego dom. On to bardzo przeżywa. Jestem pewien, że gdy oprzytomnieje, przeprosi panią za swoje zachowanie. Gdzie się pani zatrzymała?

- W hotelu obok.

- Mogę panią odprowadzić?

- Proszę...

Marita skinęła Emie. Wyszli na dwór.

- To ładne miasteczko, panno Russell - rzekł Sam Wilder. - Jest tutaj spokojnie i cicho. Ludzie wzajemnie się szanują. Większość z nich to metodyści, liczni też są katolicy. Mam nadzieję, że pani rodzina szybko zakorzeni się w tej społeczności.

- Też mam taką nadzieję...

Przeszli na drugą stronę ulicy, weszli do hotelu. Christopher Russell zdążył już wrócić. Położył się na tapczanie i przeglądał „Time”, czytając artykuł o dzikich zwierzętach w Amazonii. Poderwał się na równe nogi, gdy ujrzał córkę wraz z obcym mężczyzną.

- Nazywam się Sam Wilder - przedstawił się. - Jestem miejscowym szeryfem.

Russell przez moment rozkładał obraz Wildera na czynniki pierwsze.

- Czy coś się stało? - zapytał w końcu.

- Nic takiego. Dziewczyna była w barze. Wszedłem tam z Mikiem Vernonem...

- Z tym Vernonem?

- Tak. Z tym... On dużo pije. Kiedy usłyszał, kim jest pana córka, nerwy mu puściły...

- Ale nic się nie stało?

- Na szczęście nie. Powiedziałem już Maricie, że Mike to dobry chłopak. Spadło na niego sporo nieszczęść, to wszystko...

- Nieszczęść?

- Nic pan nie wie?

- Proszę usiąść w fotelu i mi opowiedzieć.

Szeryf spełnił życzenie uczonego. Przez moment zbierał myśli. Russell cierpliwie czekał, wciąż śledząc spod

oka gościa.

- Kirk Vernon, ojciec Mike'a, splajtował. Wie pan, niepewne interesy... Zastrzelił żonę, a sam się powiesił. Dwaj jego synowie dźwigają teraz ten ciężar na barkach. Oto cała historia.

- Nie miałem pojęcia!

- Przecież to nie pana sprawa.

- Tak, pewnie nie. Dziękuję panu, że zaopiekował się pan Maritą. Może pojedzie pan z nami obejrzyć posiadłość?

- Dziękuję za zaproszenie. Jednak nie mogę. Obiecałem żonie wcześniej wrócić do domu.

Sam Wilder podniósł się. Gdy otwierał drzwi, raz jeszcze spojrzął na Russella.

- Proszę się naprawdę nie przejmować tym incydentem. Snow Hills to miła miejscina.

- Nie wątpię - uśmiechnął się Russell.

Gdy tylko szeryf wyszedł, pojechali na farmę obejrzyć swój nowy dom. Marita wydawała co chwila okrzyki zachwytu, kiedy mijali jakiś ładniejszy zakątek lub strzeliste wiekowe drzewa.

Dom wywarł na dziewczynie jak najlepsze wrażenie, a Russell, który oglądał go już wcześniej, chłonął z przyjemnością radość córki.

- Niedługo, kochanie, w nim zamieszkamy. Trzeba jeszcze sporo pracy włożyć w jego remont. Na początku tygodnia zjawi się tu ekipa murarska, a roboty potrwać nie dłużej niż trzy tygodnie. Wkrótce potem przyjedziemy na stałe do Snow Hills...

Mike Vernon obudził się późnym wieczorem. Spoglądał zaskoczony po pomieszczeniu, bo widział je po raz pierwszy. Niewiele też pamiętał z ostatnich godzin oprócz tego, że wypił o wiele za dużo. Włożył spodnie, koszulę i

wciąż przyglądając się nieznanym rzeczom, zszedł po schodach.

Na kanapie siedział w najlepsze Sam Wilder, wpatrując się w reklamę nowego proszku do prania. Nogi oparł na stole, stojącym przy łóżku. Usłyszał kroki Vernona, ale nie odwrócił głowy.

- Do diabła, Sam, co ja tu robię? - zapytał Mike.

- Opróżniasz krew z alkoholu.

- Tak się spałem?

- Nie mogę cię nawet porównać do pijanej świni...

- Hmm... Musiało być niedobrze...

- Było gorzej niż źle!

- Co zrobiłem?

- Rzuciłeś się na dziewczynę!

- Do diabła...

- Nazywa się Marita Russell. Dowiedziałeś się, że jej ojciec kupuje twoją byłą chałupę... Mike...

- I wtedy ja?...

- Tak. I wtedy ty...

- Mój Boże! Chyba mi nie pozwoliłeś?

- Nie pozwoliłem. Za to pozwoliłem sobie grzotnąć cię w szczękę!

- W porządku, Sam. Należało mi się. Co z Nickiem?

- Nie wiem. Nie spotkałem go. Aha! Rozmawiałem z Gloria. Możesz przez parę dni zamieszkać u mnie wraz z bratem. Będziecie mi pomagali w hodowli królików.

- Hodujesz króliki? Nic o tym nie wiedziałem...

- Teraz już wiesz.

Szeryf na moment umilkł. Reklamy dobiegły końca. Jakiś nadęty bubek zaczął opowiadać o prostytutce nieletnich. Przez chwilę słuchali obaj jego wypowiedzi.

- Kto to? - zapytał Mike.

- Nie znasz faceta?
- Nie przypominam sobie...
- To Harry Hamilton. Kandydat Demokratów na gubernatora...
- Chyba nie zrobi kariery.
- Tak, chyba nie... Wiesz co, Mike! Chciałem z tobą trochę pogadać!
- Przecież gadamy...
- Nie takie gadanie mam na myśli. Zapalisz cygaro?
- Jak to się pali?
- Obcinasz koniec, potem zapalasz. Nie zaciągasz się dymem... Przyjaźniłem się z twoim ojcem. Nie chcę, żebyś zszedł zupełnie na psy. Czy wiesz, że powinienem cię przymknąć za ten incydent?

Mike wypuścił z ust dym.

- Ale nie zrobiłeś tego...
- Jesteśmy w Ameryce, przyjacielu. Tutaj wielu bogaczy plajtowało. Zostawali z paroma centami w kieszeni. Zaczynali od nowa. Odrabiali straty, stając się bogatszymi niż przed upadkiem. Ty również musisz spróbować. A rano wybierz się do Marity Russell. Przeproś dziewczynę.
- Gdzie ona jest?
- Oczywiście u Sandersa! W najelegantszym pokoju rzecz jasna...

- Dobrze, Sam, zrobię tak, jak radzisz.

Wilder wolał nie pytać, czy ma na myśli pierwsze czy drugie, czy też oba razem.

Siedział od paru godzin przed szklanym pudłem, przełączając je z jednego programu na drugi, obserwując bezmyślnie migające reklamy majtek, hamburgerów, nowych wspianiałych pralek do prania, podpasek Always, tamponów, płynów przeciw łysieniu i siwieniu.

Patrz, jaki jesteś szczęśliwy - dumał. - Masz wszystko czego dusza do szczęścia zapragnie. Masz wszystko...

Potem trafił na jeden z tasiemcowych seriali. Znał te gęby i mimiki na pamięć, lecz w żaden sposób nie potrafił przypomnieć sobie tytułu. Może to była „Dynastia”, może „Santa Barbara”. Ostatecznie nie miało to najmniejszego znaczenia. Świadczyło tylko o tym, że jest zmęczony. Mogło też zapowiadać początki sklerozy.

Gloria i Amanda już spały na górze. Czas płynął nieubłaganie. Pozostawały tylko modlitwy do Boga.

Sam wstał chwiejnie. Poszedł do Glorii.

Księżyc zatrzymał puciołowatą twarz na wprost okna. Rozchichotane, drżące lekką poświatą, złote smugi padały na twarz jego żony.

Spała spokojnie.

Ale jej pierś podnosiła się ciężkim nierównym rytmem. Twarz straciła dawną gładkość, nabrała ostrości. Kości policzkowe napięły bladą niezdrową skórę.

Sam Wilder siedział długo. Przymknął oczy. Rozmyślał o minionych latach.

Można by powiedzieć, że w jego pamięci odtwarzała się barwna taśma filmowa. Był tam i moment, kiedy poznał Glorię. Przewijały się wolno chwile ceremonii ślubnej. Słowa, gesty, uśmiechy... Tak nieważne, tak nieznaczące, a teraz droższe niż wszystko. Potem przyszła na świat Amanda... A on, jak to czynili od wieków szczęśliwi ojcowie, przyniósł żonie do szpitala olbrzymi bukiet przepięknych róż...

I ponownie mijały dni, noce...

Sam Wilder, uśmiechając się do wspomnień, zasnął.

W nocy zaczęło padać. Do rana Snow Hills tonęło już w wodzie. Deszcz przestał uderzać w szyby dopiero o świcie.

Niebo trochę się przejaśniło, ale wciąż pozostawało zachmurzone. Na dworze było ciepło.

Mike Vernon wyszedł z domu trzydzieści minut po dziewiątej.

Szedł niespiesznie główną ulicą, nazywaną przez mieszkańców Aleją Księżycową - nikt nie miał najmniejszego pojęcia, skąd się wzięła ta nazwa - i przyglądał się wystawom sklepowym.

Minął Biuro Pośrednictwa Richarda Bromleya, którego serdecznie nie znosił, potem wypożyczalnię kaset video, prowadzoną przez Corę Winklis, siostrę siedzącego za kratkami Matthewa. Przeszedł obok zakładu fryzjerskiego Daisy i Clive'a Davisów. Popatrzył z niesmakiem na „Srebrną Gwiazdę” po drugiej stronie ulicy, a za moment wszedł do „Wymarzonej Nocy”. W recepcji urzędował tego dnia sam Roy Sanders, pogrążony po uszy w sprawdzaniu ksiąg podatkowych.

W Mike'u zakipiała krew na jego widok. Ale przemógł się.

- Szukam Marity i Christophera Russellów - oznajmił.

Sanders drgnął, słysząc jego głos, lecz momentalnie nad sobą zapanował.

Odruchowo dotknął wciąż opuchniętego policzka, natychmiast cofając dłoń. Wciąż bolał, ale jeszcze bardziej bolała zraniona ambicja. Żałował, że nie wziął wtedy ze sobą dyżurującej w recepcji Dory Barnes, miałby świadka jak nic.

Mógłby wnieść oskarżenie o pobicie do sądu. Niestety, nie pomyślał o tym.

Pozostawała, co prawda, jeszcze jedna możliwość: po prostu zaproponować któremuś z pracowników łapówkę za odpowiednie zeznanie. Jednak nigdy czegoś takiego nie robił, uważał to za ryzykowne. A sprawy ryzykowne obchodził z

daleka.

- Może tu są, a może ich nie ma - skrzywił twarz, przyoblekając ją w taki wyraz, aby zakomunikować Vernonowi, jak bardzo nim gardzi.

- Sam Wilder powiedział, że są.

- Pan Russell nie upoważnił mnie, by wpuszczać do niego nieproszonych gości.

- Niech sam o tym zadecyduje - rzekł, lekko zdenerwowany, Mike.

Sanders podniósł słuchawkę. Wykręcił numer.

- Recepcja - oznajmił krótko. - Mike Vernon chce pana zobaczyć. Czy mam go wpuścić?

Słuchał w milczeniu.

- Idź - powiedział do Vernona. Obrzucił pogardliwym wzrokiem bukiet czerwonych róż, trzymany przez tamtego w ręku.

Mike przybliżył swoją twarz do twarzy Sandersa. Przechylił się nad blatem.

- Przyjdzie dzień - rzucił przez zęby - że zapłacisz mi za swoje chamstwo. Nigdy ci tego, Sanders, nie zapomnę... Nigdy...

Hotelarz wzruszył ramionami.

- Jesteś śmieciem, Mike - potrząsnął głową. - Prawdziwym, najprawdziwszym śmieciem. Jedyna rzecz, o jakiej możesz myśleć, to przytułek dla ubogich. Tam cię widzę.

Vernon odwrócił się. Jeszcze chwila, drobna chwila, i ponownie przestałby nad sobą panować. Odetchnął głęboko, próbując zapanować nad nerwami. Szedł powoli po schodach, wyłożonych czerwoną, puszystą wykładziną, zastanawiając się, co powiedzieć Russellom.

Rano skorzystał z uprzejmości Sama, pożyczył jego

maszynkę do golenia - co prawda starą maszynkę - doprowadził się jako tako do porządku. Pomimo to wyglądał katastrofalnie. Z dawnego przystojnego faceta pozostał cień.

Mike zapukał ostrożnie do drzwi. Wszedł.

Russellowie siedzieli przy stole, kończąc śniadanie. Mike zatrzymał wzrok na mężczyźnie, potem przywarł nim do dziewczyny, zapominając języka w gębie.

Marita Russell była śliczna jak marzenie. Ciemna, śniada, o twarzyczce jeszcze dziecinnej, delikatnej, okolonej gęstymi czarnymi włosami...

Błękitne oczy, zamykające w sobie skrawek nieba, spojrzały pytająco.

- Nazywam się Mike Vernon - przedstawił się. - Wczoraj trochę nabroiłem, więc chcę za to przeprosić.

Christopher Russell skinął głową.

- Niech pan siada - rzekł.

Vernon przybliżył się do stołu. Podał kwiaty Maricie, która lekko się przy tym uśmiechnęła i zaczerwieniła.

- Rozumiem pana zachowanie - stwierdził Russell.

- Za dużo wypilem.

- Panie Vernon! Słyszałem o nieszczęściu, jakie dotknęło pana rodzinę. Jestem konkretnym człowiekiem, ale nie pozbawionym sumienia. Dlatego mam dla pana propozycję!

- Jaka? - spytał zaskoczony Mike.

- Wraz z domem kupiłem połowę pana ziemi. Na więcej nie mogłem sobie pozwolić. Zresztą to wystarczająco dużo. Proponuję, aby pan w moim imieniu zrzęczał tym wszystkim. Dam pieniądze na zakup bydła, na uprawę zbóż. Nie czynię tego bezinteresownie. Pan zna te tereny najlepiej! Zna pan je jak własną kieszeń...

- To bardzo zaskakujące...

- Proszę więc to przemyśleć. Nie musi pan odpowiadać od razu. Aha! Jestem samotnikiem. Nie lubię towarzystwa. Poza tym prowadzę prace wymagające samotności... Dlatego, gdyby pan przystał na moją prośbę, zamieszka pan w jednym z budynków gospodarczych! Oczywiście przystosuję go do pana potrzeb!

- Mam dwa pytania!

- Tak?

- Pierwsze dotyczy mego brata. Czy jego również pan zatrudni?

- Oczywiście. A drugie?

- Czy mógłbym pokazać pana córce miasto?

Russell wybuchnął śmiechem.

- To zupełnie inne zagadnienie - rzekł. - Decyzja należy do Marity. Ja natomiast oczekuję od pana szybkiej odpowiedzi. Marito, kochanie, czy chcesz zapoznać się bliżej ze Snow Hills?

- Tak, ojcze - odparła. - Ten pan jednak nie jest takim potworem, jak mi się wydawało.

W pierwszych dniach maja w Garden City, piętnaście mil przed Snow Hills, w barze „Radosny Gość”, wypełnionym po brzegi sezonowymi robotnikami, szukającymi w oparach piwa i whisky wytchnienia po ciężkiej robocie, siedziało trzech mężczyzn, obficie raczących się alkoholem. Wszyscy trzej nie wyglądali na grzecznych facetów, szukających na chwilę odskoczni od szarych obowiązków. Wyglądali na takich, którym lepiej zejść z drogi.

Ale pewien miejscowy łobuz, za bardzo pijany, aby myśleć, szukał zaczepki, pragnąc zaimponować kumplom.

Podszedł do trzech mężczyzn. Stał przed nimi, szeroko rozstawiając nogi.

- Skąd was tu przygnało, zasrańcy? - skrzeknął.

Jednemu z zagadniętych błysnęły na moment oczy. Drugi natychmiast złapał go za rękę. Mężczyzna prawie niedostrzegalnie kiwnął głową, nadal pijąc spokojnie trunki.

- Jasna kurwa - zaklął pijak. - Zwracam się do was, dupki! Macie mi odpowiedzieć...

Mężczyzna wolno odwrócił głowę. Spojrzał...

- Co ty?... - warknął natręt i zamilkł.

Oczy nieznajomego zmroziły go w ułamku sekundy. Te oczy - zimne, niebieskie, pozbawione życia, pozbawione jakiegokolwiek wyrazu, a jednocześnie silne, pewne siebie - zawierały piekło.

Pijak naraz poczuł coś ostrego przy kroczu. Zerknął zdumiony w stronę swojego rozporka. Obcy facet przystawił

mu do jąder nóż.

- Powiedz jeszcze słowo - szepnął - a odetnę ci jaja. A potem poszerzę dupę twojej mamusce. Powiedz jeszcze słowo...

- Ty... Ja...

Zamilkł. Z nieznanego emanowało takie zło i poczucie własnej siły, że odwrócił się jak niepyszny, odszedł.

- Fajnie to rozegrałeś - przyznał koledze Procentowy John. - Nic się nie zmieniłeś, Fernando!

Fernando był wysoki, proporcjonalnie zbudowany, szczupły w biodrach, szeroki w barach. Na pozór niczym się nie wyróżniał: krótko ścięte włosy, przyjemna twarz, tylko to spojrzenie, przyprawiające o lęk.

John pamiętał dreszczyk, przyjemny dreszczyk, który przeszedł mu po plecach, gdy jego kumpel dopadł kiedyś w więzieniu na osobności kapusia i zarzucił mu płachtę na łeb, nim tamten cokolwiek dostrzegł. W ruch poszedł gruby ciężki kij.

Kapusz wrzeszczał, a Fernando walił i walił... z coraz większym zaangażowaniem, z coraz większą uciechą...

Tak. Byli do siebie podobni. Lubili zadawać drugim ból. Potem, gdy wyszli z pudła, była ta piętnastoletnia cizia z bardzo długimi nogami, nieświadoma świata i ludzi, żyjąca urojeniami. Wcisnęli jej bajer, uwierzyła. A oni już się z nią zabawili...

Później spotkali Siwego Boba. Olbrzymi, kwadratowy i sękaty Mulat, Twarz w szramach, nieruchomy gadzinowaty wzrok, ciało w tatuażach. Na piersi dziewczyna z rozstawionymi nogami. Pod spodem napis: zrobiłem ci kuku, kochanie. Bob mówił niewiele. Uwielbiał rozkazywać i żyć na luzie. Stawał się potworem, gdy ktoś mu podpadł. John kiedyś słyszał, że na zlecenie mafii odbierał od ludzi długi.

- Więc co robimy? - zagadnął Mulat.

- Co robimy? Zabawimy się, przyjacielu. Posłuchajcie uważnie! Snow Hills to niewielka dziura. Szeryf nazywa się Sam Wilder i jest zarozumiałym sukinsynem, który musi odpokutować za swoje błędy. Poza tym w okolicy znajduje się parę bogatych farm. Są jakieś tam banki... Więc przyjdziecie w nocy. Podzielimy się na grupy. Potem odwiedzimy paru miejscowych bonzów, dwóch, może trzech w tym oczywiście szeryfa - i zgarniemy ich rodziny. Zamkniemy w sobie tylko znanym miejscu. Rzecz jasna zgarniemy je wtedy, gdy tatuśków nie będzie w domu. Później niech spróbują chociaż gwizdnąć, niech spróbują.

Krwawy Fernando wykrzywił w uśmiechu usta.

- Pomysł niezły. Tylko co będziemy z niego mieli?

- Co będziemy mieli? - zdumiał się Procentowy John. - Oczywiście miasteczko. Pozwolą nam na wszystko, co się nam tylko zamarzy. Zabawimy się w Snow Hills tak, jak nigdy dotąd. Będziemy mogli bezkarnie pić, rżnąć i rabować... Każdy z nas zarobi co najmniej sto tysięcy baksów...

- A potem? - zapytał Siwy Bob.

- Wyjedziemy. Znikniemy. Rozpłyniemy się.

- Mogą nie wytrzymać!

- Z nożem na gardle wytrzymają.

- Szalony z ciebie człowiek, John! - pokiwał głową Siwy Bob.

- Nie mniej chyba niż wy. Więc?

- Zgadza się - rzekł Krwawy Fernando. - Kiedy zadzwonięś, powiedziałaś, że będzie fajna zabawa. Zgadza się! Będzie.

- Okay - przystał Bob.

- Musimy się rozejrzeć - powiedział Fernando. -

Poznać teren. To trochę potrwa...

- Pewnie - odparł Procentowy John. - Niech trwa nawet jeszcze dwa tygodnie. Nie mam nic przeciw temu. Lepiej dobrze się przygotować. Oczywiście większa część waszych ludzi na razie nie może się pokazać w pobliżu Snow Hills. Moim zdaniem wystarczy siedmiu, aby zorientować się, co jest grane. Wybierzcie pozostałych pięciu. Przyjedźcie jutro albo pojutrze do mojego obozu. Zapoznam was z sytuacją. Tej nocy, kiedy zaatakujemy, w miasteczku pojawią się pozostali... To proste.

Następnego dnia wstał ładny i słoneczny.

Dorothy obudziła się wcześniej rano. To miał być jej dzień, dlatego nie mogła zasnąć, rozmyślając o tym, co nastąpi. Po rozmowie z Deanem przeraziła się nie na żarty. Nawet przez chwilę sądziła, że w jej życiu coś nieodwracalnie dobiega końca. Później podjęła decyzję...

Około południa, pogodna i zadowolona z siebie jak nigdy, zajrzała do namiotu Szalonego Deana. Spał, pochrapując, więc go obudziła.

- To ja - rzekła.

- Widzę - burknął. - Czego chcesz, Płomyczku?

- Dzisiaj będzie twój szczęśliwy dzień - rzekła jasnym pogodnym głosem.

- Już się cieszę. Gadaj w czym rzecz?

- Rzecz w tym, że zaraz pójdę z Johnem na spacer. Pójdziemy do modrzewiowego zagajnika, w to miejsce gdzieś kiedyś rozmawiali. On będzie sam, Dean, zupełnie sam. Nie muszę ci chyba tłumaczyć, co to oznacza. Weź pistolet i załatw dupka raz na zawsze. Wychodzimy o wpół do pierwszej.

Dean patrzył na nią z niedowierzaniem.

- Nie sądziłem, że się na to zdecydujesz...

- Przemyslałam sobie to, co mi wtedy powiedziałeś. Nie mam nic do stracenia.

- Rzeczywiście, Płomyczku, nie masz - lekko się uśmiechnął. - W porządku. Idź teraz do niego. Ja się przygotuję...

Zniknęła jak duch.

Dean wyjął spod poduszki pistolet Coonan .357 Magnum Automatic, wyciągnął z niego magazynek, potem rozłożył broń na części i sprawdził, czy jest w należytym porządku. Była.

Położył się na materacu, zastanawiając się, jak to będzie, gdy Procentowy John zniknie z pięknej Ziemi. Oczywiście będzie dobrze, wręcz fantastycznie, bo to on obejmie po nim schedę. To nie ulegało dyskusji. Tylko Martin Smith mógł mu zagrozić, ale nie zagrozi, gdyż nie lubi się pchać do przodu. Poza tym czuje doń respekt i z pewnością bardziej go lubi niż Procentowego Johna.

Co powie ludziom?

Szef musiał nagle wyjechać na parę miesięcy - tak powie. Problemy! Rozumiecie?! Ciężkie, do cholery, problemy...

A potem śliczna Mary...

Przerznie ją jak żadną do tej pory. Sprawি, że rozkrzyczy się z rozkoszy na cały obóz. A kiedy jej już dogodzi, to ona prędko zapomni o tym, kto jej dogadzał wcześniej.

Tak naprawdę - pomyślał - to z Mary mógłbym nawet się hajtnąć. Potem przyszłyby na świat tłuste bobaski. Zostałbym porządnym tatusiem i mężem zarazem. Czemu nie! W końcu nie planuję do usranej śmierci tłuc się po Ameryce.

A Płomyczek?

Płomyczek trzeba będzie w jakiś mądry sposób usunąć. Pozbyć się głupiej baby raz na zawsze. Przyjdzie taki moment, że sytuacja sama doprowadzi do odpowiedniego zbiegu wydarzeń.

Dean wstał. Założył kurtkę. Schował do wewnętrznej kieszeni broń i wyszedł z namiotu. Stał jak gdyby nigdy nic przed wejściem, rozejrzał się. Pomachał dłonią paru kolegom. Odetchnął głębiej, po czym ruszył przed siebie.

Zaraz za obozem skręcił w prawo, wszedł pomiędzy drzewa, wolno i ostrożnie przedzierał się ku polance nad rzeczką, gdzie Płomyczek powinien trajkotać z Procentowym Johnem.

W górze rozśpiewał się ślicznie ptaszek. Dean za nic nie mógł przypomnieć sobie jego nazwy. Nie miał w ogóle głowy do takich rzeczy. Na roślinach również się nie znał. Co najwyżej potrafił je niszczyć.

Teraz jednak ostrożnie podnosił do góry gałązki, aby przypadkiem ich nie złamać, i nie spowodować tym samym niepotrzebnego hałasu.

Naraz znieruchomiał.

Przyłożył dłoń do ucha. Wydawało mu się, że nieopodal coś trzasnęło. Poczekał sekundę. Odgłos się nie powtórzył.

Polana była niedaleko.

Położył się na zielonym, lekko wilgotnym mchu i zaczął pełznąć. Po chwili dotarł do skraj lasu i jednocześnie usłyszał głosy.

Ostrożnie podniósł gałązkę.

Dorothy i Procentowy John siedzieli nad strumykiem, odwróceny do niego plecami. Wydawali się po uszy pogrążeni w rozmowie. Dean wyraźnie słyszał ich słowa. Sięgnął pod kurtkę. Wyciągnął „Coonana”. Nałożył na niego tłumik.

Ostatnie twoje minuty, sukinsynu - zaklął w duchu.

- To nie tak, Dorothy - powiedział John. On jeden jedyny zwracał się do niej po imieniu. - To wcale nie tak...

- Przestań. Przecież ci się podoba...

- Pewnie. Wszystkim się podoba, ale ja, skórko, lubię wolność. Kobiety, nawet te najładniejsze, zabierają ją. Nigdy nie pozwolę sobie na to, by mnie coś takiego spotkało. Nigdy...

- Myślisz, że my z kolei marzymy o celach z kratami. Pragniemy tak samo niezależności jak wy. Powiedz, John, jak długo będziemy tu jeszcze siedzieć?

- A co, miasteczko ci się nie podoba? Okolice są do niczego?

- Tak sobie zapytałam...

- To ja ci tak sobie odpowiadam, że mi się tutaj podoba...

Szalony Dean uznał, że czas najwyższy przystąpić do działania. Poderwał się lekko z ziemi jak gepard.

- Ale mi się nie podoba - syknął cicho i złowieszczo, ciesząc się w myśli z wrażenia, jakiego dozna Procentowy John, gdy zaraz odwróci głowę i zobaczy swojego zastępcę, swoją prawą rękę, ze spluwą w dłoni.

John odwrócił głowę. Oczy obu mężczyzn spotkały się. Wzrok Johna nie wyrażał absolutnie nic, natomiast Deana zdradzał całą wściekłość i nienawiść.

- Proszę, proszę!... - rzekł wolno Procentowy John. - Czy widzisz, skórko? czy widzisz, Dorothy, kogo my tu mamy?... Co zamierzasz zrobić, przyjacielu?

- Zamierzam rozwalić ci łeb!

- Za co?

- Za nic. Dla własnej przyjemności...

John uśmiechnął się. Jego uśmiech zdawał się okrutny,

pewny siebie, całkowicie pozbawiony strachu. Wyglądało to tak, jakby nie on był zwierzyną do odstrzelenia, lecz Szalony Dean.

- Wykopię ci tutaj mogiłę! - powiedział.

John, nie mówiąc nic, przypatrywał mu się tak, jak drapieżnik przypatruje się ofierze, której za chwilę skoczy do gardła...

Dean także się uśmiechnął...

I nagle, kiedy już zamierzał nacisnąć spust, potężne uderzenie w ramię wytrąciło mu broń z dłoni. Coś z tyłu, coś potwornie silnego, tak pchnęło go w przód, że poleciał jak długi na ziemię, boleśnie uderzając się w głowę.

Próbował się zerwać, ale ciało odmówiło mu posłuszeństwa.

- Zostań tam, gdzie jesteś - warknął zimny głos.

Procentowy John rozłożył bezradnie dłonie. Znów się uśmiechnął. Tym razem z litością, a nawet współczuciem.

- Przykro mi, Dean, że tak piękny plan spalił na panewce, bardzo mi przykro. Widzisz, popełniłeś drobny błąd. Dorothy pamięta, co jej kiedyś zrobiłeś i wierzy ci tyle, co zdechłemu psu. Dlatego, sama, przez nikogo nie zmuszana, nie oczekująca ani nagrody, ani czegoś innego, opowiedziała mi o twoich planach. I wiesz co? nie uwierzyłem jej. Jak to - myślałem sobie. - Dwaj kumple, tacy jak Procentowy John i Szalony Dean, naraz mieliby sobie skoczyć do oczu, bo jeden z nich ma cizię, której nie ma ten drugi, a ten drugi też pragnie zakosztować z nią słodyczy... Nie - dumałem. - To niemożliwe. Przecież tyle razem wychlapaliśmy gorzały... Przeszliśmy wspólnie niejedną drogę... Nie, na pewno nie. Ta dziwka chce mnie wystrychnąć na dudka. Chce mnie zrobić w konia, a przy okazji załatwić mego przyjaciela... Ale wiesz co, Dean?

Kiedy tak rozważałem, to przypomniałem sobie słowa mojej zacnej mamusi: „W nic nie wierz, synku, nikomu nie ufaj, sprawdź wszystko do końca...” Tak mówiła moja mamusia...

- Ty skurwysynu!

- Niepotrzebnie obrażasz moją mamusię, Dean. Może i rzeczywiście była kurwą. Była jednak uczciwą kurwą, zawsze brała tyle, ile należało. Ani centa więcej, ani centa mniej.... Dobrze chłopcy! Nie stójcie już za jego plecami. Chodźcie do mnie. Niech was zobaczy... O tak, właśnie tak! Widzę, Dean, że patrzalki wyłażą ci prawie na zewnątrz. Oczywiście, znasz ich. To Siwy Bob i Krwawy Fernando...

Podajcie mi, przyjaciele, spluwę...

- Nie zrobisz tego, John!!!

- Dlaczego nie! Zrobię jeszcze wiele innych rzeczy. Nawet ci się o nich nie śni. Fajny pistolecik. Pierwszy raz taki widzę... Długa srebrna lufa. Całkiem wygodna rękojeść... Ciekawe, jaki otworek we łbie pozostaje po kulce z tego cacka?

- Przestań, ty sukinsynu!...

- Myślę sobie, Dean, że skończymy już tę hecę...

Procentowy John wolno wznosił rękę, przymrużył lewe oko. Był dobrym strzelcem. Kula trafiła prawie w sam środek czoła Deana, patrzącego przez chwilę - nim upadł - w tępym zdumieniu na swojego zabójcę.

- No to po sprawie, drodzy koledzy - zatarł dłonie John. - O jednego sukinsyna, jak to gadają dobrzy ludzie, mniej. Przynieście łopaty. Zakopimy dupka. Mam nadzieję, że tak jak poprosiłem, macie je ze sobą?

- Owszem - przytaknął Siwy Bob. - A co z dziewczyną?

John odwrócił się ku bladej, dygoczącej Dorothy, a potem spojrział na kolegów.

- Jak to co? - zdziwił się. - To moja przyjaciółka.
Pomogła mi. Ja jej też będę pomagał. Nie martwcie się!
Będzie trzymała język na wodzy, prawda. skórko?
- Prawda - odpowiedziała dziewczyna.

Nie mogła zasnąć... Nie mogła zasnąć już od trzech nocy. Leżała w swoim przytulnym gniazdku, w swoim niewielkim przytulnym domku przy Silver Way, tak hołubionym troskliwą dłonią przez Sama, i miała wszystkiego dosyć.

Była noc z ósmego na dziewiątego maja. Przykra, dokuczliwa, nieprzyjemna noc. Dla wielu ludzi oznaczająca wyłącznie przyjście następnego dnia, następnej soboty, wraz z jej wszystkimi zaletami i wadami.

Leżała w wielkim wygodnym łóżku sama - mąż trzymał służbę - w łóżku, które wybrała z taką starannością i zaciskała z bólu wargi, prosząc Boga, żeby jej pomógł, żeby choć na chwilę zabrał od niej ból.

Cierpiała, bardzo cierpiała. Nie sądziła, że człowiek może tak cierpieć. Tam w dole jej ciała, gdzie zagnieździło się coś obcego, tysięczne piły przerzynały mięśnie, żyły, kości; oddzielały skórę od mięsa; oddzielały wprawnie, systematycznie, rozkoszując się swoją doskonałością; swym nieomylnym wyczuciem ruchu; perfekcjonizmem; każdą, przedłużającą się w nieskończoność sekundą...

Nic nie pomagało. Środki nasenne przegrywały w starciu z tą udreką, natomiast środki przeciwbólowe już nie skutkowały.

Powinna iść do szpitala. Nie chciała, nie potrafiła się zdobyć na taką decyzję, na pójście w obce miejsce, zupełnie niewiadome, nieprzyjemne, kojarzące się z setkami rurek podłączonych do nosa, do rąk; kojarzące się z brakiem ciepła,

z brakiem bliskich.

Nie potrafiła...

Śmierć, bezlitosna dostojna pani w gwiezdnych płaszczu, już mroziła oddechem dolne pokoje, szukając krok za krokiem, krok za krokiem... Gloria, przestraszona własnymi odczuciami, niepewna tego, co się dzieje, słyszała wyraźnie delikatne i powolne kroki...

Zatrzymywały się tuż przed schodami, jakby brakowało im sił, jakby nie były jeszcze pewne swego...

Szybciej - prosiła w myśli. - Szybciej... Cokolwiek, tylko nie ten rozdzierający ból. Już nie wytrzymuję...

Myśl o samobójstwie nachodziła ją coraz częściej, ale nie przemogła się na tyle, aby ją urzeczywistnić. Strach wyrwał z dłoni pistolet, odrzucał precz żyłki, zabierał tabletki usypiające...

Beznadziejne, tragiczne położenie.

I jeszcze do tego mała biedna Amanda...

Nie - pomyślała Gloria. - Nie chcę się nad tym zastanawiać. Nie chcę... Czy może być coś gorszego dla kobiety, niż zostawienie małego, bezbronnego dziecka?... Och, nie chcę...

Przypomniała sobie oczy Emy, oczy jak świetliste gwiazdy, pogodne, rozjaśnione miłością. Przypomniała drobne ciepłe rączki, obłapujące ją za szyję. „To ja, mamusiu! To ja!”

„Och, nie chcę!”

Deszcz walił w okno. Gloria, gorąca i mokra od potu, zapaliła nocną lampkę, a potem wstała, założyła szlafrok, i niepewnie, zataczając się, słaniając, co rusz podtrzymując albo jakiegoś mebla, albo ściany, poszła do pokoju Amandy.

Dziewczynka spała, jak to było w jej zwyczaju, przy zapalonej lampce i prawie bez kołdry, rozrzuciwszy

bezwładnie ciało w poprzek łóżka, i prawie bez kołdry.

Mocny sen zabarwił delikatnym różem jej gładziutkie policzki; oddychała równo, miarowo, co chwila zabawnie marszcząc buzię, najwidoczniej z powodu snu.

Gloria przykryła dziecko, potem przyklekła przy tapczanie, delikatnie głaszcząc małą po główce.

W jej piersi wzbierała tak bezgraniczna rozpacz, że już sama nie wiedziała gdzie się podziać. Chciała krzyżeć, uciec gdzieś od tej koszmarnej rzeczywistości, od tego, od czego uciec w żaden sposób przecieź nie mogła i ponownie błagała los o zmiłowanie, wiedząc, że on się nad nią nie zmiłuje, że nic z ponurego przeznaczenia nie zostanie darowane ani jej, ani Samowi, ani ich córeczce.

Dziewczynka, pod wpływem szlochu matki, przebudziła się ze snu. Przez moment w nim pozostawała, spoglądając zamglonymi oczętami na Głorię. Później jej spojrzenie objęło ciepłem matkę. Wyciągnęła niepewnie rączkę, dotykając ją ledwo, ledwo twarzy kobiety.

- Mama? Dlaczego płaczesz?

- Och, to tylko tak, kochanie. Już przestałam! Widzisz? Już wszystko w porządku...

- Przytul mnie, mamusiu!

Gloria objęła małą, czekając, aż znowu usnie. Kiedy tak się stało, wróciła do swojego pokoju, wróciła do swojego przeznaczenia.

Tej samej nocy, w starej zapomnianej chacie na przedmieściach Snow Hills, umierała Margaret Nelson.

Nie było przy niej nikogo, oprócz wspomnień.

Siedziała w starym fotelu, ubrana w ciemną suknię, uszytą przez siebie z taką pieczołowitością i wpatrywała się szeroko otwartymi oczyma w nieprzeniknioną ciemność, rozmyślając o ludziach, co tak wiele uczynili jej złego.

Nie bała się nic a nic, bo rozmawiała z samym Panem Bogiem.

- Wiesz - mówiła doń w myśli. - To niedobrze odchodzić w taką noc, gdy chmury przesłoniły gwiazdy, za oknem wyje wiatr, a deszcz dzwoni w szyby. Tak mówiła matka, a ona już się na tym znała.

- Nie bój się, Margaret - odpowiadał. - Wezmę cię za rękę i przeprowadzę przez ciemność.

- To nie takie proste - odparła.

- Wiem, ale ja będę przy tobie.

- Jak tam jest, Panie, w tym rajcu?

- Zobaczysz, Margaret, za moment zobaczysz na własne oczy.

- Czy zachowam swoją pamięć, czy zostanę sobą?

- Tylko tutaj, na Ziemi, ludzie przestają być sobą. Tylko tutaj.

- Mam prośbę. Oddal nieszczęście od Snow Hills.

- To niemożliwe. Zło zaczęło już wygrywać swoją melodię.

- A Sam Wilder? Co z Samem? To dobry człowiek. Nie zasługuje na takie nieszczęście... On jeden jedyny pamiętał o starej zniedołężniałej kobiecie... On jeden.

- Margaret! Gdy człowiek we mnie wierzy, gdy umie się modlić, to wszystko jest możliwe.

Umilkła. Przymknęła oczy. Była zupełnie świadoma. Nawet zdawało jej się, że od dawna nie miała takiej jasności umysłu. Przestała czuć ból, ciało nabrało lekkości puchu.

I naraz zobaczyła starą, zniedołężniałą kobietę, usadowioną w ciężkim, głębokim fotelu, uśmiechającą się delikatnie, jakby przed chwilą zobaczyła kogoś bliskiego.

O rany - pomyślała. - Przecież to ja... To ja tam siedzę... To moje ciało... Śmieszne... Takie... Takie...

Wyglądałam zupełnie inaczej, niż sądziłam...

Unosiła się nad sobą, czując coraz większą obojętność do tego, co niegdyś nią było. Potem ujrzała ciemny tunel. Tam, na jego końcu, była tego pewna, czekał na nią Bóg.

- Już idę - rzekła radośnie.

Nagle rozbłysło jasne, przenikliwe, ale wcale nie rażące światło. Wypełniło całą przestrzeń, przeniknęło miłością i dobrem każdą z myśli Margaret Nelson.

Gloria Wilder leżała na tapczanie, wpatrując się szeroko otwartymi oczyma w ścianę. Deszcz wciąż grzmiał za oknem. Krople wygrywały na parapecie istne tremolo, raz uderzając spokojnie, wolno, jakby z namysłem, z oczekiwaniem na coś, to znowu gwałtownie przyspieszając, przyspieszając bezwzględnie, twardo, stanowczo.

Amanda pozostanie sama - pomyślała Gloria.

Ta myśl roztańczyła się w jej głowie, wrosła sobą w jej całe jestestwo, zagnieżdżając się w najdrobniejszych nerwach, pulsując rozpaczą w sercu, w małym panu Puk Puku, jak mówiła jej córeczka.

Ból ponownie ścisnął mackami dolną część jej ciała. Najpierw powoli, tak od niechcienia, jak gdyby oznajmiając, że wcale nie zamierza wejść głębiej, że jeszcze nie tym razem... Potem cofnął się, zelżał. Gloria odetchnęła, oderwała od ust zaciśnięte dłonie, wyprostowała ręce wzdłuż ciała, wyczekując z lękiem, czy nie powróci.

Uderzył nagle.

Krzyknęła, gdy buchnął płomieniem, w mgnieniu oka rozpalając ciało do wrzenia, rozrywając je na strzępy, na drobne kawałeczki.

Gloria krzyczała, wiała się z bólu, pełzła po pościeli, wbijała palce w skórę, rozrywając ją paznokciami, jęczała i skręcała się na wszystkie strony...

Naraz odszedł.

Oddychała ciężko, pogrążona w toni własnego potu, czująca jego niezdrowy zapach, oddychała z wysiłkiem, przygotowując się na nowy atak. Ale zdawało jej się, że coś jest inaczej, że czuje...

Spojrzała na pościel i zamknęła na moment oczy, pragnąc ich nie otworzyć...

Kołdra nasiąknęła krwią, tak jak gdyby ktoś chlusnął na nią czerwoną farbą z wiadra...

Sięgnęła dłonią do dołu, tam gdzie zagnieździła się choroba. Poczowała kleistą lepkość i już wiedziała, nim podniosła palce do oczu, że to z niej, że to ona, że powoli, powoli...

Umierała.

Leżała w bezruchu, przygotowana, oczekująca, pogodzona z losem. Prędzej prosiła. - Tylko prędzej...

Deszcz zelżał.

Było bardzo cicho. Glorii wydawało się, że wraz z bólem, który odszedł, zamarły wszelkie odgłosy.

Cisza, przejmująca cisza.

Blask nocnej lampki. Drżące, delikatne światło na ścianie, wylaniające się z półmroku meble.

Skrzypnęły drzwi.

Tak lekko, od niechcenia.

Zimny powiew wiatru, płynący nie wiadomo skąd.

W progu stanęła czarna postać.

Kto to? - pomyślała Gloria, zdumiona, ale poddająca się z rezygnacją przeznaczeniu.

A ciemna postać szła powoli, niosąc w sobie coś tajemniczego, coś trudnego do wyjaśnienia.

Doszła do kobiety i milcząc, bez najmniejszego słowa, wyciągnęła ku niej ręce, dotykając nimi jej głowy. Gloria

poczuła, jak drobne kościste palce wyciągają z niej wszelki brud, wypływający niczym woda z jej tkanek, z jej kości.

Zemdlała.

Dwa dni później Gloria Wilder opuszczała szpital w Dallas, przeszedłszy serię kompleksowych badań. Towarzyszył jej zafrapowany ordynator oddziału, profesor Arthur Cyrill, spoglądający niepewnie na plik dokumentów, trzymany przez siebie w garści.

- To wręcz nieprawdopodobne - kręcił głową. - Cofnęły się wszelkie ogniska zapalne, wszelkie przerzuty. Jest pani zdrowa jak noworodek. Mój Boże, gdybym tego nie widział na własne oczy, nigdy bym w to nie uwierzył. Jak to się stało, droga pani Wilder? Czy coś panią zaskoczyło? Czy czuła pani ostatnio jakieś zmiany? Coś przecież musiało wpłynąć na ten, nie waham się użyć tego słowa, cud!?!...

Gloria pokręciła głową.

- Nie wiem - odparła. - Naprawdę nie wiem. Byłam przygotowana na śmierć, naprawdę byłam...

- Tak, rozumiem - westchnął profesor, chociaż nadal nic nie rozumiał.

Na korytarzu czekał Sam Wilder, spacerujący nerwowo parę kroków to w jedną, to w drugą stronę. Od czterdziestu ośmiu godzin, to jest od chwili, kiedy znalazł żonę na zakrwawionej pościeli, ale śpiącą pogodnym, smacznym i na pierwszy rzut oka, ożywczym snem, nie mógł dojść do siebie. Jechał do domu przytłoczony smutną myślą, że Margaret Nelson umarła samotnie, bez żywej duszy przy sobie.

Staruszka siedziała w fotelu, uśmiechając się do jakichś zjaw i cieni, które ujrzała w ostatniej sekundzie swojej ziemskiej egzystencji. Usiadł przy niej, modląc się, aby Bóg przyjął jej duszę.

Potem, gdy wracał, uświadomił sobie, że do biednej babci, jak o niej myślał, dołączy niedługo jego żona. Cierpiąca z dnia na dzień coraz bardziej i bardziej...

Pościel wyglądała wręcz przytłaczająco, zimny skurcz wniknął w serce Sama, patrzącego prawie obłąkanym wzrokiem na pogodną, uśmiechniętą żonę, podobnie pogodną jak Margaret Nelson.

Jednak Gloria jeszcze oddychała...

Delikatnie, wstrzymując oddech, dotknął jej ramienia, zastanawiając się, czy da radę otworzyć oczy.

Krótko przed śmiercią - przypomniał sobie przeczytaną niegdyś w poradniku medycznym uwagę - następuje niekiedy gwałtowna poprawa. Chory odzyskuje przytomność, jest całkiem świadomy osób, jak również rzeczy.

Powieki Glorii zadrżały, wraz z nimi zadrżały gęste rzęsy, odziedziczone po matce przez Amandę, a potem rozsunały się, wypuszczając pogodny blask, pozbawiony jakiegokolwiek szarżyzny, jakiegokolwiek bólu, jakiegokolwiek cierpienia, które ostatnio towarzyszyły jego żonie.

- Ona tu była, Sam! - szepnęła.

- Była?... Kto?

- Margaret Nelson. Przyszła do mnie w nocy...

Wilder jęknął w duchu.

- Kochanie! - westchnął ciężko, biorąc w swoje twarde, wyrzeźbione przez pracę ręce małą dłoń żony. - Kochanie! To zupełnie niemożliwe. Biedna Margaret właśnie dzisiejszej nocy zmarła...

Gloria drgnęła.

- Zmarła?

- Tak. Byłem u niej. Musimy jechać do szpitala,

natychmiast!

- Nie ma takiej potrzeby, Sam!

- Jak to? Co ty mówisz?

- Ona mi pomogła...

- Pomogła!!!?

- Tak, ja to wiem...

Sam Wilder ocknął się ze wspomnień. Profesor Cyrill uściskał mu dłoń, uśmiechając się dziwnie, bo radośnie.

- Nie ma najdrobniejszych objawów raka - zakomunikował. - Pana żona jest zdrowa. To naprawdę cud, proszę pana.

Sam usiadł ciężko na ławce, a słowa wypowiedziane przez lekarza z trudem przedzierały się przez jego narosłe obawami myśli.

- Pana żona wyzdrowiała - powtórzył profesor.

Gdy wracali do domu, raz jeszcze poprosił Glorię, aby opowiedziała mu o tym, co ją spotkało tamtej nocy. Gdy mówiła, słuchał uważnie, zwracając uwagę na to, że według jego żony Margaret Nelson była ubrana w ciemną suknię. Taką samą, pomyślał, jak w chwili zgonu.

- Ona do ciebie przysłała - powiedział. - Przysłała po swojej śmierci, gdyż pragnęła nam pomóc. I pomogła.

Tak naprawdę bał się jej trochę. Zawsze bał się pewnych siebie, zdecydowanych na wszystko kobiet. Oczywiście wolał nawet o tym nie myśleć, a tym bardziej nad tym się zastanawiać, czasami jednak, gdy Mary spoglądała nań oczyma z innej - jak to nazywał - rzeczywistości, czuł nagły przypływ lęku.

Myślał sobie wtedy, że pewnego dnia ją straci... „Bo przecież takie jak ona zawsze odchodzą (a w każdym razie zawsze coś z nimi nie wychodzi), znajdują nowego faceta, znajdują nowe życie, a ty, dawny kochaś ze spalonej ziemi, szczerzysz do nieba zęby, gdyż nie potrafisz zapomnieć wspólnych nocy, nie umiesz wyrzucić z pamięci obrazu tej, jakże niewinnej, rozmarzonej twarzyczki...”

Twardy ze mnie facet - dumiał dalej Procentowy John. - Bez najmniejszych skrupułów zrobiłem dziurkę w czole Szalonemu Deanowi. Bez wyrzutów sumienia zamienię Snow Hills w piekło, a jego mieszkańców w lamentujące duszyczki. Ale tego jednego jedyne go nie zniósłbym! Nie zniósłbym, gdyby mnie opuściła...

Tak sobie myślał i przypatrywał się spod oka Mary, czując jak ponownie sztywnieje mu ptaszek.

Kręciła się po namiocie ubrana tylko w białe majteczki i takiego samego koloru stanik, a biel pięknie kontrastowała ze złotym brązem skóry. Przechylała się, klękała, cicho pogwizdując pod nosem, a drabinki światła tańczyły sobie radośnie na jej delikatnym ciele, a mięśnie leciutko grały pod jasną czekoladką.

Mary znalazła spodnie, wywróciła je na właściwą stronę, po czym przysiadła na materacu.

- Szalona noc - uśmiechnęła się, przypominając sobie, co ona i John wyczyniali razem, gdy księżyc stał wysoko na niebie, a nocne ptaki przepowiadały najróżniejszymi językami przyszłość.

- O tak! - zgodził się. - Bez wątpienia, moja ty królowo!

Mary założyła spodnie, potem bluzkę.

- Gdzieś się wybierasz? - zapytał.

- Tak, do miasta.

- Po co?

- Tak dla własnej przyjemności, mój ty skarbie!

- Nie lubię, gdy chodzisz beze mnie!

- Och, jestem już dużą dziewczynką. Umiem sobie radzić.

Aż za dobrze - pomyślał.

Nie zamierzał jej wypytywać. Uważał, że kobietom, nawet tym, co go kochają, nie powinien się zanadto narzucać. Lecz nigdy nie trafił na taką, która by chodziła własnymi drogami i siebie samą pytała o zdanie. A ta właśnie w ten sposób postępowała.

- Kiedy wrócisz? - zadał pytanie.

- Jak Bóg da - odparła. - Biorę twój motor - dodała. - Chyba mi pozwolisz?

- A bierz - burknął.

Uśmiechnęła się i już jej nie było.

Wiedziała, że jej nie odmówi. Mężczyźni nie potrafili jej odmawiać. Drobne mrugnięcie, niewinne podniesienie brwi do góry, przechylenie głowy, łagodne spojrzenie - te wszystkie rzeczy robiły swoje. Ot takie: „Jesteś fajny facet i ja o tym wiem. Ja, ta piękna, anielsko piękna dziewczyna, co

stoi przed tobą...”

Honda ryknęła głosem rozwścieczonego diabła i Mary pomknęła na spotkanie z przeznaczeniem, zasnuwając drogę tumanem piachu i kurzu. Uwielbiała jazdę motocyklem, Harleyem Davidsonem w szczególności, rozkoszując się pędem powietrza, jego świeżością, migającą w zawrotnym tempie szosą, widokami po obu jej stronach, rozszalałą do bólu wolnością.

Po paru milach szaleńczej jazdy - kochała ryzyko z całego serca - skręciła w piękną asfaltową drogę. Tablica informowała, że prowadzi do farmy Astorów.

Porastały ją z lewa i prawa wysokie topole. Mary dostrzegła, akurat przyśpieszając, lotnisko i startujący z niego mały samolot pasażerski - Brian Astor tego dnia wybierał się do Nowego Jorku. Dostrzegła też trzy helikoptery i już wiedziała, że Richard Astor jest nie byle kim, ale synem zamożnego faceta, mającym przed sobą jak najlepsze perspektywy.

Przyśpieszyła.

Richard Astor tego dnia krzątał się na dworze. Właśnie rozłupywał siekierą drewno, gdy usłyszał huk motocykla i zarazem błysk jego stalowej blachy w rozognionym już południowym słońcu.

Był sam. Bracia pojechali za bydłem, siostry pojechały z matką do Snow Hills, a on dokonywał drobnych, takich wręcz codziennych, napraw i czynności jak pomalowanie płotu, czy otynkowanie powstałych ostatniej zimy dziur w ścianie budynku. Ojciec, stary Brian Astor, uważał, było to jego żelazną dewizą, że zawsze powinno się zrobić samemu to, do czego nie potrzeba specjalistów. A jedynymi specjalistami, według niego, byli dentyści i saperzy.

Richard odłożył siekiere.

Motocykl warcząc zatoczył koło i zatrzymał się dwa jardy przed nim. Mary zdjęła kask uśmiechając się przy tym promiennie.

Jej oczy szybko przesunęły się po posiadłości Astorów, na chwilę zatrzymały na fontannie, jako żywo przypominającej te z Rzymu i ponownie spoczęły na młodzieńczej sylwetce Richarda.

- No i jestem - oznajmiła, przyglądając mu się spod oka.

Wydawał się naprawdę speszony. I tak rzeczywiście było, bo chociaż nie przestawał myśleć o ślicznej nieznajomej, spotkanej przypadkiem nad jednym z Ciemnych Stawów, to nie liczył na to, że kiedykolwiek się pojawi.

Tymczasem się pojawiła. Nie mniej urocza i piękna jak wtedy.

- Dzień dobry - odparł.

Kiwnęła głową.

- Mogę zsiąść?

- Oczywiście - zreflektował się.

Pomógł ustawić jej maszynę.

- Myślałem właśnie o Glorii Wilder - rzekł - gdy przyjechałaś...

- Gloria Wilder? Kto to taki? Czy mam być zazdrosna?

- Och, nie! Błysnął białymi zębami chłopiec, ucieszony niespodziewanymi słowami. - Pani Wilder jest żoną Sama Wildera, naszego szeryfa... Ona ciężko chorowała na raka. Podobno była w beznadziejnym stanie, lekarze nie dawali jej najmniejszych szans...

- To przykre!

- Bardzo. Współczuliśmy Samowi, bo go wszyscy tu lubimy!

Przeciwnie niż my - przemknęło Mary przez głowę.

- Biedny człowiek - potrząsnęła głową.

- I ona wyzdrowiała...

- Och!

- Tak! Jest całkiem zdrowa, zdrowsza niż kiedykolwiek. Wszyscy w miasteczku gadają, że to prawdziwy cud, a ksiądz Day i wielebny Jackson zamierzają odprawić specjalne nabożeństwo w intencji Glorii Wilder.

- Razem?

- Tak. Obaj zyskali już akceptację swoich przełożonych.

- To piękne. Nieczęsto się zdarza, aby duchowni różnych wyznań ze sobą współpracowali.

- U nas współpracują. Snow Hills jest cudowne, a ludzie w nim gościnni, jednak żadna z tutejszych dziewcząt nie dorównuje urodą twojej...

Mary Laster milczała. Ale jej sarnie oczy, wpatrzone w twarz młodego Astora, falowały to złotem, to zielenią leśnych stawów, to znów błękitem chmur płynących po niebie. Dziewczyna zdawała się tak kruchą, tak wiotką, tak delikatną, że serce w piersi Richarda uderzyło mocniej, a dusza wezbrała radością i uczuciem.

- Podobam ci się? - spojrzała nań przepastnym, sięgającym w głąb duszy spojrzeniem.

- Jak nikt dotąd - odparł zgodnie z prawdą, nie mogąc się przy tym nadziwić, że tak piękna istota w ogóle istnieje.

- Tylko tak mówisz. Myślisz na pewno inaczej...

- Wcale nie...

- I mógłbyś mnie pokochać?

Chyba już cię pokochałem - pomyślał.

- Być może - rzekł. - Przecież nic o tobie nie wiem. Pojawiłaś się niczym duch na mojej drodze.

To byłaby cudowna odmiana - rozważała Mary. -

Nareszcie przestałabym się pałętać po świecie z pięcioma dolarami w kieszeni. Ten chłoptaş, dobrze ułożony i wychowany, chociaż nie pozbawiony wigoru i temperamentu, powinien mi to wszystko zapewnić. Muszę mu w tym pomóc... A Procentowy John? Do diabła z Procentowym Johnem! Niech dalej robi swoje...

- Nie zaprosisz mnie do środka? - zapytała.

- Tak, oczywiście.

Weszli do domu. Najmniejszy szczegół w jego wnętrzu nie uszedł bacznemu oku Mary Laster. Rozglądała się na prawo i na lewo, oceniając wartość każdej rzeczy, przeliczając ją na gotówkę.

Richard, skupiony na dziewczynie, nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Usiedli w salonie na kanapie.

- Co taka osóbką jak ty, robi pośród tych nieokrzesanych facetów na motorach? - zapytał.

- Tak to wyszło - odrzekła.

- Nie lubisz o sobie rozmawiać?

- Nie lubię.

- Masz kogoś?

- Dlaczego pytasz?

- Lepiej z góry wiedzieć takie rzeczy, gdy jest się zainteresowanym konkretną osobą.

Roześmiała się potrząsając głową, a jej długie włosy załśniły barwną tęczą.

- Zawsze ktoś jest - stwierdziła. - W moim przypadku to nieistotne!

Uśmiechnęła się w duchu przy tych słowach. Wiedziała, że John dostanie białej gorączki, gdy tylko się dowie, że widziano ją z jakimś facetem. Ale ona wszystko przemyślała. Nim wybrała się do Richarda Astora, zrobiła rzetelne rozpoznanie z jakiej pochodzi rodziny, jakie zdobył

wykształcenie, kim są jego rodzice.

Wyglądało to tak zachęcająco, że postanowiła zaryzykować i okręcić sobie wokół palca Richarda. A to akurat potrafiła, i to całkiem nieźle.

- Więc zapraszam cię dzisiaj wieczorem na kolację! Pójdiesz?

Pogłaskała go szczupłymi palcami po twarzy.

- Pewno, że pójde.

Richard zamyślił się.

- Planujecie zostać tu dłużej? - spojrzał na Mary.

- Tak. Mnie co prawda okolice nie przypadły do gustu, lecz teraz czuję się tutaj znacznie lepiej.

Richard wciąż się jej przypatrywał, jakby go coś w środku męczyło. I wiedziała, że wciąż zastanawia się nad jej życiem pośród „Jeźdźców Nocy”, że nie potrafi pogodzić wewnętrznego wizerunku „swojej” Mary Laster, jaki już na pewno stworzył, z tym co widział, zauważał i oceniał.

Nie mogła mu powiedzieć prawdy. Nie mogła wyjaśnić, że pochodziła ze zdegenerowanej rodziny, że jej matka zajmowała się prostytutką, ojciec stręczycielstwem oraz dręczeniem całej rodziny; nie mogła tego mu powiedzieć, bo raz na zawsze pożegnałaby swoją szansę. A gdyby nawet próbowała wyjaśnić, to i tak by nie pojął, jak bardzo miała tego dosyć. Tak dosyć, że gdy Procentowy John, poznany najzupełniej przypadkowo, zaproponował jej wspólny wyjazd, nie wahała się nawet sekundy. Bywają bowiem różne odcienie piekła, a jej domowe piekło z pewnością miało jeden z tych najciemniejszych.

- Nie jestem taka zła! - roześmiała się nagle.

- Myślę, że jesteś bardzo dobra - rzekł poważnym tonem Richard, delikatnie ją przytulając do siebie i marząc, by ta chwila trwała w nieskończoność.

Ted Merton zaklął ze złością. Temu chłopakowi, temu wielkiemu matołowi, który tak sromotnie przerznął w Nowym Jorku, nadal nic nie wychodziło. Ted wlepił rozwścieczone spojrzenie w Tony'ego Whittiera, czując, że za moment eksploduje. Drań ruszał się po ringu jak ostatni paralityk, nie mający za grosz kondycji, chociaż nie walczył nawet dwóch minut.

- Wystarczy! - ryknął Merton. - Chodź no tutaj, Tony!

Whittier, wysoki, szczupły, dobrze umięśniony, zdejmował ze spuszczoną głową rękawice, klnąc po cichu pod nosem. Brał ostatnio różne świństwa, koka była z nich jeszcze najłagodniejsza, brał ich coraz więcej i powoli przestawał panować nad sytuacją. Problem sprowadzał się do tego, że pół roku temu zażywał świństwka, jak na nie mówił, wtedy kiedy przysłała mu ochota, obecnie zaś połykał je lub wstrzykiwał sobie w żyłę, bo nie potrafił już z nich zrezygnować.

Tony przelazł przez liny, po czym stanął przed swoim trenerem, nie śmiejąc mu nawet spojrzeć w twarz.

Merton zacisnął dłonie.

- Może mi wyjaśnisz - rzekł przez zaciśnięte usta - co się z tobą dzieje? Patrzył na stojącego pokornie, niczym malowane ciele, dwudziestoletniego Whittiera, i przypominał sobie dzień, gdy po raz pierwszy pojawił się w klubie, przysparzając mu przez pierwsze miesiące treningu samych radości, zachwyków i marzeń o sukcesach na największych, najbardziej prestiżowych ringach świata.

- Nic takiego... - bąknął Whittier.

- Nic takiego?!... Ruszasz się jak kobieta w ciąży... Nie masz siły, nie masz kondycji, nie masz woli walki... I ty na to mówisz: „nic takiego”?

- Mam słabszy okres.

- Słabszy okres? Może mam ci zafundować tampony albo podpaski higieniczne? Jak myślisz?

- Niech pan do mnie tak nie mówi, trenerze!

- Mam do ciebie tak nie mówić, ośle jeden? Będę tak gadał, jak mi się spodoba. A teraz posłuchaj uważnie, bo drugi raz nie zamierzam tego powtarzać. Jeśli w ciągu najbliższego miesiąca nie zmienisz stosunku do treningów, jeśli nie zaczniesz pracować, to wypieprzę cię na zbity pysk, a potem zapomnę o twoim istnieniu. Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem...

Merton odetchnął pełną piersią.

- Teraz idź do domu. Przemyśl sobie moje słowa. Decyzja należy do ciebie.

Tony Whittier powoli, mając wciąż spuszczoną głowę, odwrócił się i wszedł do przebieralni.

- A wy co się tak gapicie? - krzyknął Merton na pozostałych. - Brać mi się natychmiast do roboty. Jack mnie zastąpi. Muszę już iść...

Zerknął na zegarek i zaklął ze złością. Dochodziła dziewiętnasta, a z Frances umówił się o całe pół godziny wcześniej...

Ruszył prawie biegiem pod prysznic. Prędko natarł ciało mydłem, splukał je pogwizdując pod nosem „Yesterday”, wytarł się energicznie, rozmyślając jednocześnie nad sposobami oddania długu Mortimerowi. Jednak, tak po cichu, miewał wyrzuty sumienia, gdy przypominał sobie, że nie dosyć, że zalega koledze z

płatnością, to jeszcze rznie mu systematycznie żonę. Inna sprawa, że Jacob zachowywał się coraz natrętniej, sypiąc nawet pod jego adresem pogrózkami i strasząc natychmiastowym zamknięciem klubu. A przecież on, Ted Merton, zamierzał oddać mu te śmierdzące i w sumie niewielkie pieniądze.

Mało tego! Nawet mu do głowy nie przyszło, no może ciut ciut, ale to w złością w złości przecież różne paskudztwa do niej przychodzą, aby wykorzystać głupotę kolegi, który pożyczył mu forszę ot tak na słowo, bez żadnej umowy, bez najmniejszego zabezpieczenia. Gdyby teraz chciał, to - krótko mówiąc - powiedziałby Mortimerowi, że tak dostał od niego dwa tysiące baksów, jak przespał się z Madonną albo Sharon Stone.

Nie, co to, to nie. Był w końcu uczciwym facetem. Nie zamierzał wykorzystywać sytuacji.

Już ją wykorzystujesz - szepnął wewnętrzny głos.

Lecz Ted zupełnie z nim się nie zgodził. Frances nie należała do jednodniowych zachcianek. Frances była kimś, z kim pragnął niegdyś związać swoje losy, a gdy odrzuciła tę propozycję, długo nie potrafił dojść do siebie.

Za to teraz...

„Yesterday” zabrzmiało zdecydowanie głośniej, zdecydowanie weselej.

Wcale nie jest ci tak przykro - uśmiechnął się Merton sam do siebie - ty stary podrywacz, ty zbereźniku. Gdzieś tam w przepaściach mojej duszy - jakie ładne określenie, bystrzacha ze mnie - czai się słodkie zadowolenie, że dałem TAKIEGO prztyczka w nos Jacobowi.

Wytarł się prędko i postukując głośno klepkami, wszedł do szatni, włożył białe spodnie i białą koszulę z krótkimi rękawami (do twarzy ci w bieli). Zadowolony,

bardzo zadowolony - już prawie zapomniał o incydencie z Tonym - wyciągnął z kieszeni lusterko i przyglądał się sobie z upodobaniem. Potem wyszedł na zewnątrz.

Wsiadł do samochodu. Był to czteroletni Chevrolet Camaro. Czerwony, lśniący w blasku promieni słonecznych. Ted, kochając swój wóz nade wszystko, utrzymywał go w bardzo dobrym stanie, przynajmniej raz na tydzień grzebał pod maską, spędzając w ten sposób po kilka godzin. W rezultacie auto prezentowało się prawie jak nowe.

Merton delikatnie zamknął drzwi, włączył radio, nastawił jakiś wesoły jazz, i ruszył w stronę willi Mortimerów na Night Street. Minął parę przecznic, przejechał przez Robert's Way, potem skręcił w Silver Way, spojrzął smętnym okiem na Salon Sprzedaży i Obsługi Chevroleta, całkiem niedawno otwarty - ach te piękne nowe maszyny, pomyślał - i wjechał na Dragon Street, od której odchodziła interesująca go ulica. Zatrzymał samochód, nie zamierzał zostawić go pod domem swego kolegi, i tak bywał w nim za często, popuszczając wodze swoim zmysłom.

Wysiadł, uśmiechnął się uprzejmie do Mabel Sanders, powracającej chyba z kościoła, wszyscy w Snow Hills wiedzieli, że spędza tam ranki i wieczory, i że należy, jak to określali w żartobliwych rozmowach, do armii Pana Boga, czyli najbardziej nietolerancyjnych, przekonanych o własnej nieomyłności osób.

Mabel Sanders miała w sobie specjalny czujnik, zapalający się wówczas, gdy coś zdawało się podejrzane, zaskakujące, a przede wszystkim nieprzyzwoite.

Mertona nie lubiła chociażby z tego powodu, że czerwień jego auta za bardzo rzucała się w oczy. Poza tym mężczyźni zajmujący się boksem, zawsze wydawali się jej podejrzani i tacy, jak by to rzec, zezwierzęceni.

Zlustrowała Mertona od stóp do głowy, przypominając sobie, że parę razy już go ostatnio widziała w tym miejscu. Było to nieco tajemnicze i znaczyło, że Ted Merton miewa tu jakieś sprawy do załatwienia.

W każdym razie pani Sanders lubiła wiedzieć, co w trawie piszczy, dlatego postanowiła zwrócić baczniejszą uwagę na Mertona. Kiwnęła mu głową, przeszła kilka jardów, po czym zawróciła, śledząc ostrożnie mężczyznę.

Merton szedł pewnie, nawet nie podejrzewając, że Mabel Sanders depcze mu po piętach. Tym niemniej właśnie o niej myślał.

Znał z doświadczenia możliwości wścibskich starszych kobiet ciekawych świata i ludzi. Ale taką cenę płacono się za życie w małym miasteczku takim jak Snow Hills. Nigdy nie potrafił pojąć tych zamusiałych potworów płci żeńskiej, przesiadujących godzinami przy oknie, skrzętnie podpatrujących znad żaluzji, i snujących potem rozwlekłe opowieści, oczywiście z wypiekami na policzkach: kto z kim i dlaczego.

Cóż, on, Ted Merton, postępował ostrożnie. Póki co nikt się nawet nie domyślał, że Frances Mortimer została jego kochanką.

Mabel Sanders przystanęła na rogu.

„Ach tak! Więc zacny pan wpadł sobie w odwiedziny do ślicznej pani Mortimer... Wpadł wtedy, gdy jej męża nie ma w domu... Ciekawe... bardzo ciekawe, wręcz interesujące... Krótko mówiąc, to brzydko pachnie! Naprawdę brzydko!”

Mabel Sanders kiwnęła parę razy zamyślona głową, postanawiając sobie, że pozna przyczyny wizyty Mertona u samotnej tego wieczoru pięknej Frances, bo jakby nie dumiała, coś ją wręcz w środku dźgało i kłuło, że nie

wszystko jest tu w należyтым porządku. A Mabel Sanders była święcie przekonana, że jako osoba wierząca ponosi przed Panem odpowiedzialność nie tylko za siebie, lecz za całe Snow Hills wraz z jego mieszkańcami.

Ted Merton wszedł przez otwartą bramę, przeskoczył trawnik, skracając sobie drogę, z pewnym zaniepokojeniem popatrzył na dzieci Frances, które zdawały się w najmniejszym stopniu nie zwracać nań uwagi, oprócz może małej Lisy, chlapiącej się w niewielkim basenie...

Nazywały go wujkiem i przywykły do jego widoku, mając go za dobrego kolegę tatusia.

Ted Merton wszedł do środka.

Frances uśmiechnęła się na jego widok, jednak był to lekki uśmiech, jeden z tych, co ci mówią, że dobrze, że przyszedłeś, lecz jeszcze lepiej by było, gdybyś się w ogóle nie pokazał.

- Spóźniłem się - tłumaczył - bo trening nieco się przeciągnął.

Frances wzruszyła ramionami.

- Nie tylko w tym rzecz!

- Coś się stało?

- Tak. Jacob przed wyjazdem pytał, czy byłeś. Powiedziałam, że nie. A on mi na to, że Ewa Carroll wdziała cię, gdy tu wchodziłeś...

- Do cholery...

- Musimy być ostrożni.

Do diaska, pomyślał Ted, zaraz powie, żebym przestał przychodzić.

- Lepiej, mój drogi, abyś mnie przestał odwiedzać, przynajmniej przez parę tygodni. Jacob nie powinien nabrać jakichkolwiek podejrzeń, a chyba niedaleko mu do tego...

Merton milczał.

Frances siedziała na kanapie, podkurczywszy nogi, krótka spódniczka podwinęła się do góry, ukazując aksamitny brąz uda.

- Nie wiem, czy potrafię - bąknął.

- Nic się nie zmieni. Trochę tylko poczekamy. Oczywiście w tym tygodniu możesz wpadać bez przeszkód, zwłaszcza późnym wieczorem. Jacob wróci dopiero w niedzielę, więc jesteśmy bezpieczni.

Z dnia na dzień stajesz się gorszą kobietą - szepnął Aniołek do Frances. - Interesuje cię wyłącznie własne bezpieczeństwo. Nawet nie zastanawiasz się nad tym, co będzie, gdy Jacob was nakryje? Co stanie się z dziećmi?

Nie dojedzie do tego, odpowiadała. Panuję nad sytuacją. A od życia coś mi się należy. Nie ja pierwsza i ostatnia zdradzam męża...

Ted usiadł obok Frances, przyciągając ją silnie i namiętnie do siebie. Uległym ruchem oparła głowę na jego piersi. Zaczął pieścić jej udo, z każdym ruchem posuwając się nieco wyżej.

- Ted! - szepnęła cicho.

- Tak?

- Jesteś mi potrzebny. Naprawdę jesteś mi potrzebny.

Merton pomyślał, że nigdy nie należy się zbyt przyjmować słowami kobiet, bo one i tak co innego mówią, a co innego robią. A może Frances sama nie wie, co uczynić? Z jednej strony boi się reakcji Jacoba, jeśliby odkrył ich romans, boi się tego, co nastąpi potem. A z drugiej nie chce go ukrócić, gdyż po prostu dobrze jej z nim.

Merton nachylił się mocno nad Frances i pocałował ją w usta, bardzo namiętnie i silnie. Z trudem go od siebie oderwała.

- Poczekaj na wieczór - poprosiła.

- Dobrze - westchnął.
- Muszę ci coś powiedzieć... Tylko tobie...
- Czy to coś poważnego?
- Dla mnie tak!
- Chodzi znów o nas?

- Nie! Źle mnie zrozumiałeś. To dotyczy wyłącznie mnie. Nie daję już sobie z tym rady, dlatego zwracam się do ciebie. Pomóż mi, Ted, bardzo cię o to proszę...

- Masz jakieś kłopoty?
- Tak to trzeba nazwać. Pamiętasz tę historię z UFO?
- Pewnie, że pamiętam...
- Ted! Ja to widziałam. Jechałam wtedy samochodem.

Był wieczór. Auto nagle się zatrzymało. A później zobaczyłam to coś... I straciłam przytomność... Ocknęłam się w innym miejscu nad ranem we własnym samochodzie...

- Coś takiego!
- Spojrzała nań z wyrzutem.

- Nie wierzysz mi? - zapytała.

- Ależ wierzę - odparł błyskawicznie, lecz w jego głosie dźwięczała obca nuta i Frances natychmiast zaczęła żałować, że wyjawiała mu swój najskrytszy problem.

- Sądziś, że zwariowałam?

- Wcale tak nie sądzę. Słyszałem o tych rzeczach. Jednak co innego słyszeć, a co innego zetknąć się z tym osobiście...

- Ted! Ja to naprawdę przeżyłam!

- Rozmawiałeś o tym z Jacobem?

- Nie mówmy o nim.

- Dobrze... Więc masz lukę w pamięci? Nie wiesz, co przez kilka godzin się z tobą działo?

- Tak!

- Powinnaś się zgłosić do psychoanalityka i poddać

hipnozie. Słyszałem, że to pomaga...

- Myślałam o tym, ale boję się!

- Coś z tym musisz zrobić...

Frances zamyśliła się.

Ilekoć przypominała sobie tamte chwile, tylekroć czuła się źle, wręcz obrzydliwie. Czasami w jej snach pojawiały się jakieś tajemnicze twarze, pomieszczenia.

Wystarczy, postanowiła, nie będziemy już o tym mówić...

Przytuliła się do Teda, a później pocałowała go w usta.

Lisa cicho weszła do domu.

Była sama. Pozostałe rodzeństwo poszło na sąsiednią ulicę. Dziewczynka uśmiechnęła się do siebie, lekko stawiając stopy na schodach prowadzących do góry.

W dłoni trzymała małego ptaszka, którego znalazła tuż przed domem.

Najwidoczniej wypadł z gniazda. Drżał skulony w jej palcach...

Lisa weszła do swojego pokoju i zamknęła drzwi.

W pomieszczeniu panował półmrok. Dziewczynka nie lubiła światła, lubiła ciemność, lubiła piwnice, jaskinie w skałach. Coś ją ciągnęło do tych miejsc, w nich czuła się najlepiej.

Wyjęła ze swojej szafki pudełeczko z igłami, powoli wyciągnęła największą z nich, obejrzała...

Ptaszek już się uspokoił w jej garści.

Lisa ścisnęła go mocniej, po czym przybliżyła do jego główki igłę. Twarz dziewczynki zmieniła wyraz. Przypominała martwe oblicze mumii, zdawała się maską, gumową chłodną maską.

Lisa naraz podniosła dłoń do góry, a później gwałtownie ją opuściła na piskłę, wbijając weń igłę...

Uderzała raz po razie niczym automat... uderzała i uderzała...

Gdy zobaczyła na palcach krew, przestała.

Siedziała długi czas wciąż nieruchoma, jakby zastygła w sobie. Jej dłoń powoli się rozluźniała, wreszcie martwy ptaszek wypadł z niej na dywan.

Lisa opuściła głowę i przyglądała mu się obojętnym wzrokiem. Potem podniosła go, przybliżyła się do okna, otworzyła je i wyrzuciła nieżywe pisklę. Następnie poszła do łazienki, aby umyć dłonie.

Ted Merton, po szalonej nocy spędzonej z Frances, wychodził od niej rozradowany, pełen wiary we własne siły, dumny i przekonany, że najlepsze lata ma wciąż przed sobą.

Naraz przystanął.

Na trawniku spostrzegł małego ptaszka, małego okrwawionego ptaszka.

- A to co? - mruknął do siebie.

Kochał zwierzęta, kochał je mocniej, niż swoich bliźnich, bo uważał, że są bardziej bezbronne, bardziej zdane na łaskę losu.

Najpierw pomyślał, że pisklę wypadło z gniazda. Kiedy jednak przy nim ukląkł i zauważył ślady po nakłuciach, przeszedł go zimny dreszcz. Kto mógł zrobić coś takiego? - zastanawiał się. Boże, myślał dalej, przecież trzeba być potworem, prawdziwym potworem, aby dopuścić się takiego czynu. Wyrwałbym nogi z tyłka bydlakowi, jeśli bym tylko go znał. Do ciężkiej cholery, do ciężkiej cholery...

Ted Merton należał do mężczyzn, lubiących do końca znać prawdę. Zaczął więc rozglądać się wokół, ale nic nie zauważył. Na ziemi, choć była wilgotna po nocy, nie dostrzegł najmniejszych śladów.

A może to któreś z dzieci Frances? - przyszło mu do głowy. Nie, pomyślał, to niemożliwe. Żadne z jej dzieci nie

dopuszciliby się takiego okrucieństwa...

Drzwi naraz się otworzyły. Wyszła z nich Frances i prędko przybliżyła się do Mertona, wyraźnie zaniepokojona.

- Wyrzałam przez okno - zagadnęła nieco przestraszona - i zobaczyłam, że wciąż jesteś, że jeszcze nie pojechałeś... Czy coś się stało?

- Zobacz!

Frances uklękła.

- Mój Boże - wykrztusiła. - Mój Boże... Kto mógł to zrobić?

- Sam jestem ciekaw...

- Ted, to straszne, ale nie powinieneś już tu dłużej pozostawać. Zrozum mnie, proszę...

- Dobrze. Wieczorem zadzwonię...

Patrzyła za nim, jak się oddala, gdy zniknął, raz jeszcze spojrzała na pisklę, po czym wróciła do domu.

Tymczasem mała Lisa od godziny nie spała. Myślała o księdzu Larrym. Myślała o tym, co z nim zrobi, co zrobi ze swoim bratem, Ronem. Było tak wiele osób, których nienawidziła z całego serca. Każda z nich wyrządziła jej krzywdę, wielką niezapomnianą krzywdę.

Na przykład Larry Day uderzył ją kiedyś w twarz przy innych dzieciach. Co prawda wydarzyło to się dawno, nawet bardzo dawno temu, lecz ona wciąż pamiętała, pamiętała aż za dobrze...

Ron natomiast powiedział jej w gniewie straszną rzecz, powiedział, że nie jest prawdziwą córką Mortimerów, powiedział, że jest podrzutkiem, z litości zabranym przez jego rodziców z domu dziecka. Pobiegła wtedy wściekła i zła do matki, ta skrzyczała Rona, jednak nie zaprzeczyła, nie zaprzeczyła...

Wieczorem podsłuchiwała rozmowę rodziców.

Wszystkiego się dowiedziała. Jej braciszek mówił prawdę...

Wyrządzili jej krzywdę... Oni... matka, ojciec, Ron... będzie się na nich mściła, zapłacą za to, co uczynili...

Lisa przymknęła powieki.

Wyglądam jak aniołek, pomyślała. Te moje błękitne oczy i długie włosy... Nikt nigdy się nie dowie, co naprawdę siedzi mi w głowie. Mam dopiero dziesięć lat, lecz jestem mądrzejsza od nich wszystkich. Książd Day uwielbia na przykład, gdy mu siadam na kolanach, gdy się do niego przytulam... Myśli sobie, że taka malutka i, jego zdaniem, głupiutka dziewczuszka jak ja pojęcia nie ma, o co mu chodzi...

Ale ja mam pojęcie...

Już niedługo, kochany wujaszku w czarnej sutannie... Już niedługo...

Och, tak nienawidziła całego świata, nienawidziła wszystkiego i wszystkich.

Nienawidziła też samej siebie za to, że musiała udawać grzeczną dziewczynkę, grać wieczną komedię.

Lisa westchnęła.

Wstała i podeszła do okna, bo zdawało jej się, że na dole słyszy jakieś głosy. Nie myliła się. Ted Merton rozmawiał z jej matką, oboje nad czymś się pochylili i Lisa w nagłym przeczuciu pojęła, że pochylili się nad ptaszkiem, którego ona uśmierciła.

To ciekawe, pomyślała. Mojego drogiego tatusia nie ma, ale za to jest słodziutki pan Merton, wychodzący nad ranem z naszego domu... Ach, gdyby to tatuś widział...

Słońce zajrzało do pokoju, napełniając go roztańczonym złotem światłocienia.

Mabel Sanders otworzyła oczy i spojrzała na śpiącego jeszcze męża.

Momentalnie przypomniała sobie poprzedni dzień i

podejrzane zachowanie Teda Mertona, o którym postanowiła nadmienić nie tylko Royowi, ale również pastorowi Jacksonowi, do którego wybierała się w sobotę.

Spojrzała na zegarek, zbliżała się siódma.

Mabel westchnęła, podniosła się z łóżka, założyła szlafrok i ruszyła do kuchni, aby przygotować śniadanie. Zaparzyła kawę, ugotowała jajka, przyrumieniła chleb w tosterze, upiekła kiełbaski.

Tymczasem Roy się obudził i poszedł do łazienki, aby przepłukać twarz i pozbyć się zarostu. Tego dnia miał ważne spotkanie z Louistem Wardem i pragnął wyglądać jak najlepiej. Przypatrywał się swojemu odbiciu w lustrze z zadowoleniem, bo ostatnio opatrność przynosiła mu same dobre rzeczy poza tą jedną nieszczęsną awanturą z Mikiem Vernonem.

Wziął ręcznik, wytarł mocnym ruchem twarz, wyszedł do kuchni i usiadł przy stole. Wraz z Mabel, przed rozpoczęciem posiłku, zmówił krótką modlitwę, prosząc w niej Boga o opiekę i błogosławieństwo.

- Anna jeszcze nie wstała? - zapytał, kiedy skończyli.

- W szkole odwołali zajęcia - stwierdziła Mabel.

- Odwołali? A to czemu?

- Nie mam pojęcia...

- Nie powinni tak robić. Obowiązek to obowiązek.

- To prawda... Chciałam ci coś powiedzieć...

- Tak?...

- Wyobraź sobie, że Ted Merton chyba romansuje z Frances Mortimer... Widziałam, jak do niej szedł, widziałam nie pierwszy raz... Przychodzi zawsze wtedy, gdy Jacoba nie ma w domu...

- To obrzydliwe. Co zamierzasz z tym zrobić?

- Jeszcze nie wiem, ale w naszej wspólnotie i w

naszym miasteczku nie powinniśmy czegoś takiego tolerować...

- Jesteś tego pewna?

- Na gorącym uczynku ich nie przyłapałam... Ale...

- Musisz poznać prawdę do końca... Postaraj się...

- Chciałam o tym porozmawiać z wielbnym

Jacksonem!

- Za wcześnie na to...

Sanders westchnął. Tak naprawdę guzik go obchodziły problemy małżeńskie Mortimerów. Sam nie był wolny od „chwil zapomnienia”, drobnych wyskoków, gdy wyjeżdżał w jakichś interesach. Miał nawet ulubione dziewczęta, z których wdzięków zawsze korzystał, kiedy tylko znalazł się z dala od Snow Hills... Ale tutaj na miejscu wiódł przykładowe życie statecznego męża i dobrego, chociaż surowego ojca.

Mabel natomiast...

Mabel rzeczywiście uważała się za wzór wszelkich cnót. Uważała też, że mało kto poza nią i - rzecz jasna - pastorem - jest równie uprawniony, ze względu na swoją nieskalaną moralność, do strzeżenia dobrych obyczajów w Snow Hills.

Nawet ksiądz Larry, według opinii Mabel, do tego się nie nadawał, bo był przedstawicielem Kościoła rzymskokatolickiego, a tę instytucję uważała za zdegenerowaną i głoszącą nauki niezgodne z przekazem Pisma Świętego. Przy tym niewiele ją obchodziło, że Jackson uważa nieco inaczej, a z księdzem wręcz się przyjaźni.

- Jak to? - zdziwiła się.

- Sama powiedziałaś, że nie znasz prawdy do końca...

- Owszem, nie znam, ale widziałam, jak Merton się zachowywał, zmierzając do domu Mortimerów.

- To trochę za mało. Nie złapałaś go na gorącym

uczynku. A jeśli nie złapałaś, to na razie nie powinnaś nikomu o tym mówić. Jeśli rzeczywiście zgrzeszyli, na pewno dosięgnie ich Boża sprawiedliwość.

- Dobrze, zrobię jak chcesz, jednak wcześniej czy później, Roy, wcześniej czy później zapłacą za swoje uczynki...

Ciemność, ciemność, zapalona latarka i błysk światła na obłej, błyszczącej mdło skórze... Lekki szelest potężnego cielska, przesuwanego się po chłodnej podłodze... Czerwone, błyszczące krwiście oczy...

Christopher Russell drgnął.

Siedział już od godziny w podziemiach swojego domu w Nowym Jorku, siedział nieporuszony, ale zarazem i zafascynowany, wpatrując się w swoje dzieło, w coś, czego nie stworzył do tej pory żaden człowiek, chociaż zawsze o tym myślał i zawsze się tego obawiał...

Od czasu do czasu krótki przeraźliwy syk przenikał przestrzeń, wzbudzając w naukowcu zimny dreszcz.

Russell, kontynuujący po przyjeździe prace nad obcym DNA, wykonał już na sobie doświadczenia, zaszczerpił sobie wyciąg przygotowany skrupulatnie i sprawdzony na wielu zwierzętach, ale efekty były zupełnie inne, niż się spodziewał, to znaczy w ogóle ich nie było. Nie zaobserwował na sobie nawet śladu tego ożywienia i jak gdyby poszerzenia percepcji, widocznego u badanych stworzeń.

Tylko jedna rzecz się zmieniła!

Sny...

W snach przestawał być sobą, przyjmował formę i psychikę tworu, leżącego teraz za grubymi kratami.

Pełzł przez ciemne powykręcane zarośla, przesuwanąc po podłożu zwały potężnego cielska, pełzł spragniony krwi i mordy, pozbawiony jakichkolwiek uczuć wyższych, silny i

bezwzględny, sprawna i przerażająca maszyna do zabijania...

Kiedy się budził, wystraszony sennymi doznaniem, zupełnie nie rozumiejący skąd się wzięły, dlaczego i po co, kiedy powoli wracał z mrocznej, podświadomej rzeczywistości, pewnego razu przyszła mu do głowy okropna myśl...

Przyszła i wstrząsnęła nim, wytrąciła raz na zawsze z równowagi i spokoju. Pojął, że to nie on bawi się z opatrnością, ale raczej opatrność bawi się z nim, bawią się z nim jakieś nieznane siły, których istnienia nigdy nawet nie podejrzewał; bawią się z nim i tak go zwodzą na manowce, jak on bawił się ze swoimi myszkami, obserwując ich reakcje, gdy przyłączał im do mózgow elektrody lub zmieniał ich kody genetyczne.

Kto wie, czego naprawdę chciał od niego Jason Fleet, kiedy wręczył mu czarne kulki i gdy opowiedział o tajemniczym znalezisku w dalekiej Rosji...

Kto wie?

Być może ludzie nawet nie podejrzewają, co się kryje za doniesieniami o nie zidentyfikowanych obiektach latających, być może jest to rzeczywistość tak straszliwa, tak nie do zgłębienia przez ludzki umysł, że nawet w najwybitniejszych umysłach, najbardziej otwartych, nie zaświta cień prawdy...

Czy to ja prowadzę badania? - myślał Russell - czy badania prowadzi się na mnie? A jeśli tak, to do czego w rzeczywistości zmierzał Fleet? Czy był poinformowany, czy też spełniał rolę pionka nieświadomego swojej własnej roli?

Sny! Te przekłete sny. Nie potrafię się od nich uwolnić. Powtarzają się z nocy na noc doprowadzając mnie do szaleństwa. I nie wiem, nie jestem w stanie pojąć, co

oznaczają, do czego mogą doprowadzić...

Russell wstał.

Raz jeszcze rzucił okiem na ciemne pomieszczenie. Pełzacz leżał w bezruchu, potworny i przerażający swoją wielkością...

Transport, rozważał, będzie bardzo trudny. Całe szczęście, że pomyślałem o tym od samego początku, całe szczęście że klatka jest automatycznie przesuwana i automatycznie zamykana, nie mówiąc już o regulowanej temperaturze.

Naukowiec potrząsnął niezadowolony głową.

Miał problemy, nie czuł się najlepiej i wcale nie był to dobry moment na zmianę swoich losów, na ślub z Florentiną, na ślub, który miał się odbyć już za tydzień...

Skromna uroczystość w towarzystwie najbliższej rodziny i przyjaciół, uroczystość oczekiwana szczególnie przez Maritę, szczególnie przez nią upragniona.

- Och, mamusiu, tam jest pięknie. To chyba moje najszczęśliwsze chwile w życiu.

Niekiedy wydaje mi się, że ktoś zaczarował świat...

Florentina, poprawiająca przed lustrem makijaż, spoglądała na córkę, zachwycona jej rozkwitającą urodą, jej młodością, wreszcie jej szczęściem.

- To nie tylko to, córeczko - roześmiała się, przypatrując się wnikliwie Maricie...

- Tak, nie tylko to... - dygnęła a potem zawirowała w piruecie, a gdy go skończyła, ponownie chwyciła brzegi sukienki i przysiadła przed matką. - Snow Hills to czarowne miasteczko - rzekła podnosząc oczy - i są też w nim przystojni młodzi ludzie, jednego z nich miałam przyjemność poznać...

- Kochanie, chciałaś zapewne powiedzieć młodzi

przystojni mężczyźni?

- Mamo, ty zawsze mnie rozumiesz...

- Kim jest ten szczęśliwiec?

- Nazywa się Mike Vernon. To jego posiadłość kupuje tata! Wiesz, poznaliśmy się w niezwykłych okolicznościach... on, gdy zobaczył mnie po raz pierwszy, rozwścieczony utratą ziemi, wręcz rzucił się na mnie...

- Dlaczego?

- Stracił majątek wskutek błędów finansowych ojca, który później popełnił samobójstwo, a przedtem zastrzelił żonę.

- Mój Boże...

- Vernonowie, pozbawieni gotówki, zostali zmuszeni do sprzedaży domostwa. Mike, jak mi sam opowiadał, popadł w skrajną rozpacz i rozpił się. Gdy mnie zobaczył, a był wtedy pod wpływem alkoholu, to... sama rozumiesz...

- Co stało się potem?

- Przyszedł nas przeprosić. Tata gdy kupował farmę, nic nie wiedział o tej tragedii, wtajemniczył go w tę historię miejscowy szeryf, który zresztą powstrzymał Mike'a, gdy ten się na mnie rzucił... Tata zachował się bardzo ładnie i wielkodusznie, zaproponował mu zarządzanie posiadłością!

- A ten cały Mike się zgodził?

- Powinnaś go widzieć w tym momencie. Nic specjalnie nie powiedział, ale jego oczy rozjaśniały jak dwa słońca. To dobry chłopak, mamo, właściwie mężczyzna. Ma już trzydzieści lat.

- Widzę, że naprawdę przypadł ci do gustu. Różnica w wieku jest dosyć duża, ale do przyjęcia...

- Och, mamo... Tak daleko w myślach jeszcze nie sięgam. Traktuję to jako miłą znajomość. Co przyniesie czas, zobaczymy. Jak się czujesz przed ślubem?

- Jestem zdenerwowana. To takie niespodziewane, wręcz nieprawdopodobne. Nigdy nie sądziłam, aby coś podobnego dane mi było przeżyć. Dobry Bóg sprawił, że tak to się ułożyło.

- To prawda. Jeśliby nie ta gazeta, nigdy byś o ojcu nie usłyszała!

- Usłyszałabym, córeczko, bo to tak już miało być, wcześniej czy później...

- Tata jest bardzo pochłonięty swoją pracą. Niekiedy znika na całe godziny, a gdy wraca, wcale nie znać po nim radości. Jest wyczerpany i jakby czymś przestraszony... Zwłaszcza ostatnio... Czy też to zauważyłaś?

- Tak... I czuję się zaniepokojona.

- Ja też, mam...

- Ma problemy z zasypianiem...

- Z zasypianiem? Cierpi na bezsenność?

- Gorzej! Boi się snu, boi się koszmarów, na które cierpi i o których nie chce mi opowiedzieć. Twierdzi, że sam musi się z nimi uporać...

- Upora się, mam. On jest silny. Niedługo wyjedziemy wszyscy do Snow Hills, wyjedziemy do naszego nowego domu, a tam będziemy sobie żyli szczęśliwie, jak u Pana Boga za piecem.

Florentina skinęła potakująco głową.

- Tak - przytaknęła - tam na pewno będziemy szczęśliwi.

Szedł bardzo wolno, uważnie przyglądając się mijanym domom. Snow Hills nie było znów tak wielkie, ale bez problemów można je było podzielić na „lepsze i gorsze ulice”. On rzecz jasna mieszkał przy gorszej, zapewne nawet przy najgorszej. W każdym razie mieszkał w byle jakiej ruderze, śmierdzącej na klatce kotami i stęchłym zapachem ich moczu.

Tymczasem Night Street wydawała się ulicą z marzeń. W jej rejonie osiedliło się sporo zamożnych i znanych ludzi. Chociażby Jacob Mortimer, właściciel „Pięści Zabójcy” i Roy Sanders, hotelarz. No a przede wszystkim właśnie tutaj zamieszkiwała Mary Bromley.

Tydzień kończył się bardzo ładnie. Pogoda była wysmienita, dzień bardzo ciepły, bezwietrzny, zapowiadający rychłe lato.

Adam Winklis, z przejęciem rozmyślający o prywatce u Mary, na którą właśnie szedł, nie do końca zdołał siebie przekonać, że robi dobrze. Coś mu wewnątrz szeptało, że to nie najlepszy pomysł. Owszem, znał Mary całkiem dobrze.

Ostatecznie parę razy wybrali się razem w różne miejsca, czasami pomagał jej rozwiązać co trudniejsze zadania z matematyki. Kłopot polegał jednak na tym, że poza Anną Sanders i Robertem Astorem, zupełnie nie znał jej przyjaciół. A ci należeli do innego świata niż on. Adam bał się spotkania z nimi, bał się ośmieszenia, bał się tego, że w ich towarzystwie nie zdoła wykrztusić z siebie ani słowa.

Wzdrygnął się nagle, bo dostrzegł dwóch kolegów z

klasy: Paula Davisa i Tobiasa Perry'ego... zwłaszcza Paul wzbudził w nim dreszczyk, gdyż należał do jego najgorliwszych prześladowców i gdyby nie pomoc Roberta Astora - okazał się przyzwoitym chłopakiem - z pewnością do końca obrzydziłby mu życie.

Paul wydawał się znajdować wręcz jakąś sadystyczną radość w dręczeniu Winklisa, w przezywaniu go, w zabieraniu mu najróżniejszych rzeczy, w wyśmiewaniu się z jego biedy, z ojca siedzącego za kratkami.

Teraz także paskudnie się uśmiechnął.

- No proszę - zagadnął wyszczerzając zęby. - No proszę, kogo my tu mamy...

- Przepuść mnie, Paul!

- Och, przecież cię nie trzymam, mój ty śliczny Kreciku... A dokąd to się wybierasz o tej porze?

- To nie twoja sprawa!

- Nie moja, mówisz? A mam ci dołożyć?

- Puść mnie - szepnął Adam. - Śpieszę się...

- No dobrze, ale pod warunkiem, że jutro dasz mi pięć dolców...

- Zwariowałeś! Nie mam tylu pieniędzy!

- To już twój problem. Więc jak?

- Pomyślę nad tym.

- Pomyśl, i to dobrze.

Paul klepnął go w plecy, uśmiechnął się nie mniej paskudnie niż za pierwszym razem i po chwili, wraz ze swoim towarzyszem, zniknął za zaułkiem.

Adam ciężko westchnął.

Muszę o tym porozmawiać z Robertem, postanowił, sam niewiele zdziałam, a ten przekłety Davis tak łatwo nie zrezygnuje.

Jakże miał dosyć tej własnej słabości, tej niemożności

odwdzięczenia się pięknym za nadobne. Gdyby chociaż tak raz stać się kimś innym, bardzo silnym, przystojnym i pewnym siebie... Gdyby chociaż raz...

Adam potrząsnął z niezadowoleniem głową.

Ponownie przypomniał sobie ową nieszczęsną chwilę w szkolnym gabinecie lekarskim, kiedy nie potrafił przeczytać liter, bo się rozmywały przed jego oczyma, a ostrości nabrały dopiero wtedy, gdy higienistka włożyła do urządzenia tkwiącego na jego szkła. „Teraz dobrze?”-zapytała. „Tak odparł. - Wszystko widzę, nawet najmniejszy rząddek...” „Masz wadę wzroku - stwierdziła. - To krótkowzroczność. Musisz nosić okulary... Koniecznie!”

Nie zamierzał ich zakładać, chociaż matka kupiła mu byle jakie, tanie, plastikowe oprawki.

Wyglądał w nich paskudnie, wręcz okropnie, wyglądał w nich jak ostatni krety.

Jeśli tylko w czymś takim pojawił się w szkole, to koledzy obrzydliby mu do reszty życia, a dziewczyny wysmiewałyby się za jego plecami z tego, jaki zeń potwór...

Adam Winklis zerknął na zegarek.

Dochodziła dwudziesta.

Wreszcie ujrzał willę Bromleyów, schowaną za wysokimi koronami rozłożystych dębów. Otworzył niedomkniętą przez kogoś furtkę i długą aleją, porośniętą po obu stronach ozdobnymi krzewami i modrzewiami, zmierzał w stronę domu. Po drodze minął basen, w którym pluskało się kilka osób, ale z tej odległości nie potrafił ich rozpoznać.

Na podwórzu stało parę drewnianych krasnoludków w różnych najwymyślniejszych pozach. Niektóre z nich schylały się, obejmując grubymi dłońmi zabawne, pulchniaste grzyby.

Z otwartych okien dolatywała rytmiczna muzyka,

dosyć melodyjna, zawierająca w sobie wschodnie elementy.

Drzwi otworzyła sama Mary, ubrana w zwiewną muślinową suknię, dodającą jej powagi i uduchowanie podkreślającą urodę.

Na widok Adama Winkilsa uśmiechnęła się nieco i gestem dłoni zaprosiła go do środka.

- To bardzo dobrze, że przyszedłeś - rzekła.

Szedł za nią niepewnie, przejęty widokiem starszych chłopców i dziewcząt, znanych sobie co najwyżej z widzenia, elegancko ubranych, zadbanych, dyskutujących od niechcienia o jakichś sprawach, o których nie miał najmniejszego pojęcia, których się nawet nie domyślał.

Weszli do salonu. W przyciemnionym świetle wirowały pary, płynęły ciche szepty.

- Chodź - szepnęła Mary.

Usiedli na skórzanej kanapie, zasłoniętej przed oczyma ciekawskich paroma wysokimi palmami. Mary wzięła z pobliskiego stolika kielich i podała go Adamowi, potem wzięła taki sam dla siebie.

- Cieszę się, że jesteś - powiedziała przymilnie, kładąc delikatną ciepłą dłoń na jego rękę. - Tak mi zależało na tym, abyś przyszedł...

Adam, wręcz przerażony tymi nieoczekiwanymi słowami, nie wierzący w swoje szczęście, nie wierzący w to, że najładniejsza dziewczyna w klasie mówi mu takie rzeczy, siedział cicho i tylko patrzył na Mary. Później jednym haustem wypił alkohol, czując jak parzy mu gardło, a potem rozlewa się ciepłem po brzuchu.

- Od dzisiaj musisz częściej do mnie przychodzić - mówiła Mary. - Nawet nie wiesz jak tego pragnę. Prawdę mówiąc zawsze o tym marzyłam, tylko nie śmiałam ci o tym powiedzieć, nie śmiałam ci się narzucać... I, myśl sobie co

chcesz, jestem o ciebie zazdrosna, bo podobasz się także Penny, a Penny to śliczna dziewczyna...

- Penny Astor? - wydusił z siebie.

- Tak, Penny Astor!

- To niemożliwe. Robert by mi o tym...

- Och - przerwała mu prędko - dziewczęta trzymają takie rzeczy w tajemnicy, a zwłaszcza trzymają w tajemnicy przed braćmi... Wypij jeszcze szampana - podała mu następną porcję. - To pozwoli zapomnieć ci o obawach...

Wypił, wpatrując się w niebieskie swawolne oczy.

Rzeczywiście nabrał od razu pewności - stał się sobą. Poczucie osamotnienia, niedowartościowania przepadło na dobre i wcale go nie zdziwiło, że Mary lekko doń się przytuliła, a jego ręka, tak sama, prawie od niechcienia, objęła dziewczynę. Było mu dobrze jak nigdy i rozumiał, że coś w jego życiu ulega zmianie, rzecz jasna na lepsze.

Nagle Mary złapała go za dłoń, ciągnąc za sobą.

- Nie umiem tańczyć - szepnął nieco zawstydzony, kiedy stanęli na środku salonu, a ona lekko oparła głowę na jego ramieniu.

- To nic trudnego - rzekła równie cicho. - Pozwól tylko swojemu ciału, aby myślało za ciebie.

Pozwolił, a potem zagubił się w czasie, zagubił w przestrzeni, przestał dostrzegać cokolwiek, co znajdowało się przed jego oczyma. Czuł jedynie lekki, subtelną zapach delikatnych aromatycznych perfum, zwiewną mgłą płynących od Mary.

Ocknął się, kiedy muzyka ucichła, a dziewczyna mocniej uściśnęła jego dłoń, wrywając go z tanecznego otepienia. Spojrzał, otwierając gwałtownie powieki, i dostrzegł Penelopę Astor, przypatrującą mu się ze smutnym uśmiechem.

- Szukam cię od kilkunastu minut - przyglądała mu się z wyrzutem.

- Nie wiedziałem, że już jesteś - tłumaczył się zawstydzony i zarazem dumny, że dwie dziewczyny, takie dziewczyny, zwróciły na niego uwagę.

Spojrzały na siebie. We wzroku Penny dostrzegł, dałby sobie głowę za to uciąć, skrywaną pretensję. Była najwyraźniej o niego zazdrosna. To wspaniale - pomyślał. - Penelopa Astor, jedna z najładniejszych dziewcząt w Snow Hills, jest o mnie zazdrosna.

Adam, zadowolony z siebie jak nigdy, najzupełniej nie pamiętający przykrych myśli, które tak jeszcze niedawno go dręczyły, czuł na sobie spojrzenia wszystkich osób obecnych na przyjęciu, przejętych, zadających sobie pytanie, kim jest chłopak, tańczący z Mary Bromley, kim jest ten szczęśliwiec mający takie powodzenie.

Później wyszli na taras, a jeszcze później zdjęli ubranie i poszli się kąpać. Adam nie potrafił oderwać oczu od smukłego, opalonego na brąz ciała Mary.

Podziwiał jego nieskazitelną budowę, zachwycił się płaskim brzuchem...

Skoczyli do basenu, woda chlupnęła na wszystkie strony, a Penny natychmiast zaczęła głośno parskać i pryskać na nich wodą. Adam, niewiele myśląc, podpłynął do niej, usiłując ją wciągnąć pod taflę. Potem, na prośbę dziewcząt, nurkował - nie było w tym miejscu głęboko - aby stanąć na rękach.

Gdy wyszli, Mary poprosiła, aby wytarł jej ręcznikiem plecy. Penny spojrzała z wyrzutem na koleżankę, ale zaraz się roześmiała.

- Chyba nie mam szczęścia - stwierdziła, robiąc smutną minę. - Adam najwyraźniej wybrał ciebie, Mary...

Och, tak się zawstydził w tym momencie, naprawdę zrobiło mu się straszliwie żal Penny. Przez chwilę bał się spojrzeć jej w oczy. Lecz ostatecznie cóż mógł poradzić na to, że do Mary ciągnęło go bardziej.

Noc była bardzo ciepła. Siedzieli na rozkładanych fotelach, przyglądając się z zainteresowaniem dokazującym w basenie młodym ludziom. Adam, siedzący przy Mary Bromley, delikatnie ujął jej dłoń i pieścił palce dziewczyny, do reszty nią zafascynowany i przejęty własną zuchwałością.

- Wreszcie was znalazłem - zawołał ktoś głośno, wyrывая Winkilsa ze słodkiego letargu.

To był Robert Astor.

Robert Astor, wysoki, opalony, muskularny, ubrany jak zwykle na sportowo, tym razem miał na sobie białą, rozpiętą na piersiach koszulę, i białe spodnie. Na opalonej piersi lśnił skromny srebrny krzyżyk.

Swoim nadejściem nie ucieszył Adama...

Robert Astor niósł wraz ze sobą zagrożenie, bo Mary już mu się przyglądała, tajemniczo się przy tym uśmiechając.

Ale Astor zdawał się nie zwracać na to najmniejszej uwagi.

- Musimy już wracać, Penny - powiedział do siostry.

- Przestań - zachnęła się. - Nie jesteś moim aniołem stróżem. Poza tym dopiero co tutaj przyszliśmy...

- Jak chcesz - wzruszył ramionami. - To w końcu twoja sprawa. Wybaczcie dziewczyny, ale chciałbym przez moment pogadać z Adamem... Chyba mi pozwolisz, Mary?

- Jeśli to taka tajemnica!

Winklis spoglądał nań zdumiony. Robert zachowywał się dosyć dziwnie. Co to mogło znaczyć? Był zły na kolegę, że przerwał mu miłe chwile z Mary, lecz zarazem był zaintrygowany jego zachowaniem.

- Zaraz wracam - rzekł do dziewcząt.

Przez parę minut szli w milczeniu.

- Winklis - zagadnął wreszcie Robert, gdy dosyć już się oddalili od basenu i weszli w alejkę zacienioną drzewami.

- Winklis, naprawdę cię lubię i ty chyba o tym wiesz?

- Wiem... - odparł zaskoczony Adam.

Przez moment milczeli.

- Obserwowałem cię, gdy tańczyłaś z Mary... Strzeż się jej, to zła dziewczyna, przekonałem się o tym na własnej skórze. W dodatku wciąż do swoich gierek moją głupią siostrę, a ta daje się wodzić za nos i jest na każde jej zawołanie.

Adam zamarł. Pomimo ciemności Astor widział, jak blednie, a potem czerwienieje z emocji. Winklis zwrócił ku niemu twarz, mordując go wręcz wzrokiem.

- Kłamiesz! - wybuchnął. - Bezcelnie kłamiesz!...

- Mówię prawdę!

- Zazdrościsz mi! To cała prawda.

Robert westchnął i wrzucił ramionami, zły już na siebie, że w ogóle rozpoczął rozmowę. Zaczynał rozumieć, że za żadne skarby nie przekona kolegi, ale nie zamierzał tak łatwo się poddać. Postanowił zaapelować do zdrowego rozsądku Winklisa, nie pojmując, że w ten sposób popęlnia olbrzymi błąd.

Roześmiał się wzgardliwie.

- Popatrz na siebie - rzucił od niechcienia. - Popatrz jak wyglądasz! Jesteś niski, nieatrakcyjny, niewysportowany, poza tym nieśmiały... Czy sądzisz, że dziewczynę, taką jak Mary Bromley, bezinteresownie zaciekawi taki nieudacznik jak ty? Oczywiście, że nie. Ma w tym jakiś cel. Jaki? Tego nie wiem i nawet nie chcę wiedzieć...

- Ty łajdaku! - wrzasnął Winklis, zupełnie nad sobą

nie panując.

Jego wybuch zaskoczył Astora. Tego się nie spodziewał. Nim zdołał pojąć, co się dzieje, zraniony w swojej ambicji Adam skoczył do przodu, uderzając kolegę z całej siły w twarz.

Robert upadł na ziemię, lecz natychmiast powstał, błyskawicznie uchylając głowę przed następnym ciosem Winklisa.

- Nie chcę się z tobą bić - zawołał, cofając się. - Pragnę ci pomóc! Zrozum!...

- Idź do diabła, bydlaku, ze swoją pomocą! Słyszysz, ty parszywy sukinsynu? Wynos się stąd natychmiast!... Wynos!...

Winklis zaczął naraz płakać. Robert w przeproszającym geście podniósł do góry dłonie.

- Okay - powiedział spokojnie. - Pamiętaj tylko, że cię ostrzegałem. Dobrze o tym pamiętaj.

Odwrócił się. Wkrótce zniknął w mroku drzew.

Winklis nadal płakał.

Parszywiec jeden, łkał. Jak on mógł? Dlaczego to powiedział. Nigdy mu tego nie daruję. Nigdy mu tego nie zapomnę. Będę pamiętał do ostatnich swoich dni. Wielki wspaniały Robert Astor... Jest zazdrosny o Mary, bo dała mu kosza... Nie potrafi znieść, że ja zająłem jego miejsce... Nie potrafi... Oto cała prawda... Wcale nie jestem takim nieudacznikiem... Wcale...

Uspokoił się i wolno, aby do reszty nad sobą zapanować, ruszył w drogę powrotną.

Mary i Penelopa nadal siedziały przy basenie, zawzięcie o czymś dyskutując. Na widok Adama natychmiast umilkły. Penny wydawała się zaniepokojona, ale jej przyjaciółka uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Wydawało się, że już nie wrócisz - przekrzywiła zabawnie głowę, mrużąc na chwilę oko. - Nie zniostabym, gdyby tak się stało. Wieczór dzięki tobie jest znacznie miłszy. Usiądź, proszę, przy nas...

Usiadł.

Ponownie poczuł gorącą falę ciepła, płynącą ku niemu od ciała Mary. Było mu tak dobrze, tak nieskończenie dobrze. Pragnął zatrzymać czas, wtulić się w dziewczynę, i trwać z nią tak na wieki.

- Dlaczego Robert nie wrócił? - zapytała nagle Penny.

- Widocznie ma jakieś swoje sprawy - odparł.

Mary, podobnie jak poprzednio, pochwyciła go nagle za dłoń.

- Chodźmy do domu - poprosiła. - Pokażę ci mój pokój...

- Och... - wystękał zachwycony.

Mary, myśląc, ta śliczna Mary, która bawi się ze mną przez cały wieczór, zaprasza mnie do siebie... Będziemy przez moment sami. Wtedy spróbuję ją pocałować. Może mi pozwoli. Może zostanie moją dziewczyną.

- O czym myślisz? - spojrzała na niego, gdy już zdążali do willi.

- O tobie!

- O mnie! Naprawdę? Nie mogę w to uwierzyć...

- Naprawdę, Mary. Bardzo mi się podobasz.

- Na pewno tak sobie tylko żartujesz. Wcale nie wierzę w to, aby tak inteligentny chłopiec, mogący rozkochać w sobie każdą dziewczynę, zainteresował się właśnie mną.

Adam, do reszty zafascynowany Mary oraz jej słowami, nie zwrócił najmniejszej uwagi na drobną ironię zawartą w wypowiedzi dziewczyny. Mary, rzeczywiście zadowolona korzystnym, zgodnym z jej oczekiwaniami,

rozwojem sytuacji, pozwoliła sobie na nią, bo czuła, że już zdołała omotać Winklisa.

- Ty też mi się podobasz - rzekła po chwili milczenia. - Jesteś tak inny niż twoi koledzy, taki poważny, taki taktowny, tak dobrze wychowany. Sama nie wiem, dlaczego wcześniej nie zwróciłam na ciebie uwagi.

- Zainteresowałaś się Robertem Astorem.

- To była pomyłka, nieporozumienie. Robert jest bardzo przystojny, jednak nigdy nie rozmawiało mi się z nim tak dobrze jak z tobą.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Przeszli przez taras, weszli do salonu, przepchnęli się przez tańczących uśpionych, przytulonych do partnerów, skupionych na ich bliskości - a potem po schodach weszli na górę.

- To mój pokój - Mary otworzyła drzwi i zapaliła światło. - Wejdz, proszę do środka...

Lekko go popchnęła.

Rozglądał się po pomieszczeniu, pragnąc utrwalić w pamięci jak najwięcej szczegółów.

Tymczasem Mary rzuciła się na łóżko.

- Robercie - szepnęła cicho - zgaś światło i połącz się przy mnie. Tak bardzo pragnę, abyś mnie przytulił, tak bardzo...

Patrzył na nią, zgrabną, wyciągniętą jak struna na tapczanie, preżącą w oczekiwaniu ciało... Serce podeszło mu do gardła. Posłusznie wcisnął przycisk, pograżając tym samym pokój w ciemności, a później nieśmiało położył się przy dziewczynie, delikatnie ją obejmując...

Mary naraz odwróciła się ku niemu, przywarła ustami do jego ust. Jej dłoń poszukała jego dłoni, położyła ją na

swojej piersi.

Adam stracił nad sobą panowanie, ale Mary, mająca za sobą wiele takich doświadczeń, umiejętnie sterowała jego poczynaniami.

Gdy, wtulony w nią, zasnął, delikatnie odsunęła go od siebie, ubrała się i zeszła na dół. Po paru minutach odnalazła Penny.

- I co? - zagadnęła tamta.

- No cóż, bardzo dobrze, zgodnie z naszym planem.

- Kiedy mu to powiesz?

- Och, wiesz... - roześmiała się Mary. - Trochę czasu powinno minąć... Może za miesiąc.

- Mary...

- Co takiego?

- Nie jestem pewna, czy robimy dobrze. Naprawdę... Powinniśmy się jeszcze nad tym zastanowić.

- To tylko niewinny żart...

- Nie jestem przekonana! Prędko zasnął?

- Prawie natychmiast. Lula sobie teraz grzecznie jak aniołek. Niech lula. Nawet nie wie, jaka go czeka niespodzianka.

Penny Astor milczała.

Tej nocy spał bardzo niespokojnie, przewracając się z boku na bok, budził się bez przerwy, a wtedy ponownie jak obuchem uderzała go myśl, dlaczego nie przyszła na noc. Zdarzyło się to po raz pierwszy, było dlań najzupełniej niezrozumiałe, najzupełniej nie do pojęcia. Czuł, że to początek czegoś bardzo nieprzyjemnego, czegoś, co będzie go kosztowało dużo nerwów i odbierze mu spokój.

Cóż, mógł sobie poradzić z wieloma rzeczami, i zazwyczaj radził. Ale tę cholerną zarozumiałą pięknotkę darzył uczuciem, nawet wielkim uczuciem. Jednak...

Jednak nie puści tego płazem. Nie może. Nawet ona powinna go szanować, powinna czuć przed nim respekt.

Niech tylko wróci. Niech się pokaże w namiocie...

Procentowy John zaklął i sięgnął po butelkę żytniówki, prawie do końca opróżnioną. Pociągnął z niej ostatni łyk, odrzucając ją precz ze wstrętem.

Nie mógł już zasnąć.

Leżał wpatrując się z nienawiścią w ciemność, a do głowy przychodziły mu coraz bardziej szalone pomysły. W głębi duszy łudził się, że coś ją zatrzymało, że być może nawalił motor i nie umiała sobie z nim poradzić. Lecz jak zaraza zaraz powracała doń myśl, że to wyłącznie jego pobożne życzenia. Prawda natomiast... Znalazła sobie rzecz jasna jakiegoś gacha i teraz się z nim zabawia, a on odchodzi od zmysłów w tym przeklętym namiocie.

Czas płynął wolno, płynął minuta po minucie, dłużąc się w nieskończoność.

Przyszła nad ranem. Przyszła jak gdyby nigdy nic, rozebrała się i położyła obok, myśląc najwidoczniej, że smacznie sobie śpi.

- Gdzie byłaś - wysyczał.

Przez chwilę milczała. Zacznie się tłumaczyć, pomyślał.

- Nie twoja sprawa! - burknęła.

- Nie moja sprawa? - głos zdławiła mu wściekłość.

Odwrócił się natychmiast ku niej, łapiąc ją za łokieć, ale ona zdołała mu się wyrwać. Poderwała się na równe nogi.

- Zostaw mnie w spokoju - wycodziła - bo więcej mnie nie zobaczysz...

Odebrało mu mowę ze zdziwienia. Przyglądał jej się ze zdumieniem. Takiej Mary Lester, jak ta przed nim, nigdy nie znał. To było coś zupełnie nowego.

Wyglądała tak wyzywająco, a przy tym pięknie, a tak zdawała się pewna siebie, że poczuł do niej szacunek.

- Zniknęłaś na całą noc - rzekł dużo spokojniej. - Po prostu niepokoiłem się o ciebie...

- Nie jestem dzieckiem. Umiem sobie radzić. Jestem zmęczona i chcę spać. Przełożmy tę rozmowę...

- Skoro sobie życzysz!

Mary położyła się na materacu, po chwili spróbował ją objąć, lecz tak syknęła na niego, że jak niepyszny odwrócił się na drugi bok. Rozmowa wypadła zupełnie inaczej, niż to sobie zaplanował i - miał pełną tego świadomość - niekorzystnie dla niego.

Nawet mu do głowy nie przyszło, co zamierza zrobić Mary Lester, gdy przyjdzie dzień. A zamierzała spakować rzeczy i wynieść się do Snow Hills, aby tam zamieszkać w hotelu. Wcześniej uzgodniła to z Richardem Astorem, zakochanym w niej po uszy. Procentowy John nie mógł jej

już dać nic więcej, niż dał do tej pory.

Lecz Procentowy John, wciąż bezskutecznie próbujący zasnąć, postanowił sprawdzić, co się dzieje z Mary Lester, kiedy nie ma jej w obozie. Kogoś za nią wyśle, myślał, niech zobaczy, dokąd idzie.

Sam Wilder zatrzymał się przed stacją benzynową Dicka Bromleya, młodszego brata Roya, nalał do pełna benzyny do wysłużonego baku starego chevroleta, a przy okazji pogadał nieco z Joshuą Parkerem, który również podjechał na stację.

Sam wyjął cygaro, spojrzął na moment do góry, obserwując płynące po niebie chmury, a potem pstryknął zapalniczką, obsługując najpierw Joshuę, palącego straszliwie dużo papierosów, a potem siebie.

- W tym tygodniu nie będzie pogody - powiedział.

- Tak - odparł Parker, zaciągając się głęboko.

- Co słyhać u Perry'ego i Hoffmana?

- Dzisiaj spotykamy się w barze...

- Rozumiem.

Joshua umilkł, lecz zdawał się usilnie nad czymś rozmyślać.

- Wiesz co, Sam? - powiedział wreszcie.

- Co takiego?

- Źle postąpiłeś z tymi przeklętymi motocyklistami...

- A to dlaczego?

- Powinieneś ich przegnać z miasteczka.

- Myślałem nad tym. Ale zachowują się przyzwoicie...

- Nie wierzę im...

- Nie martw się. Mam ich na oku.

- To dobrze. Jak miewa się Gloria?

- Jeśli masz na myśli jej chorobę, to nawet śladu po niej nie zostało... Moja żona jest najzupełniej zdrowa.

- To prawdziwy cud.

- Tak, Joshua, z pewnością tylko tak to można określić.

- Wpadnijcie do nas, Sam, pod koniec tygodnia...

- Oczywiście, z przyjemnością.

Szeryf podał staremu dłoń i ruszył w dalszą drogę.

Jadąc myślał o tym, że wszystkie jego i Glorii problemy minęły jak ręką odjął. W rodzinie zapanował ponownie spokój, a on sam codziennie zaglądał do kościoła, aby podziękować Bogu za pomoc i pomodlić się za spokój duszy Margaret Nelson.

Staruszka spoczywała na cmentarzu rzymskokatolickim przy Rodgar Street, małej uliczce leżącej na peryferiach miasta. Cmentarz leżał na wzgórku, z którego roztaczała się naprawdę piękna panorama najbliższej okolicy. Sam był przekonany, stojąc nad mogiłą Margaret Nelson, że staruszka byłaby bardzo zadowolona z miejsca swojego pochówku. W pogodny dzień, gdy powietrze nabierało krystalicznej przezroczystości, wzrok sięgał rzeczywiście daleko.

Coś jednak nie dawało Samowi Wilderowi spokoju, a tym czymś były słowa Margaret Nelson o katastrofie nadciągającej nad Snow Hills. O ile za życia staruszki nie dawał najmniejszej wiary jej słowom, przekonany, że wszelkie snute przez nią przepowiednie są wyłącznie wytworem jej - nie w pełni już sprawnej - głowy, o tyle po śmierci Margaret, łączącej się nierozdzielnie z wyzdrowieniem Glorii, musiał inaczej spojrzeć na całą sprawę... Świat wcale nie był, jak to sobie roił wcześniej, pewny i raz na zawsze określony, a przy tym logiczny, powiązany sznurem skutków oraz przyczyn. Nie, wcale nie... Margaret Nelson, stara schorowana kobieta, samotna i

pozbawiona bliskich, kobieta, od której ludzie w Snow Hills odwracali się plecami, obawiając się tego, co mówiła - przekonała go o tym raz na zawsze, gdy po swojej śmierci przyszła do Glorii, uwalniając ją od brzemienia straszliwej choroby.

Sam Wilder uśmiechnął się, przypominając sobie, jak bardzo staruszka go lubiła.

- Dzień dobry, szeryfie - zabrzmiały niespodziewane słowa.

Wilder, zaskoczony i trochę przestraszony, bo głos wyrwał go z rozmyślań, natychmiast się odwrócił. Przed nim stał ksiądz Larry Day, rumiany, jak zwykle uśmiechnięty, poczciwina w każdym calu. Szeryf ogromnie go lubił, a przy tym darzył szacunkiem, gdyż proboszcz żył skromnie, żył zgodnie ze swoją wiarą, pomagając na wszelkie sposoby ludziom skrzywdzonym przez los, ludziom samotnym. Margaret Nelson nie odwiedzał za często, gdyż uważał, że powinna zerwać ze wszelkim wróżeniem i przepowiadaniem przyszłości. Jego zdaniem były to złe rzeczy, dlatego należało się trzymać od nich z dala.

- Dzień dobry - odparł Wilder.

- Czasami tu przychodzę - rzekł Day - aby pomodlić się za spokój zmarłych.

- Czy i za spokój Margaret Nelson?

- Tak, za jej również. Postępowała za życia, moim zdaniem, niewłaściwie. Ale teraz Bóg jest jej sędzią, a nie ja. Poza tym nikt z nas nie jest do końca sprawiedliwy, nikt...

- A może to Bóg, proszę księdza, obdarzył ją tymi zdolnościami, aby dzięki nim przestrzegą ludzi?

- Nie wiem - potrząsnął głową Day. - Lepiej kroczyć utartą drogą, prostą drogą, zejście z niej zawsze przynosi problemy.

- Być może...

Proboszcz umilkł i od razu przypomniał sobie małą Lisę Mortimer, śliczną małą niewinną Lisę siedzącą mu na kolanach, ciepłą, doprowadzającą go do stanu, który go przerażał, wywoływał w nim lęk, zawstydzenie, zwątpienie we własne morale, we własną godność...

Larry Day poczerwieniał.

Szeryf przypatrywał mu się wnikliwie, zdziwiony rumieńcem na jego twarzy.

- Czy coś się stało? - zapytał.

- Nie, skądże... - padła cicha, niepewna - tak to odczuł szeryf - odpowiedź.

- Ona mówiła prawdę - westchnął Wilder.

- Jak to?

- Miała faktycznie paranormalne zdolności. Moja żona, Gloria, wyzdrowiała dzięki jej pomocy. Może sobie książdź myśleć co chce, ale Margaret Nelson przysłała do niej po swojej śmierci i ją uzdrowiła!

- Ależ... Panie Wilder!...

- Jestem tego pewien! Proszę tę informację, ojczco, zostawić dla siebie.

- Cóż, zdarzają się rzeczy, które trudno wytłumaczyć. A dróg Pana nikt z nas przecież nie zna. Niech pan mi opowie, szeryfie, jak to się stało?

- Była noc. Gloria umierała, nie było dla niej ratunku, najmniejszego. Leżała przygotowana na śmierć... Otworzyły się drzwi do pokoju, cicho i bezszelestnie! Weszła Margaret Nelson, ubrana tak, jak ją znalazłem w jej domu, już zmarłą... Ona mi wcześniej przepowiedziała, że Gloria wyzdrowieje...

- Jeśli tak się stało, to z przyzwoleniem boskim.

- Jest jednak druga strona tego medalu!

- Jaka?

- Margaret Nelson czegoś się obawiała. Ostrzegła mnie przed tym. Zapowiedziała, że przyjdzie mi walczyć z bestią. Wtedy, przekonany o absurdalności jej twierdzeń, nie zwróciłem na nie większej uwagi. Teraz coraz częściej zastanawiam się nad jej ostrzeżeniami. Może rzeczywiście widziała coś, co jest zakryte przed naszymi oczyma.

- Człowiek jest tylko człowiekiem, nigdy nie wie, co przyniesie rzeczywistość. Pójdę już.

Wilder skinął głową i podał proboszczowi dłoń.

Przez parę minut stał jeszcze przy grobie, zastanawiając się nad przypadkową rozmową z Larrym Dayem. Może postąpiłem źle, rozważał, opowiadając mu o wszystkim? Wyczuwałem w nim jakiś dystans, jak gdyby brak zaufania. Nie, on zawsze tak się zachowuje... Zawsze...

Szeryf przypomniał sobie naraz rumieniec na twarzy proboszcza. Dlaczego zareagował w ten sposób? - rozważał.

Uśmiechnął się.

Reaguję jak typowy stróż prawa, przemknęło mu przez głowę.

Prosto z cmentarza pojechał do swojego biura, gdzie przez godzinę omawiał najróżniejsze sprawy ze swoimi zastępcami. Potem pogadał jeszcze, nieco się przekomarzając i żartując sobie, z Doris Taylor. A lubił z nią pogadać, gdyż była miła i całkiem bystra.

Zbierał się już do domu, paląc ostatnie tego dnia cygaro w swoim gabinecie, gdy niespodziewanie zapukał, a później wszedł doń burmistrz we własnej osobie, Brian Astor.

- Musisz mi poświęcić parę chwil - rzucił, jak to zwykle u niego, bez owijania w bawełnę.

Szeryf wiedział, że jeśli już się pojawił, to pojawił się z czymś ważnym.

- Słucham - rzekł, pokazując gościowi fotel.

Astor założył nogę na nogę i wpatrzył się w Wildera surowo, a przy tym badawczo, jakby oceniając, czy słusznie postąpił, przychodząc do niego.

- Potrzebuję twojej pomocy, Sam - zagadnął.

- W czym rzecz?

- Chcę wiedzieć coś o dziewczynie, z którą spotyka się mój syn, Richard. Wiem, że przyjechała do naszego miasteczka wraz z tą bandą motocyklistów. Nie chcę, aby mój chłopak wpakował się w jakieś tarapaty!

- Brian! Jeśli jest tak, jak mówisz, to jest niedobrze. Powinieneś uważać...

- Czy możesz się czegoś dowiedzieć o tej panience?

- Tylko wtedy, gdy była notowana. Jak ona się nazywa?

- Mary Lester.

- Chyba wiem, która to jest. Rzeczywiście całkiem ładna. Jeśli twój chłopak zabujał się w niej, to nic na to nie poradzisz!

- Tak sądzisz?

- Tak sądzę. Wpadnij jutro, chyba coś będę wiedział.

- Dobrze.

Brian pożegnał się i wyszedł. Sam zrobił to samo wkrótce po nim. Na chwilę pojechał jeszcze do warsztatu samochodowego, aby tam odebrać zamówioną przednią lampę do auta. Potem udał się do domu.

Tego popołudnia, około czwartej. Głorię Wilder odwiedziły przyjaciółki, a mianowicie Mabel Sanders i Daisy Davis. Daisy, pomimo swoich prawie czterdziestu lat, promieniowała pogodą ducha i wewnętrznym ciepłem.

Niestety o Mabel nie dało się powiedzieć tego samego. Gloria lubiła ją, lecz wewnątrz zawsze była przekonana, że - jak się wyrażał o niej Sam - pierwsza porządnisia w

mieście odwiedza ją i podtrzymuje z nią znajomość raczej z ciekawości, niż z sympatii.

Obie panie sprezentowały Glorii ślicznie podrumieniony sernik i butelkę szampana, którą natychmiast, wśród głośnych śmiechów, chichotów, otworzyła, rozlewając alkohol do wysokich smukłych kieliszków.

Teraz, pomyślała, zacznie się rozmowa o rodzinach, o mężach i dzieciach, o tym kto z kim i dlaczego. Jednym słowem zacznie się typowa, babska gadanina.

Lubiła nawet te pogaduszki, przerywane co chwila srebrnym śmiechem Daisy, lubiła je i bardzo ich jej brakowało, kiedy poczuła się na tyle źle, że musiała z nich zrezygnować.

- Kiedy przyjdzie Sam? - zapytała Mabel, której policzki alkohol zdążył już zabarwić na różowo.

Mąż Glorii nie lubił pani Sanders, bo zawsze wypytywała go o najróżniejsze rzeczy, nie zwracając przy tym uwagi, że wcale nie ma ochoty wdawać się z nią w pogawędki. Kiedy dawał jej to zbyt jasno do zrozumienia, natychmiast się obrażała. Potem, gdy tylko wróciła do domu, dzwoniła do Glorii z pretensjami, odsądzając Sama od czci i wiary, a siebie uważając za najbardziej pokrzywdzoną osobę na świecie.

- Powinien zaraz się pojawić...

- Och, chociaż raz bez facetów - przewróciła oczyma Daisy, dając tym samym do zrozumienia, co w rzeczywistości sądzi o płci brzydkiej.

- Tak - zażartowała Gloria. - Paniński podwieczorek. Wiecie co, moje drogie, tak mi teraz przyszło do głowy, aby zorganizować akcję charytatywną z pomocą księdza i pastora. Może też jakiś festyn lub jarmark, a wpływy pieniężne przeznaczyć dla najbiedniejszych.

- Tak, oczywiście - zgodziła się Daisy. - To świetny pomysł.

- Ale bez proboszcza - skrzywiła się Mabel i natychmiast się ugryzła w język, gdyż zapomniała, że Gloria jest wyznania rzymsko-katolickiego.

- Ależ Mabel? - zgorszyła się Daisy. - Dlaczego tak mówisz? Larry Day i Albert Jackson współpracują ze sobą od lat. Nie bądź świętsza od nich. Wojny religijne dawno dobiegły końca.

- Też coś! - obruszyła się pani Sanders.

Gloria ciężko westchnęła. Postanowiła zmienić temat i wrócić do niego za jakiś czas.

- Mój mąż zapoznał się z Christopherem Russellem, tym uczonym, co kupuje posiadłość Vernonów. Twierdzi, że to bardzo przyzwoity człowiek...

Mebel rozbłysły oczy, zawisła wzrokiem na wargach koleżanki.

- Podobno przyjechał z córką? - spytała.

- Tak, w przyszłym miesiącu cała ich rodzina zamieszka w Snow Hills...

- Wypadałoby zorganizować jakieś przyjęcie z tej okazji! - zauważyła Daisy. - Powinniśmy się przecież zapoznać.

- Tak - skinęła głową Gloria. - Sam też o tym pomyślał. Tym bardziej, że Russell zachował się niezwykle taktownie wobec Mike'a Vernona...

- Jak to? - zdziwiła się Mabel.

- Zaproponował mu zarządzanie majątkiem...

- To faktycznie szlachetny gest - przyznała Daisy. - Ale nie litowałabym się nad tym człowiekiem.

- Ja również - zgodziła się z nią Mabel. - Vernonowie doszli do tego, do czego doszli, wyłącznie dzięki sobie. Nie

ma ich co żałować.

- Przesadzacie... Tę rodzinę spotkała prawdziwa tragedia. W dodatku nie wyjaśniono pewnych rzeczy do końca i pewnie nigdy ich się nie wyjaśni. W każdym razie, przynajmniej moim zdaniem, z obu braci będą jeszcze ludzie.

- Być może... - wzruszyła ramionami Mabel. - Podobno ta córka Russella jest niezwykle ładna i podobno też widywano ją razem z Mikiem Vernonem...

- Jest rzeczywiście śliczna - przyznała Daisy, która raz widziała z bliska dziewczynę. - Ale nie wiem, czy widywano ją z Vernonem...

- Tak słyszałam - westchnęła Mabel. - Nie sądzicie, moje drogie, że ostatnio w naszym miasteczku dzieje się nie najlepiej. Widziałam, jak faceci z tej bandy motocykwistów zaczepiają młode dziewczęta.

- Zaczepiają, lecz w przyzwoity sposób - wtrąciła Gloria.

- Oni nie wyglądają na takich, co robią to jak należy. Ich wygląd sugeruje zupełnie coś innego...

- Niedługo się wyniosą - rzekła Daisy.

- Daj, panie Boże, aby jak najprędzej... Czuję się zagrożona, gdy widzę któregoś z nich.

- Och, Mabel - uśmiechnęła się Gloria - to jeszcze bardzo młodzi ludzie. Młodość powinna się wyszumieć...

- Ale nie moim kosztem... A wiecie, to jest naprawdę oburzające, że Ted Merton za często, stanowczo za często, odwiedza Frances Mortimer. Ręczę za to, że oni ze sobą romansują...

- Tak? - nadstawiła uszu Daisy.

Życie było w Snow Hills, powiedziawszy prawdę, dosyć nudne. Dlatego sprawy męsko-damskie zawsze wzbudzały zainteresowanie. Rzecz jasna zdrady spotykały się

z powszechnym potępieniem, lecz tak naprawdę pozwalały ludziom, zawsze spragnionym sensacji, delektować się czymś szczęściem lub też nieszczęściem. Gloria, będąca kobietą mądrą, знаła dobrze ten mechanizm, toteż z wyrozumiałością słuchała nabrzmiałych oburzeniem słów pani Sanders i z taką samą wyrozumiałością spoglądała na pałającą niezdrową ciekawością twarz Daisy.

- Poważnie, Daisy! Na sto procent!

- Mój Boże...

- Właśnie. Uczciwe kobiety nie powinny pozwolić, aby pod ich bokiem działy się takie rzeczy. Na nas, jako że nie sprzeciwiamy się złu, też spadnie kara niebios za takie zachowanie.

Gloria milczała. Słowa Mabel po części ją śmieszyły, po części martwiły. Bardzo dobrze zdawała sobie sprawę z tego, że Mabel, jako naczelna plotkara w Snow Hills, zaalarmuje swoimi podejrzeniami przynajmniej połowę miasteczka.

Ludzie zaczną się przyglądać rodzinie Mortimerów, aż wreszcie zatrują im dusze.

Ona, Gloria Wilder, pomimo najszczerzych chęci nic nie mogła na to poradzić.

- Chyba nie powinnyśmy się mieszać w takie sprawy - powiedziała.

Mabel spojrzała na nią gniewnie.

- Ależ to nasz obowiązek - wbiła wzrok w przyjaciółkę. - Po prostu musimy temu zaradzić! Kto sądzi inaczej, ten sprzeniewierza się Bogu!

Daisy wodziła wzrokiem od Mabel ku Glorii, to znów od Glorii ku Mabel. Ostatnia wymiana zdań przestała jej się zupełnie podobać. Mabel, choleryczka z natury, łatwo wybuchała, słusznym z jej punktu widzenia, gniewem. Daisy

zaczęła się obawiać, że rozwój sytuacji przekroczy za moment granicę bezpieczeństwa.

- To bardzo obrzydliwe - zagadnęła, prawie się nie zastanawiając nad tym, co mówi, i natychmiast przerzuciła się na inny temat. - Co słyhać u Anny? - zapytała.

Mabel spojrzała na nią złowieszczo, a Gloria z wdzięcznością.

- Paul doskonale radzi sobie w szkole - szczebiotała dalej Daisy. - To naprawdę zdolny chłopak. Tylko czasami martwię się, czy koleżanki nie zawrócą mu w głowie. Wiecie, moje drogie, on jest taki przystojny, a za przystojnymi chłopcami uganiają się dziewczęta.

- Nie wszystkie, Daisy - roześmiała się Gloria. - Ja gdy byłam w wieku twojego syna, wcale nie myślałam o takich sprawach. No, może troszkę. Ale to mnie młodzieńcy nie dawali spokoju, a nie ja im. Poza tym tyłoma rzeczami się interesowałam: tańcem, sportem, astronomią, a nawet szachami. Byłam naprawdę ciekawa życia, ale tej mądrej jego strony.

- Tak - przyznała Mabel. - Ty zawsze postępowałaś rozsądnie. Tylko weź pod uwagę, że czasy zmieniają się na gorsze.

- Nie sądzę.

- Ja za młodych lat nigdy bym się nie zdobyła na taki krok, na jaki zdobyła się moja córka.

- Cóż takiego uczyniła Anna?

- Och! Wybrała się do tej strasznej Margaret Nelson, gdy ta jeszcze żyła... Dzisiaj tego żałuje, bo wspomnienia tej, że tak to nazwę, nieroztropności odbierają jej spokój.

- Młodzi ludzie są ciekawi świata - odparła Gloria, przymykając oczy, gdy usłyszała imię i nazwisko zmarłej staruszki, wymienione z nienawiścią w głosie. - Poza tym

pani Nelson, tak sobie myślę, należała do dobrych ludzi. Zapewne zachowywała się nieco inaczej, niż pozostali, ale przecież nie wszyscy muszą być tacy sami...

- Tacy sami!.. - oburzyła się Mabel. - Ta kobieta przepowiedziała śmierć mojej córce. A Anna, głupia Anna, która poszła tam bez zezwolenia, poszła z własnej woli, wykazując tym samym rzadką głupotę, nie wie teraz, gdzie się podziać. Doszło do tego, że po zapadnięciu zmierzchu boi się wychodzić z domu. Oczywiście modłę się za nią i w jej imieniu proszę Boga o przebaczenie.

- Młodzi ludzie bywają czasami nieostrożni - wtrąciła Daisy. - Anna jest bardzo odważna. Ja nigdy bym nie poszła do tej starej. Na samą myśl ciarki mnie przenikają. Czy wiecie, że parę dni temu Tom Perry, szedł wtedy obok cmentarza, widział jej ducha? Rozmawiałam z nim na drugi dzień i wciąż nie mógł ochłonąć z przerażenia. „Już zmierzchało - opowiadał, a mnie cierpła skóra na plecach... - Już zmierzchało, gdy wracałem od znajomych, szedłem sobie właśnie Rodgar Street, a drzewa tak ładnie szumiały nad moją głową, że lekko mi było na duszy jak dziecku, i kiedy tak sobie wędrowałem, nagle ujrzałem starszą kobietę, ubraną na czarno. Stała w odległości, tak na oko, dwudziestu jardów ode mnie, stała i wcale się nie ruszała... Poczułem taki nieprzyjemny dreszczyk, bo coś tutaj było nie tak. Wydawało mi się, że skądś ją znam. I wtedy sobie przypomniałem... Tak wyglądała Margaret Nelson. Zatrzymałem się, jakby mnie kto wbił w to miejsce... A ona po chwili zniknęła...” Tak mówił stary Tom, a ja mu wierzę.

- Przekłeta czarownica - syknęła Mabel. - Nawet po śmierci nie daje ludziom spokoju.

- Należałoby się pomodlić o spokój jej duszy - powiedziała Gloria.

- Jeszcze czego - zachnęła się Mabel Sanders. - Nie zamierzam rozmawiać z Bogiem w sprawie kogoś takiego.

- Posłuchaj! - zaczęła taktownie, cichym głosem Gloria. - Przecież jesteśmy chrześcijankami, a jako takie powinnyśmy się modlić nawet za ostatniego grzesznika.

- To może ty. Ja nie będę.

- Masz bardzo zatwardziałe serce, Mabel, bardzo...

- Taka już jestem...

Daisy westchnęła. Tak zawsze było, że jej przyjaciółki spierały się, gdy pogawędka zoczyła ze spraw towarzyskich na sprawy religijne. A ja, biedaczka - myślała, użalając się nad sobą - chcąc nie chcąc muszę brać w tym udział.

- Bardzo jestem ciekawa państwa Russellów - rzekła ni stąd ni zowąd.

- To na pewno porządni ludzie - spojrzała na nią zdziwiona Gloria.

- Zapewne - zgodziła się Mabel. - Ale będziemy musieli to sprawdzić.

- Podobno pan Russell jest słynnym naukowcem - oznajmiła Daisy.

- Nie podobno, moja droga - poprawiła ją natychmiast pani Sanders - lecz na pewno. On zajmuje się genetyką.

- Mój Boże - użaliła się Daisy. - W takim razie przeprowadza doświadczenia na tych wszystkich biednych myszkach i kotkach. Wbija im te potworne zastrzyki w główki i wsadza jakieś elektrody do mózgow. Przecież to straszne i obrzydliwe zarazem. Nie wytrzymałabym z takim mężczyzną nawet minuty. Tak kocham wszelkie zwierzątka. Moje biedne koteczki dokarmiam dwa razy dziennie. Wyobraźcie sobie, że kiedy wychodzę z domu, aby to zrobić, już na mnie czekają. Co za mądre stworzonka. A ten Russell...

- Daisy! - skrzywiła się Mabel. - Daisy! Co ty wygadujesz? Masz miękkie serce, bardzo dobrze... Ale ja nie znoszę, gdy kociska wyją po nocach... Brrrr.... A gdy coś obsikają, to człowieka szlag może trafić, tak śmierdzi. W ubiegłym roku było całkiem przyzwoicie z kotami. Wcale ich nie dostrzegałam. Jednak w tym namnożyło się tej kociej zarazy aż po uszy... Służby miejskie powinny coś z tym fantem zrobić... A co do Russella, to ktoś musi się zajmować takimi rzeczami. Dla mnie jest ważne, czy on i jego rodzina będą brali udział w zbiórkach charytatywnych, udzielali się na rzecz innych, uczęszczali na niedzielne nabożeństwa i żyli zgodnie z przykazaniami Bożymi. Przy czym, nie obraź się Glorio, ale tak, niestety, sędzę, wolałabym ich widzieć w swoim Kościele, bo wasz, moja droga, jak gdyby zatracił ostrość spojrzenia...

- Jego żona jest Włoszką - stwierdziła nieśmiało Daisy.

- Hmm... W takim razie jest katoliczką. Zobaczymy! Nie przesadzajmy sprawy z góry. Kiedy tylko się sprowadzą, wtedy prześwietlimy ich jak należy. I w ten sposób - roześmiała się - ponownie wróciliśmy do początku rozmowy...

- Serniczek jest pyszny - przyznała Gloria, jedząc któryś z kolei kawałek. - Musicie mi koniecznie sprezentować przepis. Sam będzie zachwycony, gdy któregoś dnia coś tak dobrego postawię mu przed nosem.

- Typowy mężczyzna... - zażartowała Daisy.

- Właśnie. Chyba akurat przyszedł...

Wilder rzeczywiście wszedł do pokoju i przywitał się z wszystkimi paniami. Był trochę zmęczony, ale na widok wypoczętej i zadowolonej żony natychmiast poczuł się lepiej.

- Co tam w pracy? - zainteresowała się Mabel.

- Nic takiego - odparł. - Dzień jak co dzień. Nie będę wam przeszkadzał w pogawędkach, bawcie się dobrze. Glorio?

- Tak?

- Emy jest w swoim pokoju?

- Nie, bawi się z koleżankami na dworze. Zawołać ją?

- Niech się bawi. Ja pójdę trochę odpocząć...

Sam skinął głową koleżankom żony i wszedł na górę. Położył się na łóżku, próbując zdrzemnąć się na chwilę, ale sen nie przychodził. Wobec tego zaczął myśleć o najróżniejszych rzeczach, przeskakując chaotycznie z jednego tematu na drugi.

Na dole wybuchały co chwila śmiechy, widocznie kobiety bawiły się w najlepsze.

Wilder ciężko westchnął. Zgasił światło. Ciemność zdawała się wchłaniać pomieszczenie niczym niezglębione morze tonący okręt.

Pomimo zmęczenia i dziwnych obaw co do przyszłości, dobrze mu było tak leżeć i słuchać ciepłego śmiechu żony.

Nagle drzwi do pokoju się otworzyły i wraz z falą światła z korytarza wdarła się do środka, a raczej wpadła jak burza, mała Amanda, zachwycona, że ojciec jest wreszcie w domu. Odbiła się mocno do góry i skoczyła mu na pierś, aż jęknął.

- Och, tatusiu! - zaśmiała się srebrzyście. - Czy wiesz, że mamusia mi kupiła śliczną laleczkę...

- Laleczkę?

- Tak. Ma na imię Isabel i umie mrugać, i jeszcze mówi: mama. Bardzo ją kocham.

- A ja ciebie.

- A jak mnie kochasz? Tak najmocniej na całym

świecie?

- Właśnie tak.

- Dzisiaj odwiedził nas mały kotek. Dałam mu mleczka. On mnie chyba polubił.

- Byłby bardzo złym kotem, gdyby tego nie zrobił. W końcu go nakarmiłaś. A teraz szykuj się, moja mała psotnico, do spania.

- A bajka? Już wczoraj mi ją obiecałeś!...

- Jeśli obiecałem, a chyba tak, to opowiem.

- Tylko jakąś nową...

- No dobrze... Idź teraz się umyć, nie zapomnij zwłaszcza o ząbkach, a ja zaraz do ciebie przyjdę.

- W porządku, tatusiu!

Amanda zerwała się, wybiegła, a Wilder po chwili wstał i poszedł za nią.

Tymczasem na dole Mabel Sanders i Daisy Davis zebrały się do wyjścia.

Pożegnały się tak samo serdecznie z Glorią, jak z nią przywitały, zapraszając w odwiedziny do siebie.

Daisy podwiozła Mabel pod sam dom, ale nie skorzystała z zaproszenia, aby na chwilę do niej wejść. Innym razem na pewno by nie odrzuciła takiej propozycji, lecz tym razem śpieszyła się, gdyż pragnęła zamienić parę słów ze swoim synem, Paulem, który z dnia na dzień zachowywał się coraz gorzej. Daisy odkryła, ku swemu przerażeniu, że nie tylko pali papierosy, nie tylko pije alkohol i wraca późno do domu, ale podkrada różne rzeczy w sklepach. Było to najzupełniej niezrozumiałe. W domu niczego mu nie brakowało, a jako jedynak został tak rozpieszczony, jak małe które dziecko. Daisy, w tym nie różniła się od Mabel, nie widzącej świata poza swoją Anną, chuchała i dmuchała na swojego chłopczyka tak, jak żadna inna matka na swoje

dziecko w Snow Hills.

Jednak Paul, kiedyś bardzo dobry i miły, teraz nie zwracał najmniejszej uwagi na jej łzy i prośby, żeby zmienił swoje postępowanie. A z ojcem, dosyć rygorystycznym i wymagającym, w ogóle unikał rozmów lub pyskował w taki sposób, że Clive nie wytrzymał nerwowo i zawsze dochodziło do awantur.

Ostatniej nocy, a ściśle rzecz biorąc już ranka, akurat przed wizytą u Glorii Wilder, zdarzyło się coś, co do reszty wytrąciło Daisy z równowagi psychicznej. Paul wyszedł nieco wcześniej, a ona, szukając jakiegoś drobiazgu, zajrzała do szuflady jego biurka. Znalazła w niej kilka strzykawek i paczkę prezerwatyw.

To było straszne.

Jej syn staczał się do rynsztoka.

Daisy otworzyła pilotem bramę i zjechała podjazdem do garażu. Przywitała się z Clivem. Zamieniła z nim parę nic nie znaczących słów, a potem udała się do pokoju Paula, przekonana, że zastanie go tam.

I rzeczywiście był.

Rozwalił się na tapczanie, nie zdejmując nawet butów. Daisy przez moment nie mogła uwierzyć, że ten wyrośnięty dryblas, spoglądający na nią, jak na nic nie znaczący ochłap, jest jej synem. Kiedy tak leżał, wyciągnięty jak długi, zdumiewał ją swoim ogromem i tępyim wyrazem twarzy.

- Co się z tobą dzieje? - zapytała.

- Nic - warknął.

Za żadne skarby nie nawiąże z nim kontaktu, pomyślała. Paul na pewno zrobi w końcu coś okropnego. Będzie dalej podążał tą swoją ślepą dróżką, prowadzącą ku zagładzie. A gdy to nastąpi, to szanowani obywatele Snow Hills zapomną o istnieniu rodziny Davisów, ale zapomną tak,

że pomiędzy sobą, po cichu, będą wymieniali to nazwisko ku przestrodze swoich dzieci.

Daisy wyobraziła sobie Mabel Sanders, opowiadając z przejęciem, ze świętym oburzeniem, o karygodnym postępku Paula, wyobraziła sobie, i przeszył ją zimny dreszcz przerażenia. Nigdy, przenigdy nie powinna na to pozwolić. Nigdy na to nie pozwoli.

- Nic? - rzekła zimno.

- Przecież słyszałaś...

- W takim razie wytłumacz mi, co znalazłam w szufladce twojego biurka?

- Grzebałaś w moim biurku?

- Tak, tak to trzeba nazwać.

- Muszę kupić kłódkę - zażartował, lecz kipiał z wściekłości, prawie gotów się na nią rzucić.

- Synku, tak dalej być nie może. Przecież kochamy cię i życzymy ci jak najlepiej. Zrozum to.

- Rozumiem aż za dobrze. W porządku, mamusiu - uśmiechnął się. - Postaram się poprawić. Przestaną podkraść ze sklepów te drobiazgi...

- Te drobiazgi? - Daisy traciła cierpliwość. - Ja, do ciężkiej cholery, gadam o strzykawce i tych przeklętych prezerwatywach! Co ty wyprawiasz?

Paul milczał.

- Co wyprawiasz? - powtórzyła.

- Nic złego...

- Jak to?

- Handluję tymi rzeczami. Taka moda.

Miała ochotę trzepnąć go w twarz za kłamstwa i za bezczelność. Ale tylko westchnęła. Już zrozumiała, że jej perswazje są daremne. Postanowiła wybrać się do szkoły i pogadać z dyrektorem, a także z wychowawczynią Paula.

- Nie ujdzie ci to bezkarnie - stwierdziła spokojnie. -
Opowiem o wszystkim ojcu. Wspólnie podejmiemy decyzję.

Pieprz się, stara głupia krowo - przeklinał ją w myśli. -
Nie jestem malutkim dzidziusiem, żebyś mogła mi
rozkazywać. Sam wiem, co dla mnie dobre, wiem to
najlepiej...

Paul od pewnego czasu spotykał się dyskretnie z
„Jeźdźcami Nocy”. Odwiedzał ich z kilkoma innymi
chłopakami, zadowolony, że ci pewni siebie faceci traktują
go jak równego sobie. Pijał z nimi piwo, a nawet wódkę, grał
w karty, słuchał dowcipów. No i marzył, aby zwać z domu i
stać się jednym z nich. To z Procentowym Johnem, z samym
Procentowym Johnem odwiedził niewielki burdelik w Garden
City, a w nim po raz pierwszy w życiu kochał się z kobietą,
odebrawszy przedtem u niej lekcję, co należy robić z gumką.
Strzykawki i prochy także dostał od Johna, aby nimi
handlować w szkole i zarobić trochę grosza.

Lecz szło mu to źle.

Matka nadal patrzyła nań zimnym wzrokiem, a potem
trzasnęła z nerwów drzwiami.

Pieprz się - powtórzył w myśli.

Christopher Russell pragnął cichego ślubu, lecz na prośbę narzeczonej zmienił zdanie. Do Nowego Jorku przyleciało kilkadziesiąt osób z najbliższej rodziny Florentiny we Włoszech, bardzo krzykliwych, zachwyconych niespodziewaną odmianą losów swojej krewnej, i przy tym ciekawych amerykańskiego świata, o którym tyle słyszały.

Russell natomiast zaprosił wyłącznie przyjaciół, ponieważ rodzeństwa nie posiadał, a z dalszymi krewnymi nawet za życia rodziców nie utrzymywał kontaktów. Tych jego przyjaciół zjawilo się niewielu.

Ksiądz, przybyły z Sycylii, pięknie przeprowadził uroczystość zaślubin. Był to już staruszek, lecz wciąż zachowywał zdrowie i sprawność fizyczną. Kochał ojcowską miłością Florentinę, bo znał ją od małego dziecka. To on udzielił jej po raz pierwszy Świętej Komunii, po raz pierwszy wypowiadał, i przez wszystkie trudne momenty, a było ich przecież немало, podtrzymywał na duchu. Po ceremonii goście udali się do domu Pana Młodego, aby uczcić w nim ów szczęśliwy dzień i parę młodą.

Florentina trochę obawiała się, jak zostanie przyjęta przez znajomych Christophera, ale stwierdziła, ku swemu zdumieniu, że byli to ludzie otwarci, życzliwi i, pomimo ogromu posiadanej wiedzy, skromni. Czowała się wśród nich dobrze: tańczyła, śmiała się, żartowała, opowiadała nawet dowcipy. Marita, także szczęśliwa i roześmiana, plotkowała z bliskimi, i wręcz rosła w sobie, widząc, jak rodzice są zadowoleni.

Russell faktycznie sprawiał wrażenie szczęśliwca, ale dręczyły go różne myśli.

Starał je się odsunąć, ze względu na powagę chwili, jednak one i tak nie dawały mu spokoju. Zastanawiał się mianowicie, czy czasami człowiek jego pokroju, naukowiec, drażący tunel wiedzy przez obszary nie zbadane przez naukę, a niekiedy wręcz niebezpieczne, powinien w ogóle zakładać rodzinę.

Przecież - rozważał - Florentina i Marita nie mają najmniejszego pojęcia, co się dzieje w podziemiach tego domu. Jeśliby się o tym dowiedziały, to najpewniej uznałyby mnie za szarlatana lub za człowieka opętanego, za pomyleńca. A kto w rzeczywistości wie, do czego moje badania doprowadzą? Już teraz dręczą mnie koszmary, już teraz płacę wysoką cenę za wypłynięcie na nieznane wody.

Natomiast to, co wyniknie z tego dalej, jest dla mnie prawdziwą zagadką.

- Chris! - szepnęła zaniepokojona Florentina. - O czym tak myślisz?

Uściskał jej dłoń, a potem pocałował.

- O moim szczęściu! - skłamał.

Uśmiechnęła się najpiękniej, jak umiała, lecz wcale mu nie uwierzyła. Coś go, wyraźnie to dostrzegała, dręczyło, i najmniejszego pojęcia nie miała, co... Intuicja jej podpowiadała, co prawda, że męczą go sprawy związane z pracą. Jednak do końca nie była tego pewna.

- Naprawdę? - przekomarzała się.

- Oczywiście. A ty się cieszysz?

- Bardzo. Jestem szczęśliwa, że jesteśmy razem, że moja córka ma ojca. To doprawdy wielki dar Boga dla nas wszystkich.

- Wiesz - pokiwał głową Russell - życie bywa niekiedy

tak tajemnicze. Jeśliby nie ten artykuł w gazecie, o którym mi kiedyś opowiedziałaś, zapewne dalej każde z nas kroczyłoby swoją drogą, nic nie wiedząc o drugim. Czasami zastanawiam się, czy los sobie z nas nie kpi, czy nie czyni z nas marionetek, takich bezwolnych, nie mających najmniejszego wpływu na rzeczywistość.

- To złe myśli. Chyba każdy je miewa... Ja też je miewałam... Powiedz mi, czy masz jakieś problemy?

Wie, przemknęło mu przez głowę. Domyśla się, że coś jest nie tak. Nie dzisiaj... Nie na uroczystości z okazji naszego ślubu... Kiedyś, gdy przyjdzie odpowiednia chwila, gdy będę mógł jej wytłumaczyć, że prawdopodobnie ktoś się ze mną bawi w kotka i myszkę.

- Nie, kochanie, to tylko przemęczenie.

Widział po błysku w jej oczach, że jej nie przekonał. Ale nie wypytywała go, widocznie świadoma, że wcale nie ma ochoty o tym rozmawiać.

Christopher przemógł się, przestał rozmyślać o swoich doświadczeniach i skupił się na uroczystości.

Włoscy goście śpiewali właśnie tęskną pieśń weselną, opowiadającą o smutku kobiety, porzucającej dla mężczyzny ukochane rodzinne miasto. Melodia była tak przepiękna, nostalgiczna, że niejednemu z biesiadników łzy zakręciły się w oczach. W ogóle, myśleli sobie lub mówili to innym zaproszonym, młodzi państwo Russellowie bardzo ładnie zorganizowali uroczystość.

Potem, gdy rozpoczęły się tańce, zabawa rozkręciła się na całego. Christopher Russell wręcz szalał na parkiecie. Niektórzy nie wierzyli własnym oczom, gdyż zawsze go sobie wyobrażali jako wyrachowanego badacza, pochylonego nad mikroskopem. Marita zaśmiewała się, widząc co wyczynia. Ale sama też bawiła się w najlepsze. Chwilami

tylko poważniała, gdyż przypominała sobie twarz Mike'a Vernona, jego smutną zamyśloną twarz, kiedy się z nią żegnał. Miał w sobie coś takiego, co wzbudzało doń szacunek i sympatię, poza tym przy nim czuła się dobrze, czuła się w pełni sobą. Nie musiała niczego udawać, szukać w głowie zbędnych frazesów.

Żałowała więc, że nie ma go na uroczystości, lecz obiecała sobie odrobić stracony czas po przyjeździe do Snow Hills.

Była sobota, trzydziestego maja, gdy Procentowy John, Krwawy Fernando i Siwy Bob zatrzymali motocykle przed „Radosnym Gościem” w Garden City. Weszli do baru już pijani, trzasnęli drzwiami, zwracając na siebie uwagę pozostałych gości, później usiedli przy stole i zamówili kilka kufli piwa.

Od kilku dni - to znaczy od momentu, gdy Mary Lester wyniosła się definitywnie z obozu, rozpoczynając, przynajmniej we własnym mniemaniu, nowe życie - John dyszał potrzebą zemsty. Gniotła go nienawiść tak wielka, tak potrzebująca natychmiastowego ujścia, że zaciskał zęby, aby nie wybuchnąć furją, aby natychmiast nie wpakować przypadkowemu człowiekowi kuli w łeb. Spoglądał nienawistnie po sali przekrwionymi oczyma, klnąc w duchu na czym świat stoi.

Obiektem jego nienawiści był przedtem, to znaczy przed ucieczką głupiej Mary, Sam Wilder, bohaterski szeryf ze Snow Hills, porządny prawy skurczybyk, który odważył się zamknąć go w celi i przetrzymać w niej przez noc. Lecz teraz w piersi Johna buchnął tak wielki płomień jadu, że poprzedni wydawał się malutkim i nic nie znaczącym, buchnął więc, aby strawić Richarda Astora. To ten skurwysyn - zlorzeczył w myśli John - zabrał ją ode mnie. To do niego poszła. Poleciała na szmal, na klejnociki. Potraktowała mnie niczym ostatniego pętaka, niczym ostatnie zero...

Przygryzł do krwi wargi, przypominając sobie ostatnią rozmowę z byłą kochanką.

Ale przedtem, nim do niej doszło, a był już wieczór, do jego namiotu zajrzał Szalony Fernando, zrobił smutną minę i bezradnie rozłożył ręce. „Przyjacielu - powiedział - ona rżnie się z kimś innym. Zrobiła cię, przyjacielu, w balona.” - „Jesteś pewien?”- zapytał. Kiwnął głową. - „Widziałem na własne oczy - na twarzy wylazł mu paskudny, drwiący uśmiezek - jak się kopcili. On się nazywa Richard Astor i z tego co widziałem, chyba jest przy forsie...” - „Gdzie ich widziałeś?”- wrzasnął, nie panując nad sobą. „W Wymarzonej Nocy” - odparł.

Tyle powiedział Fernando i tak samo cicho jak się pojawił, znikł. John natomiast, kipiąc wewnątrz z nerwów, wyleciał jak wściekły szerszeń przed namiot, wsiadł na Hondę i pognał do Snow Hills. Motor ryczał prując ciemności, a on miał krew przed oczyma, a on marzył o tym, aby poderżnąć Mary gardło lub wyrwać jej serce z piersi i rzucić je hienom na pożarcie. Marzył o różnych strasznych rzeczach, ofiarując diabłu za nie duszę, jeśli mu tylko na nie przyzwoli.

Kiedy dojechał na miejsce, siąpił niewielki deszczyk.

Wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi, a potem rozejrzał się po wnętrzu. Recepcjonistka, całkiem ładna i miła, przyglądała mu się grzecznym wzrokiem.

Zdołał nad sobą zapanować, uśmiechnął się najładniej jak mógł, podszedł do niej i powiedział: „Dobry wieczór”, a ona odpowiedziała mu w ten sam sposób.

- Mam kłopot, proszę pani - zagadnął. - Chodzi o dziewczynę...

W jej oczach pojawiła się ciekawość.

- Tak?

- To bardzo delikatna sprawa...

- Och... Jeśli będę mogła pomóc.

- Bardzo ją kocham i... I trochę się pokłóciliśmy. Ona zabrała rzeczy. Wiem, że przyjechała do tego hotelu! Tak pragnę z nią porozmawiać. Na pewno zrozumie, jak mi bez niej ciężko.

Z jednej strony - przemknęło mu przez głowę - to nawet niewiele zmyślam.

- Jak ona wygląda?

- Szczupła, bardzo zgrabna, średniego wzrostu, miedziane, kręcone włosy, zielone oczy. Nazywa się Mary Lester...

- Pamiętam ją - skinęła głową. - Pokój dwieście jedenaście...

- Dziękuję, dziękuję uprzejmie...

Wbiegł po schodach na drugie piętro i zapukał do drzwi oznaczonych numerem, podanym mu przez uprzejmą recepcjonistkę.

Mary w tym czasie szykowała się już do spania, właśnie przed chwilą wzięła prysznic i umyła głowę. Gdy usłyszała pukanie, pomyślała, że to Richard, więc bez wahania otworzyła. Kiedy ujrzała przed sobą Procentowego Johna, natychmiast chciała zamknąć drzwi, ale mężczyzna wstawił pomiędzy nie nogę, uniemożliwiając jej wykonanie tego zamiaru.

- Czego chcesz? - burknęła.

- Porozmawiać...

- Nie mamy o czym!

- Chcesz mnie zostawić?

- Jesteś ślepy? Już to zrobiłam. A teraz się wynoś do wszystkich diabłów i daj mi święty spokój.

- Ty mówisz do mnie takim tonem?

- Mówię tak, jak mi się podoba. Posłuchaj, pęta! Nie mam zamiaru do ciebie wracać. Nie chcę też oglądać więcej

twojej gęby. Jedyne, czego chcę, to jak najprędzej o tobie zapomnieć. Więc zmiataj stąd, palancie, bo jeśli tego nie zrobisz, to zadzwonię na policję.

Zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

Przez chwilę miał ochotę rozwalić je jednym kopniakiem, złapać Mary za kark i złać tak, jak nigdy dotąd nikogo nie złał. Ale powstrzymał się. Znał ją na tyle, aby wiedzieć, że jest gotowa spełnić swoją pogroźkę...

W głowie mu się nie mieściło to wszystko. Pamiętał chwilę, kiedy mu gadała, że jest dla niej najważniejszy w świecie, że z nikim nie było jej tak dobrze jak z nim, że czekała nań przez całe swoje życie, że za nim pójdzie do samego piekła...

Pamiętał...

Ocknął się, coś go wyrwało z niewesołych rozmyślań. To Siwy Bob klepnął go w plecy. Wziął w dłonie kufel, pociągnął zeń łyk i odstawił go z powrotem.

- Co teraz zrobisz? - zapytał Szalony Fernando.

John zmrużył oczy.

- Zapłaci mi za to, co zrobiła. Dobiorę się jej do skóry, nawet jeśli bym miał to przypłacić życiem, to się dobiorę...

- My jesteśmy przygotowani...

- Wszyscy jesteśmy przygotowani. Nic nas teraz nie powstrzyma, nic... Mam dodatkowy powód, by się rozprawić z tym przeklętym miasteczkiem i nie będę się nad nikim litował... przekonacie się o tym.

Dzień później Richard Astor zameldował się, bo tak to należało nazwać, u swojego ojca. Był jeszcze rozgrzany pracą na dworze, gdzie rąbał był siekierą pnie na drobne kawałki, rumiany od powietrza, zadowolony, gdyż wydarzenia układały się po jego myśli, a myślał tylko i wyłącznie o Mary Lester.

Wszedł więc do gabinetu, pachnącego nikotyną i ostrą wodą kolońską, używaną przez Briana Astora od lat. Rzucił okiem na regały z książkami oprawionymi w skórę, a opowiadającymi najczęściej o losach prezydentów Stanów Zjednoczonych i o ich dokonaniach. A potem spojrzał na ojca, zajętego pisaniem jakiegoś dokumentu.

- Jestem, tato - rzekł.

Brian Astor nadal nie przestawał pracować.

Richard pomyślał, że to niedobry znak. Jednak, przywykły do karności i darzący ojca olbrzymim szacunkiem, nie śmiał przerywać ciszy.

Ten, po kilku dalszych minutach pracy, odłożył pióro, obrzucił syna przenikliwym wzrokiem, po czym poprosił, aby usiadł w skórzanym ciemnobrązowym fotelu.

- Posłuchaj - powiedział - nie podoba mi się twoja znajomość z tą panią!

- Ależ tato... - wystękał Richard, przerażony nieoczekiwanym początkiem rozmowy.

Był naprawdę zaskoczony. Ojciec nader rzadko ingerował w jego sprawy osobiste, wychodząc z założenia, że jest rozsądny, dlatego sam wie najlepiej, co robić. Ale tym razem...

- To zdemoralizowana dziewczyna - ciągnął dalej Brian Astor. - Prawdę powiedziawszy nie podobała mi się od początku. Lecz nie mam zwyczaju wygłaszania niesprawdzonych opinii, dlatego pragnąłem się upewnić. Teraz już wiem swoje...

Richard rozłożył ręce, dając tym gestem do zrozumienia, jak bardzo jest zakłopotany, a także wstrząśnięty.

- Nie zamierzam ci czegokolwiek nakazywać - kontynuował Brian Astor. Pragnąłem wyłącznie cię ostrzec,

gdyż uczucie niekiedy zaślepia i prowadzi na manowce. Po prostu musisz uważać, musisz bacznie się jej przyglądać i zważać na każdy krok. Nie chciałbym, abyś przez brak doświadczenia zniszczył sam siebie. Rzeczywistość czasami wygląda inaczej, niż nam się wydaje, a ludzie nie są tymi, za których ich bierzemy.

- Ojcie! Widziałeś ją! Jest piękna i dobra. Na pewno nie ma naszego obycia, na pewno nie potrafi się zachowywać przy stole, ale to zrozumiałe, wychowała się w prostej i ubogiej rodzinie!

- Rzecz wcale nie w tym. Kochasz ją. Miłość, Richardzie, zaślepia. Człowiek zakochany jest szczęśliwy, ale nie jest sobą.

- Więc co mam uczynić?

- Nie wierz we wszystko, co mówi, nie wierz nawet sam sobie. To jedyne, o co mogę cię prosić. My, Astorowie, mamy w sobie dużo siły i nie tak łatwo zwieść nas na manowce. Mężczyzna taki jak ty, młody i przystojny, wkraczający dopiero w życie, niekiedy popełnia błędy. Obowiązkiem ojca jest go przed nimi przestrzec. To chciałem ci powiedzieć.

Ponownie wrócił do pisania dokumentu.

Richard wstał i wyszedł. Był zdziwiony. Ojciec rzadko rozmawiał z nim w taki sposób, można rzec, że nigdy tego jeszcze nie robił. Zwykle poprzestawał na surowych napomnieniach. Nie wahał się także przed karą fizyczną. Tym razem zachował się inaczej. Zostawił mu wolną wolę i Richard czuł doń w sercu olbrzymią za to wdzięczność. Poza tym uważał, że ojciec nie ma racji.

Najwidoczniej usłyszał jakieś plotki, przejął się nimi i dlatego postanowił porozmawiać.

Richard westchnął.

Był najzupełniej pewien Mary. Ona nie mogła postępować wobec niego nieuczciwie. Miał powody, aby tak sądzić. Otóż kłamcy, przekonał się o tym wiele razy, nie umieją patrzeć prosto w oczy. Zerkają pod nogi, ponad twoją głową, ale nigdy w twoją twarz.

Mary zaś spoglądała w oczy.

Richard wzruszył ramionami. Tak, Brian Astor, jego ojciec, tym razem się pomylił. Może nawet sam nie był pewny swoich racji, gdyż zostawił mu wolny wybór. Wrócił do rąbania drewna, przekonany, że z czasem jego ojciec lepiej pozna Mary i zmieni o niej zdanie.

Tego samego dnia, około godziny piętnastej, Robert i Tim Astorowie wybrali się do miasta, aby kupić parę rzeczy. Pogoda nadal była ładna. Słońce przygrzewało już tak mocno, jakby nastąpiła pełnia lata. Uwinęli się szybko ze sprawunkami, potem kupili dwie puszkę z pepsi-colą i poszli Aleją Księżycową do pobliskiego parku, aby spokojnie je opróżnić. Park, nieco zaniedbany, porośnięty wysokimi drzewami i krzewami dzikiej róży, zamieniał się wiosną i latem w miejsce spotkań towarzyskich.

Robert i Tim szli, rozmawiając o wszystkim i o niczym, gdy nagle stanęli jak wryci.

Kilku chuliganów, krzyczących ordynarne przekleństwa, napastowało chłopca, starającego się za wszelką cenę im wyrwać.

Tym chłopcem był Adam Winklis.

Wracał do domu z pobliskiego „Salonu Gier Komputerowych”, kiedy natknął się na Paula Davisa i jego kumpli. Siedzieli sobie na ławeczce, ukrytej przed okiem ciekawskich w gąszczu zieleni i popijali alkohol, opowiadając świńskie dowcipy o znajomych dziewczynach.

Alkohol już im się kończył, więc poszli kupić następną

porcję. Wyszli zza drzewa na drogę i trafili wprost na Winklisa.

Robert Astor, widząc kolegę w takich opałach, momentalnie przypomniał sobie wieczór u Mary Bromley, przypomniał sobie swoją rozmowę z Adamem, zakończoną zupełnym niezrozumieniem przez tego ostatniego jego zamiarów, a w konsekwencji awanturą.

Wcale nie czuł żalu do Winklisa.

Teraz mrugnął okiem do brata. Obaj nie zastanawiając się podeszli do grupy chłopców.

- O co tutaj chodzi? - zapytał Robert.

- Nie twój interes - warknął Paul Davis.

- Mój, bo to mój kolega.

- Czyżby?

- Tak!

Paul przypatrywał mu się ironicznie, nawet pogardliwie, lecz wcale nie było mu do śmiechu, wcale nie czuł się pewny. Roberta znał z widzenia, wiedział, że trenuje boks i jest bardzo dobrym sportowcem. Zresztą wygląd obu Astorów mówił sam za siebie.

- Tak tylko rozmawialiśmy - popatrzył obojętnie na Roberta. - Nie przeszkadzamy, jeśli jesteście takimi kumplami. Zresztą kiedyś się spotkamy.

- Oby nie za prędko - powiedział młodszy Astor.

Przyglądał się nieco wyzywająco Davisowi, ale tamten nie odezwał się więcej nawet jednym słowem. Po chwili zniknął wraz ze swoją obstawą, jak gdyby go nigdy nie było.

- Sam dałbym sobie radę - wzruszył ramionami Adam.

- W każdym razie dziękuję za pomoc.

Przez moment milczeli. Tim wyczuwał pewną wrogość ze strony Winklisa, jednak nie miał zielonego pojęcia w czym rzecz, gdyż brat nie wtajemniczył go w

wydarzenia na zabawie u Mary Bromley.

- On nie prędko zostawi cię w spokoju - stwierdził Robert. - To kawał złośliwego sukinsyna. Powinieneś uważać. Usiądziesz na moment z nami?

Winklis chciał powiedzieć, że nie, że śpieszy się do domu, lecz ku swemu zdumieniu powiedział wręcz coś odwrotnego. Robert tymczasem zachowywał się tak, jakby pomiędzy nimi nic nie zaszło, jakby dalej pozostawali przyjaciółmi i prawdę powiedziawszy, ujął go takim zachowaniem. Naraz przyjrzał się Winklisowi i rzekł coś, czego tamten absolutnie się nie spodziewał.

- Zapomnijmy o przykrym wieczorze u Mary! - poprosił. - Nie chciałem cię obrazić, a ty z pewnością nie chciałeś mnie uderzyć. Poza tym mężczyźni nie powinni się na siebie gniewać z powodu kobiety...

- Sam nie wiem...

- Lubię cię, Winklis. Po prostu więcej nie gadajmy już o Mary Bromley. To twoja sprawa.

- Okay - W takim razie dołącz do nas!

- Dołączyć?

- Tak. Wybieramy się w rejon Ciemnych Stawów, aby szukać skarbu...

- Skarbu?

- Opowiem ci o wszystkim w samochodzie, jeśli, rzecz jasna, z nami pojedziesz i obiecasz trzymać język za zębami!

- Ostatecznie nie mam nic do roboty. Kiedy wrócimy?

- Późnym wieczorem.

Kiedy wyjechali poza granice Snow Hills, Tim opowiedział historię poszukiwań tajemniczego skarbu. A Winklis słuchał jego opowieści z zapartym tchem.

- I właśnie podczas tamtych wakacji - ciągnął starszy z braci - zdarzyło się coś, co zniweczyło nasze plany.

Wydawało mi się wtedy, że jesteśmy bardzo blisko celu. Tak mi podpowiadała intuicja. Którejś nocy Richard, sypialiśmy wtedy w namiocie rozbitym na leśnej polanie przy jednym z Ciemnych Stawów, wyszedł na chwilę na zewnątrz... Zniknął na dosyć długo, więc się zaniepokoiłem. Wrócił w momencie, gdy wychodziłem, aby go szukać. Spostrzegłem, że jest strasznie roztrzęsiony. Wydawał się czymś przejęty, chociaż usilnie starał się to ukryć. Spytałem go o przyczynę tego zdenerwowania, ale tylko dziwnie na mnie popatrzył, a w najgłębszych zakamarkach jego spojrzenia ujrzałem strach... W nocy nie mógł zasnąć. Słyszałem, jak szczękał zębami. Nazajutrz, na jego prośbę, opuściliśmy to miejsce. Coś tam musiał ujrzeć, na pewno nic przyjemnego. Dlaczego tak się tego zląkł, nie wiem... Aż pół roku minęło do chwili, kiedy ponownie odważył się pójść w te okolice, za nic jednak nie chciał zostać na noc.

- Nic o tym nie wiedziałem - szepnął Robert.

- Nie chciałem tego przy nim mówić.

Zamilkli.

- A co z Margaret Nelson? - zapytał Robert. -
Dlaczego tak się zdenerwowaliście, gdy opowiedziałem wam o jej przepowiedni?

- Bo też ją odwiedziliśmy. Ona nas ostrzegła przed pewnymi rzeczami, nie mającymi najmniejszego związku ze skarbem. Oczywiście jej nie wierzyliśmy. Cóż, miała rację...

- Mnie i innym przepowiedziała śmierć...

- Dlatego boję się o ciebie!

Kiedy dojechali na miejsce, na niebie pojawiły się pierwsze, drobne chmurki. Pogoda nadal była piękna, a słońce przypiekało nawet silniej niż w południe...

Szli przez dłuższą chwilę wąską leśną ścieżką, potem weszli w głęboką skalną dolinę, środkiem której płynął mały

strumyk. Wdrapali się stromym zboczem, strącając w dół kamienie, na jego wierzchołek.

- Uff! - otarł z czoła pot Robert. - To chyba trudniejsza droga...

- Ale krótsza - odparł Tim. - Jeszcze trochę.

Odпочzęli pół godziny na wzgórzu i ruszyli dalej, przedzierając się do celu przez gęsty świerkowo-modrzewiowy las. Wkrótce poziomy teren zaczął raptownie spadać w dół, a miękki mech zastąpiło skalne podłoże.

Byli na miejscu.

- To tutaj, zgodnie z legendą - rzekł cicho Tim - jest gdzieś wejście do pieczary.

Milczeli, spoglądając z szacunkiem na spadające ze stromej skały nawałnice srebrnobiałej wody. Cisza, pomimo szmeru wodospadu, wydawała się wręcz uderzającą.

- Przeszukaliśmy teren na wszelkie możliwe sposoby - stwierdził Tim - i, niestety, bez sukcesu.

Adam milczał. Umiał, jak to nazywał, zaglądnąć w siebie. Wtedy postrzegał najrozmaitsze rzeczy, uykające innym. Nazywał to pstryknięciem czasu, włączeniem się w przestrzeń astralną. Nigdy nikomu o tym nie opowiadał: milczał przed rodzicami, gdyż ich nie interesował, koledzy natomiast, śmiejący się z niego na okrągło, śmialiby się jeszcze bardziej, jeśliby im się z tym zdradził.

Teraz był przekonany, ujrzał to w umyśle niczym mignięcie klatki filmowej, że zwały spadającej wody przesłaniają okrągły otwór w skale. To właśnie, tak czuł, była droga, którą należało pójść.

- Otwór jest pod wodospadem, w skale - powiedział.

Bracia przyjrzeni mu się zaskoczeni i zdumieni. Nawet im do głowy coś takiego nie przyszło.

- Skąd wiesz? - zapytał Robert.

- Wiem, nie pytaj skąd.

Tim i Robert spojrzeli na siebie porozumiewawczo i wymownie. Ten pierwszy spoglądał tak, jakby mówił: Po co go zabrałeś? Po co? Mówiłem, że nic dobrego z tego nie przyjdzie. Narobi nam tylko kłopotów.

- Przynajmniej sprawdźcie - Adam przytknął z nerwów oczy - nim powiecie, że do reszty zgłupiałem. Sprawdźcie, przecież to nic nie kosztuje...

- Sprawdzimy... - uśmiechnął się Tim.

Zdjął koszulkę i spodnie, został tylko w slipach. Skoczył na najbliższy kamień, pokryty zielonym wilgotnym mchem, po czym wszedł do strumyka, płynącego w tym miejscu żwawym nurtem. Z wysiłkiem dotarł pod wodospad, z ulgą zauważył niewielką wnękę po lewej stronie skalnej ściany, pozwalającą bez zmożenia głowy spojrzeć do góry.

Teraz widział wyraźnie, że skała tworzy wyżej jak gdyby okrągły wystający cypelek, z którego rzeczka spada w dół. Taka budowa skały powodowała, że pomiędzy jej wewnętrzną częścią a spadającą wodą było około jarda wolnej przestrzeni.

Tim, wpatrując się usilnie w górę, dostrzegł rzeczywiście niewielki otwór. Dostrzegł go i głośno krzyknął z radości, ale szmer strumyka zagłuszył okrzyk.

Wrócił do dwóch pozostałych chłopców.

- Adam miał rację - stwierdził. - Tam naprawdę coś jest...

Robert klepnął Winklisa po plecach.

- Wspaniale - zawołał. - Fantastycznie!

- To nie takie proste - pokiwał głową Tim. - Trzeba wspiąć się po skale. Na szczęście mamy liny, haki i młotki, to powinno wystarczyć, aby tam dotrzeć...

- Owszem, mamy - przerwał Robert. - Ale w

samochodzie. Dzisiaj nie zdążymy pójść po te rzeczy i wrócić z nimi. Będzie już ciemno. Zróbmy to jutro!

- W porządku - przyznał mu rację Tim.

Patrzyli na siebie bezradnie. Każdy z nich natychmiast rozpocząłby wspinaczkę do jaskini, lecz sytuacja zmuszała do odwrotu. Odchodząc, spoglądali z żalem, raz po raz, na wodospad, ale po chwili stracili go z pola widzenia. Przez jakiś czas słyszeli jeszcze szmer spadającej wody, jednak wkrótce i on ucichł.

Tuż przed końcem maja wielebny Albert Jackson kupił sobie nowy samochód, najzupełniej nowy, prosto z salonu Forda w pobliskim Garden City. Był to biały „Taurus” o silniku V6, osiągającym 243 KM mocy.

I właśnie tym autem wyruszył do swojego przyjaciela, proboszcza Larry’ego Daya, gdy na dworze zapadł już zmrok. Różne rzeczy sprawiły, że nie widzieli się do dłuższego czasu. Wiadomo, każdy z nich, pomimo przynależności do odrębnych kościołów, miał podobne problemy na głowie. A to jakieś rozmowy pojednawcze, aby uratować małżeństwo przed rozpadem, a to schorowanych wiernych, oczekujących ostatniej posługi... a to organizowanie zbiórek charytatywnych... a to kłopoty ze Szkołą Niedzielną... I tak dalej i dalej... Rzecz jasna niektóre sprawy, chociażby chrzty, wyglądały tu i tam zupełnie inaczej. Ale w końcu - dumiał sobie wielebny - chodzi o to samo: o zbawienie człowieka. Ludziom, w tym i mnie, zawsze się wydaje, że wyłącznie jedna droga jest tą właściwą. Kto jednak wie, co o tym myśli Bóg?

Jackson wjechał w Dragon Street i po kilkuset jardach skręcił w otwartą bramę parafii Wniebowstąpienia Boskiego.

Zatrzymał swój piękny, błyszczący nowością samochód, wysiadł zeń, wprawnym okiem przyjrzał się równo przyciętym krzewom, odgradzającym trawnik od chodnika. Pomyślał, że wygląda to tak samo dobrze jak u niego, a może nawet ciut lepiej - po czym pomaszerował ku drzwiom starego, pamiętającego być może czasy wojny

secesyjnej, budynku z czerwonej cegły.

Otworzyła mu nowa gosposia, dziewczyna, tak sobie pomyślał, co najwyżej trzydziestoletnia. Wyglądała na miłą i rozważną, lecz kiedy się przedstawił, wytrzeszczyła nań oczy, gdyż niecodziennie się zdarzało, aby pastor Kościoła metodystów odwiedzał księdza katolickiego. Oczywiście nie wiedziała o zażyłej przyjaźni łączącej obu duchownych.

- A co się stało z Sandrą Glover? - zapytał zaniepokojony pastor.

- Cóż, trafiła do szpitala, miejscowego szpitala. Ja jestem jej daleką kuzynką, mam na imię Stella. Po prostu ją zastępuję...

- To niedobrze - zmartwił się Jackson.

- Czuj się lepiej - odparła. - Być może w przyszłym tygodniu wróci ze szpitala.

- Daj Boże.

- Proszę do środka!

Larry Day siedział w pokoju stołowym, pogrążony po uszy w lekturze „L'Osservatore Romano”, i czytał artykuł o wizycie papieża w Nigerii. Ojciec Święty, zraniony niegdyś przez zamachowca na placu Świętego Piotra, czuł się ostatnio wyraźnie słabiej, lecz wciąż znajdował siły na nowe podróże duszpasterskie. Ten ogrom poświęcenia i miłości wzbudzał w proboszczu jak najwznieślesze uczucia.

Na widok pastora odłożył czasopismo.

Wybierał się do Jacksona od dłuższego czasu, aby porozmawiać z nim szczerze o swoich problemach związanych z Lisą Mortimer. Już sobie z nimi nie radził, już ich nie wytrzymał. Schudł, podupadł na zdrowiu, nie mógł zmrużyć w nocy oka, a kiedy wreszcie udawało mu się nad ranem zdrzemnąć, to śnił koszmary, w których Lisa zamieniała się w czarta, lub przychodziła doń, aby oznajmić,

że jest z nim w ciąży...

- Źle wyglądasz - zauważył Jackson.

- I tak się czuję...

- Na coś chorujesz?

Proboszcz już wiedział, że znów nie zdoła się przemóc, aby wyrzucić z siebie przed pastorem to, co go tak od dłuższego czasu dręczyło. To było tak, jak gdyby naraz ktoś jego wnętrze zamykał na kłódkę.

- Nie! To tylko letnie osłabienie...

Nikt nie rozgrzeszy mnie z takich uczuć, myślał Larry Day. Nikt nie potrafi ich zrozumieć... Ulegał coraz bardziej swojej chuci. Widział twarzyczkę Lisy przed oczyma, czuł na kolanach jej drobne ciało, czuł jego słodki, jakby nieco leśny, zapach.

Pragnął jej z godziny na godzinę, z minuty na minutę coraz bardziej i bardziej...

To grzech! - wołało jego sumienie. - To malutkie niewinne dziecko... Zostaniesz potępiony... potępiony... Na wieki!

Boże - odpowiadał w duszy. - Boże! Ty wiesz, jak wiele ona dla mnie znaczy. To prawda, że jest miła moim oczom, że pragnę jej dotykać i z nią przebywać. Ale to nie tylko to... Ona się stała moim życiem, moim jedynym pragnieniem, moją jedyną miłością. Mógłbym czekać na nią całe tysiąclecia, mógłbym zapomnieć o ślubach duchowych, mógłbym zapomnieć o wszystkim, byleby przebywać z nią na stałe...

Szaleniec! - wzbierał w nim drugi głos, ledwie, ledwie słyszalny zza tego pierwszego. - Szaleniec! Jesteś psychopatą. Zatraciłeś wszelkie miary. Zagubiłeś się w złu.. Nieszczęsny, walcz z diabłem, póki możesz, bo pociągnie cię w przepaść, pociągnie cię w otchłań i Bóg na zawsze cię

opuści...

Larry Day otrząsnął się. Popatrzył zmaconym, nie swoim wzrokiem na pastora.

- Larry - rzekł Jackson. - Larry, co cię dręczy?

- Wyjdźmy na dwór - zaproponował ksiądz. - Może świeże powietrze postawi mnie na nogi.

Odetchnął głęboko, kiedy stanęli na ganku. Potem wędrowali kawałek, ale niewielki, raptem nie więcej niż pięćdziesiąt jardów. W górze rozspiewał się nagle jakiś ptak. Pastor przyłożył dłoń do oczu, aby osłonić je przed światłem słonecznym, i spojrzął do góry, na korony drzew, chcąc dojrzeć powietrznego śpiewaka.

- Piękna pora - rzekł głośno.

- Tak - przyznał Day, chociaż znacznie mniej entuzjastycznie.

Usiedli na ławce stojącej pod starym, rozłożystym dębem.

Było bardzo cicho.

- Pamiętasz nasze ostatnie wędkowanie? - zapytał proboszcz.

- Tak. Wpadłeś do wody.

- Widziałem w niej szatana...

- Co takiego?

- Powtarzam: Widziałem diabła...

- Jak to?

- Nie wiem...

- Mówisz to poważnie?

- Jak najpoważniej. Dreszcze mnie przenikają, gdy przypomnę sobie ów moment.

- I boisz się?

- To nawet nie o to chodzi. Widzisz, nie o wszystkim mogę ci powiedzieć, nie o wszystkim powinienem

powiedzieć. Ale coś jest nie tak. Mam uczucie, jak gdyby zło wyciągało po mnie dłonie. Igra sobie z moimi słabościami, z moimi oczekiwaniami. Uderza tam, gdzie są najsłabsze moje miejsca. I nie potrafię się przed tym bronić...

- Starzejemy się obaj. To pewnie dlatego...

- Nie sądzę.

- Miałeś jeszcze jakieś widzenia?

- Nie, już nie.

- Po prostu zapomnij o tym, co wydarzyło się nad jeziorem. Prawda, moim zdaniem - już ci to mówiłem - jest nieco inna. Przeżywasz kryzys wiary, nie znajdujesz uzasadnienia dla pewnych rzeczy, do tej pory jak najbardziej oczywistych...

- Nie mogę zapomnieć. To wydarzenie nakłada się na inne i tworzy całość, naprawdę mnie niepokojącą. Mam wrażenie, że schodzę krętymi schodami w dół, i że nic nie jest w stanie tego schodzenia powstrzymać...

- To przemęczenie. Nie nalegam, ale może lepiej, abys mi zdradził, co cię tak dręczy. Przyznam się, że pomimo naszej długoletniej znajomości nie potrafię pojąć, co to jest...

- Są rzeczy, Albercie, o których lepiej nie rozmawiać...

Day umilkł. Jak mógł powiedzieć Jacksonowi o swoich snach, jeszcze gorszych, niż majak nad jeziorem. Jak miał mu wyznać, że wieczorami widuje na ścianach pokraczne cienie i wtedy ucieka przed nimi, zamyka oczy, lecz czuje, jak pełzną oślizgłe po jego ciele niczym stado węży, czekające okazji, aby wpić się kłami w duszę.

Świat walił się w gruzy, i nie było na to rady.

Nie, była... jedna jedyna... Zapomnieć natychmiast o Lisie Mortimer, zapomnieć raz na zawsze, po czym błagać na kolanach Stwórcę o przebaczenie...

Jednak właśnie tego uczynić nie potrafił.

Wcale nie chodziło tu o drobne przyjemności seksualne, odgrywające rolę wyłącznie na początku tej całej nieszczęsnej historii. Och, nie... Lisa zastąpiła mu to wszystko, czego się nigdy nie doczekał, co go na zawsze ominęło, zastąpiła mu miłość do żony, do dzieci...

Śmieszny jesteś, Larry... - mówił sam do siebie podczas bezsennych nocy. - W końcu to tylko mała dziewczynka, mała niewinna dziewczynka i taka jest, o czym wiesz doskonale, prawda? Tylko problem w tym, nieszczęsny, że nie potrafisz tego przyjąć do wiadomości... Za daleko bowiem odszedłeś od normalności. Zatruty cię własne myśli, własne pragnienia, własne oczekiwania. Napęłniły cię tak potężną dawką trucizny, że nie umiesz jej już usunąć. Otworzyłeś w sobie na oścież wrota zła!

Albert Jackson patrzył w oczekiwaniu na przyjaciela, lecz nie doczekał się żadnej odpowiedzi. Tylko liście lekko szumiały nad ich głowami. Świat zdawał się taki prosty, taki nieskomplikowany. Ale pastor rozumiał, że to wyłącznie pozory.

Pogoda nadal była piękna.

Woda mieniła się w blasku słonecznym wszystkimi barwami tęczy. A miejsce tchnęło świeżością, spokojem i jakimś nieuchwytnym czarem, budzącym się w duszy na widok potężnych omszałych głazów, bystrej wody w strumyku, przezroczystej niczym lza.

Zdjęli z siebie ubrania i założyli specjalnie przygotowane na wspinaczkę czarne kombinezony, lekkie i nieprzemakalne.

Tim szedł pierwszy, za nim Robert i Adam.

- Trochę się boję - szepnął Winklis do młodszego z braci. - Nigdy nie brałem udziału w takiej wyprawie.

- Nie przejmuj się. Na pewno sobie poradzimy!

Stali już we wnętrzu, zadzierając głowy do góry i przypatrując się dosyć dobrze widocznemu otworowi.

- Siedem lub osiem jardów - ocenił Tim.

Wyciągnął hak z torby umocowanej przy pasie, po czym wbił go w dosyć twarde podłoże.

Wspinał się bardzo powoli, ostrożnie, co chwila spoglądając na pozostałych.

Adamowi, najmniej przywykłemu do wysiłku fizycznego, szło najgorzej, ale i on był coraz wyżej...

Za sobą słyszał łoskot spadającej wody. Bolała go głowa, czuł też lekkie mdłości. Starał się nie spoglądać w dół, ponieważ miał lęk wysokości. Lecz nie mógł sobie poradzić z własną wyobraźnią, wciąż podsuwającą mu obrazy, jak z przeraźliwym krzykiem spada głową na dół.

- Jeszcze tylko trochę - szepnęła z wysiłkiem Robert, który właśnie spojrzał w dół i ku swojemu przerażeniu ujrzał bladą, złęknioną twarz Winklisa. - Jeszcze trochę.

Tim znalazł się przy dziurze. Podciągnął się prędko, wpelzł do jej wnętrza, po czym pomógł pozostałym uczestnikom wyprawy.

Po chwili siedzieli wszyscy obok siebie, siedzieli zgrzani, spoceni, oddychając z wysiłkiem i starając się przebić wzrokiem nieprzeniknioną ciemność...

Pierwsze co zauważyli, a raczej poczuli, to dziwny stęchły zapach, nieco nieprzyjemny, przypominający zapach siarki zmieszanej z cementem...

Robert wyjął latarkę.

Fala światła przeniknęła mglisty mrok, a to co ujawniła, wydarło z piersi chłopców okrzyk zachwytu, zobaczyli bowiem, że jaskinię wypełniają stalagnaty i stalaktyty, tworząc widok przepiękny, lecz wręcz nierealny, jakby ze świata baśni. Co ciekawsze w pewnym miejscu skupiały się, budując wielobarwny łuk nad wejściem do wewnętrznego korytarza.

- Brakuje tylko skrzatów - pokręcił głową Tim.

- Albo kosmitów - zażartował Robert.

- Co robimy dalej? - zapytał Tim.

- Pójdziemy korytarzem... - zaproponował jego młodszy brat.

Tim i Adam przystali na tę propozycję. Przez moment jeszcze odpoczywali, a potem ruszyli naprzód, ślizgając się po krystalicznym podłożu, powstałym wskutek osadzania się węgla wapnia.

Korytarz okazał się długim tunelem, prowadzącym do następnej jaskini, podobnej do pierwszej. Tutaj, na jednym ze stalagnatów, dostrzegli tajemniczy znak, przypominający

niecو egipski hieroglif, ale nie potrafili go zinterpretować.

Szli nadal, coraz głębiej i głębiej, wreszcie znaleźli się w miejscu, w którym droga nagle się urywała, kończąc się tuż przy skale. Westchnęli zawiedzeni i chcieli wracać z powrotem, kiedy Robert przypadkiem oświetlił srebrzysty kamień i zamarł z wrażenia. Pozostali również.

Ujrzeni napis, już nie literę, nie pojedynczy znak, lecz całą kolumnę „hieroglifów”.

Każdy z nich pomyślał w tym momencie o tym samym, pomyślał, że stoją przed drzwiami, prowadzącymi do spoczywającej za nimi tajemnicy, do skarbu.

- Co to jest? - przemówił pierwszy Tim.

- Nie wiem - odparł Robert.

Adam czuł się coraz gorzej. Na czoło wystąpił mu pot. Najchętniej by wracał, wstydził się jednak do tego przyznać. Obaj Astorowie, przy jego marnej pomocy, starali się przez parę godzin otworzyć skalne drzwi, ale nic z tego nie wyszło.

- Musimy wracać - powiedział wreszcie starszy z braci z widocznym żalem, świadomy, że jest bardzo blisko celu, a może nawet rozwiązania zagadki, nie dającej mu spokoju od dłuższego czasu.

Droga powrotna okazała się znacznie trudniejszą. Czas dłużył się straszliwie, a mięśnie nóg bolały coraz bardziej. Raz nawet zabłądzili i skierowali się w niewłaściwy korytarz, na szczęście Adam prędko odkrył pomyłkę.

Wreszcie doszli do wyjścia.

Tim zszedł pierwszy, zaraz po nim Robert, a na końcu Winklis. Chłopiec zdążył się spuścić nie więcej niż o dwa jardy, gdy nagle pękła linka.

Adam krzyknął i na oczach przerażonych braci, niczym ciężki kamień runął w dół. Dobiegli doń natychmiast. Był nieprzytomny. Na szczęście oddychał.

- Musi trafić do szpitala - rzekł pobladły z przejęcia Tim. - I to natychmiast. Trudno stwierdzić, jakie odniósł obrażenia, dlatego nie powinniśmy go ruszać...

- To moja wina - nie wytrzymał Robert. - To ja go zabrałem!

- Przestań!

- Jeśli zostanie w tym miejscu, to...

Adam otworzył oczy. Spojrzał półprzytomnie.

- Nic ci nie jest? - zapytał Tim.

- Bola mnie plecy i kręci mi się w głowie...

Dotknął palcami włosów, zbliżył dłoń do oczu, jęknął, gdy zobaczył na niej krew.

- Przenieście mnie na trawę - szepnął.

Spełnili jego życzenie.

Tim wyprostował się i spojrzał na brata.

- W samochodzie jest telefon - powiedział. - Pójdę tam i ściągnę pomoc. Ty tutaj zostań. A ty, Adamie, nie mów tym, którzy tu przyjdą, skąd spadłeś. Po prostu schodziliśmy z boczem, ty się poślizgnąłeś i uderzyłeś w głowę. Na pewno w to uwierzą...

„Nazywam się Lisa Mortimer i właśnie dzisiaj rozpoczynam pisanie pamiętnika.

Na pewno mi nie uwierzysz, mój Kochany Pamiętniczku - bo przecież już wiesz, jaka jestem mądra - że mam dopiero dziesięć lat. Ale to szczerą prawdą. Zawsze miałam w głowie, mojej ślicznej małej główce, więcej różnych myśli i przemyśleń niż moi rówieśnicy, miałam i mam swój własny świat, do którego nigdy nikomu nie pozwoliłam wejść, nawet rodzicom.

Oni są tacy zabawni. Wydają im się ich malutką córeczką, malutką słodką Lisunią... Och, jakże się mylą. Jestem jak czarny pajak, jestem jak żmija pełznąca w wysokiej trawie.

Nie dziw się, mój Drogi, że właśnie tak piszę. Widzisz, otwieram się przed Tobą, wyłącznie przed Tobą. Będziemy sobie prowadzili te nasze rozmowy, będę zwierzała Ci się z moich przemyśleń, a już domyślasz się, jakie są paskudne... A potem schowam Cię tak, że nikt nigdy Cię nie znajdzie... Nie może Cię znaleźć...

Bo gdyby Cię z znalazł, Drogi Pamiętniczku, to wszyscy by się dowiedzieli, jaką złą jestem dziewczynką, dowiedzieliby się, że zabiłam już wiele małych ślicznych ptaszków, dowiedzieliby się, że otrułam kilka kotów i kilka psów. Dowiedzieliby się, że stałam niedaleko nich, kiedy zdychały, stałam i patrzyłam zachwycona ich piskami, ich przerażeniem, ich podrygiwaniem... Tak było mi dobrze i słodko, jak nigdy... Przedostatniej nocy zrobiłam nawet...

Cóż, posunęłam się dalej...

Lecz jeszcze o tym wspomnę...

Bo, mój Drogi Pamiętniczku, lubię krew, lubię jej czerwoną barwę, lubię, gdy cieknie, tak wolno i majestatycznie, a zwłaszcza lubię, kiedy spływa na zieloną soczystą trawę. Zieleń, taka świeża, jest wówczas uderzająco piękna... Tak, zieleń i czerwień... Czyż może być coś ładniejszego? Mogłabym godzinami wpatrywać się w takie cudowności...

Ale chciałabym, mój Kochany, opowiedzieć ci trochę o moim życiu. W szkole nie jestem lubiana, chociaż uczę się bardzo dobrze. Może dlatego, że zawsze trzymam się na osobności, nie pozwalam innym dziewczynom przybliżyć się do mnie, chociaż nie miałyby nic przeciw temu. Denerwują mnie zbytnio swoim ulizaniem, swoimi głupimi problemami, typu: warkoczyk mi się rozplótł, abym miała sobie zawracać nimi głowę. Jednak niedługo chyba to się zmieni. Na pewno przyjdzie taki moment...

Mieszkam u rodziny, której nienawidzę... Nienawidzę, gdyż są inni ode mnie, ich świat jest jasny i dobry, chociaż ostatnio, ku mojej radości, wielkiej radości, nie najlepiej w nim się dzieje.

Nie cierpię zwłaszcza swojej przybranej matki, do niedawna prawdziwej świętoszki, prawdziwego wzoru cnoty... To ona wymagała, abym chodziła starannie ubrana ze słodką buzią w ciup, to ona wymagała, abym zawsze zachowywała się jak grzeczna panienska...

Nigdy nie byłam grzeczną panienką, mój Pamiętniczku. Jestem prawdziwą małą diabolicą. Wczoraj wieczorem zamknęłam się w swoim pokoju, zapaliłam dwanaście dużych czarnych świec... Więc zapaliłam je, zgasiałam światło, a potem gorąco się modliłam do Złego

Boga, by pomógł mi w moich planach. I w pewnym momencie pojęłam, że wysłucha moich próśb.

Lecz wracam do mojej matki. Jak napisałam wyżej, na samym początku, jestem mądrą dziewczynką... Dlatego rozumiem, na czym dorosłym zależy najbardziej.

Większość z nich ugania się za pieniędzmi. Tak czyni na przykład mój tatuś.

Równie wielu szuka seksu - prawie jedenastoletnia dziewczynka, taka jak ja, wie o tym dużo. Mamusia należy do tych drugich. Całkiem niedawno, tatuś akurat gdzieś tam sobie wyjechał, wyszłam w nocy ze swojego pokoju. I kiedy przechodziłam obok sypialni rodziców, usłyszałam przeciągłe jęki, a zaraz potem spostrzegłam, że drzwi są lekko uchylone...

Przybliżyłam się ostrożnie na paluszkach. Zajrzałam. Na przyłóżkowym stoliku paliła się nocna lampka, więc nie miałam problemów z zauważeniem tego, co tam się dzieje...

Mamusia siedziała sobie na Tedzie Mertonie. Siedziała i unosiła się to w górę, to w dół, wydając przeraźliwe jęki. Merton natomiast ugniatał jej piersi, ugniatał i miętosił, jakby chciał je rozerwać. Jeśliby tak się stało - wyobrażałam sobie uśmiechnięta - to krew trysnęłaby na białą pościel, trysnęłaby na pana Mertona i doprawdy byłby to prześliczny widok.

Później zmienili pozycję. Mamusia klęczała na łóżku. Pan Merton klęknął przy niej i złapał ją za biodra...

Po raz pierwszy zobaczyłam, co się dzieje z mężczyzną w takiej sytuacji. Bardzo dziwne, że „to” jest takie wielkie, czerwone...

Czuję się nieswojo, gdy o tym piszę. Z jednej strony jest mi przyjemnie, z drugiej wstrętne...

W każdym razie to niespodziewane wydarzenie podsunęło mi pewien pomysł.

Czekam już teraz tylko na przyjazd tatusia.

Co do innych rzeczy, mój Drogi Pamiętniczku, to radzę sobie całkiem dobrze.

Książd Day bardzo, ale to bardzo mnie lubi. Drocę się z nim i stosuję te wszystkie sztuczki, których nauczyłam się z książek, od starszych koleżanek, z filmów.

Teraz, po tej ostatniej nocy, wiem już tak naprawdę, czego on pragnie...

Oczywiście mu nie pozwolę... Ale będę zakładała króciutkie spódniczki, ciemne rajstopy w siateczkę (od razu „zapalają” mu się oczy, gdy mnie widzi tak ubraną), będę mu siadała na kolanach, a potem, już niedługo...

I to by było na tyle, mój Pamiętniczku, wkrótce znowu się spotkamy! Aha, miałam jeszcze Ci opowiedzieć o tym, co zrobiłam przedostatniej nocy. To była ładna noc, ciepła i rozjaśniona gwiazdami. Od dłuższego czasu chodzę sobie na takie wieczorne spacerki. Jest cicho, wszyscy są pogrążeni we śnie. Śnię o dobrych rzeczach, których nie znoszę. A ja leciutko otwieram okno, zrzucam na dół drabinę (kupiłam ją w sklepie dla chłopców i początkowo złażenie po niej szło mi bardzo opornie, lecz teraz już całkiem dobrze), więc zrzucam ją, a po chwili jestem na dole. Zwykle chodzę sobie na cmentarz. Dobrze się czuję pośród starych drzew, pośród mogił. Niekiedy siadam przy jakiejś, wyobrażając sobie, że w niej leżę, piękna, ubrana w śliczną sukienkę, leżę sobie, a kiedy na niebo wypływa jasny romb księżycy, wtedy ożywam, otwieram oczy, w gardle wyrastają mi kły, wydostaję się z trumny i wędruję po ulicach, przekradam się w cieniu gąszczy, krzewów, murów w poszukiwaniu gęstej czerwonej krwi...

Oczywiście, Drogi Pamiętniczku, to tylko marzenia. Wiesz jednak, czujesz to, jak wielką mi sprawiają

przyjemność...

Lecz tej przedostatniej nocy zrobiłam krok do przodu, aby je urzeczywistnić.

Chciałam rozprawić się z tym wielkim psem, wiesz z którym, z tym, co mieszka o parę przecznic od nas przy tym starym domu tych pomyłonych starszków, których nazwiska nigdy nie mogę zapamiętać... Państwo Trancer... no jakoś tak...

Psisko, to chyba owczarek niemiecki, jest agresywne jak wszyscy diabli. Ale ta starowinka, siwiutka jak gołąbek i pomarszczona jak sama nie wiem co, zawsze mi wyjaśniała, z takim dobrym serdecznym uśmiechem na twarzy, doprowadzającym mnie do mdłości - jakże chętnie pokrajałabym tę starą ropuchę na kawałeczki, w sieczkę - że on sobie tylko tak ujada, no wiesz Pamiętniczku, dla własnej zabawy, tak aby poujadać...

- Jak się nazywasz, kochanie? - mówiło to obrzydliwie stare babsko. - Prawdziwy aniołeczek z ciebie, och jakże bym pragnęła mieć taką wnuczkę, ale...

I tutaj spuszczała głowę, ale po chwili uśmiech ponownie wracał na jej paskudną gębę.

- Nie bój się, malutka, pieska - gadała dalej. - On naprawdę jest niegroźny, Wabi się King i lubi pohłasować...

Patrzyłam na nią. Wiedziałam, że jest mną oczarowana, że podobam się jej jak mało które dziecko...

- Odwiedź nas kiedyś - trajkotała dalej. - Ja i mąż żyjemy tak samotnie. Nasze dzieci wyjechały do dużego miasta. Odwiedź nas... Wniesiesz trochę radości do tego ponurego domu...

I wiesz, co zrobiłam tamtej nocy, Kochany Pamiętniczku?... Oczywiście to, co wiele razy, lecz trochę inaczej...

Wzięłam truciznę na szczury - ojciec kupił tego mnóstwo i jego zapasy nieprędko ulegną wyczerpaniu - a potem poszłam do rudery tej naiwnej nudziary.

King był głupim psem, szybko połknął przygotowaną przeze mnie przekąskę: kawał mięsa nafaszerowany przysmakami taty. Patrzyłam podniecona jak naraz zapiszczał, po czym upadł. Trucizna działała bardzo szybko.

Serduszek biło mi tak mocno, tak się bałam, ale zarazem czułam to podniecenie, co zawsze sprawia mi tak szaloną radość.

Najpierw przerzuciłam piłę, później sama przelazłam przez niewielki płotek...

King dogorywał i ledwo, ledwo jęczał, kiedy przyłożyłam brzeszczot, lśniący srebrzyście w księżycowej poświacie, do jego szyi. Och, jaką wówczas czułam rozkosz. Stałam na progu czegoś wielkiego, co od dawna mi się marzyło, czego od dawna oczekiwałam...

I zaczęłam ciąć. A on drgał jeszcze, chociaż życie uciekało zeń jak powietrze z przekłutej opony. Patrzyłam zachwycona, jak otwiera się jego ciało, jak poczyną z niego płynąć czerwona posoka... Wydawała mi się wodą bijącą z ożywczego źródła.

I przyszedł taki moment, Kochany Pamiętniczku, że zanurzyłam w krwi Kinga palce, później dotknęłam nimi ust, dotknęłam nimi języka. Trudno mi opowiedzieć, co wtedy czułam, jakie to było wspaniałe przeżycie...

Przyznasz sam, mój Drogi, że o czymś takim możemy wiedzieć tylko my dwoje...

A teraz już faktycznie kończę. Rozpisałam się chyba troszeczkę, lecz widzisz, mój Ty Skarbenku, tak przyjemnie jest mi wracać pamięcią do tamtego wydarzenia, tak bardzo przyjemnie..."

Nie do wiary, myślał Jacob Mortimer, że czas tak szybko biegnie do przodu. Po prostu nie do wiary.

Żuł mechanicznie gumę, nie tyle z potrzeby, co z nerwów. Siedział w głębokim fotelu za swoim biurkiem i czekał na dwóch facetów, których polecił mu Roy Bromley. Roy - rozważał - zna się na tym jak nikt. Pewnie sam był wiele razy w podobnej sytuacji. On rozumie doskonale, jak czuje się facet, zrobiony na szaro przez przyjaciela.

Naprawdę już nie wytrzymywał. Ted przekroczył wszelkie granice przyzwoitości.

Zerknął na ścienny zegar. Dochodziła dwunasta. Powinni już być. Przymknął oczy, i otworzył je z ulgą, gdy usłyszał pukanie.

- Proszę! - zawołał.

Weszło dwóch mężczyzn o takim wyglądzie, że nie miał wątpliwości, iż to ci, których oczekiwał.

Jeden z nich był bardzo wysoki, miał ponad sześć stóp wzrostu, rozrośnięty w barach, drugi nieco niższy, lecz jeszcze mocniej zbudowany. Pierwszy miał w twarzy coś z małpy i Jacob natychmiast go przezwał „Małpą”, drugi zaś z węża, więc ochrzcił go „Kobłą”.

- Pan Jacob Mortimer? - zapytał wysoki.

- Tak!

- Chyba potrzebuje pan pomocy?

- Owszem...

- Jaka to suma?

- Dwa tysiące. Jednak z odsetkami musi oddać pięć...

„Małpa” wrzucił wzgardliwie ramionami.

- To niewielki dług - wycedził. - Nie opłacało się przyjeżdżać. Ale skoro tu jesteśmy... Wyplaci nam pan z tych pięciu dwa...

- W porządku.

- Czy są jakieś dokumenty, potwierdzające, że ten facet wisi panu pieniądze?

- Niestety nie.

- Chce je oddać?

- Tak. Powtarza to na okrągło i nie oddaje.

- Wobec tego proszę się z nim umówić, wziąć na spotkanie dyktafon, nagrać rozmowę. To w zupełności wystarczy.

- Dobrze. Tak uczynię.

- Za trzy dni pana odwiedzimy - zakończył rozmowę „Małpa”.

Skinęli obaj głowami i już ich nie było.

Jacob Mortimer wzdrygnął się po ich wyjściu. Nie ma co, pomyślał. Prawdziwe przyjemniaczki. No cóż, Ted, ostatecznie ty sam mnie zmusiłeś do tego kroku. Przecież nie mogę czekać w nieskończoność.

Lisa Mortimer przysiadła na brzegu basenu, w którym pluskał się Ron, przyglądała się z uśmiechem, jak nurkuje, potem się wynurza, pod pływa do drabinki, wychodzi, i ponownie skacze na głowę do wody.

W domu byli oboje rodzice. Ojciec odpoczywał po pracy w swoim pokoju, a matka zajmowała się przyrządzaniem posiłku. Gdzieś za rogiem domu bawiło się pozostałe rodzeństwo. Lisa słyszała od czasu do czasu ich głośne krzyki.

Uśmiechała się zamyślona, wyobrażając sobie, jak będzie wyglądał ten moment, kiedy wreszcie zostaną z Ronem sami.

Jej młodszy brat właśnie do niej podpłynął.

- Dobrze nurkuję, prawda? - uśmiechnął się, cały parszający i zachwycony sobą.

- O tak, dobrze, ale jestem pewna, że nie wytrzymasz

pod wodą dłużej niż pół minuty...

- Założymy się?

- Pewnie!

- O co?

- Kupię ci loda...

- Trzy lody, siostrzyczko... - sapnął Ron, a słowo „siostrzyczka” zabrzmiało w jego ustach tak jakoś dziwnie.

- Dobrze, niech będą trzy, lecz pod warunkiem, że będę cię trzymała za głowę...

Ron wzruszył ramionami.

- Nie ma sprawy - wydał policzki. - Jeśli boisz się, abym cię nie oszukał, to nie ma sprawy...

Cały czas trzymał się skraju basenu, machając sobie przy tym nogami. Lisa widziała wyraźnie jego pięty...

- Posłuchaj - rzekł - złapiesz mnie za włosy i przetrzymasz... Kiedy uderzę cię rękoma, natychmiast mnie puścisz...

- Przecież wiem. Inaczej byś się utopił!

- Tylko spójrz na zegarek!

Ron westchnął. Nabrał powietrza, natychmiast zanurkował. Lisa rzuciła kątem oka na sekundnik, po czym lekko chwyciła brata za włosy. Uśmiechała się do siebie, widząc pod powierzchnią jego głowę...

Myślała o tej chwili, która przyjdzie wcześniej czy później. Myślała o tym, co wtedy uczyni, i rozkosz w niej wzbierała, gdy to sobie wyobrażała.

Ron wypuścił powietrze, poczuła jak pęcherzyki gazu ocierają się o jej ręce, i natychmiast chwycił ją za łokcie, dając tym samym znak, że dłużej nie może.

Ale nie usłuchała. Trzymała go nadal, jak gdyby sprawdzając, czy jest w stanie przewyciężyć nacisk jej palców.

Nie był. Szarpnął się z całych sił, ale nie był.
Dopiero teraz oderwała palce od głowy brata.
Wynurzył się natychmiast, oburzony do żywego,
wściekły.

- Zwariowałaś! - wrzasnął.

- Ron! - tłumaczyła. - Zostały tylko trzy sekundy,
dlatego cię przetrzymałam. Wygrałeś, braciszku, lody...

- W porządku - pokręcił głową. - Prawda, że jestem
dobry?

- Prawda!

Podniosła się, bo chciała powiedzieć coś mamie, a
wiedziała, że jest w kuchni sama, i przez pewien czas będzie
sama. Och tak, pragnęła powiedzieć to od dawna, od tak
wielu, wielu dni. W końcu pracowała nad tym, pracowała ze
wszystkimi siłami. Wreszcie przyszedł ten długo oczekiwany
moment.

Ron już płynął w przeciwległy koniec basenu. Płynął
szybko i ładnie.

Rzeczywiście uczynił postępy - pomyślała.
Przyglądała mu się przez moment, a potem odwróciła się na
pięcie, i ruszyła w stronę domu.

Jej mama, tak jak przypuszczała, poza gotowaniem nie
miała nic na głowie. W garnkach coś się pichciło, a ona
siedziała zaczytana w jakimś czasopiśmie o modzie.

- Mamo!

Podniosła głowę.

- Tak, córeczko?

- Chciałam bardzo cię o coś prosić...

- Słucham?

- Wiesz, że proboszcz Day przygotowuje mnie do
występu?

- Wiem.

- W piątek o siedemnastej będę się z nim uczyła nowej piosenki. Proszę cię, mamusiu, abyś przyszła posłuchać, jak śpiewam. Jeśli możesz, to weź również ze sobą tatę... Tak pragnę, abyście mnie posłuchali...

- Oczywiście, Lisuniu, skoro tak ci na tym zależy. Tylko nie wiem, gdzie będziesz?

- Albo w gabinecie proboszcza, albo w salce katechetycznej wraz z innymi dziećmi.

- W porządku, kochanie.

- Obiecujesz, mamusiu?

- Obiecuję.

Lisa podbiegła do matki, cmoknęła ją w policzek, a potem wybiegła z domu, aby nadal obserwować, jak Ron radzi sobie z pływaniem.

Tego dnia późnym wieczorem Ron i James Mortimerowie ponownie wybrali się do posiadłości Vernonów. Była pogodna noc, noc przepiękna światłem gwiazd i księżyca, gdy cicho, na paluszkach, wykradali się z domu. Nikt ich nie zauważył, oprócz Lisy, która na moment przykleiła twarz do szyby. Ale był to wyłącznie przypadek, gdyż dziewczynka obserwowała niebo, a jej oczy zdawały się niewidzące, zapytrzone w coś, co tylko ona mogła dojrzeć...

Ron i James, pochłonięci własnymi myślami, nie rozmawiali za wiele podczas wędrówki. Dopiero gdy zbliżali się do domu, gdy zostało im doń nie więcej niż pół mili, Ron zaczął mówić do brata.

- Nie bój się, James - powiedział. - Teraz nie wejdziemy do środka. Chcę tylko zakraść się pod dom i zobaczyć, co się tutaj dzieje...

- Nie powinniśmy...

- Ty zawsze to samo. Nic się nie stanie. Sam zobaczysz...

- Podobno ci nowi już niedługo się wprowadzą...

- I to mnie martwi. Wtedy nie będzie tak łatwo tam wejść.

- Pewnie, że nie. Wiesz co, Ron?!

- Co?

- Dziwię się im. To taki ponury dom. Nie chciałbym w nim mieszkać.

- Ja też. Ale oni doprowadzą go do porządku, zobaczysz...

Przerwał nagle, po czym gwałtownie złapał brata za ramię i uściśnął tak mocno, że tamten aż syknął z bólu. Rozumiał jednak doskonale, dlaczego Ron to uczynił.

Willa Vernonów wcale nie była pogrążona w mroku. Wprost przeciwnie: tonęła w powodzi światła. Reflektory oświetlały ludzi, krzątających się gorączkowo przy olbrzymim tirze.

Ciężarówka, kierowana głosami kilku mężczyzn, wołających bez przerwy do kierowcy, jak ma jechać, podjeżdżała do tajemniczych, lśniących szyn, prowadzących w dół do wnętrza domu.

- O rany! - szepnął James, zachwycony i zarazem przestraszony niecodziennym widokiem. - O rany! Co tu się dzieje?

Ron nie odpowiedział. Oczy wychodziły mu na wierzch, bo oto olbrzymie blaszane pudło, umieszczone na ciężarówce zaczęło się powoli z niej zsuwać.

- Ostrożnie, do diabła! - krzyczał wysoki blondyn. - Ostrożnie. Pojemnik musi dokładnie najechać na szyny... Słyszycie? Dokładnie!

Ron wzdygnął się, gdy metalowy prostokąt zazgrzytał, a później łagodnie spłynął w dół.

- James, co w nim może być? - zapytał.

- Nie wiem - odparł jego młodszy brat.

- To bardzo dziwne, że robią to w nocy, a nie w dzień. Przecież w dzień byłoby im znacznie łatwiej. Widoczne nie chcą, aby ktoś to oglądał... Zmywamy się stąd, James. Lepiej, by nikt nas nie dostrzegł! Chodźmy!...

Ron odwrócił się i czym prędzej ruszył w drogę powrotną. Szedł prędko, bo rzeczywiście było coś tajemniczego i niecodziennego, w tym co ujrzeli. Z początku nawet się bał. Jednak im dalej posiadłość Vernonów zostawała w tyle, tym bardziej rosła jego ciekawość. Duchy oraz upiory, o których się nasłuchiwał od kolegów, przestały go interesować. Teraz interesowała go wyłącznie zawartość ogromnego blaszanego pudła, przewiezonego przez ciężarówkę.

- Musimy to sprawdzić, James! - rzekł do brata.

- Co takiego? - zdziwił się tamten.

- Musimy sprawdzić, co było w tej przyczepie.

Szli przez chwilę milcząc. Ron przestał już się zastanawiać nad ciężarówką.

Postanowił, oczywiście, zbadać tę sprawę, lecz w odpowiednim czasie. Po prostu musiał to wszystko rozważyć. Myślami wrócił w inne miejsce i uśmiech rozjaśnił mu twarz. Zrobiłem postępy w pływaniu - dumał. - W nurkowaniu również. A potem przypomniał sobie krótki moment, kiedy pragnął się wynurzyć, ale nie mógł, bo Lisa mocno trzymała go za kark.

- Wiesz - powiedział do Jamesa. - Chcę ci zdradzić coś ogromnie ważnego. Pamiętaj, że nie wolno tego komukolwiek wygadać. Nigdy! Pojmujesz?

- Och, Ron! - jęknął z zachwytem młodszy z Mortimerów, zadowolony z takiego wyróżnienia.

- Posłuchaj! Lisa nie jest naszą prawdziwą siostrą!

- Jak to?

- Nie jest... Ja, ty, Sandra i Doris mamy tę samą krew, ale ona nie...

- Dlaczego tak mówisz? - szepnął wzburzony i zarazem nic nie rozumiejący James. - Dlaczego? To kłamstwo!

- Nie, stary! To prawda. Uwierz mi... Poza tym wiem o naszej niby siostrzyczce takie rzeczy... Kiedyś ci powiem... W każdym razie pamiętaj, że ona jest zła jak wszyscy...

Przerwał, bo James zaczął pochlipywać.

- Nie mów tak - poprosił. - Nie chcę, abyś tak mówił.

- No już dobrze - wzruszył ramionami zakłopotany Ron. - Najlepiej w ogóle zapomnij o tym, co usłyszałeś...

Jednak James nie potrafił zapomnieć. Lisa czasami zachowywała się, jego zdaniem, nieco dziwnie. Ale ją lubił... Nie potrafił przyjąć do wiadomości tego, co usłyszał od Rona. Postanowił sobie po cichu, że przy najbliższej sposobności spyta o to tatę. Tata na pewno go nie okłamie...

Nad ranem w Snow Hills lunął deszcz, rozpętała się prawdziwa zamieć wody.

Krople dudniły w nieustającym rytmie.

Ted Merton leżał na swoim łóżku w swoim domu, wpatrując się w ciemny, wstający za szybą ponury, zamglony ranek, i myślał o tym, że jego obecne życie jest całkiem podobne do tego, co widzi za swoją okiennicą.

Frances, do której zdążył się naprawdę przyzwyczaić, odstawiła go na bok, kiedy Jacob wrócił z Dallas. Owszem, powiedziała, że to tylko chwilowe, że powinni uważać, że mogą zapłacić za dużą cenę, gdy Mortimer się dowie...

Jasne, rozumiał to, rozumiał całkiem dobrze.

Tylko...

Tylko jeśliby miał pieniądze, te przekłete pieniądze, to

może sytuacja ukształtowałaby się inaczej...

Może Frances nawet by się zdecydowała odejść. W końcu łączyło ją z Jacobem coraz mniej. A na dzieci - tłumaczył jej - też się nie ma co oglądać, gdyż wcześniej czy później znikają, aby rozpocząć własne życie. Człowiek wtedy zostaje sam na sam z wszystkimi swoimi problemami.

Tak jej mówił, a ona potakiwała. Jednak oboje wiedzieli, że to mrzonki...

Po miesiącu, no może po dwóch, miałyby już dosyć wegetacji w trudnych warunkach, przeliczania ile i na co wydać!

Cholerne pieniądze...

Rzucił okiem po pokoju, westchnął ciężko na widok panującego w nim bałaganu: nieposprzątanых szklanek, porzrzucanych skarpetek i innych części garderoby.

Od dawna obiecywał sobie zrobić z tym porządek, ale tak się jakoś składało, że kiedy wracał, włączał od razu telewizor, tkwiąc przed nim do późnych godzin nocnych.

Lubił westerny. Oglądał wszystkie, jakie tylko znalazł w programie telewizyjnym.

A kiedy kończył, było już ciemno, więc nie musiał się denerwować widokiem swojego pokoju.

Ted wstał, umył się, zjadł przyrządzone naprędce śniadanie, to znaczy wyciągnął z lodówki niedojedzone resztki kolacji i nawet ich nie odgrzał, bo zupełnie mu się nie chciało. Prawdę powiedziawszy nic mu się nie chciało.

Najchętniej cały dzień by spędził w łóżku, śniąc o Frances.

Zauważył, że jego nastrój zależy ostatnio od dobrych lub złych układów z kochanką. Jeśli wszystko układało się po jego myśli, jeśli mógł do niej bez przeszkód przychodzić, codziennie ją widywać, wówczas nie było w całym Snow

Hills szczęśliwszego odeń człowieka. Jeśli jednak nie mógł, wtedy czuł się wytracony z równowagi, niezdolny do najprostszej czynności.

Dopił kawę, potem założył dżinsowe spodnie i biały podkoszulek, po czym pojechał do „Srebrnej Gwiazdy”, aby tam, w morzu piwa, utopić swoje żale.

Siedział już dosyć długo, snując nad kuflem rozważania o wszystkim i o niczym, kiedy usłyszał przed sobą kroki, a potem coś w rodzaju chrząknięcia. Podniósł głowę, ze zdumieniem spoglądając na dwóch facetów, których widział po raz pierwszy w życiu i którzy właśnie dlatego na pewno nie mieszkali w Snow Hills.

Obaj wyglądali, krótko mówiąc, nieprzyjemnie. Wyglądają tak, pomyślał sobie Ted, jak rzeźnicy z dwudziestoletnim stażem w zakładzie mięsnym.

Patrzyli na niego w milczeniu. Patrzyli za długo i to zaczęło się Mertonowi naprawdę nie podobać.

- Czy Ted Merton? - zapytał wreszcie jeden z nich.

- Tak. A w czym rzecz?

- Posłuchaj, gnojku - powiedział wyższy tonem, jakby właśnie odtwarzał tekst z jakiegoś gangsterskiego filmu. - Posłuchaj, ty parszywcu! Pójdiesz teraz z nami, wsiądziesz do naszego samochodu! Pojedziemy pogadać o wspólnym zmartwieniu. Nie rób głupich numerów, bo trzymam spluwę wycelowaną w twoje bebechy. Wystarczająco duży kaliber... Rozniesie je na strzępy... Na tysiące strzępów - lekko się uśmiechnął, lekko oraz drwiąco.

Merton przelknął ślinę. Po raz pierwszy spotykał się z czymś takim. I było to coś zupełnie innego, niż na ekranie telewizora. Wtedy gdy oglądał podobne sceny, mógł sobie wyobrazić, że jest naprawdę dzielny, że z łatwością poskromi każdego złoczyńcę, natomiast teraz...

Teraz serce podeszło mu do gardła. Nie wiedział zupełnie, co ma zrobić. Obaj mężczyźni spoglądali nań tak obojętnie, jakby był co najwyżej jeszcze jednym śmieciem do wyrzucenia. Pojął, że w razie czego faktycznie go ukatrupią.

Wstał chwiejnie, po czym ruszył do drzwi.

Szli za nim. Czuł na swym karku ich oddechy.

Zapakowali go do stalowego Dodge'a Avengersa, a raczej wrzucili jak worek kartofli. Jestem bokserem, przyszło mu do głowy, sporo umiem. Spróbuję się obronić... Ale umiał na ringu. Tutaj, gdy jeden z mężczyzn - ten niższy - usiadł obok, przystawiając mu lufę do skroni, jego umiejętności zdawały się nie mieć większego znaczenia.

Wyjechali za miasto, skręcili w leśną dróżkę i tam stanęli.

- Wsiadaj, gnojku! - rozkazał wyższy.

Wsiadł.

- Jesteś bokserem - mówił dalej. - To bardzo dobrze, że jesteś, ja też jestem. Dlatego powinniśmy się dogadać. Okay?

- Okay - odparł.

Mężczyzna pokazał dłonią na swojego partnera, który właśnie zaciągnął się dymem z zapalonego przed chwilą papierosa.

- On nie jest - oznajmił. - To zawodowy zabójca. Strzelić do człowieka, to dla niego tyle, co rozkwasić muchę na ścianie. Kiedyś widziałem, jak zaszlachtował gościa siekierą. A teraz do rzeczy, szanowny panie. Wisisz pięć tysięcy Jacobowi Mortimerowi...

Teatralnym gestem wyciągnął z kieszeni mały dyktafon, nacisnął przycisk.

„Oddam ci, Jacob, na pewno ci oddam”- Merton usłyszał swój własny głos.

„Ted, nie zamierzam dłużej czekać. Przekraczasz wszelkie granice przyzwoitości...”

- To chyba wystarczy... - uśmiechnął się wysoki facet.

- Ale?... - wyjąkał Ted.

- Pięć tysięcy, gnojku! Procenty, palancie. Masz tydzień, ty zafajdana gnido! Słyszysz? Tydzień. Po tygodniu dobierzemy ci się do dupy. To na tyle. Do miasta wrócisz sobie, przyjacielu, na własny rachunek.

Splunął pod nogi.

Wsiadli do samochodu, lecz przedtem wymownie spojrzeli na Mertona. Po chwili ich auto zniknęło za zakrętem. Tylko jeszcze przez moment w powietrzu unosił się dymek z rury wydechowej.

Ted usiadł ciężko na trawie.

Teraz, kiedy został sam, poczuł, że jest spocony jak nieboskie stworzenie. Miał wilgotne dłonie, mokre czoło, no i trząsał się jak osika. To z nerwów, pomyślał. Mój Boże, jak ja jestem zdenerwowany...

Co robić? - zastanawiał się dalej. - Ci faceci nie żartują. Ale skąd ja wezmę tyle forsy? Banku przecież nie obrabuję. Muszę pogadać z Jacobem. To jedyne wyjście.

Wyszedł na drogę i czekał na okazję, klnąc pod nosem ile wlezie.

Adam Winklis od tygodnia leżał w łóżku. Obrażenia wcale nie były tak groźne, jak by to się wydawało. Raptem stłuczenie prawej nogi i parę zadrapań na plecach. No i poza tym ten guz na głowie.

Ale to wylegiwanie się, to pozostawanie na okrągło przez parę dni w jednym i tym samym miejscu, kiedy za oknem życie rozkwitało wszystkimi barwami, kiedy z podwórka dolatywały głosy rozbawionych kolegów...

Na całe szczęście dochodził do siebie.

Dzień, może dwa, i na pewno opuści to przekłete legowisko.

Rozkoszował się wyobrażaniem sobie tego momentu, bo prawda była taka, że własna niemoc doprowadzała go do szału. Pragnął przede wszystkim zobaczyć się z Mary. Powiedzieć, jak bardzo za nią tęsknił, jak bardzo jej potrzebuje.

Oczywiście niemiłe wydarzenie z Robertem Astorem tkwiło mu w pamięci na kształt zadry, lecz był pewien, że jego przyjaciel pomylił się w swej opinii o Mary Bromley. Ale już go za to nie winił, gdyż Robert, tak sądził, postępował zgodnie ze swoim przekonaniem.

Przestał myśleć o Mary i zaczął sobie przypominać wspólną wycieczkę z braćmi Astorami, zakończoną dlań tak pechowo. Właśnie wracał we wspomnieniach do wędrówki w jaskini, gdy do pokoju weszła jego matka, oznajmiając, z takim wieloznacznym uśmiechem na twarzy, że ma gościa.

- To całkiem ładna dziewczyna - przymrużyła oko.

Znieruchomiał z wrażenia.

W drzwiach stanęła Mary Bromley.

Miała na sobie krótką spódnicę, ciemne rajstopy, podkreślające zgrabną linię nóg, oraz białą bluzeczkę, przez którą prześwitywał stanik. Długie włosy, rozpuszczone i lekko falujące, spadały kaskadą na ramiona.

Wyglądała naprawdę ładnie.

Usiadła na krześle i popatrzyła niepewnie na Adama. Było w jej zachowaniu coś tajemniczego, jakiś niepokój lub ekscytacja...

- Jak się masz? - zapytała, rozglądając się po pomieszczeniu.

- Nie najlepiej - odparł, wpijając się w nią wzrokiem.

- Tak? - spojrzała mu w oczy tak jakoś twardo, a przy tym bezwzględnie. - Tak? To ciekawe, bo ja też.

- Co się stało? - zaniepokoił się nie na żarty.

- Powiem ci. W końcu dotyczy to nas obojga...

- Obojga?

- Pamiętasz tę noc u mnie?

- Nigdy jej nie zapomnę. Nigdy...

- Byliśmy tacy szaleni. Ty tak mi się spodobałeś, a teraz...

Skuliła się w sobie, wtuliła w swoje ramiona, zaczęła płakać. Szlochała coraz rozpaczliwiej i rozpaczliwiej, jakby nie było dla niej ratunku, jakby jej świat dobiegał końca.

- Co teraz?

Nie odpowiedziała.

Patrzył na nią z niepokojem, nawet z lękiem. Czyżby Robert Astor, myślał, coś jej powiedział? Uczynił krzywdę? Nie, to nieprawdopodobne...

Czekał, aż się uspokoi.

Lecz łzy leciały z jej oczu coraz bardziej i bardziej.

Winklis nie wiedział, gdzie się podziać. Wreszcie, a minęła chyba godzina jej płaczów, trochę doszła do siebie. Klęczał przy niej, głąskał po dłoniach. I modlił się w duchu, aby Bóg oddalił od niej wszelkie nieszczęścia.

- Byłam u lekarza - wystękała.

- U lekarza?

- Z moim organizmem działo się coś niedobrego.

Dlatego poszłam.

Tym razem zaniepokoił się nie na żarty. Rany boskie - wrzeszczał w duchu, bliski łez - Rany boskie! Może to białaczka? Może inne świństwo. Nie, to niemożliwe, aby Mary to spotkało. Właśnie ją... Jego wymarzoną, jedyną Mary...

- Niedobrego?

- To już pewne, Adamie!

- Pewne? Co jest pewne?

- To, że będę miała dziecko. Jestem w ciąży... Jestem w ciąży z tobą!

Zbaraniał. Wytrzeszczył oczy. W brzuchu coś go paskudnie ścisnęło, w wyschniętym gardle naraz zabrakło śliny. Myśli, bezwładne i przypadkowe, pobiegły na wszystkie strony.

- W ciąży?... Ze mną?...

- Nie cieszysz się!... - wybuchnęła płaczem. - Ty się nawet nie cieszysz. Wiedziałam, że tak będzie. Penny mnie ostrzegała, że nie jesteś wart nawet centa... Penny mnie ostrzegała...

- Przecież ja z tobą nie...

- Ja z tobą tego nie robiłem!... - wybuchnęła. - To chcesz powiedzieć?

- Nic nie pamiętam! Nie sędzę, abym... Ja na pewno...

- Wszystko robiłeś - krzyczała. - Wszystko. Jestem z

tobą, Adamie Winklis, w ciąży...

Umilkła wyczerpana.

Adam Winklis czuł się tak, jak może się czuć niespełna piętnastoletni chłopiec po usłyszeniu takiej nowiny. Na pewno przerastała jego możliwości intelektualne i jego wyobraźnię. Spoglądał zdumiony, a zarazem przerażony, na Mary... Na Mary, która w ułamku sekundy przeszła ze stanu rozpaczony w stan wściekłości.

Patrzyła nań kręcąc głową.

- Nie mogę nikomu o tym powiedzieć - mówiła. - Nikt nie może się dowiedzieć. Nikt. Muszę wyjechać ze Snow Hills do większego miasta, aby tam usunąć ciążę, nim ktokolwiek coś zauważy... Bo jeśli zauważy - zaczęła płakać. - To rozpęta się piekło. Wszyscy wezmą mnie na języki. Rodzice wygonią z domu, a mój ojciec chyba cię zastrzeli!

Adam Winklis przypomniał sobie grubego tatusia Mary, przypomniał sobie jego niebieskie, chłodne jak porcja zamrożonych lodów oczy i pojął, że tak faktycznie wydarzenia mogą się potoczyć.

- Będę potępiona - jęczała. - Diabli wezmą mnie do piekła...

Ponownie spojrzała mu w twarz.

- Chcę usunąć tę ciążę - wystękała. - To jedyne wyjście, jedyne...

- Chyba tak - odparł niepewnie.

- Musisz mi pomóc. Musisz zdobyć tysiąc dolarów!

- Tysiąc dolarów?!?!

- Tak. Jeśli tego nie zrobisz, to będę musiała zwrócić się do rodziców, będę musiała powiedzieć im prawdę...

- Ale ja nie mam tylu pieniędzy.

- Nic na to nie poradzę. To nie tylko moja wina, twoja też. Odpowiadasz za to w równym stopniu. Mam wyjechać

do lekarza za tydzień, więc za tydzień będę potrzebowała forsy. Dasz mi ją, a potem się rozstaniemy, bo widzę, że jesteś zupełnie kimś innym, niż to sobie wyobrażałam...

- Mary!...

- Pójdę już...

- Mary! Jak możesz tak mówić?

- Co powiedziałam, to powiedziałam. Zdobędziesz pieniądze?

- Spróbuję.

- W takim razie do zobaczenia.

- A jeśli nie dam rady?

- Będziesz miał do czynienia z moim ojcem. Nic innego mi nie pozostanie. Idę. Nie zatrzymuj mnie. Nie chcę więcej na ciebie patrzeć. Jesteś skończonym nieudacznikiem.

- Mary!

Już jej nie było.

Świat zawałił mu się na głowę. Wizyta Mary, rozmowa z nią, wreszcie jej zachowanie - wszystko to zdawało mu się nocnym koszmarem. Zarazem jednak dobrze pamiętał, że zdarzyło się naprawdę.

I nie wiedział, zupełnie nie miał pojęcia, jak postąpić, jak sobie dać radę.

Rozumiał jedynie, że prysnęły niczym bańka mydlana jego marzenia o wspaniałej Mary Bromley, o dziewczynie, której wierzył i ufał tak, jak nikomu do tej pory. Myślał sobie, że tak naprawdę były dwie Mary, ta przezeń tak wyczekiwana, wyśniona i ta druga, co postąpiła z nim przed momentem jak ze skończonym zerem, co go podle okłamała, nabrała, nabiła w butelkę.

Może i jest w ciąży - dumiał - lecz nie ze mną...

Myślał też o tym, że nie ma po co żyć. Rodzice wszak nigdy go nie kochali. Koledzy w szkole, poza Robertem

Astorem, drwili zeń tak, jak z nikogo innego. Miał słabe stopnie i słabe perspektywy na to, by cokolwiek zmieniło się na lepsze.

I te tysiąc dolarów.

Nie znajdę ich - zastanawiał się. - Przenigdy nie zdobędę takiej forsy. Mary za tydzień wyśpiewa o swojej ciąży ojcu, a ten odnajdzie mnie nawet pod ziemią, odnajdzie i zastrzeli...

Był naprawdę załamany. Nie widział wyjścia z sytuacji.

Tego samego wieczoru Mary Bromley w świetnym nastroju, uradowana tak jak rzadko kiedy, weszła do „Srebrnej Gwiazdy” i usiadła w kąciku, przysłuchując się leniwie płynącej melodii.

Zamówiła jedno piwo, małe piwo - jej ojciec sam kiedyś oznajmił Emie Davis, że zezwala córce na wypicie takiej porcji (nie widzę w tym nic złego - powiedział. Gdyby chodziło o sześć kufli, ale jedno...) - które Emie po chwili przyniosła.

- Ślicznie wyglądasz - uśmiechnęła się do Mary.

Dziewczyna spojrzała na nią, omiotła wzrokiem jej figurę i wypila łyk piwa. Emie odeszła.

Za moment zjawiła się Penny Astor, ubrana zupełnie podobnie jak jej przyjaciółka.

- Już sądziłam, że zostanę w domu... - oznajmiła.

- Nie chcieli cię puścić?

- Coś w tym rodzaju... Jak ci poszło?

- Dał się nabrać. To naiwny dureń. Pozostało oczekiwanie na forszę...

- Nie miał wątpliwości?

- Rzecz jasna, że nie.

Penny, w przeciwieństwie do koleżanki, zamówiła

kawę.

- Nie będę nic jadła - stwierdziła. - Powinnam więcej dbać o linię... Mary! Nie obraż się, lecz wydaje mi się, że nieco przesadzamy. Trochę mi się to nie podoba...

- Masz skrupuły?

- Chyba tak.

- Wiesz co... Rozczarowujesz mnie!

- Nic na to nie poradzę...

- Ja też. Po prostu wbij sobie do głowy, że w życiu nie ma litości. Życie to gra, wyłącznie gra. Słabsi odpadają. W każdym razie za tydzień będziemy bogatsze o tysiąc dolców. Natomiast Adam Winklis zyska nowe doświadczenie, z pewnością nie ostatnie. A kiedy z nim skończymy, to zabierzemy się za następnego chłopaka. Świat jest piękny, moja droga!

Był to właściwie niewielki domek, ale całkiem przyzwoicie urządzony i wygodny, stojący może sto jardów od willi państwa Russellów.

W każdym razie mieli wreszcie obaj dach nad głową i pieniędzy w kieszeni także przybyło. Najważniejsze jednak, że przestali pić, a całą swoją energię skupili na pracy, pragnąc w ten sposób zapomnieć o tych wszystkich gorzkich dniach, kiedy czasami nie mieli co włożyć do ust.

Roboty w tych gorących czerwcowych dniach nie brakowało, Christopher Russell pragnął bowiem mieć dobre gospodarstwo, lecz nie mając większego pojęcia o jego prowadzeniu, liczył wyłącznie na braci.

Mike, oprócz satysfakcji z tego, że gospodarzy na swojej dawnej ziemi, cieszył się jeszcze, że codziennie widuje Maritę. Oboje bardzo się polubili. Mike pokazał dziewczynie okoliczne tereny, zapoznał ją ze swoimi przyjaciółmi, których - gdy jego sytuacja uległa poprawie - nagle znalazło się całkiem dużo.

Marita bardzo mu się podobała. Miał wobec niej konkretne zamiary. Zawsze pragnął związać swoje losy z taką kobietą. Pomimo młodego wieku, pomimo żywej natury, miała w sobie coś, co budziło respekt oraz szacunek.

Nie był jednak pewien jej uczuć do siebie. Poza tym zostawiał sprawy sercowe na później. Wciąż sobie powtarzał, że najpierw musi odbudować swoją dawną pozycję, stanąć mocno na nogach.

Tak upływały dni.

Pewnego słonecznego popołudnia, gdy słońce przygrzewało tak, że chciało się wskoczyć do zimnej wody, siedział na trawie, przyglądając się krowom, spacerującym leniwie po polu. Obok odpoczywali Mick i Marita. Niebo lśniło przejrzystym błękitem. W zieleni cykały świerszcze.

- Wiesz co? - Mike spojrzał figlarnie na dziewczynę.

- Co takiego?

- Nadszedł ten dzień!

- Jaki dzień, Mike?

- Nauczysz się doić krowę!

Roześmiała się głośno. Podeszli do jednego ze zwierząt. Vernon pokazał dziewczynie co ma robić.

- Musisz ją tu złapać - chichotał - i pociągać. To naprawdę nic przykrego...

- Pokaż!... No tak... faktycznie... Chyba całkiem dobrze mi idzie?

- Owszem. Nieźle...

Chciał powiedzieć, że ma wrodzony talent, ale przemilczał te słowa, gdyż usłyszał warkot samochodu. Ktoś jechał w ich kierunku terenowym fordem.

- To ktoś obcy - stwierdził Nick. - U nas nikt nie ma takiego wozu. To na pewno ktoś obcy...

Ford zatrzymał się. Wysiadł z niego wysoki mężczyzna. Już z daleka machnął na powitanie ręką i podążył na ich spotkanie.

Szedł żwawym energicznym krokiem. W połowie drogi na moment się pochylił, aby zerwać źdźbło trawy, które włożył do ust. Kiedy podszedł, uśmiech rozjaśnił jego twarz.

Nie była to ani miła, ani ładna twarz. Była ostra, arogancka, nosząca na sobie ślady różnych, zapewne nie najciekawszych, przeżyć. Przez prawy policzek biegła szeroka szrama, nad lewym okiem widniał ciemny tatuaż.

Zagadkowy przybysz, szczupły, lecz silnej budowy, miał ponad sześć stóp wzrostu.

- Bracia Vernonowie? - zagadnął.

- Tak - odparł Mike, z niejasnym przeczuciem, że właśnie zaczyna się coś bardzo nieprzyjemnego. - W czym rzecz?

- Nazywam się Ben Gower. Chciałem z wami pogadać, ale nie tu i nie teraz...

- Po co?

- Wiem coś o śmierci waszego ojca...

Mike zamarł z wrażenia. Nick pobał.

Mężczyzna przyglądał się im badawczo.

- Mam trochę inną wersję na ten temat - oznajmił obojętnym głosem - niż ta oficjalna... Jeśli chcecie się czegoś więcej dowiedzieć, to przyjdźcie wieczorem, tak około dwudziestej, do „Srebrnej Gwiazdy”. Na pewno wicie, gdzie to jest...

Odwrócił się i odszedł.

- Nie wierzę mu - rzekła po chwili Marita. - To zły człowiek.

- Ja też mu nie ufam - przyznał Mike. - Ale go wysłucham... Tak, powinienem go wysłuchać...

Podeszli wolno do stolika, przy którym siedział rozparty Ben Gower. Przed nim stała szklanka z alkoholem, opróżniona do połowy. Tajemniczy mężczyzna spojrzał nieco ironicznie na braci, pokiwał lekko głową.

- Siadajcie, chłopcy - poprosił. - Nie zabiorę wam wiele czasu. Może się czegoś napijecie?

- Raczej nie... Mów w czym rzecz i czego od nas oczekujesz?

- Czego oczekuję? - w uchylonych wargach błysnęły zęby, a oczy załśniły złowrogo. Jedyne czego oczekuję to

zemsty. Wy mi w tym pomożecie!

- Mów jaśniej!

- Przesiedziałem, chłopcy, dziesięć lat w więzieniu.

Czy wiecie, co to jest dziesięć długich przeklętych lat w pudle? Nie wiecie. Skąd możecie wiedzieć... Zawdzięczam to trzem facetom. Nie trzeba wam ich przedstawiać. Pierwszy to Louis Ward, bogaty farmer, a faktycznie gruba ryba w świecie narkotyków, natomiast drugi i trzeci, to jego kompani, pieski na łańcuchu! Richard Bromley i Roy Sanders...

- To bzdury! - fuknął zdenerwowany Nick.

- Żadne bzdury. Mam przy sobie kopertę, w niej dokumenty potwierdzające to, co mówię.

- W porządku. Może to i prawda. Ale co ma z tym wspólnego nasz ojciec?

- Wasz ojciec odkrył prawdę. Odkrył, czym się zajmują. Dlatego go załatwili. Nie było trudno upozorować samobójstwo. Miał przecież poważne problemy finansowe, mogące go skłonić do takiego kroku.

- A matka?

- Przez przypadek weszła, gdy załatwiali waszego ojca. Nie mieli wyjścia...

- Skąd o tym wiesz? - zapytał Mike.

- To nieważne.

- Rozumiem. Dasz nam te papiery?

- Tak. Zapoznajcie się z nimi. Sądzę, że nie pozostawiają najmniejszych wątpliwości. Jeśli chodzi o nas, to więcej się nie spotkamy. Moje nazwisko, jak się domyślacie, jest fałszywe.

- Nie mamy najmniejszej pewności...

- Tak to już bywa. Po prostu zapoznajcie się z dokumentami. Innego wyjścia nie ma.

- A potem?

- Na waszym miejscu nie myślałbym o zemście na własny rachunek. Ward to potężny człowiek. Najlepiej zawiadomcie szeryfa. Teraz muszę już iść.

- Nic więcej nie powiesz?

- Nie.

Wstał, wyjął z kieszeni kopertę, położył na stole.

- Tutaj są gwoździe - uśmiechnął się do braci. -
Gwoździe do trumny Louisa Warda.

Ranek wstał nad podziw piękny, świeży, przepętniony aromatem zieleni. Lisa Mortimer ziewając otworzyła okno i wyjrzała na zewnątrz. Raz jeszcze ziewnęła, po czym wyszła do łazienki, aby się umyć i uczesać. Kiedy stała przed lustrem, patrząc na małą, radosną dziewczynkę z bardzo długimi włosami, opadającymi aż do pasa, nie mogła się sama sobie nadziwić, że to właśnie ona.

Raz jeszcze przepłukała twarz, zakręciła wodę, i wróciła do pokoju. Usiadła przy stoliku.

„Kochany Pamiętniczku - napisała. - Dzisiaj nadchodzi moja chwila. Dzisiaj nadchodzi to, na co dawno czekałam. Jestem przygotowana. W nocy prosiłam Czarnego Pana, aby mi pomógł. Nie wiem, czy mnie wysłuchał. Zdawało mi się, że słyszy moją prośbę. Tak pragnę, aby mi towarzyszył...”

To był długi dzień. Wlókł się powoli, bardzo powoli. Najpierw przyszedł czas na śniadanie. Siedziała jak zwykle naprzeciw Rona, uśmiechając się grzecznie to do niego, to znów do matki, albo do ojca. Patrzyła na nich obserwując ich smutne twarze, ukradkowe spojrzenia, licząc zmarszczki na ich czołach. Zastanawiała się, co będzie, jak postąpią, kiedy wyjawি sekret, kiedy powie ojcu, po co naprawdę przychodził do domu Ted Merton.

- Dlaczego tak się uśmiechasz, córeczko? - zainteresował się Mortimer.

- Bo życie jest takie fajne, tatusiu - odparła.

Potem bawiła się na dworze i pluśkała w basenie,

ponownie pomagała Ronowi w doskonaleniu pływackich umiejętności, wreszcie wraz z siostrami budowała zamek na piasku.

Po obiedzie przebrała się.

Założyła białą, długą aż do kostek sukienkę, zwiewną i lekką, ładnie przyczesła włosy, ubrała białe skarpetki, obuła białe, zapinane na klamerkę, buciki. Biel podkreśliła machoniowy kolor jej twarzy, ramion. Nawet szczupłe, smukłe nóżki, porośnięte złocistym puszkciem, nabrały tajemniczego uroku.

Mama pozwoliła jej użyć swoich perfum.

Potem poszła na plebanię.

Larry Day, spocony, zgrzany, zmęczony upalną pogodą oraz nieustanną walką z samym sobą, wyraźnie się ożywił na jej widok. Co rusz na nią spoglądał, ogarniał wzrokiem twarz, nogi, włosy. Wcale nie zwracał uwagi na pozostałe dziewczynki. Najwyraźniej go nie interesowały. Przerzywał oglądanie Lisy tylko wtedy, gdy chór zaczynał fałszować tak, że należało go poprawić.

Pozostałe dziewczynki dostrzegały zwiększone zainteresowanie proboszcza Lisą Mortimer, lecz tłumaczyły to sobie tym, że najładniej z nich śpiewa. Ach - mówiły do siebie podczas krótkiej przerwy - ona ma śliczny głos, rzeczywiście śliczny.

Może kiedyś zostanie znaną piosenkarką...

Po godzinie zajęcia dobiegły końca. Proboszcz poprosił dzieci, by usiadły w ławkach, po czym omówił szczegółowo popełniane przez nie błędy.

- Już niewiele czasu do występu - uśmiechnął się, kończąc swoje przemówienie. - Jest bardzo dobrze. Popracujcie troszeczkę nad drobiazgami, które właśnie omówiłem. Gdy to uczynicie, na pewno osiągniemy sukces.

Lisa patrzyła, jak koleżanki wstają i wychodzą.

Ksiądz Larry Day usiadł przy biurku, przypatrując się uważnie dziewczynce. Ich spojrzenia spotkały się. Proboszcza przebiegł dreszcz. Diabeł znów mnie kusi pomyślał.

- Mam dużo pracy, Liso - oznajmił. - Czy chcesz mi coś powiedzieć?

Zrobiła skrzywdzoną minę. Opuściła powieki. Ciemne rzęsy przesłoniły jasne oczy.

Wstała i podeszła do biurka.

- Proszę księdza - zadała pytanie, zerkając prędko na zegarek - czy mogę do księdza mówić: wujku?

- Ależ tak...

Usiadła mu na kolanach, obejmując go drobnymi rączkami za szyję. Poczul delikatny, świeży zapach jej ciała, zmieszany z subtelną wonią perfum. Krew uderzyła mu mocniej go głowy. Lekko, od niechcienia, dotknął dłonią gładkiej kostki i kilka razy przesunął po niej palcami. A potem przesunął je jeszcze wyżej, obejmując nimi udo.

Modlił się w duchu, aby to dziecko, które tak mu zawróciło w głowie, naraz nie poderwało się z głośnym krzykiem.

Jednak dziewczynka siedziała spokojnie. Nawet silniej weń się wtuliła, opierając śliczną główkę na jego piersi.

Tracił nad sobą panowanie. Ręce wędrowały to tu, to tam, badając, pieszcząc, próbując, czy mogą sobie pozwolić na więcej. Prawa uniosła się do góry, zatrzymała na piersi Lisy i...

- O Boże!!! - ktoś krzyknął. - Co tu się dzieje?

Lisa wybuchnęła gwałtownym płaczem. W mgnieniu oka poderwała się do góry.

- Zostaw mnie! - wrzasnęła. - Słyszysz? Zostaw. Nie

chcę, byś mnie do tego zmuszał.

Proboszcz wolno, chwiejnie powstał. Jak nieprzytomny spoglądał na Frances i Jacoba Mortimerów oraz ich przyjaciółkę, Daisy Davis... Machinalnie, nie zwracając uwagi na swoje ruchy, poprawił sutannę.

- Mamusiu, och mamusiu - płakała Lisa. - Dlaczego ksiądz mnie skrzywdził?...

Trwała cisza.

Nadal na siebie patrzyli.

Mortimer to bladł, to czerwieniał, zaciskając dłonie.

- Ty potworze - szepnął wreszcie drżącym z nerwów głosem. - Ty kanalio! Chciałeś... Próbowałaś zgwałcić naszą córeczkę..

- Ależ... Ja...

- Milcz, ty bestio! Widzieliśmy, co robiłeś... Wszyscy to widzieliśmy... Frances! Weź dziecko i idź zawiadomić szeryfa. Ja tu poczekam. Nigdzie nie uciekniesz, bydlaku jeden. Mój Boże! Kto by pomyślał... Mieliśmy do ciebie takie zaufanie! Ksiądz! Człowiek wykształcony, mądry... Siedź i nawet nie myśl o tym, aby cokolwiek zrobić. Odpowiesz za swój czyn, cholerny pedofilu...

Larry Day stał, nie mogąc wykrztusić z siebie słowa. Zdawało mu się, że jakaś piła pocięła go nagle na tysięczne części, wyrwała z niego nerwy, serce, przerżnęła żyły, wwiercić się metalowymi zębami w mózg...

I huczała, i cięła tak głośno, że nie potrafił na niczym zatrzymać myśli. Głowę wypełniła mu pustka, przeraźliwa pustka.

Skończony - przyszły doń pierwsze słowa. - Jestem skończony. Zamkną mnie w więzieniu, pozbawią kapłaństwa, oplują jak ostatniego psa. Skończony...

Lisa płakała. Szloch, niepowstrzymany i głośny,

rozdierał jej pierś.

Jacob już nie potrafił wytrzymać łkania swojej tak ciężko doświadczonej córki. Rosła w nim nienawiść największa z możliwych, bo powstająca z przekonania, że ktoś osobę najdroższą sercu, a przy tym bezbronną, upokorzył do ostatecznych granic, wykorzystał jej naiwność, jej młodość, ufność, brak doświadczenia, a wreszcie swoją uprzywilejowaną pozycję.

- Ty przekłeta kanalio - rzekł wolno, postępując ku księdzu.

Nim proboszcz pojął, co się dzieje, nim ktokolwiek to pojął, pięść Mortimera wylądowała na szczęce Daya, wyrrywając z jego ust okrzyk bólu.

- Ty cholerne ścierwo! - wrzasnął tym razem Jacob, wymierzając proboszczowi bolesne kopnięcie w pizszel.

- Proszę mnie nie bić - wyjąkał cicho duchowny. - Proszę mnie nie bić. O mój Boże! proszę mnie nie bić...

- Boga będziesz wzywał? Łotrze jeden...

Drzwi trzasnęły, zabrzmiały donośne głosy.

Do sali katechetycznej wkroczył Sam Wilder wraz ze swoim zastępcą, Adamem Gardnerem. Wszedł akurat w chwili, gdy Jacob gotował się do zadania następnego ciosu. Za mężczyznami szła Frances, blada, bardzo zdenerwowana.

- Co tu się dzieje? - zadał rzeczowe pytanie szeryf.

- Co tu się dzieje? - powtórzył kipiący ze złości oraz oburzenia Mortimer. - Frances! - popatrzył na żonę. - Zabierz małą do domu. Niech nie uczestniczy dłużej w tym całym świństwie. I niech nie patrzy na tego łajdaka!

- Dobrze - odparła, przytulając do siebie płaczącą, rozhisteryzowaną dziewczynkę. - Chodź, kochanie...

Czekali, aż wyjdą. Proboszcz ukrył w dłoniach twarz, kiwając się jednostajnym ruchem, niczym wahadło, to na

prawo, to na lewo. Nic już nie widział, nic nie czuł, pogrążony w swoim bólu, zaszokowany własną podłością i spadłą nań naraz karą, przypominającą gwałtowne uderzenie pioruna.

- Więc? - spojrzał mu w oczy Wilder.

- Ten sukinsyn dobierał się do Lisy. Weszliśmy w tym momencie, gdy on to robił. Trzymał ją na kolanach i... o mój Boże... Nie mogę, nie potrafię, Sam, o tym mówić...

- Czy to prawda? - Wilder przypatrzył się proboszczowi.

Ksiądz nadal zdawał się niczego nie dostrzegać.

Szeryf podszedł do niego, mocnym ruchem pochwycił za łokcie. Day wbił swój przestraszony wzrok w jego twarz.

- Sam Wilder - szepnął. - Sam Wilder...

- Właśnie. Co ojciec tu robił? Czy oskarżenia Jacoba Mortimera, że jego córeczka była przez księdza napastowana, są słuszne? Czy tak było w rzeczywistości?

Larry Day przymknął oczy, krew napłynęła mu do twarzy, zaczerwieniła policzki.

Teraz został sam na sam ze sobą. Jedna część jego duszy krzyczała, aby się ratował, aby skłamał, aby oddalił od siebie podejrzenia. Powiesz - mówiła - że Lisa usiadła ci tylko na kolanach, że ją przytuliłeś, głaskałeś po głowie, nic więcej. Nie - zaprzeczała druga. - Szatan cię skłonił do zła. Rozważ, co jest gorsze. Wieczyste potępienie, czy też wzięcie na barki swoich grzechów. Pokuta za nie...

- Są prawdziwe - rzekł ksiądz. Oby Bóg mi wybaczył. Sam Wilder przez chwilę milczał.

Ten moment należał do najprzykrzejszych w jego karierze. Lubił Larry'ego Daya.

Cenił go za wewnętrzną uczciwość, za mądrość, za szlachetność względem innych. Cenił...

- Jest ksiądz zatrzymany - oznajmił. - Proszę za mną do samochodu.

- Obyś się w piekle smażył - wyrzucił z siebie Jacob Mortimer, gdy obaj mężczyźni wyszli z sali.

Larry Day leżał na pryczy w celi, pograżony w rozmyślaniach, w rozpamiętywaniu chwil minionego dnia. Czoło miał gorące, umysł rozpalony, nerwy napięte do ostateczności. Nie mógł zasnąć, drżały mu ręce, nogi, nieprzyjemny skurecz ruszał co chwila policzkiem.

Przez otwór między podłogą a drzwiami wpadało do pomieszczenia przymglone światło, bladym cieniem pełzło po posadzce, dochodziło do ściany.

I zdało się naraz proboszczowi, że przekształca się w potworny łeb, zdążający ku niemu bliżej i bliżej.

Straszliwe czerwone ślepie spojrzały w głąb jego duszy.

Szatan, pomyślał Larry Day. To szatan.

A oczy wbijały się weń, wbijały. Przeżerały do końca myśli, dostrzegały najdrobniejsze przewinienia, niepewności, zwątpienia.

- Jesteś mój - szepnął głos, dochodzący zewsząd i zarazem znikąd. - Jesteś już mój...

- Odejdź ode mnie... Zostaw mnie...

- Dlaczego, mój malutki klechuniu? Dlaczego? Przecież w końcu zasłużyłeś sobie, prawda?

- Zasłużyłem na karę, lecz nie na potępienie. Bóg się jeszcze ode mnie nie odwrócił...

- Ależ odwrócił. Czeka cię, mój ty wspaniały, wiele przyjemnych rzeczy. Nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy, jak bardzo przyjemnych. Po pierwsze jutro w miasteczku, w całym Snow Hills, zawrze... Ale tego ci chyba nie muszę objaśniać. W każdym razie staniesz się największą zakalą,

najgorszą zarazą. Bo nie ma nic gorszego dla twoich bliźnich, powinienes to wiedzieć, niż napastowanie malutkich, bezbronnych istotek... Ludzie czynią wiele podłości! Tarzają się w rozpuście. Mężczyźni nachodzą żony przyjaciół. Kobiety uśmiechają się do mężów, by w nocy marzyć o kochanku... Jednak dzieci... Widzisz, przyjacielu, w dzieciach dorosli zawsze chcą widzieć istoty niewinne i dobre! Zaczyna się bał, mój drogi...

Cień zniknął.

Tracę zmysły, pomyślał Larry Day.

Nad ranem usnął ze zmęczenia.

Zbudził go odgłos otwieranych nagle drzwi. Ujrzał szeryfa, wchodzącego z posepną miną do celi.

Larry Day usiadł na pryczy, Sam Wilder na krześle. Przez moment na siebie patrzyli.

- W nocy przyszedł do mnie diabeł - zakomunikował proboszcz.

- To najmniejszy problem - odparł stróż prawa. - Proszę, aby ksiądz, nim zacznie się w miasteczku wrzask, opowiedział mi całą prawdę!

- Nie ma prawdy. Jestem świadomy tego, co się stało, ale samemu mi to trudno zrozumieć...

- Czy jesteś, ojczu, pedofilem?

- Nie, nie jestem. Nigdy nie miałem słabości do dzieci, nigdy... Jednak do Lisy Mortimer tak! Do niej jedynej. Staralem się zwalczyć w sobie tę pokusę, lecz to chyba przerastało moje możliwości. Być może potrzebowałem kogoś obdarzyć uczuciem...

- Ona ma dziesięć lat!

- Nie miałem takiego wrażenia. Zdawało mi się, że jest jak gdyby poza czasem, że pomimo swoich lat już dojrzała. Nie chciałem jej skrzywdzić.

Larry Day umilkł.

- Co dalej?

- To wszystko. Nie chcę o tym rozmawiać.

- Czy ksiądz próbował kiedykolwiek?...

- Nie, nigdy. Do tego bym się nie posunął. Lisa znaczyła dla mnie dużo. Nie skrzywdziłbym dziewczynki w taki sposób. Była mi potrzebna jej miłość, jej delikatność, jej drobne ciepłe rączki. Proszę mi wierzyć, że tak było...

- Kiedy to się zaczęło?

- Trudno powiedzieć. Zapewne rok temu.

- Proszę mi przedstawić swoją wersję wczorajszych wypadków!

- Wersja jest jedna! Zawiniłem przed ludźmi i przed Bogiem.

- Nic więcej?

- Nic!

- Nie zamierza ksiądz się bronić?

- Pragnę odpokutować za swój uczynek.

- Oby to nie była za wielka pokuta...

- Mój los w rękach Stwórcy...

- Dlaczego, ojczy, nie opowiesz tego, co zaszło?

- Powiedziałem już: nie chcę.... Co się teraz stanie?

- Wybuchnie skandal. Gazety roztrąbią to na wszystkie strony. Będzie ksiądz przesłuchiwany, badany przez psychiatrów, psychologów. Jedno jest pewne! Potrzebny księdzu dobry adwokat, bardzo dobry.

„Mój Najdroższy Pamiętniczku. Wczoraj mi się udało! Ten gruby spocony klecha siedzi za moją przyczyną w więzieniu. Bo mnie, Lisę Mortimer, biedną małą dziewczynkę, usiłował skrzywdzić, czyli jak to ładnie nazywają dorośli - przerznąć.

Cóż, jestem nawet tego ciekawa, podobno to całkiem

miłe, całkiem... Ale, mój Drogi, jeszcze trochę poczekam...

Tatús i mamusia są wściekli, odgrają się, że ukatrupią Larry'ego Daya, gdy tylko nadarzy się po temu pierwsza lepsza okazja. Wczoraj chodzili wokół mnie na paluszkach. Liso, Lisunku, nasza najdroższa córeczko. Nasz skarbeńku jedyny, nasze malutkie biedactwo.

Och, jakże ich nienawidzę! Zapewne nienawidzę ich znacznie bardziej, niż to świńskie, grube ścierwo, czyli proboszcza.

I wkrótce się do nich dobiorę...”

Tej nocy Christopher Russell, zmęczony intensywną pracą za dnia, zasnął wcześniej. Leżał odwrócony twarzą do lampki, cicho pochrapywał. Florentina czytała książkę, lecz pomimo zainteresowania losami jej bohaterów, co chwila wracała w myślach do innych spraw.

Zbliżał się czas przyjęć i bankietów, poznawania mieszkańców Snow Hills, zapraszania ich do siebie, nawiązywania kontaktów. Była świadoma, że od tego zależy ich przyszłość w miasteczku.

Rzecz jasna trochę się bała. Może nie tyle samego kontaktu, ile tego, że z pochodzenia jest Włoszką, że - oby tak nie było - jej mentalność jest obca mentalności amerykańskiej.

Zwróciła uwagę na otwartość tutejszych ludzi, na zaskakująco szybkie nawiązywanie przez nich znajomości.

Westchnęła cicho, odłożyła powieść na stolik, spojrzała na Christophera.

Jęknął naraz przez sen.

Był to dziwny dźwięk, bulgoczący, dobiegający jak gdyby z wnętrza ciała.

Obrzydliwy, przepełniający strachem.

Przyglądała się nadal mężowi, zastanawiając nad jego zachowaniem. Lęki i troski spowodowane jego nocnymi koszmarami, wcale jej nie opuściły, wprost przeciwnie, pogłębiły się. Christopher bowiem przestał opowiadać o swoich snach, widocznie nie chcąc jej denerwować. Zamknął się w sobie, odciął od świata zewnętrznego. Zatrważająco

dużo czasu spędzał w laboratorium wybudowanym w podziemiach domu, nikogo tam nie wpuszczając. Wracał wieczorem błądy, wręcz chorobliwie błądy, czymś przejęty, a nawet przestraszony. Wolała o nic go nie wypytywać, gdyż natychmiast się denerwował. To moja praca, mówił. To moje doświadczenia. I tak ich nie pojmiesz.

Zadrżała.

Nagle poczuła się tak, jak gdyby sama uczestniczyła w czymś nierealnym, w czymś spoza normalnego świata.

Christopher syknął.

Dźwięk ten przypominał odgłosy wydawane przez węże. Był równie zimny, nieprzyjemny.

Potem podniósł głowę. Przez sekundę spoglądał na nią bezdusznymi, pustymi oczyma. Nie zauważyła w nich jakiegokolwiek blasku, wyrazu, zdawały się martwe, wyzute z uczuć. Ale z wolna zapalało się w nich coś bezlitosnego, krwiożerczego.

Zaczął wolno, na wszystkie strony, kiwać głową, wciąż nie spuszczać z niej wzroku.

Florentynie wystąpił na czoło zimny pot. Intuicyjnie wyczuła śmiertelne niebezpieczeństwo. Tak się bała, tak bardzo... Nie była w stanie poruszyć nawet palcem.

Strach narastał w niej jak rozszalała lawina, przepelnił wnętrze, ścisnął trzewia, żołądek, zemdlił i wyrwał z piersi przerażający wrzask... Przymknęła oczy...

Krzyczała, krzyczała...

Krzyczała jeszcze bardziej, gdy na jej dłoni zacisnęły się zimne, lodowato zimne palce.

- Na miły Bóg - usłyszała jak gdyby z dali cichy i spokojny głos męża. - Na miły Bóg, Florentino! Florentino! Przestań.

Lecz przeciągły wrzask wciąż płynął z jej płuc,

wreszcie przeszedł w cichy skowyt, a potem w żalospny jęk.

Russell delikatnie głaskał ją po głowie.

- Już dobrze - mówił. - Nie stało się nic złego. Uspokój się. To tylko zły sen, to był wyłącznie zły sen, ale minął, nie wróci więcej.

Otworzyła powieki.

Ujrzała niebieskie, rozjaśnione uczuciem oczy, jakże odmienne od tych, dopiero co w nią wpatrzonych, tak okropnie wpatrzonych.

- Och, Christopherze! - zapłakała - to było takie straszne...

- Opowiedz mi!

- Zachowywałeś się jak wąż... Czytałam książkę, kiedy nagle coś się zaczęło z tobą dziać. Syknałeś, podniosłeś twarz, wpatrzyłeś we mnie, zacząłeś się kiwać, tak wolno i leniwie, nie spuszczać ze mnie oka.

Russell przez chwilę milczał.

Prawdę powiedziawszy nie potrafił nic powiedzieć. Słowa Florentyny wytrąciły go z równowagi. Wiedział dobrze, że wskutek eksperymentu genetycznego, jaki sam sobie zaaplikował, dzieje się z nim coś niedobrego, lecz nie miał pojęcia, że może stanowić zagrożenie dla bliskich.

Przemógł się i głośno, na siłę, roześmiał.

- Przyśnił ci się, moja droga, paskudny koszmar...

Nie oponowała.

- Być może - zgodziła się. - Tylko... Tylko pójdę spać do innego pokoju. Nie gniewaj się na mnie. Musisz mnie zrozumieć... Po prostu bardzo się boję. Moim zdaniem to nie był wyłącznie sen...

Pokiwał ze zrozumieniem głową. Sam był zanedto wystraszony, ażeby na to nie przystać.

- Tak będzie najlepiej - rzekł.

W sobotę, dwudziestego siódmego czerwca, Adam Winklis zerwał się wcześniej rano z łóżka po nieprzespanej nocy, pełnej bólu i wewnętrznych rozterek.

Poprzedniego dnia rozmawiał raz jeszcze z Mary Bromley, jednak dziewczyna potraktowała go jak ostatni śmieć. Przeważała najgorszym błaznem i śmierdzielem, jakiego kiedykolwiek widziała. Jednocześnie dała mu trzy dni na znalezienie tysiąca dolarów na zabieg. Zagroziła tak strasznymi rzeczami, jeśliby tego nie zrobił, że Adam długo nie potrafił dojść do siebie.

Późno w nocy siadł przy swoim biurku. Napisał list do Roberta Astora i wrzucił go do skrzynki państwa Sandersów.

Był zdecydowany.

Po wyjściu z domu wsiadł na rower i pojechał za Snow Hills, do lasu.

Dzień zapowiadał się całkiem pogodny. Wstające słońce rozświetliło jaskrawo pomarańczową zorzą widnokrag.

Adam zaraz za miasteczkiem skręcił w polną dróżkę i zatrzymał się przy rozłożystym dębie, za którym dalej rozciągał się modrzewiowy zagajnik. Oparł rower o ziemię i usiadł przy drzewie. Zasłuchał się w szum liści.

Cały świat wydawał mu się taki dziwny, zarazem bliski i odległy, miły i straszny, potrzebny i bezsensowny.

Ale jeśli nawet wszechświat trwał po coś, to jego istnienie zdawało się zbędne.

Nie był nikomu potrzebny, nikt go nie kochał. Rodzice

zawsze go traktowali jak jeszcze jeden problem na głowie. Nauczyciele go mieli, tak samo zresztą jak koledzy, za skończonego nieudacznika.

Lecz to wszystko, to całe nieszczęście, zniósłby jeszcze, mając przy swoim boku Mary Bromley, która stała mu się tak drogą. Niestety wydarzenia przerosły go.

Dziewczyna zaszła w ciążę - był tego pewien - z kimś innym, lecz winę zrzuciła na niego, co groziło takimi konsekwencjami, że wołał nawet o nich nie myśleć.

Przede wszystkim, rozważał, wyrzucą mnie ze szkoły. Potem dobierze mi się do skóry ojciec Mary, potem mnie umieszczą w jakimś domu dla zdeprawowanej młodzieży...

Nic nie pamiętam z tamtego wieczoru, nic. Wiem, że gdy się zbudziłem, leżałem przy niej. Jednak cała reszta...

Jak ona mogła tak do mnie powiedzieć? Jak mogła mnie tak potraktować? Odniosłem wrażenie, że zależy jej wyłącznie na pieniądzach... Nie mieści mi się to w głowie. Chciałbym od tego wszystkiego uciec, na zawsze uciec...

Adam Winklis podniósł się z trawy jak automat. Podeszedł do roweru, wyjął z torby przewieszanej przez kierownicę długą mocną linę, po czym przerzucił ją przez jeden z dolnych konarów drzewa.

Nie, rozważał, to za trudne. Tak tego nie zrobię. To pierwsze będzie lepsze...

Wyciągnął z kieszeni zakupione poprzedniego dnia pudełko z żyłkami, wyjął z niego jedną, odpakował. Z powrotem usiadł pod dębem. Przybliżył ostrze do skupiska żył, widocznych przy nadgarstku. Przez moment się wahał, ale tylko przez moment. Ostre stalowe ostrze niczym pijawka przedarło się przez skórę, a ciało przeszedł nagły, krótkotrwały ból.

Potem popłynęła krew.

Adam oparł głowę o drzewo, obserwując jak czerwona stróżka płynie coraz silniej po jego dłoni i spada na trawę. Zaczynał tracić przytomność.

W niedzielę w Snow Hills zawrzało. Ci, którzy jeszcze nie wiedzieli o przyłapaniu Larry'ego Daya na napastowaniu Lisy Mortimer, dowiadawali się tego z afiszy, rozklejanych w różnych punktach miasteczka przez ojca dziewczynki.

Ludzi ogarnęło prawdziwe wzburzenie.

Przed biurem szeryfa i przed sądem, gromadziły się całe grupki, żądając jak najsurowszej kary dla perfidnego zbrojczy. Przy czym plotka ubarwiła całe zdarzenie. Większość zebranych była przeświadczona, że proboszcz zgwałcił małą. Zadawano sobie pytanie, czy uczynił to po raz pierwszy, czy nie spotkało to innych dziewczynek, groźbą zmuszonych do milczenia.

Jacob Mortimer szalał. Przemawiał do kogo tylko mógł i kogo tylko mógł, prosił o pomoc.

- Ten człowiek to największa zakąła naszego Snow Hills - krzyczał. - Sprzeniewierzył się wszelkim wartościom, wszelkim zasadom. Należy go zniszczyć, bo jeśli my nie zniszczymy takich jak on, to oni zniszczą nas...

Większość rozgorączkowanych ludzi domagała się powieszenia księdza pośrodku miasta, na centralnej ulicy, niektórzy mówili nawet o linczu.

Pastor Jackson do godziny dwunastej nie wychodził z plebanii.

Był w szoku.

Pierwsza powiadomiła go o tragicznym zajściu Frances Mortimer. Przybiegła doń blada, cała we łzach, smutna, zrezygnowana.

- Takie nieszczęście - mówiła. - Takie nieszczęście...

Od razu mu przyszło na myśl, że ucierpiało jedno z jej dzieci, ale nawet przez sekundę nie podejrzewał tego, co mu opowiedziała... A opowiedziała, że jego serdeczny przyjaciel, Larry Day, ten Larry, którego znał jak własną kieszeń, który był mu niczym rodzony brat, napastował małą Lisę.

Jackson siedział jak skamieniały.

Pobladł, objął dłońmi głowę, milczał...

Frances przyglądała mu się spoza łez, płynących coraz mocniej i mocniej... Ból rozdzierał jej serce. Na myśl o krzywdzie swojej córeczki dostawała szału. Nie potrafiła pojąć, dlaczego Bóg na to przyzwolił.

Jackson wciąż nic nie mówił.

- Powinni go skazać na krzesło elektryczne - wycodziła przez zęby.

Pastor nadal milczał.

Był wewnątrz siebie pusty, zrezygnowany. Całe życie starał się walczyć ze złem. Całe życie wierzył w dobroć innych, a teraz uderzenie przyszło nań z najmniej spodziewanej strony.

Widział przed oczyma pocziwą twarz Larry'ego Daya, jego dobre oczy. Jak klatki z filmu mignęły mu w głowie wspólnie spędzone chwile, drobne gesty, dyskusje.

- Szatan wie, co czyni - rzekł wolno i cicho, podnosząc wzrok do góry, przypatrując się Frances i łącząc z nią duchowo w nieszczęściu. - To jeden z najgorszych dni, jakie mnie spotkały... Nie znajduję w sobie odpowiednich słów. Wszystko we mnie krzyczy, a serce, to ludzkie serce, boli, straszliwie boli... Zawsze sądziłem, że znam swoich bliźnich, że umiem wejrzeć w ich dusze, że potrafię odróżnić dobro od zła... Myliłem się, bardzo myliłem. Niewiele wiem. To tylko mi wiadomo, że istnieje boża sprawiedliwość i boże prawo,

one osądzą Larry'ego Daya...

- Powinien umrzeć - zaszlochła Frances.

- Jeśli to prawda, co mi powiedziałaś, to od tej chwili mój przyjaciel przestaje znaczyć dla mnie cokolwiek. Pierwszy będę wołał o karę na jego głowę, gdyż naruszył przykazania, odszedł od Boga, zhańbił swoje powołanie, wywołał ludzki gniew i ludzkie łzy...

- Niech wielebny go potępi na kazaniu! Proszę o to!

- Porozmawiam z szeryfem, jeśli potwierdzi twoje słowa, to tak uczynię. Nie myśl sobie tylko, że ci nie wierzę... Widzisz, to za poważna sprawa. Trzeba wysłuchać wszystkich stron.

- Pójdę już - szepnęła Frances.

Po jej wyjściu pastor zadzwonił do szeryfa i poprosił o spotkanie. Sam Wilder zgodził się do niego przyjechać.

Zjawił się za pół godziny. Usiedli obaj w gabinecie Jacksona, w starych wygodnych fotelach, zalatujących tajemniczym zapachem dawnych czasów.

Szeryf zapalił cygaro. Westchnął ciężko, bo domyślał się, o czym pragnie z nim rozmawiać Jackson.

- Czy to prawda? - zapytał wielebny.

- Tak - odparł. - On to zrobił, przyznał się.

- Nie potrafię w to uwierzyć...

- Ludzie domagają się linczu. Są wściekli.

- A Larry? Co na to wszystko Larry?

- Zamknął się w sobie. Nie chce rozmawiać.

- Nie sądziłem, że jest do czegoś takiego zdolny.

Wiesz, szeryfie, co zamierzam zrobić?

- Co takiego?

- Podczas kazania, dzisiejszego kazania, publicznie potępię Daya. Wyprę się znajomości z nim, bo przecież człowiek uczciwy nie powinien utrzymywać kontaktów z

łotrem. Zażądam też sprawiedliwej kary dla niego, tym bardziej, że jest duchownym.

- On teraz potrzebuje przyjaciela!

- Łotr nie może liczyć na przyjaźń, zwłaszcza moją.

- Potrzebujemy przyjaciół w najgorszych momentach...

- Czyżbyś mnie, szeryfie, pouczał?

- Skądże! Wyrażam tylko swoje zdanie. Na Daya rozpoczęła się nagonka. Ludzie wręcz łakną jego krwi. Dlatego potrzebuje obrońców.

- Na mnie niech nie liczy...

- Rozumiem. Pójdę już. Mam bardzo dużo pracy.

Wilder uściśnął wielebnemu ciepłą spoczną dłoń, czując w tym momencie nieprzyjemny dreszcz. Wyszedł prędko z plebanii, gdyż spodziewał się przynajmniej ze strony Jacksona wsparcia dla proboszcza. Tymczasem pastor postąpił wręcz odwrotnie: wyrzekł się swojego przyjaciela i znajomości z nim.

Sam wracał do swojego biura, zastanawiając się nad tym, jak wszystko na świecie jest ulotne i nietrwałe.

Tego dnia, w niedzielę, musiał wyjechać na kilkanaście godzin ze Snow Hills, aby załatwić w sądzie stanowym dobrego obrońcę dla księdza i poczynić odpowiednie kroki dla jego przewiezienia. Pozostawanie bowiem w miasteczku groziło, według szeryfa, nieprzewidywalnymi konsekwencjami dla Daya.

Wilder już skręcał w uliczkę prowadzącą do biura, gdy go wywołano. Poznał głos Doris Taylor.

- Tak, to ja - rzekł.

- Sam - powiedziała - znaleziono ciało Adama Winklisa. Chłopak najprawdopodobniej popełnił samobójstwo.

- Do cholery - zaklął. - Już jadę. Gdzie to jest?
- Przez moment mu wyjaśniała, jak ma pojechać.
- Jasne - odparł.

Kiedy dotarł na miejsce, ujrzał tam swojego zastępcę, Adama Gardnera, lekarza sądowego, specjalistów od badania śladów, parę samochodów.

Zwłoki chłopca leżały pod olbrzymim dębem.

- Wykrwawił się na śmierć - oznajmił Gardner. - Podciął sobie żyły i wykrwawił się.

Przypuszczalnie z początku zamierzał się powiesić. Wskazuje na to znaleziony przy nim sznur. Jednak potem rozmyślił się...

- Czy rodzina już wie?

- Tak. Poinformowaliśmy matkę. Ojciec również został zawiadomiony. Pani Winklis zaraz tu przyjedzie...

- Dobrze. Rozejrzę się!

Wilder podszedł do drzewa. Przyjrzał się uważnie chłopcu, klękając nad nim, spoglądając na czerwoną pręgę, widoczną na przegubie dłoni.

- Żyletka? - zerknął na lekarza.

- Tak.

- Kiedy to się stało?

- W sobotę rano.

- Czy morderstwo jest wykluczone?

- Raczej tak. Przeprowadzimy jeszcze dokładne badania, ale chyba tak.

- Rozumiem.

- Sam...

Odwrócił się. Przed nim stał Gardner wraz z niewysoką, zapłakaną kobietą, wyglądającą na około czterdzieści pięć lat.

- To pani Winklis - powiedział zastępca.

Kobieta, sztywno, jak gdyby coś ją ciągnęło do przodu, a jednocześnie przed tym powstrzymywało, przybliżyła się do zwłok, po czym rozpląkała na dobre.

- Zostawmy ją na moment - poprosił Wilder.

Odeszli kilkanaście jardów dalej, usiedli na trawie.

- Piękna okolica - Gardner rozejrzał się wokół.

- Tak. Czy znaleziono przy chłopaku jakiś list?

- Nie. Nic.

- Coś go musiało skłonić do takiego kroku.

- Dowiemy się, gdy pogadamy z nauczycielami, z kolegami. Na pewno się dowiemy.

- Przed czymś uciekł.

- Albo przed kimś.

Wilder westchnął, podniósł głowę do góry, przysłonił oczy dłonią, przyglądając się białym pierzastym obłokom płynącym po rozjaśnionym błękitem niebie.

- To niesprawiedliwe - rzekł. - Tak nie powinno być.

- Nic na to nie poradzimy. Czy porozmawiasz z jego matką?

- Nie. Nie w tej chwili. Niech nieco dojdzie do siebie. Wracam do biura, muszę zadzwonić do paru osób w sprawie Daya. Jutro mnie nie będzie.

- Kiedy wrócisz?

- We wtorek rano? Dopilnuj porządku!

- Okay.

Pożegnali się. Sam wsiadł do chevroleta.

W pracy nie zabawił długo, ale kiedy powrócił do domu, już zmierzchało. Gloria wylegiwała się na werandowym hamaku.

- Jesteś zmęczony, Sam - zauważyła pani Wilder.

- Tak. To wyjątkowo ciężkie dni. Co z Amandą?

- Ogląda bajeczkę. Mówiąc o trudnych chwilach, masz

na myśli Larry'ego Daya?

- Tak, ale nie tylko. Adam Winklis popełnił samobójstwo...

- Ten piętnastolatek?

- Tak.

- Mój Boże...

- W dodatku nie poznają ludzi!

- Co masz na myśli?

- Rozpoczęła się prawdziwa nagonka na Daya.

- To prawda. Mabel Sanders, oczywiście Jacob Mortimer, jeszcze paru innych, nawołują do publicznego sądu nad proboszczem.

- Na szczęście żyjemy w państwie prawa.

- Oni twierdzą, że mu się upieczą. Dostanie parę lat w zawieszeniu. Kuria najprawdopodobniej zawiesi go w obowiązkach duchownego, i to wszystko - mówią. To stanowczo za mała kara.

- Od wymierzania winy jest sąd, a nie ludzie.

- Owszem. Podobno pastor Jackson bardzo ostro potępił w dzisiejszym kazaniu księdza.

- Niepotrzebnie. Dolewa oliwy do ognia. Przypuszczałem, że postąpi szlachetniej...

- Byli przyjaciółmi.

- Niestety już nie są. Być może niedługo pastor stanie się nawet najzgorzalszym przeciwnikiem Daya...

- To możliwe...

- Nic na to nie poradzimy. Tacy są ludzie. Glorio, zjem śniadanie i wyjeżdżam.

Zjawię się we wtorek rano. Jeśliby stało się coś ważnego, to natychmiast do mnie zadzwoń... Idziemy do domu, moja droga pani.

Muzyka płynęła leniwie z magnetofonu, zdawała się łączyć z drżącym cieniem od nocnej lampki, wibrującym migotliwie na ścianie. Przez okno, na wpół otwarte, napływało do pokoju świeże powietrze.

Mary Bromley leżała na tapczanie, zasłuchana w muzykę.

Z łazienki dobiegał delikatny szmer wody, napełniającej marmurową wannę.

Mary myślała o tym, jaki świat jest nieskomplikowany, a ludzie prymitywni. Tak naprawdę większość z nich przypominała stado baranów posłusznie zdążające na rozkaz w tę lub inną stronę. Wystarczyło być tym, kto polecenia wydaje, ażeby zapanować nad tłumem.

Uśmiechnęła się.

Z jej ojca faktycznie był kawał sukinsyna, ale nauczył ją wielu cennych rzeczy.

Nauka jest ważna, kochanie - gadał jej co rusz - jednak najważniejsze jest umiejętne rozkładanie klocków... Co masz na myśli, tato? - zapytała. Oczywiście naszych bliźnich - odparł. Nie dobieraj sobie, kochanie - ciągnął dalej - znajomych w sposób przypadkowy. Szkoda na to czasu. Patrz wyłącznie na własny interes, tylko on się liczy. Jeśli zapoznanie kogoś, utrzymywanie z nim kontaktów, przyniesie ci korzyść, nie wahaj się nawet chwili. Pamiętaj też, że jako ładna kobieta będziesz mogła wodzić za nosy naiwnych facetów, a takich jest większość. Świat dzieli się na mądrych i głupich, bogatych i biednych, rządzących i

rzędzonych. Tylko ci pierwsi się liczą. Cała reszta to karma, karma dla nich, moja droga! Pojmujesz?...

Pewnie, że pojmowała. Jakżeby mogła nie pojąć. Zresztą tatko, jak go nazywała, postępował właśnie w ten sposób, osiągając same sukcesy.

Wystarczyło tylko go słuchać.

Mary wzdrygnęła się.

Ktoś gwałtownie zapukał do drzwi.

- Proszę! - zawołała.

Weszła Penelopa Astor.

Jeden rzut oka na nią wystarczył, aby się zorientować, że wydarzyło się coś niedobrego. Dziewczyna trzęsła się jak osika, oczy miała zapuchnięte od łez, nieobecne, błędne i wyraz twarzy jakby z innego świata.

Wybuchnęła płaczem, nim cokolwiek powiedziała.

Mary przyglądała jej się zdumiona, bo nigdy się nie zdarzyło, aby jej przyjaciółka zachowywała się w taki sposób.

- Uspokój się - poprosiła, wstając.

Podeszła do Penny, objęła ją mocno, doprowadziła do tapczanu, posadziła na nim. Usiadła przy niej, nadal ją przytulając.

- Jest już późno - stwierdziła, wzruszając ramionami, jakby pragnęła w ten sposób zakomunikować koleżance, że to jednak niestosowna pora na odwiedzin.

- Czy słyszałaś, co się stało? - wydusiła wreszcie z siebie Penelopa.

- Pewnie, że słyszałam. Nasz kochany proboszcz, nasz zacny Larry Day okazał się pedofilem. Co za tragedia...

Penny ponownie zaszlochała.

- Och - roześmiała się Mary - aż tak nad tym bolejesz? Przecież to bez sensu! Takie rzeczy się zdarzają. Oczywiście

nikt się tego nie spodziewał i pewno jako katoliczka...

- To nie to... - kiwnęła głową Penny.

- Nie to? Więc co?

- Adam Winklis popełnił samobójstwo!...

- Co takiego? Nie gadaj bzdur...

- Nie gadam. W czwartek jest pogrzeb. To nasza, słyszysz! twoja i moja wina...

Mary milczała. Zwykłe poczucie pewności opuściło ją w mgnieniu oka. To że zginął, i to w taki sposób, wcale nie wywarło na niej wielkiego wrażenia, bo Winklis był dla niej niczym kurz. Co innego zagnieździło się na dobre w jej sercu i umyśle: zagnieździła się tam obawa o to, czy przypadkiem nie opowiedział komuś o jej żądaniach, o perfidnej grze, którą względem niego prowadziła.

Mógł przecież opowiedzieć chociażby Robertowi... Mógł... A jeśli tak uczynił, co było wysoce prawdopodobne, to szeryf może dobrać się jej do skóry...

Naturalnie nic wielkiego nie osiągnie. W końcu ojciec ma pieniądze na dobrego adwokata. Dowodów na to, że powiedziała Winklisowi, że jest w ciąży, a potem kazała mu zdobyć tysiąc dolarów na jej usunięcie, również nie znajdują, gdyż takie dowody nie istnieją...

Nie istnieją? - rozważała. - Prawie nie istnieją. Jest przecież Penny, zrozpaczona, półprzytomna, ledwo żywa ze strachu. Jest Penny, wiedząca aż nadto dobrze o wszystkim, gdyż we wszystkim uczestniczyła... A młoda panna Astor to nie twarda skała, to nie odporny na silne naciski granit, ale delikatna osóbką, która przystała do mnie, bo zaimponowały jej moja siła i moje zdecydowanie.

- Zamknij się, dziewczyno - zasyczała do przyjaciółki.

- Zamknij się i nie wygaduj takich bzdur!

- To nie są bzdury.

- Są do ciężkiej cholery.

- Był przekonany, że urodzisz dziecko. Kazałaś mu zdobyć pieniądze.

Mary Bromley chwyciła silnie koleżankę za ramiona, zaciskając na nich palce.

Ta zachnęła się z bólu. Jednak nie on był najgorszy, lecz wpatrzone w nią, pałające, bezwzględne oczy.

- Posłuchaj mnie teraz - szepnęła przez zaciśnięte wargi Mary. - To zarówno mój, jak i twój problem, gdyż siedzisz w tym gównie po uszy. Od początku brałaś we wszystkim udział. Ponosisz więc taką samą winę jak ja. Jeśli policja dobierze mi się do skóry, to całą winę zrzucę na ciebie. Nawet nie myśl, że postąpię inaczej. Opowiem o całej historii prawdę, ale moją prawdę. A w tej prawdzie, to ty będziesz tą, co zaszła w ciążę, co zażądała od Adama forsy! Rozumiesz?

- Rozumiem... - wydusiła pobladła Penelopa, przyglądająca się przyjaciółce, jakby ją po raz pierwszy zobaczyła. Właśnie odkrywała, jak ludzie potrafią się zmienić w ułamku sekundy, z osób bliskich sercu przeistoczyć w obce, a nawet wrogie.

- To bardzo dobrze!

- Co mam robić?

- Siedź cicho i milcz. Resztą ja się zajmę...

- Pójdę już - powiedziała Penny.

- A idź sobie i weź się w garść.

Patrzyła na nią z pogardą, jak z trudem wstaje, przeciera dłonią twarz, wychodzi przygarbiona i bezsilna z pokoju.

- Przekłeta szmata - szepnęła do siebie. - Głupia idiotka. Tylko spróbuj komuś pisać chociażby słowo, a dobiore ci się do tyłka tak, jak nikomu do tej pory.

Przymknęła oczy.

I naraz, w jednej sekundzie, owiało ją lodowate zimno, gdyż ujrzała w wyobraźni twarz Margaret Nelson, usłyszała jej złowrogie słowa. Pojęła z porażającą ją samą logiką, że przepowiednia właśnie zaczęła się wypełniać...

Usiłowała sobie wmawiać, że to bzdury, że to niemożliwe, pozbawione najmniejszych podstaw, sprzeczne z rozumem...

Lecz lęk ścisnął jej serce i już nie zwolnił swojego uścisku.

Tej nocy Mary Bromley śniła o starej Margaret Nelson.

Zaniedbany posepny dom majaczył w gęstwinie czarnych poplątanych drzew, zakrytych całunem ciemności, rozjaśnionych przez wąty blask księżyca. Czarne kształty unosiły się w powietrzu, wydając przeraźliwe gwizdy. Mary wiedziała, że to jakieś ptaki, ale nie potrafiła ich zidentyfikować. Zapowiadały jednak, tego była najzupełniej pewna, straszliwe niebezpieczeństwo.

Pragnęła odwrócić się i czym prędzej opuścić to miejsce, ale przemożna siła pchała ją do przodu.

Szła powoli, wilgotna trawa cicho szeleściła pod jej nogami, oplatając kostki przenikliwym, wilgotnym zimnem.

A okna, tajemnicze, lśniące delikatnym srebrem, zdawały się otworami prowadzącymi do mrocznej trumny, do której właśnie szła, do trumny, w której coś na nią czekało, do trumny, z której nie było wyjścia.

I Mary wiedziała, że nie powinna tam wchodzić, gdyż to oznacza dla niej koniec, oznacza śmierć w okrutnych męczarniach, oznacza brak jakiegokolwiek nadziei.

Więc zaparła się w miejscu, próbując siłą woli powstrzymać swoje ciało. Wtedy, tak nagle, zerwał się wiatr,

uderzył silnym podmuchem w jej plecy, posuwając dziewczynę, wbrew jej woli, do przodu.

Otworzyły się drzwi, odsłaniając ponure wnętrze.

Nic tam nie było, niczego nie dostrzegła, ale zdawała sobie sprawę z tego, że jej wzrok się myli, że jednak coś tam na nią czeka.

- Nieceee! - wrzasnęła w śmiertelnej trwodze.

Co to? Nie ma już domu! Mrok też jakby nieco inny. A ona oddycha ciężko, serce w piersi wali, jak gdyby miało za chwilę z niej wyskoczyć. Leży na czymś miękkim, wygodnym. Cicho wokół.

- O mój Boże - szepnęła do siebie. - To tylko sen... To tylko przeklęty sen...

Do białego ranka nie zmrużyła oka, rozmyślając o swoim koszmarze, o Margaret Nelson, Penelopie Astor i Adamie Winklisie, który przez nią odebrał sobie życie.

- W porządku - uśmiechnął się Krwawy Fernando, a jego zęby zaśniły bielą niczym łańcuszek pereł. - W porządku. Mamy trzy samochody, a ten dupek, szeryf, wyjechał z miasteczka...

- Na pewno? - zapytał Procentowy John.

- Na pewno...

- W takim razie zabieramy się do roboty. Ja biorę forda i paru ludzi ze swojej grupy. Dwóch wystarczy. Wy zróbcie to samo. Sądzę, że dwie rodziniki, takie rodziniki, w zupełności wystarczą. Pamiętajcie, aby najpierw dobrać się do tyłka Brianowi Astorowi. Kiedy go unieruchomicie, pomyślcie o reszcie... Aha! I pamiętajcie o tej dziwce w hotelu! Pamiętajcie o Mary Lester. Wiecie, jak ją wywołać?

- To oczywiste!

- W takim razie do roboty! Chodźcie chłopaki.

Stary ford, prowadzony przez Procentowego Johna, zaparkował po paru minutach na Night Street.

Mężczyźni szybko przedostali się pod dom. Martin Smith, specjalista od włamań i kradzieży, wyciął w jednym z dolnych okien otwór, pozwalający bez problemów na przedostanie się do wnętrza.

- Pamiętajcie, że bierzemy sukę tego dupka - przypomniał Procentowy John - i jej bachora.

Pozostali przytaknęli.

Weszli do środka. Rozdzielili się. John poszedł wraz ze Smithem na górę, a ich kolega sprawdzał dół.

- Dobrze - szepnął Procentowy John. - To najpewniej

sypialnia. Zobacz inne pokoje, ja wejdę tutaj. Nie popełnij błędu. Pamiętaj! Żadnych krzyków...

Zamknął za sobą drzwi, przez moment stał w bezruchu, badając wzrokiem pomieszczenie. Na tapczanie leżała kobieta, lekko pochrapując przez usta.

Podszedł ku niej na paluszkach i włączył latarkę, lecz się nie zbudziła.

Jesteś całkiem ładna - pomyślał.

Lekko dotknął pistoletem szyi kobiety, a potem nacisnął ją silniej. Gloria Wilder zbudziła się. Przez chwilę patrzyła na napastnika szeroko otwartymi oczyma, gdyż - nagle wyrwana ze snu - sądziła, że to Sam z jakichś powodów wrócił nieco wcześniej, lecz już po sekundzie poznała, że to ktoś inny.

Procentowy John błyskawicznie położył dłoń na jej ustach.

- Posłuchaj! - syknął nienawistnie. - Posłuchaj mnie uważnie i zastosuj się do poleceń, bo inaczej twoja mała pójdzie do piachu... Zrozumiałas?

Kobieta przytaknęła.

John lekko podniósł rękę.

- Czego pan chce? - zapytała. - Przecież to rozbój...

- Gówno mnie to obchodzi, co to jest. Czego chcesz? Chcę się dobrać do dupy twojemu mężowi za to, co mi zrobił. Ubieraj się, przekłeta suko. Szybciej! Mam cię ustrzelić tu na miejscu wraz z twoim bachorem?

Gloria cicho pochlipując wstała, założyła ubranie; levisy, koszulę, sweter. John przez cały ten czas, kiedy się ubierała, oświetlał ją latarką, znajdując mściwe zadowolenie z jej zawstydzenia i lęku.

- Gotowa? - warknął.

- Tak... Ale niech się pan zastanowi nad swoim

postępowaniem. Mój mąż tego panu nie daruje...

- Będzie musiał, kochanie, bo jeśli nie, to zabiję ciebie i twoją córkę. Będzie musiał, moja mała, tak zagrać, jak mu każę. Innego wyjścia, niestety, dla niego nie widzę... Idziemy! Bądź mądra, zachowuj się naturalnie, nie krzycz, nie rozglądaj się.

Pchnął Glorię Wilder do przodu.

Martin Smith już czekał pod drzwiami.

- Dziewczynka jest w samochodzie, szefie - oznajmił.
- Uwierzyła, że tatuś i mamusia na nią czekają. Nie miałem najmniejszych problemów.

- W porządku, stary! Wychodzimy z tego burdelu. List zostawię pod drzwiami. Niech przeczyta, co dla niego przygotowałem, i niech pojmie, że teraz musi grać tak, jak mu każę!

Krwawy Fernando położył ciężką dłoń na ramieniu Richarda Astora, pobladłego ze złości i upokorzenia. To co się stało w przeciągu dwóch ostatnich godzin, było dla chłopaka zupełnie nie do uwierzenia. Obcy ludzie spadli na jego dom niczym stado szakali, porwali matkę, ojca, braci, siostry.

- Popatrz na tego przyjemniaczka! - wskazał na Siwego Boba. - Ten facet, to poważny człowiek. Taki człowiek, co to nigdy nie żartuje i robi ludziom różne brzydkie rzeczy. Wiesz jaką brzydką rzecz chce zrobić teraz?

- Nie jestem ciekawy!

- A powinieneś, bo tu chodzi o twoją siostrunię...

Richard zaklął, odwrócił się gwałtownie ku Krwawemu Fernandowi, chcąc go uderzyć w twarz, ale ten mocno go przycisnął barkami do siedzenia, nie pozwalając mu na to.

- Opanuj się, chłoptasiu! - wyszczał. - Opanuj się,

gdyż jeśli się nie opanujesz, to przyjemniaczek przerznie twoją siostrunię tak, że tylko wióry polecą z jej pupci, kolego, z jej różowej, miłej, tłusciutkiej pupci...

- O co ci chodzi, ty bydlaku!?

- Przestań się stawiać, przyjacielu! Zgarnęliśmy całą twoją rodzinę! Mamy w swoich łapach samego burmistrza Snow Hills... Dlatego, dupku, przestań się rzucać... A teraz ostatni raz mówię! Jeśli nas nie posłuchasz, to siostrzyczka wpadnie w ciemne ramiona Siwego Boba... Więc?

- Co mam zrobić?

- Wywołać z hotelu Mary Lester!

- Wtedy dacie spokój Penelopie?

- Masz na to moje słowo.

- Dobrze. Spełnię twoją prośbę.

Krwawy Fernando podał Richardowi telefon.

- Dzwon - rozkazał.

Astor posłusznie wykręcił numer.

- Mary? - zapytał. - Przepraszam, kochanie, że tak późno dzwonię. Mam bardzo ważną sprawę. Czy mogłabyś wyjść na moment z hotelu? Za dziesięć minut? Dobrze. Będę na ciebie czekał. Na razie!

Położył dłoń bezwiednie na kolanie. Fernando przychylił się przez fotel, wyszarpując z niej telefon.

- Widzisz, jakie to było proste - oznajmił. - Mamy zatem twoją panienkę w garści!

Blady świt pełzył wolno po ziemi, ale już nad wierzchołkami drzew ukazywał się delikatny rumieniec, z każdą sekundą przebierający na sile. Zwiastował, wraz z pozbawionym chmur niebem, że pogoda tego dnia będzie ładna.

Procentowy John wstał bardzo wcześnie, ubrał się i wyszedł na zewnątrz, kierując się do jednego z czterech

namiotów stojących na uboczu.

Mary Lester leżała rzucona byle jak na materacu, jej ręce i nogi skuwały kajdany. Jeden z Jeźdźców Nocy, pilnujący dziewczyny od kilku godzin, na widok przywódcy zerwał się na równe nogi.

- Wyjdź na moment - powiedział Procentowy John.

Przykucnął przy swojej byłej kochance z uwagą obserwując jej twarz. Wyglądała tak samo niewinnie jak wtedy, gdy tak podle go zdradziła, wiążąc się z Astorem.

Pchnął silnie śpiącą.

Bezwiednie otworzyła powieki, zadrżała, przywarła spojrzeniem do twarzy Johna. Najpierw w jej wzroku pojawiło się zdziwienie, potem nienawiść, a wreszcie lęk.

- Tak - pokiwał głową mężczyzna. - Tak, wreszcie jesteśmy razem... ty i ja... To piękne! Nie sądzisz?

- Niech cię wszyscy diabli wezmą, cholerny łajdaku!

- Pewnie tylko na to czekają. Jednak, moja droga, najpierw dobiorą się do twojego tyłeczka...

Oczy wyszły mu prawie na zewnątrz.

- Czy myślałaś, głupia dziwko - wydusił z siebie zjadliwie - że ci daruję? że twój postępек pójdzie w niepamięć? Och, nie... Przez wszystkie dni, ty mała zdradliwa skórko, żyłem oczekiwaniem tej chwili, tego słodkiego momentu, kiedy zobaczę twoją śliczną twarzyczkę przed sobą, kiedy będę mógł uczynić z tobą to, co mi się będzie podobało.

- Jesteś szaleńcem!

- Kochałem cię, ty zdradliwa bestio. Nienawidziłem całego świata, cały świat miałem za nic, wszystkich ludzi miałem za nic, lecz nie ciebie, ty łotrzyco... Ciebie nosiłem w sercu!

- Co za piękne słowa. Kto by przypuszczał, że jesteś

do nich zdolny.

- Jestem... Przez wszystkie minione noce, gdy nie potrafiłem bez ciebie zasnąć, rozmyślałem nad tym, dlaczego odeszłaś...

- I co wymyśliłeś.

- Szmata z ciebie, tania szmata pozbawiona skrupułów. Pociągnęło cię do forszy. Ale ja nie należę do pajacyków, których można wyrzucić na śmietnik jak pierwsze lepsze ścierwo. Widocznie byłem dla ciebie za dobry, skoro tak mnie potraktowałaś. Jednak widzisz, moja śliczna skórko, ludzie nigdy się do końca nie znają. Wiesz o mnie wiele rzeczy, lecz jednej na pewno nie. Nie wiesz mianowicie tego, że potrafię być mściwy, potrafię być jak dzika bestia, spragniona krwi, idąca za jej węchem setki mil... Potrafię taki być i dla ciebie takim będę!

- Sądzisz, że się przestraszę?

- Już cię nie ma, mała Mary! Już nie żyjesz! Słyszysz? Nie żyjesz!

- Przestań bredzić. Nie ośmielisz się mnie skrzywdzić.

- Dzisiaj wieczorem pójdziemy na malutki spacer. A teraz leż sobie, czekając na ten moment. Ja muszę cię niestety opuścić. Do zobaczenia, skórko!

Procentowy John uśmiechnął się, wyszedł na zewnątrz, i od razu skierował się do następnego namiotu.

Brian Astor nie spał. Siedział na materacu. Gdy ujrzał Johna, popatrzył nań z niedowierzaniem, z oburzeniem.

- Och panie senatorze, panie były senatorze, panie burmistrzu - rozłożył dłonie John - proszę na mnie tak nie spoglądać. Doprawdy nie widzę takiej potrzeby. Przecież obaj należymy do ludzi cywilizowanych i prawych.

- Jeśli coś się stanie moim dzieciom lub żonie, załatwię ci, przekłety draniu, krzesło elektryczne!

- Już się boję! Trzęsę się ze strachu. Posłuchaj mnie, ty nadmuchany pajacu! To nie ty mnie, ale ja ciebie mam w rękach. Mogę z tobą zrobić, co zechcę. Mogę cię powiesić za jaja na najbliższym drzewie i nikomu nic do tego. Mogę przerznąć twoje córeczki, twoją żonę i też mnie nikt przed tym nie powstrzyma. Rozumiesz?

- Czego chcesz?

- Znacznie lepiej. Powinieneś zacząć tak od początku. Pozwolisz więc, że usiądę...

Astor nie odezwał się. Procentowy John przybliżył się doń, przysiadł na materacu. Przez moment również milczał, przypatrując się uważnie swoim dłoniom i jak gdyby nad czymś zastanawiając.

- Wiesz co? - rzekł po chwili, nadal oglądając swoje palce. - Wypuszczę cię. Wypuszczę po to, byś pogadał z szeryfem.

- O co ci chodzi?

- Ten palant obraził mnie, więc musi za to zapłacić... Ja i moi ludzie zabawimy się w Snow Hills za wszystkie czasy. Ty, i inne władze, przymkniecie oczy na nasze wyczyny. Jeśli tego nie uczynicie, to rozprawimy się z waszymi bliskimi. Oczywiście nie z wszystkimi za jednym zamachem. Najpierw weźmiemy na tapetę na przykład twoją śliczną córeczkę, Penelope, lub trochę skrzywdzimy malutką Amandę...

- Jesteś psychopata!

- Całkiem mi z tym dobrze. Po miesiącu wyniesiemy się z miasta, ale przez najbliższe tygodnie, raz jeszcze to powtórzę, ja będę rządził tą dziurą. Czy to jasne?

- Żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie przystanie na tak idiotyczny pomysł...

- Czyżby?

- Oczywiście!

Procentowy John obejrzał się do tyłu.

- Smith - zawołał.

W drzwiach namiotu ukazała się posępna gęba jego zastępcy.

- Co takiego?

- Przyrowadź tutaj córeczkę naszego burmistrza...

- Którą?

- Młodszą...

Brian Astor pobladł. Ostatnie wydarzenia nie mieściły mu się w głowie. Nie pojmował jak ktoś przy zdrowych zmysłach może ot tak sobie włamać się do cudzego domu, uprowadzić jego gospodarzy, a potem drwić z nich najspokojniej w świecie i przy tym być przekonanym o własnej bezkarności.

Przeklinał przy okazji sam siebie za brak ostrożności, za niedostateczne zabezpieczenie, za zbytnią wiarę w ludzi.

- Oszalałeś! - szepnęła. - Jesteś naprawdę szalony...

- Jestem! - roześmiał się Procentowy John.

Smith wepchnął do środka przerażoną Penny, która na moment odetchnęła, ujrawszy przed sobą ojca, ale zaraz skuliła się w sobie, widząc, w jakim jest stanie, widząc, że jego dłonie i nogi także skuwają kajdany.

Chciała doń podbiec, jednak John złapał ją od tyłu i cisnął na podłogę. Zaraz też przy niej ukląkł, łapiąc ją za gardło. W jego dłoni błysnął nóż, przystawił go do szyi dziewczyny.

- Więc nie przystaniesz na mój pomysł - zadrwił, przesuając ostrzem po gładkiej skórze.

Astor milczał, ale nerwy miał napięte do ostateczności.

Procentowy John szarpnął mocniej nożem i górny guzik bluzeczki Penelopy wolno potoczył się w dół.

- Poczekaj - zawołał były senator, nie mogąc już dłużej znieść tej sytuacji. - Poczekaj!... Porozmawiamy...

John wolno podniósł się do góry. Pokręcił z zadowoleniem głową i wziął się pod boki, ironicznie się przyglądając swojemu więźniowi.

- I co, warto było tak się stawiać? - zadał pytanie. - Smith - dodał - zabierz panienkę. Na razie nie jest potrzebna.

Brian Astor odetchnął z ulgą.

- Miesiąc, przyjacielu - oznajmił John. - Jeden miesiąc, jeden długi, bardzo długi miesiąc, który stanie się moim miesiącem. Zrobimy w miasteczku prawdziwy cyrk. A zaczniemy przedstawienie od uczciwego sądu nad tym przeklętym pedofilem, pedofilem księżulkiem.

Astor nie odezwał się. Czuł wstręt do Larry'ego Daya. Jeśliby mógł, to sam wpakowałby mu kulę w łeb.

- Dobrze - zakomunikował Procentowy John. - Posłuchaj uważnie! Zwolnię cię, a ty pogadasz z szeryfem. Przedstawisz mu sytuację, wyjaśnisz, że nie żartuję. Co do rodzin twojej i Wildera, to ani jedna, ani druga tu nie zostanie. Gdy tylko znikniesz, przeniesiemy je w inne miejsca. Nie popełnij, staruszk, błędu. Ich życie w twoim ręku. Rozumiesz?

- Tak - odparł cicho burmistrz Snow Hills.

Nie zmrużył oka przez całą noc. Rozboliło go gardło, serce uderzało nierówno, oczy łzawiły. Przekłęta grypa, myślał, że też musi to człowieka spotykać.

Przewracał się z jednego boku na drugi, bezskutecznie próbując zasnąć. W połowie nocy wstał, poszedł do kuchni, przeszukał drobiazgowo apteczkę i wyciągnął z niej wszystkie lekarstwa, pomagające w usunięciu przebiegniowych dolegliwości.

Ale nadal nie potrafił zasnąć.

Frances, gdy zobaczyła nad ranem jego opuchniętą, bladą twarz i worki pod oczyma, poprosiła, aby wybrał się do lekarza lub go wezwał do domu.

Lecz Jacob nie chciał. Nie znosił medycyny, szpitali, myśli o zastrzykach. Wolał pozostać przez parę dni w domu, kurując się na własną rękę.

- Nie ma mowy - oznajmił. - Poza tym to tylko katar i lekki ból gardła, jedno i drugie prędko minie.

Zamierzał pozostać cały dzień w łóżku, jednak nie potrafił zagrzać w nim miejsca. Najpierw poszedł do kuchni, aby tam zjeść śniadanie przyrządzone przez Frances i przy okazji pogadać z nią o Lisie, na którą chuchał i dmuchał od czasu nieszczęsnego wydarzenia z proboszczem. Następnie, gdy jego żona wyszła do miasta, pozalałtował najróżniejsze sprawy, a przede wszystkim unieważnił kartę kredytową, która jej zginęła, przedzwonił do pracy, komunikując, że przez parę dni będzie nieobecny. Odłożył słuchawkę, po czym poszedł do pokoju gościnnego, włączył telewizor,

ustawiając go na kanale sportowym, transmitującym mecz koszykówki. Usiadł wygodnie na tapczanie, przykrywając się ciepłym, wełnianym kocem.

Obserwował wydarzenia na boisku kątem oka. Myślni wciąż powracał do owego dnia, kiedy wraz z Frances nakrył Larry'ego Daya na napastowaniu swojej małej córeczki.

Nie potrafił o tym zapomnieć.

Wciąż miał przed oczyma proboszcza, trzymającego dłonie pod spódniczką małej.

Wzdrygnął się. Zaciśnął pięści.

„Zapłaci za to łajdak. Musi zapłacić. Nigdy mu tego nie daruję, nigdy przenigdy...”

Pomyślał, że to po części jego wina. Zawsze liberalnie podchodził do wiary innych ludzi. Każdy, jego zdaniem, wierzący w Boga i wyznający jakąś religię, zbliżał się do stwórcy akurat tą drogą, która była dlań najodpowiedniejsza.

Dlatego nigdy nie zmuszał Frances, aby zaczęła praktykować jego wyznanie, a także nie miał nic przeciw uczęszczaniu dzieci na lekcje religii prowadzone przez Larry'ego Daya.

Teraz tego żałował.

Rozważania przerwał mu domofon.

Podniósł się, a Lisa, właśnie schodząca po schodach, natychmiast się wycofała, kucając przy parawaniku i bacznie obserwując rozwój sytuacji. Pokręciła z niedowierzaniem głową, gdy do środka wszedł Ted Merton, bo właśnie o nim pragnęła porozmawiać z ojcem.

- Jesteś ostatnią osobą, której tutaj bym się spodziewał - oznajmił z nienawiścią w głosie Mortimer.

Merton bez słowa usiadł w fotelu, był wyraźnie zdenerwowany, a nawet roztrzęsiony.

Musieli mu się dobrać do tyłka, pomyślał Jacob, wkładając do ust miętową gumę do żucia.

- Przyszedłem pogadać - wykrztusił Merton.

Żałosny gnojek - przeszło Mortimerowi przez głowę.

- Ludzie lubią gadać - zauważył zimno, dając tym samym znak byłemu przyjacielowi, że bynajmniej nie zamierza mu ułatwić tej rozmowy. - Ale my obaj chyba już wyczerpaliśmy wszelkie możliwe tematy.

- Nie mam, Jacob, forsy - wypalił prosto z mostu Merton.

- Nie masz? - zdziwił się Mortimer. - Cóż, to wyłącznie twój problem, że nie masz. Naprawdę nie pojmuję powodów twojej wizyty. Co chciałeś osiągnąć przychodząc tutaj?

- Mam propozycję...

- Jaką na przykład?

- Zostawię ci mój samochód!

- Na co mi twój główniany samochód?

- Jeśli nie oddam forsy w przeciągu najbliższego miesiąca, to go sprzedasz, a szmal weźmiesz sobie.

- Dobrze. Niech tak będzie. Przyprowadź grata. Układ stoi.

- Dziękuję, Jacob.

- Nie ma za co.

- Wiesz co?

- Co takiego?

- Nie zapomnij poinformować tych ludzi, aby dali mi spokój.

- Najpierw samochód.

- Okay!

Ted Merton wyszedł. Mortimer odetchnął z ulgą: wreszcie wyszedł na swoje.

Cóż, od razu należało gościa wziąć krótko za łeb. Ile nerwów by sobie zaoszczędził, gdyby tak postąpił w odpowiednim czasie.

Lisa, przysłuchująca się rozmowie, wolno zeszła na dół i nieśmiało usiadła przy ojcu. Zaczęła płakać. Mortimer począł ją przytulać, głaskać po głowie, pocieszać i prosić, aby się uspokoiła. Lecz dziewczynka nie przestawała szlochać, rozdzierając tym serce Jacoba. Wprost nie wiedział, gdzie się podziać, gdy pomyślał o katuszach, jakie musiała przechodzić jego córeczka przez tego łajdaka, Larry'ego Daya.

- Uspokój się, kochanie - prosił bezskutecznie.

- Tatusiu, tatusiu...

- Co takiego?

- Nie chcę, aby tu ten człowiek przychodził.

- Nie lubisz go?

- Nienawidzę!...

- Czy zrobił ci coś złego... - Mortimer zdwoił uwagę.

- Nie... tylko... tylko, tatusiu... tylko on i mama...

- On i mama?... - spojrzał zaskoczony, zupełnie nic nie rozumiejąc, lecz przeczuwając, że za moment spotka go coś strasznego. - O czym ty, dziecko, mówisz?

- Nie mogłam parę dni temu zasnąć, tatusiu, bałam się. Poszłabym do ciebie, ale ty wyjechałeś, dlatego poszłam do mamy. Chciałam się do niej przytulić.

Otworzyłam drzwi i wtedy...

- Co wtedy?

- Mamusia była zupełnie naga. Siedziała na panu Mertonie tak, jakby był koniem, a nie człowiekiem. Poruszali się oboje bardzo dziwnie, a mamusia jęczała. Bałam się.

Jacob Mortimer zastygł, w jednej chwili zatracił poczucie swojego jestestwa.

Zdawało mu się, że jest sobą, ale zarazem był

przekonany, że jest zupełnie kimś innym, a może nawet czymś innym. Lecz czym? Zapewne kamieniem, co nigdy nie czuje, nie myśli, któremu wszystko najzupełniej jedno. Ktoś zaraz weźmie go do ręki, ciśnie nim w toń jeziora i spocznie w głębinie, zagrzebany w piasku, zakryty przed światem, bezpieczny...

- Zdradziła!!! Zdradziła - wrzeszczało coś w jego wnętrzu. - Zdradziła, zdradziła...

Twoja żona cię zdradziła.

Siedział niczym głaz, nie słysząc słów Lisy, jej próśb, jej szlochów.

Przesiedział tak dwie godziny: skamieniały, coraz bardziej zrozpaczony, coraz bardziej nieprzytomny, istniejący i zarazem nie istniejący.

A Lisa poszła do siebie na górę, zamknęła się w swoim pokoju, stanęła przed lustrem, uśmiechając się pogodnie do swojego odbicia.

Gdy Frances przyszła do domu, jej mąż siedział na łóżku, obejmując twarz dłońmi i kiwając się to w prawo, to w lewo.

Patrzyła nań zaskoczona, nawet trochę przestraszona, gdyż nigdy go takim nie widziała.

- Co się stało? - zagadnęła.

Lecz on nadal siedział pogrążony w sobie, wreszcie się ocknął. Spojrzał na Frances, jakby ją po raz pierwszy ujrzał, jakby była mu najzupełniej nie znana, obca. A wzrok jego zawierał taki ogrom bólu, niemego pytania, że nieszczęsną kobietę przeszył podmuch lodowatego dreszczu, ponieważ zrozumiała, że Jacob odkrył jej tajemnicę, że już wie o jej i Mertona romansie. Pojęła również, jak bardzo go skrzywdziła, jak siebie skrzywdziła, jak skrzywdziła całą rodzinę.

Oto pofolgowała zmysłom, a teraz budowane przez ileś lat małżeństwo w sekundach rozsypywało się w gruzy.

- Ty i Ted... - powiedział wolno Mortimer, dobywając z wysiłkiem głosu, krztusząc się po każdej głosce.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Pozostawało kłamać lub przyznać się do winy.

Łgać nie potrafiła, ale właśnie w tejże chwili, w tym momencie dotarło do jej świadomości, jak bardzo kocha Jacoba, jak jej zależy i na nim, i na rodzinie. A wobec tego prawda tylko by wbiła gwóźdź do trumny, prawda potwierdzona przez nią.

- Proszę, nie mów - ciągnął dalej Mortimer - że to bajki, podłe oszczerstwa. Nie usprawiedliwaj się w żaden sposób.

- Jacob! Co ci przyszło do głowy? Jak śmiesz mnie oskarżać o coś takiego? Jak śmiesz?

Najlepszą bronią jest atak, myślała gorączkowo, oczekując odpowiedzi.

Jednak on milczał, wpatrując się w nią badawczo, wpatrując się w nią wzrokiem zranionego zwierzęcia, które wie, że długo już nie pociągnie.

- Ktokolwiek nagadał ci takich bzdur - jęknęła - kłamał.

- Nie mam sił na tę dyskusję - szepnął. - Czy sądzisz, że nasza córeczka, nasza Lisa, tak wyzyskana przez tę bestię, Daya, mogła skłamać?

- Wiesz o tym od Lisy? - zmartwiała Frances.

- Tak, właśnie od niej. Ona was widziała, moja droga, widziała was na własne oczy, widziała, gdy to robiliście. Opowiadała mi o tym płacząc... Biedna mała dziewczynka! Nie dosyć, że przeszła przez taką tragedię, to jeszcze była świadkiem, kiedy jej matka... - głos mu się załamał.

Frances wybuchnęła gwałtownym płaczem.

- Nie chciałam, Jacob! Naprawdę nie chciałam - szlochała. - Mój Boże, nie chciałam... Ale on tutaj przychodził... przychodził... A ja czułam się taka samotna, czułam się jak kura domowa... Życie przeciekało mi przez palce... A ty przestałeś zwracać na mnie uwagę...

- To koniec, Frances - szepnął Jacob.

- Nie mów tak, proszę!

- Koniec. Wystąpię o rozwód!

- Ale...

- Nie ma żadnych „ale”.

- Nie pozwolę, abyś odszedł...

- Śmiesz tak mówić po tym, co zrobiłaś? Zostaw mnie w spokoju, Frances. Pragnę być sam...

Wstał, założył sweter, wyszedł na dwór, wcale nie zastanawiając się nad tym, dokąd ma pójść. Szedł więc nie oglądając się na nic, niczego i nikogo nie dostrzegając, chociaż parę razy ktoś go pozdrowił.

Wreszcie nogi jakby same zaniósły go do „Srebrnej Gwiazdy”, w której zamówił podwójną whisky, potem jeszcze jedną podwójną. Kiedy alkohol wniknął mu w krew, rozpalając żyły gorącem, poczuł się nieco lepiej. Zaczął myśleć logiczniej.

Jeszcze raz przypominał sobie chwila po chwili wydarzenia dnia, i co go najbardziej dziwiło to, że wszystko stało się tak nagle. Do wczoraj był przecież pewien, że życie ma w miarę uporządkowane, nie licząc problemów z Lisą, które przysporzyło mu wiele cierpienia, no i utarczek finansowych z Mertonem.

Jednak teraz...

Teraz pozostał tylko dym i popioły...

No może nie do końca...

Bo pozostała jeszcze zemsta!

Nie pozwoli, do diabła ciężkiego, aby facet, co najbezpieczniej w świecie nie chce mu oddać długu, dobierał się przy tym do jego żony i robił to bezkarnie...

Tutaj Jacob Mortimer począł sobie wyobrażać, co w najbliższym czasie uczyni ze swoim byłym kolegą. A każda z myśli przesiąkała coraz bardziej krwią...

Tak! Niech dni i noce płyną tak, jak płynęły dotychczas. Będzie pracował, będzie przychodził do domu, ale Frances pochowa w swoim sercu na zawsze, a przy okazji pomyśli o Mertonie... Na szczęście jest wiele kobiet na świecie.

Mniejsza jednak o kobiety. Przede wszystkim są dzieci, małe dzieci potrzebujące jego, potrzebujące ojca. Jest Larry Day, który musi zapłacić za swój podły uczynek.

Na tym świecie - rozważał Jacob - nie warto postępować dobrze. Nie warto uczciwie żyć, wciąż mając przed oczyma dekalog. To jest okrutny świat, to jest miejsce zderzających się wzajemnie stworzeń. A ja nie zamierzam pozwolić, aby mnie stłamszono, aby mnie wdeptano w ziemię. Ci co uczynili mi krzywdę, muszą za to zapłacić.

Nagle pomyślał o Frances.

Przypomniał sobie pierwsze z nią spotkania, rozmowy w gwiazdne noce.

Moment gdy pierwszy raz się doń przytuliła. Czuł zapach jej skóry, jej włosów, czuł przy sobie jej bliskość.

To tylko wspomnienia - pomyślał bliski płaczu. - Nigdy nie będzie tak, jak było.

Nigdy. Była mi przyjacielem, była najbliższą istotą pod słońcem. Wszystko bym dla niej uczynił.

Zemsta! - odpowiedział głos wewnątrz. - Tylko zemsta.

Zadrzał, gdyż jakiś cień padł na jego stolik. Podniósł ociężałym ruchem głowę do góry i zamarł, widząc przed sobą Mertona, uśmiechającego się w najlepsze, uśmiechającego się tak, jakby nigdy nic się nie stało; Mertona, co rznął mu żonę, leżał w jego łóżku, w jego pościeli.

- Mogę się przysiąc? - zapytał Ted.

- Pewnie - odparł bełkotliwym głosem. - Siadaj...

- Założyłeś sweter, a tak ciepło na dworze. Żle się czujesz?

- O tak. Mam dreszcze...

- Powinienesz leżeć!

- Mam dreszcze z innego powodu - rzekł szczególnym głosem Mortimer. - Mam dreszcze, bo patrzę na ciebie, ty cholerny sukinsynu!...

Merton oniemiał.

- Co ty?... - wykrztusił.

- Wiem, bydlaku, o tobie i Frances. Wiem, że rzniesz mi żonę.

Merton milczał, ale za moment uśmiechnął się lekko, gdyż Mortimera nienawidził z całego serca, a ponieważ był cholerykiem i czasami zapominał o dyplomacji, która w tym momencie była mu bardzo potrzebna, więc tym razem również o niej zapomniał. Postanowił odbić sobie wszystkie swoje krzywdy.

- Owszem, rznę ją... A rznę dlatego, że lubi to ze mną robić. Właśnie ze mną, nie z tobą. Ty nawet tego nie potrafisz!

- Merton, ty skurwysynu! Już cię nie ma, przeklęty draniu, już cię nie ma. Jesteś na dobre skasowany. Na dobre i na zawsze.

- To się jeszcze okaże - warknął Ted powstając.

Mortimer, wprost kipiąc z oburzenia i nerwów, dopił

whisky. Postanowił czym prędzej się spotkać z facetami od ściągania długów. Niech zapomną o pieniądzach, dumał, niech dobiorą mu się do skóry.

Po rozmowie a raczej kłótni z Jacobem, Frances wciąż nie mogła ochłonąć i dojść do siebie. Nagle sobie uświadomiła, że jej małżeństwo rozleciało się na dobre. Jej mąż nie należał bowiem do mężczyzn potrafiących wybaczyć zdradę, na pewno nie.

Uświadomiła też sobie, że wcale nie pragnie łączyć swoich losów z Tedem Mertonem. Było im obojgu dobrze i przyjemnie jako kochankom, ale małżeństwo to w końcu nie to samo, co ukradkowe randki. Prawdę powiedziawszy nadszedł taki moment, w którym jasno musiała określić, co zamierza robić dalej. Nic jednak mądrego nie przyszło jej do głowy, oprócz myśli, że pragnie zatrzymać dzieci.

I przypomniała sobie Lisę, przypomniała sobie, co wykrzyczał Jacob.

Natychmiast poszła do pokoju córki, aby z nią zamienić parę słów i w jakiś sposób się usprawiedliwić.

Dziewczynka leżała na tapczanie. Oczy miała przymknięte. Na jej twarzy błędził delikatny uśmiech.

- Śpisz, Liso? - zapytała.

- Nie - odrzekła. - Ale już nie chcę z tobą rozmawiać...

- Przecież nie zrobiłam ci nic złego - powiedziała zakłopotana Frances, gdyż nie wiedziała, zupełnie nie wiedziała, w jaki sposób nawiązać do swojego romansu z Mertonem i jak się usprawiedliwić przed małą. - Posłuchaj, kochanie, pomiędzy mężczyznami a kobietami dochodzi niekiedy do sprzeczek. Nic w życiu nie jest takie łatwe, jak się wydaje...

- Puściłaś się - oznajmiła zimno Lisa. - Puściłaś się i pozwoliłaś, aby ten pajac, ten beznadziejny bokserzyna,

zrąbał ci tyłek...

Frances wytrzeszczyła oczy, zapominając o wszystkim, co planowała małej powiedzieć. Nigdy przenigdy nie sądziła, że jej córka jest zdolna do takich słów i do takiej nienawiści, z jaką na nią spoglądała.

- Wynoś się stąd, ty stara wywłoko! - szepnęła dziewczyna.

A przerażona Frances, otumaniona, nie wierząca własnym uszom, bezwiednie wycofała się z pokoju, bezwiednie zeszła na dół, usiadła w ulubionym fotelu i zaczęła cicho szlochać.

Kiedy odezwał się domofon, w sercu zrozpaczonej kobiety pojawiła się nadzieja, że to Jacob, ochłonąwszy nieco z gniewu, przyszedł do domu... Lecz to był tylko Ted Merton...

Policzki miał zaczerwienione, wzrok dziki, lecz pewny siebie.

- Musimy pogadać - oznajmił, a ona wpuściła go dalej, bo sama nie wiedziała, jak zareagować, a poza tym wciąż myślała o Lisie.

Zakłopotany Merton złożył dłonie, kręcił nimi, nie odrywając od nich spojrzenia.

Frances słyszała, jak strzelają w stawach jego palce.

- Jacob już wie - wreszcie rozpoczął. - Więc... Więc... może... Ty i ja... Rozumiesz, Frances, co chcę powiedzieć...

Ale we Frances poczał błyskawicznie narastać gniew. To Merton, błysnęło jej w głowie, wciągnął mnie w to świństwo. To przez niego, to on za to odpowiada. To on rozwalil mi małżeństwo...

Przecież sama tego chciałaś, sama tego pragnęłaś, aby się z tobą kochał - szepnął wewnętrzny głos.

Lecz Frances wcale nań nie zważała.

- Posłuchaj - przymrużyła oczy. - Nie chcę cię więcej widzieć! Rozumiesz? Pomiędzy nami koniec! Koniec na zawsze. Jesteś życiowym bankrutem, facetem niezdolnym do wykonania najprostszych rzeczy, nędznym skunksem. To jedno ci jako tako wychodzi, ale to akurat potrafią prawie wszyscy. Wynos się raz na zawsze z mojego życia...

Merton oparł się ciężko o ścianę.

Różnych rzeczy się spodziewał, lecz na pewno nie tej...

- Ależ, Frances... - spojrzał na nią wzrokiem zranionego zwierzęcia. - Ja przecież...

- Wynos się - przerwała.

Och, jakże sobie ulżyła.

Potem siedziała samotna i rozmyślała o sobie, o Jacobie i wreszcie o Lisie, o jej brutalnych słowach, o spojrzeniu pełnym nienawiści. Pojęła, że ta dziewczynka, ten mały aniołek, którego niegdyś z taką miłością przygarnęła, jest kimś zupełnie innym, niż się jej zdawało.

Wieczór przyszedł pogodny, ciepły. Delikatny zmierzch pełził wolno po ziemi i drzewach, lecz wciąż jeszcze było widno.

Procentowy John przedzierał się wraz z Krwawym Fernandem oraz Siwym Bobem przez gęstą płataninę krzewów i drzew, klnąc co chwila, gdy gęsta pajęczyna oblepiała mu twarz.

Dwaj jego kompani wlekli za sobą Richarda Astora i Mary Lester. Chłopak, z dłońmi związanymi rzemieniem, jeszcze jako tako się trzymał, za to dziewczyna zupełnie opadła z sił, więc Fernando i Bob przymuszali ją kopniakami do dalszego marszu.

Okolica zaś stawała się coraz bardziej ponurą, coraz bardziej mroczną.

Procentowy John długo szukał takiego miejsca, wreszcie je odkrył. Nazwał je „Rajem Czarownicy”.

Były to podmokłe bagniska, porośnięte czarnymi drzewami, zdradliwe i niebezpieczne.

Zatrzymali się.

Astor ciężko oddychał. Mary opadła na ziemię.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Procentowy John. - Zwiążcie im, chłopcy, nogi...

Usiadł przed Mary, podniósł jej twarz ku górze, ku sobie, głośno się śmiejąc.

Dziewczyna zachnęła się, odwróciła na bok...

- Patrz na mnie, szmato - syknął - gdy do ciebie mówię...

Pokręcił nienawistnie głową, podniósł się, spojrzął na moczary i zamyślił się.

Długo tak milczał. Przypominał sobie te wszystkie chwile, gdy Mary była mu bliska, gdy należała wyłącznie do niego. Przyjemne wspomnienia z wolna ustępowały miejsca tym gorszym, wraz z nimi poczęła w nim narastać furia, poczęło narastać poczucie strasznej krzywdy.

- Dużo dla mnie znaczyłaś, Mary - przemówił wreszcie, starając się nad sobą zapanować. - Już ci to zresztą kiedyś powiedziałem. Zapewne byłaś jedynym człowiekiem, którego darzyłem zaufaniem... Cóż! Teraz to nieważne... Teraz ty i ja nie mamy ze sobą nic wspólnego. Znienawidziłem cię! Ale... Ale ze mną tak się nie postępuje, jak ty postąpiłaś. Nie mówi się do mnie takim tonem, jak ty mówiłaś. Widzisz, kochanie, jesteś w moich rękach, jesteś ode mnie zależna...

- Ty świrze! - warknęła.

Nie zwrócił na to uwagi.

- Obiecałem ci śmierć - ciągnął jak gdyby nigdy nic - i umrzesz. Lecz to twoje zdychanie nie będzie niczym przyjemnym, moja piękna! Wprost przeciwnie! Będzie czymś niewyobrażalnie koszmarnym... Bo oto, moja droga, wrzucę cię do tego błota, a ono powoli, bardzo powoli wciągnie cię w swoją głębię. Pomyśl sobie o czarnej mazi, która za chwilę zaklei ci gębę, pomyśl o pijawkach i innym robactwie, co za niedługo zaczniesz zżerać twoje cieplutkie jeszcze ciało...

- John, na litość boską! Nie zrobisz tego...

- Och, zaczynasz inaczej gadać...

- Proszę cię, przestań!

- Litość boska, kochanie, niewiele ci pomoże. Jednak mam propozycję, całkiem dobrą propozycję... Posłuchaj! Puszczę cię wolno! Pójdiesz sobie tam, gdzie będziesz

chciała. Nie będę cię zatrzymywał. Lecz nim to się stanie, nim ci na to pozwolę, musisz własnoręcznie posłać w bagno twojego gacha... Rozumiesz?

Astor przymknął oczy.

- Zapłacisz za to sukinsynu - wykrztusił wzburzony. - Kiedyś na pewno za to zapłacisz...

Procentowy John podszedł doń, uderzył go silnie w twarz, kalecząc mu wargi i nos.

- Jeśli jeszcze raz otworzysz gębę - ostrzegł - spalę cię żywcem.

Mary opuściła głowę.

- Nie zrobię tego - szepnęła.

John skinął na swoich towarzyszy. Błyskawicznie pochwycili dziewczynę, zaciągnęli na sam skraj twardego jeszcze gruntu, po czym zsunęli nogami w dół do czarnej mazi.

Mary, nieprzytomna wprost z lęku, ujrzała jak jej pięty nikną w czarnym błocie.

- Nie!!! - wrzasnęła. - Nie!!! Wyciągnijcie mnie, proszę!... Uczynię wszystko, co każecie...

Procentowy John wybuchnął śmiechem. Fernando i Bob postawili Mary na ziemi.

Przywódca Jeźdźców Nocy popatrzył wzdorliwie na młodego Astora, pobladłego, zmęczonego.

- Widzisz, przyjacielu - strzyknął pod nogi śliną - miłość ma również pewne granice. Własny tyłek zawsze bliższy... Zrobiłeś mi, braciszku, kuku. A mnie się, przyjacielu, tak nie robi. Pomódl się, bo twoja dupenka własnoręcznie za moment wyśle cię na tamten świat. Powinieneś ją zrozumieć. W końcu chce ocalić skórę. Zakneblujcie mu gębę, chłopcy, nie chcę słyszeć, jak będzie wrzeszczał...

Spełnili jego życzenie, chociaż Richard wyrwał się ze wszystkich sił.

- No, Mary - zerknął na dziewczynę. - Facet jest związany jak prosię i leży na ziemi. Pozostaje go zepchnąć tylko w dół...

Wolno, jak we śnie, przybliżyła się do Astora, spojrzała jeszcze na Procentowego Johna, potem na dwóch pozostałych, przywarła na chwilę spojrzeniem do wytrzeszczonych bezradnych oczu Richarda.

Przybliżyła usta do jego uszu.

- Wybacz - poprosiła. - Muszę...

Przymknęła powieki, pchając z całych sił Astora do przodu. Nie otworzyła ich nawet wtedy, gdy usłyszała plusk...

- John? - przerwał ciszę ochrypły głos Siwego Boba - John, czy teraz możemy zerznąć jej tyłek?

- Możecie - usłyszała słowa swojego byłego kochanka.

A kiedy zrozpaczona nań spojrzała, ponownie wybuchnął śmiechem.

- Ładnie zdychał - rzekł. - Te jego wytrzeszczone oczki... No, a teraz pora na ciebie. Tylko tak żartowałem, że cię wypuszczę. Zdechniesz tak samo, jak ten dupek... Ale przedtem chłopcy osłodzą ci ostatnie chwile...

Odwrócił się, gdy Siwy Bob i Krwawy Fernando ruszyli ku dziewczynie...

Dom wydał mu się dziwny. Nie rozbrzmiał na powitanie ani głos Amandy, ani Gloria nie przybiegła, by go ucałować. Instynkt mu z miejsca podpowiedział, że coś niedobrego dzieje się w jego mieszkaniu, coś bardzo niedobrego.

Zajrzał do gościnnego pokoju i oniemiał, ujrawszy w fotelu śpiącego, bladego Briana Astora. Już nie miał wątpliwości, że czekają go złe nowiny, może nawet bardzo złe.

Obudził burmistrza.

Ten przez moment spoglądał na niego nieprzytomnym wzrokiem.

- Brian - westchnął ciężko szeryf - co u diabła robisz w mojej chałupie? Proszę cię, natychmiast mi powiedz, co się stało? Czy coś z Głorią i Amandą?

Astor zwiesił głowę. Przesiedział w domu Wildera całą noc, usnął dopiero nad ranem.

- Tak - odparł. - Nasze rodziny, Sam, zostały porwane...

Szeryf ciężko usiadł w fotelu, a Astor opowiedział mu po kolei to, co się wydarzyło poprzedniego dnia.

- Nie mamy wyjścia, Sam - kończył swoją wypowiedź.
- Ci ludzie nie żartują. To mordercy, kryminaliści. Wykluczone, abyśmy narażali zdrowie i bezpieczeństwo naszych najbliższych. Proponuję przyjąć ich warunki, a gdy się poczują bezkarni, wtedy przystąpimy do ataku.

Podał mu list, znaleziony pod drzwiami.

- To od tego bandyty - dodał.

Wilder natychmiast otworzył kopertę.

„Drogi szeryfie - pisał Procentowy John - wreszcie układy pomiędzy nami, ku mojej wielkiej radości, uległy korzystnej dla mnie zmianie. Miło mi donieść, że pańska szanowna rodzina przebywa na zasłużonym urlopie, a spędza go, rzecz jasna, u mnie. Obie dziewczyny są w bardzo dobrym nastroju, chociaż niekiedy, doprawdy nie rozumiem z jakich powodów, cicho popłakują. Ale, panie szeryfie, nie chcę się rozpisywać. Moje warunki, wcale nie tak wygórowane, przedstawi panu burmistrz, który - zdaje się - pojmuje powagę sytuacji.

Aha! Jeszcze jedno. Nie cierpię księży wszelkiego asortymentu i sortu, a uczucie to jest mi przyrodzone. Kto wie, może od małego diabeł we mnie siedzi. Dlatego też, skoro los sam temu sprzyja, dobiore się proboszczowi do tyłka. Mieszkańcy Snow Hills, jak mi zresztą wiadomo, o czymś takim marzą. Proszę więc nie oponować, szeryfie, gdy przyjdziemy po księżulka, aby się z nim rozliczyć, a przy okazji stworzyć niezapomniane widowisko.

Potem pomyślimy o forsie. Przecież takie wspaniałe miasteczko nie wypuści tak zacnego faceta jak ja bez szmalu, prawda? A kiedy już baksy będą w mojej kieszeni, wtedy pogadamy sobie osobiście, jak to się mówi: w cztery oczy. A tak poważnie, naprawdę poważnie! Spróbuj kogokolwiek powiadomić, że mam twoje dziewczuszki, a obie będą wachać ziemię od spodu...”

- Cholerny bydlak - burknął Wilder, przeczytawszy pismo. - Nie mogę na to pozwolić.

- Nie mamy wyjścia, Sam...

- Mam się zgodzić na publiczny sąd nad Larrym Dayem? Mam im pozwolić na buszowanie po mieście, na

rozróby?

- Po pierwsze, za to co uczynił, osobiście posadziłbym proboszcza na krześle elektrycznym, po drugie nasze rodziny są ważniejsze niż wszystko. Poświęcę nawet siebie, aby je ratować...

Na razie chcesz rzucić im na ochłap Daya - pomyślał Wilder.

- Nic nie mamy - ciągnął dalej Astor. - Nie wiemy, gdzie ich przetrzymują. A są, moim zdaniem, gotowi popełnić każde, nawet najgorsze łajdactwo. Weź też pod rozwagę, wczoraj mi to przyszło do głowy, że przez ten okres, gdy tkwią w naszym miasteczku, znaleźli sobie wielu popleczników, przeważnie, podobnych do nich, typów spod ciemnej gwiazdy. Ten łajdak, Procentowy John, czy jak go tam zwa, jest całkiem niegłupim facetem, złym jak stado czortów, ale niegłupim...

- Powinienem od razu wyrzucić sukinsyna ze Snow Hills. Popełniłem błąd!

- Popełniłeś i już go nie cofniesz. Mówię ci, Daya należy poświęcić, zwłaszcza, że zasłużył na porządną karę.

- Brzydko mi to pachnie.

- Wolisz, aby ucierpieli nasi bliscy?

- Kto zaręczy, że nie ucierpią?

- Nikt. Lecz wiadomo, czego te szumowiny chcą: mianowicie forsy i zabawy... Cóż, jedno i drugie dostaną. My tymczasem zbadamy sytuację, spróbujemy dowiedzieć się, gdzie przetrzymują nasze rodziny. Kiedy nam to się uda, poprosimy o wsparcie FBI, i załatwimy bandziorów... Naprawdę, moim zdaniem, nic innego zrobić nie możemy...

Sam Wilder przymknął oczy. To był trudny wybór. Nie przywykł ustępować przestępcom, zawsze prawo i pracę stawiał na pierwszym miejscu, zapominając nawet czasami o

żonie i dziecku.

Tym razem nie mógł tak postąpić. Prawdę powiedziawszy był, przynajmniej chwilowo, bezradny.

- Zgoda - odparł.

Brian Astor wkrótce wyszedł. Wilder długo jeszcze siedział w fotelu, pogrążony w myślach. Potem wstał, spróbował zabrać się do jakiejś roboty, jednak nic mu nie wychodziło. Więc zaczął chodzić po domu, zaglądać do poszczególnych pomieszczeń, ale i to nie przyniosło mu spokoju. Wreszcie zamknął się w pokoju sypialnym, wbił oczy w sufit i leżał tak, niepomny uciekającego czasu.

W połowie tygodnia, a był to czwartek, dzień bardzo ładny, i wydawałoby się, że spokojny, Mabel Sanders wybierała się na „otwarte zebranie, dotyczące niecnego postępu Larry’ego Daya”, które miał prowadzić wielebny Jackson.

Po wyjściu z domu przypomniała sobie o skrzynce pocztowej, po czym poszła wyciągnąć z niej listy, których było raptem kilka, w tym żaden do niej.

Przejrzała jeden po drugim, szepcząc pod nosem nazwiska nadawców, i starając się przypomnieć sobie ich twarze.

Zwróciła uwagę zwłaszcza na kopertę adresowaną do jej córki, ale z adnotacją, aby ją przekazać Robertowi Astorowi.

Mabel zawsze wychodziła z założenia, że każda szanująca się matka, a ona przecież była szanującą się matką, powinna o swoich dzieciach wiedzieć jak najwięcej.

Anna akurat, dzięki Bogu, wybrała się do biblioteki miejskiej, więc Mabel bez skrupułów otworzyła list nad parą, po czym wzięła się za jego czytanie.

„Nie wiem, co mam robić dalej - przeczytała. - Już nie znajduję z tej sytuacji wyjścia. Tak naprawdę moje życie jest zupełnie nieudane. Odkąd sięgam pamięcią, nie miałem nikogo bliskiego. Dla ojca, zresztą rzadko widywanego, też się nie liczyłem. Pragnąłem to w jakiś sposób odmienić, lecz nic mi nie wychodziło. Ty, Robercie, byłeś jedynym człowiekiem, który potrafił mnie dostrzec. Ostrzegałeś mnie

też przed Mary Bromley, ale ja ci, na pewno to pamiętasz, nie uwierzyłem...

Teraz już wierzę. To zła dziewczyna. Powiedziała, że zaszła ze mną w ciążę. Ale, wiem to, kłamała. Zażądała pieniędzy na zabieg. Zagroziła, że mnie zniszczy, jeśli ich nie zdobędę. A ja, chociażbym chciał, nigdzie ich nie znajdę. Tak się boję piekła, które się rozpęta, gdy prawda, jej prawda, wyjdzie na jaw. Tak się boję ojca Mary, pana Bromleya...

Ale to bym jeszcze wytrzymał, jeszcze to bym jakoś zniósł... Nie mogę natomiast pogodzić się ze stratą Mary! Nie mogę się pogodzić z tym, że okazała się kimś innym, niż sądziłem. Wydaje mi się, jakbym pokochał zupełnie inną dziewczynę... zupełnie...”

Mabel westchnęła, odłożyła pismo. Zgnilizna - pomyślała. - Mój Boże, co za zgnilizna. Najlepiej w ogóle się w to nie mieszać, tym bardziej, że ten cały Winklis popełnił samobójstwo. Jeszcze zaczną moją biedną Annę ciągać na przesłuchania. Nie, nie powinnam pozwolić, aby ten list dostał się w jej ręce.

Podarła pismo na strzępy i wyrzuciła do kosza.

W celi było wilgotno i chłodnawo, toteż Larry Day, wkrótce po uwięzieniu, zaczął czuć się nie najlepiej. Najpierw zaboląa go szyja i chociaż kręcił nią na wszystkie strony, chociaż ją nieustannie masował, to bolała coraz bardziej i bardziej.

Potem coś mu strzyknęło w kręgosłupie, przy samej kości ogonowej, strzyknęło i już nie puściło. Było tak przykre, tak dokuczliwe, że niekiedy zagryzał wargi, aby nie krzyzczeć.

Wreszcie pojawiła się rzecz najgorsza! Jego serce przy lada wysiłku tak szarpało, jakby zamierzało wyskoczyć z klatki piersiowej. A tym wysiłkiem było na przykład obrócenie się na drugi bok...

Larry Day poczuł, że nadciąga do niego śmierć.

I wcale tym się nie zmartwił. Wprost przeciwnie: błagał opatrzność, aby jak najprędzej pozwoliła mu rozstać się z doczesnością, aby uwolniła go od wyrzutów sumienia, od nienawidzących go ludzi, od nękającego go po nocach zła, i od Ralphi Welera, pomocnika szeryfa, przychodzącego doń bardzo często, aby z niego drwić, aby mu dokuczać.

- Zawisniesz, sukinsynu - przeklinał Weler. - Zawisniesz wysoko na gałęzi, zadyndasz nóżkami, oj zadyndasz. A spróbuj, łotrze jeden, coś tylko wygadać szeryfowi, to tak ci umilę życie, tak ci umilę... - krztusił się złością.

- Ale jeśli chcesz wiedzieć - gadał dalej - to szeryf nie ma już nic przeciw temu, aby nad tobą zrobić publiczny sąd,

słyszysz, publiczny...

Larry milczał.

Wieczorem odwiedził go Wilder, wyraźnie zafrapowany i smutny, jakby pozbawiony energii, której zwykle miał pod dostatkiem. I tak było w rzeczywistości.

Snow Hills bowiem zmieniło się w ciągu paru dni nie do poznania. Już nie było tym samym spokojnym miastem co dawniej, w którym zdarzały się, co prawda, jakieś nieprzyjemne rzeczy, ale zdarzały się sporadycznie, a ludzie, długo o nich pamiętając, starali się postępować tak, aby więcej się nie powtórzyły.

Otóż teraz ten spokój, ten dobry zwyczaj i obyczaj zarazem, wziął w łeb. Na porządku dziennym były bijatyki, kradzieże, utarczki słowne, awantury przed zmierzchem, a zwłaszcza po zmierzchu.

Na ulicach brylowali faceci od Procentowego Johna, a cała miejscowa hołota - okazało się, że trochę jej było - ochoczo przyłączyła się do tego chuligaństwa w czarnych kurtkach. A sam John krążył po Snow Hills namawiając kogo się dało do sądu nad Larrym Dayem. I trzeba powiedzieć, chociaż jeszcze niedawno wydawałoby się to nieprawdopodobne, że znalazł wielu słuchaczy, wśród nich była nawet Mabel Sanders, która - gdy tylko posłuchała herszta Jeźdźców Nocy - zmieniła o nim zupełnie zdanie.

„Wiem - opowiadał Procentowy John - że moi chłopcy trochę łobuzują...

Wybaczcie im. Są młodzi, pragną się zabawić, nieco poszaleć. Sami na pewno kiedyś tacy byliście. Jednak, zaręczam wam, nikt z nich nie gwałci małych dziewczynek. Nikt... Bo to już prawdziwa ohyda, prawdziwa zbrodnia i nie może być nic gorszego, nic bardziej godnego potępienia. Jeśli nie rozprawicie się z tą zarazą, jeśli nie weźmiecie

sprawiedliwości w swoje ręce, to Bóg zapomni o was, a ludzie uczciwi będą spluwać na wasz widok...”

Tak więc okazało się, że Procentowy John potrafi całkiem dobrze przemawiać.

Tak namotał wielu dobrym na co dzień ludziom, że mu uwierzyli i gotowi byli go słuchać, a nawet za nim pójść.

Trzeba też podkreślić, że John postępował całkiem rozsądnie, owszem, pozwalał Jeźdźcom Nocy na wysoki, owszem - popuścił im cugli, lecz nie do końca.

Jednym słowem kontrolował ich poczynania. I było sporo takich w Snow Hills co go polubili, przyznawali mu rację, a w razie czego stawali za nim murem. „Nikt nie jest święty - gadali. - Wszyscy o tym dobrze wiemy i John szczerze to przyznaje...”

Cały zatem gniew tych ludzi, a niemało go było, skupił się na osobie Larry’ego Daya, a ponieważ Sam Wilder, pomny tego, że Procentowy John ma w swym ręku jego żonę i córeczkę, milczał, to mieszkańcy miasta śmieiej zaczęli się domagać publicznego sądu nad proboszczem.

- Co się stało, szeryfie? - zapytał ksiądz.

- Już nad tym nie panuję - odparł pośpiesznie Wilder. - Na ulicach są tłumy żądne krwi, twojej krwi, ojczyzny. Są jak rozszalałe pijawki, nie poprzestaną, nim się jej nie napiją...

- Chyba na to nie pozwolisz?

Wilder pokręcił głową, opuścił ją bezradnie. Jak miał powiedzieć temu biedakowi, że nie może go bronić, że musi go poświęcić, bo inaczej zginą jego najbliżsi?

Ale ksiądz, widząc zachowanie szeryfa, pojął w czym rzecz...

Obaj milczeli.

- Zaraz tu będą - oznajmił w końcu Wilder.

I rzeczywiście za moment zahuczało w całym budynku

od wzburzonych głosów, bełkotliwych i grubiańskich, a rozdrażnionych jak stado os przepędzanych dymem.

Do pomieszczenia wbiegło kilku mężczyzn, zaczerwienionych, ciskających oczyma błyskawice gniewu, trzymających w dłoniach grube drągi; wbiegło i stanęło naprzeciw szeryfa. Przewodził im Procentowy John. Herszt bandy stanął przed Wilderem, wziął się pod boki, spojrzął na niego pogardliwie, pragnąc w ten sposób dać mu do zrozumienia, jak niewiele może zdziałać, jak jest bezradny i słaby.

- Przyszliśmy po tę szmatę! - wskazał wreszcie na Daya.

Szeryf przymknął oczy. Pragnął znaleźć w sobie siłę i mądrość, pozwalające obronić proboszcza przed tą zgrają, gotową popełnić najgorszą nikczemność.

Ale nie znalazł. Pamiętał o Glorii i Amandzie.

- Dobrze - powiedział cicho. - Poczekajcie trochę, chciałbym z nim jeszcze porozmawiać...

Procentowy John zawahał się.

- Okay - zgodził się wreszcie. - Nie dłużej niż dziesięć minut. Będziemy za drzwiami, więc niech ci, obrońco pedofili, nie przyjdą głupie pomysły do głowy...

Larry Day obserwował wtargnięcie do celi wrogich sobie osób z prawdziwą grozą, wreszcie doń dotarło, jak bardzo stał się znieawidzoną osobą w miasteczku. Z jeszcze większym lękiem przysłuchiwał się dyskusji pomiędzy Wilderem a Procentowym Johnem. Intuicyjnie wyczuwał, że w tym człowieku skrywa się bestia.

Patrzył zatem pobladły na szeryfa, oczekując od niego chociażby słowa, że nie pozwoli, że pomoże.

Jednak Wilder wzruszył bezradnie ramionami.

- Jestem bezradny, księżo - rzekł bardziej do siebie, niż

do proboszcza. - Nic nie mogę zrobić, zupełnie nic. Chciałbym pomimo to znać prawdę, bo chyba, coś mi tak podpowiada, do końca jej nie znam. Owszem, ojciec, przyznałeś się, ale... Dlaczego właśnie Lisa Mortimer? Dlaczego ona? Nie chciałeś o tym mówić, lecz w tej sekundzie, gdy...

- Garnęła się do mnie, Sam... Lubiła się do mnie tulić, lubiła, kiedy ją pieściłem, głaskałem, lubiła, gdy dotykałem jej ciała. Wiem, to wstrętne. Wierz mi, mój drogi, tylko ona wzbudzała we mnie coś takiego, tylko ona. Nigdy przenigdy nie byłem pedofilem, nigdy, Sam...

- A tego wieczora, gdy doszło do tego nieszczęścia, czy się w jakiś sposób broniła, czy stawiała opór?

- Nie. Wprost przeciwnie, jakby do tego dążyła. Ale to moja wina. Ja powinienem nad sobą panować. To w końcu dziecko...

Zamyślił się na moment.

- Przyszła jak zwykle na próbę chóru - ciągnął dalej - i jak zwykle po jej zakończeniu trochę została. Była śliczna i ślicznie ubrana... w taką białą sukienkę. Wyglądała w niej jak prawdziwy aniołek... Lisa wiedziała, tak mi się przynajmniej zdaje, co do niej czuję! No cóż... Usiadła, zwykle tak robiła, na moich kolanach... Zacząłem jej dotykać, lecz nie miała nic przeciw temu... Wtulala się we mnie, gdy ją pieściłem. Potem weszli Mortimerowie. Gdy ich dostrzegła, zerwała się, zaczęła krzyczeć... Resztę, szeryfie, już pan zna.

- Tak... - potwierdził zadumany Sam.

Procentowy John wszedł z powrotem do celi.

- Wystarczy - oznajmił. - Idziemy!!!

Day posłusznie za nim podążył. Przed wyjściem raz jeszcze spojrzął na szeryfa, prosząc jak gdyby wzrokiem, aby o nim nie zapomniał.

John tymczasem pchnął proboszcza do przodu, a za moment cała grupa wyszła na ulicę. Po drodze dołączało do niej coraz więcej rozwścieczonych ludzi, odgrażających się Dayowi sądem piekielnym, smażeniem w wiecznym ogniu. Spadały na proboszcza pięści, zalewały twarz płwociny żądnych zemsty mieszkańców miasteczka.

I Larry Day, duchowny, ksiądz co przez wiele lat posługiwał w Snow Hills, nie mógł pojąć, jak to możliwe; nie mógł zrozumieć, że postępują z nim tak osoby, które znał przecież jako religijne, przestrzegające praw Bożych.

Procentowy John zaś wiódł cały ten orszak do parku miejskiego, gdzie przygotowano już prawdziwe widowisko.

Całkiem pokaźny teren, w normalne dni miejsce zabaw dzieci i młodzieży, zapełniał tłum żądnych sensacji osób. Nie było wśród nich tylko obłożnie chorych. Na samym środku placu ustawiono naprędce zbitą z drewna trybunę.

Weszła na nią Frances Mortimer.

Zebrani, komentujący głośno pojawienie się Larry'ego Daya, natychmiast umilkli, skupiając swoją uwagę na nieszczęśliwej matce. Ona przez kilkanaście sekund milczała, niepewna jak zacząć. Lecz rychło nagromadzone w niej uczucia: strach, nienawiść, frustracja z powodu Jacoba - znalazły ujście.

Gniewne słowa popłynęły niepowstrzymanym potokiem. Co niektórym ze słuchających błysnęły łzy w oczach na widok tego matczynego bólu. Sama Frances po kilku minutach rozszlochała się na dobre. Wtedy Procentowy John wypchnął do przodu Lisę Mortimer.

- Posłuchajmy biednego dziecka - wrzasnął.

I ponownie zaległa absolutna cisza, miałeś wrażenie, że usłyszysz nawet najmniejszą muszkę. Oczy zgromadzonych przywarły ze wszystkich sił do niewielkiej

postaci. A Lisa stała niczym malutki aniołek, złożyła ręczki, opuściła głowę, a po chwili podniosła piąstkę, aby przetrzeć nią twarz.

Ten widok wywołał prawdziwą furję. Wydawało się ludziom, że to już nie tę dziewczynkę, ale ich samych skrzywdzono, im samym odebrano coś najlepszego, coś najszlachetniejszego, ich samych zbito i sponiewierano. Więc złość narastała w nich niepowstrzymana jak górską lawinę. Pięści same się zaciskały, usta natomiast zlorzczyły coraz groźniej sprawcy i nie było takiej zniewagi, której by oszczędzono nieszczęsnemu duchownemu.

- Nie męczmy już dziecka - krzyknął Jacob Mortimer.
- Dosyć wycierpiało. Jeśli mamy kogoś męczyć, to tę kreaturę, co niczego nie szanując, za nic mając jakiejkolwiek zasady, dopuściła się tak haniebnego czynu. Czy my, tutaj obecni, mamy pozwolić na to, aby w przyszłości nasze dzieci ponownie spotkało coś tak okropnego? Czy mamy pozwolić, aby sprawca tego świństwa siedział sobie w oświetlonej celi, oglądał telewizję, spał na wygodnym tapczaniku i miał się w najlepsze za nasze, podatników pieniądze? Nie, moi drodzy! My na to nie pozwolimy. My weźmiemy sprawiedliwość we własne ręce. Niech ci, co dybią na nasze dzieci, zrozumieją, że coś takiego nigdy nie ujdzie płazem, że zostanie ukarane najsrożej, jak to możliwe.

- Na stryczek z nim - zawtórował Procentowy John.

- Na stryczek! - powtórzyło wiele wzburzonych głosów.

Poderwano proboszcza do góry. Popychano, uderzano, pchano pod drzewa i nim się zorientował, już stał pod jednym z nich, a z rozłożystego konaru zwisała przerzucona przezeń lina.

Procentowy John postawił obok stółek.

- Właż, draniu - zakomenderował.

- Nie macie prawa tak postępować - szepnął Day i umilkł, gdyż pośród najbliższych stojących dostrzegł pastora Jacksona równie rozgorączkowanego jak pozostali.

- To twoje ostatnie sekundy - uśmiechnął się John, po czym wraz z Krwawym Fernandem poderwał księdza za ramiona do góry, stawiając go na taborecie.

- Potrzebuję spowiedzi - szepnął proboszcz, gdy Procentowy John założył mu na szyję stryczek. - Chcę się pojednać z Bogiem!

- Daruj to sobie, klecho - wzruszył ramionami. - I tak trafisz do piekła.

Kopnął stółek, wyrzuwając go spod stóp księdza. Larry Day krzyknął, opadając w dół, potem sznur zacisnął się brutalnie wokół jego gardła, dusząc okrzyk.

Ludzie spoglądali w milczeniu, jak ciało proboszcza lekko się kołysze to w jedną, to w drugą stronę. Wielu z nich zaczęło czym prędzej opuszczać miejsce kaźni.

Sam Wilder, czując się niczym ostatni błazen, nie spuszczał natomiast wzroku z Lisy Mortimer, która, przekonana, że nikt jej nie obserwuje, uśmiechała się z zadowoleniem, patrząc na balansujące ciało Larry'ego Daya.

Nagle wyczuła, że ktoś na nią spogląda, rozejrzała się wokół, przywarła spojrzeniem do twarzy szeryfa, świadoma, że przyłapał ją na czymś, na czym nie powinien przyłapać.

Wilder po chwili, która obojgu zdawała się bardzo długa, odwrócił się na pięcie i ruszył do swojego biura, aby tam trochę ochłoniąć z tego, co przyniósł dzień.

Doris Taylor, roztrzęsiona jak rzadko kiedy, bez słowa zanosła mu do pokoju mocną kawę.

O nic jej nie pytał, zresztą wiedział, o czym myśli i co nie daje jej spokoju. On też rozumiał, że zezwolił na

zamordowanie człowieka - gorzej, na przeprowadzenie na nim w biały dzień egzekucji - bez cienia sprzeciwu, przekładając nad sprawiedliwość własne dobro.

Pił zatem kawę tak sfrustrowany jak nigdy dotąd. Miał przy tym świadomość, że Procentowy John, pozwolewszy sobie na parę bezkarnych uczynków, rozbisurmani się wkrótce na dobre, a odpowiedzialność za to, jakby na to nie patrzeć, spadnie na niego, na Sama Wildera. Problem jednak polegał na tym, że co by o tym nie sądzić, był bezradny. Po prostu musiał dokonać jakiegoś wyboru i wybrał bezpieczeństwo własnej rodziny.

„Mój Kochany Pamiętniczku! Jest bardzo późno, gdy siadam przy Tobie. Dzisiaj był śliczny dzień, proboszcz wreszcie zadyndał wysoko i przeniósł się, jak to gadają starzy mądrzy ludzie, na łono Abrahama. Wyglądał bardzo marnie, gdy postawili go na stołku, trząsał się, dygotał i miał tak smutną minę, jakiej jeszcze u nikogo nie widziałam.

Tak więc, mój Drogi, dopięłam swego.

Tatuś i Mamusia - śmiesznie to brzmi - postępują zgodnie z moimi planami, czyli zamierzają się rozwieść.

Jak widzisz: pełny sukces.

Pozostaje jeszcze Ron. Cóż, niedługo i do niego się dobiore, całkiem niedługo....

Ale jest coś, co mnie niepokoi. Ten przeklęty Sam Wilder, zacny szeryf, spojrział na mnie szczególnym wzrokiem, gdy wieszali Larry'ego Daya, spojrział tak, jak gdyby wiedział, że wcale nie jestem małą grzeczną dziewczynką, lecz wtłoczonym w jej skórę złem...

Muszę uważać: on się domyśla...”

Nazajutrz rano Frances obudziła się półprzytomna, smutna, i do reszty przygnębiona. Słuszny obrót spraw, czyli śmierć Daya, wcale jej nie podniósł na duchu, przeciwnie, wprowadził w stan otępienia. Co innego było wyobrażać sobie wszelkie najgorsze kary spadające na głowę proboszcza, a co innego zobaczyć to na własne oczy.

Wprost ją zemdliło, kiedy wyszarpanięto stołek spod nóg księdza. Poleciała natychmiast do najbliższych krzaków i przy nich zwróciła spożyty wcześniej obiad.

W nocy sen do niej nie przychodził, gdyż wystarczyło, że przymknęła powieki, a natychmiast widziała przed nimi Daya, wyciągającego ku niej błagalnie dłonie, aby mu pomóc. Kiedy wreszcie nad ranem zapadła w płytką, nerwową drzemkę, wtedy proboszcz natychmiast do niej przyszedł.

Stał przed nią z obrzmiałą, siną twarzą.

- Popatrz na mnie - mówił. - Spójrz, co mi uczyniliście... Jestem taki samotny, gdy kiwam się na wszystkie strony, a wiatr zawodzi nad moją głową... A teraz, za to co zrobiliście, pozwól, że cię przygarne i ucałuję!

Wyciągnął rękę.

Frances zbudziła się z krzykiem.

Naraz zrozumiała, że do końca życia już się nie uwolni od wydarzeń, które spotkały ją podczas ostatnich dni.

Jacob, który nocował w domu, nie przyszedł na śniadanie, chociaż je dla niego przyrządziła. Lisa natomiast siedziała przy stole posepna, ze wzrokiem wbitym w talerz. Niekiedy strzelała ku niej nienawistnym spojrzeniem i zaraz uciekała oczyma w bok...

- Dlaczego mnie tak traktujesz? - zapytała Frances.

Lisa milczała.

- Przecież cię kocham, córeczko! Bardzo cię kocham...

- Puściłaś się - warknęła.

- Jesteś za mała, aby tak się odzywać. Poza tym jestem twoją matką!

- Nie jesteś... To nie ty mnie urodziłaś... Adoptowaliście mnie, lecz nie ty mnie wydałaś na świat. Nie ty jesteś moją prawdziwą matką...

Frances oniemiała. Jedzenie stanęło jej w gardle, zakrztusiła się, łzy spływały po jej policzkach.

Kaszlnęła parę razy, nim wreszcie odzyskała zdolność

mówienia.

- Kto ci to powiedział? - zapytała.

- A jakie to ma znaczenie?

Zupełnie nie wiedziała, co małej odpowiedzieć. Nagle sobie uświadomiła, że to miłe ładne dziecko, ta śliczna dziewczynka, w jakiś sposób ją przeraża...

- Przecież - rzekła płaczącym głosem - niezależnie od tego czy jesteś moją córką, czy też nie, kocham cię z całego serca, bo cię wychowałam, kołysałam przy sercu, usypiałam, niańczyłam, bo...

- Ale ja cię, mamusiu, nie kocham!

Wstała od stołu, a Frances wybuchnęła gorzkim płaczem. Pozostałe dzieci spoglądały po sobie przerażone, gdyż wszystko, dosłownie wszystko, stanęło nagle na głowie.

Jakby nie dosyć było porannych nieszczęść, zobaczyły w tej samej chwili swojego ojca, Jacoba, schodzącego na dół i tarmoszącego zaciekle ciężką walizkę...

Mortimer od pogróżek pod adresem Frances, zapowiadających rychły rozwód, przeszedł do czynów, a pierwszym z nich miała być natychmiastowa wyprowadzka do hotelu, a potem, gdy trochę ochłonie, gdy trochę rozejrzy się tu i tam, w ogóle wyniesienie się na dobre ze Snow Hills, wyniesienie do dużego miasta, chociażby do Chicago, w którym rozpocznie życie od nowa, w którym już nigdy nie zobaczy zdradzieckiej, podłej żony. Owszem, żał dzieci, żał je pozostawiać, kocha je przecież nade wszystko. Jednak będzie o nich pamiętał, będzie do nich dzwonił. I w końcu nigdy nie przestaną być jego dziećmi... nigdy...

Jacob, dusząc w sobie na przemian to wściekłość, to łzy, dobrnął do końca schodów i postawił walizkę.

- Odchodzę - oznajmił, patrząc zjadliwie na żonę, a w głębi siebie wciąż stawiając pytanie, dlaczego tak postąpiła,

dłaczego ich oboje zniszczyła.

- Nie zatrzymam cię - rzekła obojętnym głosem.

Mortimer przez moment rozważał, co miała na myśli, wypowiadając powyższe słowa. Czy chce przez to rzecz - dumal - że nie ma argumentów, aby na mnie wpłynąć, czy też po prostu najzupełniej jej to obojętne. Zapewne cieszy się w głębi ducha... Teraz bez przeszkód będzie mogła przyjmować Mertona. Nie wie, biedaczka, że ten gość już się tutaj nie pokaże.

Dzieci, widząc co się dzieje pomiędzy rodzicami, jak na komendę uderzyły w głośny płacz, tylko Lisa siedziała cicho.

Jacob nadal stał. Pobladł.

Wbrew temu, co sam postanowił, nie przychodziło mu łatwo porzucić raz na zawsze iluś lat swojego życia. Patrzył być może po raz ostatni na Frances, odnajdując w jej twarzy tak bliskie sobie rysy, przypominając najróżniejsze chwile z przeszłości.

I w tej sekundzie uświadomił sobie, że zawsze ją kochał, ją jedyną, że nigdy nie przestanie jej kochać, że zawsze będzie dla niego najważniejsza...

Pragnął to w jakiś sposób wyrazić, lecz pojął, że nigdy mu się to nie uda, a poza tym - to była ta brutalna prawda - czego by nie uczynił, jakby nie postąpił, to miał do czynienia nie ze swoją Frances, ale z kimś obcym, kto wyłącznie na zewnątrz wyglądał tak samo...

Opuścił głowę i czym prędzej wyszedł z domu.

Frances po jego wyjściu natychmiast poszła do sypialnego pokoju, położyła się na łóżku i uciekła w sen od brutalnej rzeczywistości.

W tym czasie Ted Merton, świadomy tego, że Mortimer nigdy mu nie daruje zaistniałej sytuacji, siedział w

czerwonym chevroletcie Camaro zostawiając za sobą raz na zawsze Snow Hills i podążając ku swojej przyszłości. Jedyne co go bolało, tak naprawdę bolało, to fakt, że Frances nie ma przy nim, i że z nim zerwała. To bolało, ogromnie bolało.

Lecz w końcu - zastanawiał się. - Świat jest wielki, a kobiet na nim miliony.

Znajdę jeszcze taką, która mnie zechce.

Ogromne czerwone słońce spływało powoli nad widnokrąg i Ted Merton spoglądając na nie czuł się lekki niczym nowonarodzone dziecko.

Tej nocy zapłakany mały James przyszedł do swojego starszego brata, Rona, aby mu powiedzieć, że nie potrafi zasnąć.

- Nie martw się stary - pocieszył go. - Tata do nas wróci... Zobaczysz! Obiecuję ci...

- Nie - potrząsnął głową James - on się na nas obraził. Nie kocha nas. Ma nas w nosie. Poszuka sobie teraz nowej żony i nowych dzieci.

- Głupi jesteś! Pamiętasz, co ci kiedyś mówiłem o Lisie?

- Pamiętam...

- To w takim razie wbij sobie do głowy, głuptasku, co ci teraz powiem! To wszystko jej wina, rozumiesz, jestem tego pewien. Ona jest zła jak wszyscy diabli...

- Dlaczego, Ron, tak sądzisz?

- Nie sądzę, głuptasku, czuję, czasami widzę. Ona uśmiecha się wtedy, gdy inni płaczą. Lubi dręczyć zwierzęta, lubi krew. Mówię ci, to mała czarownica, albo nawet coś gorszego.

- Nie strasz mnie. Gadasz głupoty.

- Nie gadam! Sam diabeł ją tutaj przyniósł. Wyobraź sobie czarną noc, ale taką naprawdę czarną, czarną jak smoła.

Poprzez kłębiaste chmury rwie do przodu szatan, a pod pachą trzyma Lisę. Przelatuje nad naszym Snow Hills, nad naszym domkiem i buch, rzuca ją w dół...

- Nie lubisz jej, wiem o tym, jednak nie przesadzaj.

- Dobrze, mały. Kiedyś sam się przekonasz.

- Co my, Ron, zrobimy bez taty?

- Wróci, głuptasku, zobaczysz, że wróci. Przestań już gadać, przytul się do mnie. Jutro go poszukamy, nie pozwolimy, aby nas zostawił, nigdy na to nie pozwolimy!

Następnego dnia, a była śliczna pogoda, chłopcy zapomnieli o swoich problemach, natomiast przypomnieli sobie o basenie, o kąpielach i o wszelkich innych planach.

Frances, starająca się za wszelką cenę wyrwać z letargu, wyszła około dziewiątej z Sandrą i Doris na zakupy, zamierzała zabrać Lisę, lecz dziewczynka stanowczo odmówiła.

Przy Silver Way spotkała Mabel Sanders, zmierzającą najwidoczniej do pastora Jacksona. Przywitały się chłodno. Pani Sanders nawet na moment przystanęła, pożerając wprost Frances wzrokiem.

- Biedne dzieci - pokręciła głową, patrząc zaczepnie. - Już całe miasto wie - dodała.

- To moja sprawa - zdenerwowała się Frances. - Nic drugim do tego.

Tylko tego trzeba było bogobojnej Mabel, od razu ogarnęła ją wściekłość, święta wściekłość.

- Przeciwnie - zakipiała. - Bóg żelazną różgą wytepi zarazę. Z jednym uczyniliśmy porządek. O tobie też pomyślimy. W tym miasteczku, naszym miasteczku nie zezwolimy na rozpustę...

- Mamusiu - w oczach małej Sandry pojawiły się łzy - czego ta pani od nas chce?

- Ta pani oszalała, moje dziecko, nie przejmuj się nią.

Mabel Sanders postąpiła krok do przodu. Frances poczuła brzydki zapach jej popsutych, zaniedbanych zębów.

- Dzień sądu jest blisko - zagrzmiała. - Dzień sądu nad wami, katolikami, coście zapomnieli o Bożych przekazaniach.

- Najważniejsze, przeklęta dewotko - odcięła się Frances, dygocząca z nerwów, że ty o nich nie zapomniałaś!

Tego już było Mabel za wiele. Słowo „dewotka” smagnęło ją niczym różga, lecz najboleśniej ugodziło w jej ambicję. Popatrzyła na swoją przeciwniczkę nienawistnie - jeśliby jej wzrok miał moc obracania w popiół, to z Frances naprawdę niewiele by pozostało - potem wzruszyła ramionami, pragnąc w ten sposób dać do zrozumienia, że gadka tak upadłej kobiety, jak jej rozmówczyni, wcale nie robi na niej wrażenia, odwróciła się i odeszła.

Ale wewnątrz siebie przeklinała Frances na wszelkie możliwe sposoby.

Zaraz spotkam się z pastorem Jacksonem - myślała - i opowiem mu, do czego doszła Frances Mortimer, opowiem mu, że stała się prostytutką, lub nawet jeszcze kimś gorszym. Przyzna mi rację, jestem tego pewna. Trzeba będzie wtedy osądzić tę gorszycielkę obyczajów, osądzić w podobny sposób jak Larry'ego Daya. Niech ludzie zobaczą, do czego prowadzi niemoralne postępowanie...

Niech zobaczą...

W tym samym mniej więcej czasie James i Ron kąpali się w basenie, a Lisa, przytuliwszy twarz do szyby, obserwowała ich ze swojego pokoju. Czowała, że nadszedł odpowiedni moment na to, by się rozliczyć ze starszym z braci.

I ponownie wzbierało w niej to przyjemne

podniecenie, to samo co wtedy, gdy zabiła psa i gdy doprowadziła do uwięzienia proboszcza. Krew zaczynała szybciej krążyć w jej żyłach, a serce uderzało ciut mocniej niż zazwyczaj...

Ubrała się. Założyła sandaalki, krótkie spodenki, białą bezrękawkę i w świetnym humorze, zawsze w takich momentach miała dobry humor, wybiegła na dwór.

Chłopcy, łobuzujący w najlepsze, na widok siostry natychmiast umilkli. James przypomniał sobie oczywiście wieczorną rozmowę, dlatego z miejsca posmutniał. Ron raz tylko na nią zerknął, dojrzał zafrasowaną minę brata, i natychmiast pojął, o czym myśli.

- Przyszła jędba - mruknął cicho.

- Przestań - szepnęła James.

- Dlaczego nie poszłaś z mamą? - zapytał Ron, gdy Lisa usiadła na brzegu basenu, przymrużonymi od słońca oczyma obserwując braci.

- Bolał mnie brzuch - skłamała.

- Akurat - roześmiał się Ron.

Lisa też się roześmiała. Ten pajacyk wcale nie był taki głupi, wcale. Lubiała spryciarzy. Walka z nimi sprawiała jej prawdziwą przyjemność. Teraz musiała czym prędzej splawić Jamesa, co wydawało się całkiem nietrudne.

- Braciszku! - spojrzała na niego przymilnie. - Pójdiesz kupić dla nas lody, dla nas wszystkich? Sobie weź, rzecz jasna, największe. Te, które najbardziej lubisz.

Nie musiała tego Jamesowi dwa razy powtarzać. Natychmiast, niewiele myśląc, wygramolił się z basenu i cały ociekający wodą, stanął przed siostrą. Uśmiechał się od ucha do ucha. Lubił lody, zwłaszcza te, które nazywał „Czekoladową Chmurką”. Były pyszne, nadziewane rodzynkami i orzechami.

- Już idę - powiedział.

Lisa skinęła głową, wkładając mu do dłoni kilka monet. Wiedziała, że wróci za około piętnaście minut. To powinno w zupełności wystarczyć.

Ron spod oka obserwował rozwój wypadków.

- Chcesz nas przekupić, podrzutku? - zadał pytanie.

- Ależ, braciszku - roześmiała się - przecież wiesz, jak was lubię.

- Jak psy dziada w ciasnej ulicy - burknął.

Udała, że nie bierze sobie tych słów do serca.

- Jestem już lepsza od ciebie! - przymrużyła oko.

- W czym?

- W nurkowaniu!

- Nigdy mnie nie pokonasz...

- A jednak cię pokonałam. Wytrzymałam dłużej pod wodą. Jesteś słabiutki!

- Tak? To przekonajmy się...

- Przekonajmy... Nurkuj pierwszy. Przetrzymam cię pod wodą, potem ty mnie...

- Dobrze!

Ron przybliżył się do Lisy, przykucnął, aby ułatwić jej zadanie. Dziewczynka lekko położyła dłonie na jego głowie, przymknęła oczy i w tej samej chwili szarpnęła brata z całej siły ku sobie tak mocno, że trzepnął głucho o ścianę basenu, potem natychmiast go wepchnęła pod powierzchnię.

Ron zaczął się dusić. Nie miał siły na obronę, gdyż był zamroczony, a przede wszystkim przerażony. Ostatni haust powietrza uciekł mu z płuc, a w jego miejsce wdarła się woda...

Lisa poczerwieniała z wysiłku...

Ron umierał...

Lisa przypadkowo, mimochodem, odwróciła na

moment twarz ku furtce i ujrzała - ku swemu przerażeniu - wchodzącego przez nią szeryfa. Sam Wilder właśnie przystanął w miejscu, w mgnieniu oka objął jednym spojrzeniem całą sytuację, pojął, że dzieje się coś bardzo niedobrego.

- Ratunku!!! - wrzasnęła Lisa. - Ratunku!!! Na pomoc!!! Dłużej już nie wytrzymam...

Szeryf rzucił się ku niej, ogromnymi krokami pokonując przestrzeń. Wskoczył w ubraniu do basenu, chwytając w ramiona Rona.

Za moment chłopak leżał na brzegu, a Wilder wdychał mu powietrze do ust i uciskał klatkę piersiową.

- Żyje! - westchnął z ulgą, obserwując, jak Ron dochodzi do siebie krztusząc się i kaszląc.

- Liso - zerknął na dziewczynkę. - Co się stało?

Rozplakała się.

- Nie wiem - mówiła cicho, drżącym głosem. - Poszłam na sekundę do domu, kiedy wróciłam, on był pod wodą. Złapałam go i próbowałam wyciągnąć, ale nie dawałam rady... Wtedy pan się zjawił...

Sam Wilder wciąż nie spuszczał z niej spojrzenia. Zdawało mu się, że niebieskie oczęta spowiła mgła, przez którą nie sposób się przedrzeć.

- Liso! - rzekł. - Zaniosę brata do domu i poczekam na mamę. Ty też chodź ze mną, może będę cię potrzebował...

Pastor Jackson urzędował w plebanii już od rana, czyniąc najróżniejsze porządki, zaglądnając to tu, to tam, aby wszystko wyglądało jak najlepiej. Rzadko bowiem zdarzały się zebrania wiernych, ściągające tak wiele osób i poświęcone sprawom tak ważnym, jak należyta obyczajowość.

Prawdę powiedziawszy jeszcze całkiem niedawno, a mianowicie przed aferą z Larrym Dayem, wielebny nie sądził, aby było w Snow Hills pod tym względem najgorzej. Jeśli się czegoś obawiał, to wyłącznie motocyklistów, ubranych w czarne kurtki, ozdobione z tyłu - chociaż ozdobione to zapewne niewłaściwe słowo: raczej zeszpecone - wizerunkiem diabła. Jednak okazało się, ku jego zaskoczeniu, że ci ludzie wcale nie byli najgorsi. Owszem, rozrabiali, wypili niekiedy za dużo, lecz ich przywódca, Procentowy John, natychmiast przywoływał ich do porządku. Młodość, młodość - mówił sobie pastor.

Rzecz jasna nadal nie uważał ich za świętych, nie zamierzał też usprawiedliwiać.

Z drugiej strony to właśnie szef Jeźdźców Nocy należał do tych, co najbardziej krytykowali Daya i w końcu doprowadzili do słusznej, zdaniem wielebnego, kary.

Zadziwiającym było, to Jacksona dręczyło najbardziej, dręczyło do tego stopnia, że nawet rozmyślał o tym po nocach - że ksiądz krył się ze swoim złem tak długo, tak straszliwie długo.

Wielebny bał się, bardzo bał, czy nie ma więcej ofiar grzesznej pożądlivosti tego z pozoru dobrotliwego - ach,

jakże niewinnie wyglądał z tą swoją tuszą, poczciwą gębą i błękitnymi oczyma - bożego sługi. Ludzkie milczenie, myślał sobie, nie jest dziwne. Kto przyzna się ochoczo do seksualnego molestowania?

Która dziewczynka, przerażona, biedna i zastraszona, powie: ze mną też to uczynił?... Który rodzic na to pozwoli? Tak, takie sprawy okrywa zmowa milczenia...

Może rzeczywiście najlepiej o przebrzydłym postępku proboszcza zapomnieć, lecz przy tym nie dopuścić, aby podobna sytuacja się powtórzyła...

Pastor zerknął na zegarek, dochodziła jedenasta. Wyszedł ze swojego gabinetu, prawie zderzając się z Mabel Sanders.

- Właśnie szłam do wielebnego - oznajmiła. - To będzie chyba najważniejsze wystąpienie w moim życiu, trochę się obawiam...

- Nie ma czego!

Szli szerokim przestronnym korytarzem, Mabel rozglądała się niepewnie na boki, pozdrawiając plotkujących przed salą wiernych, trochę zdziwiona naprawdę dużą frekwencją.

Naraz uświadomiła sobie, kto przy niej idzie, uświadomiła sobie, jak bardzo na nią liczy, jakim darzy zaufaniem, i to dodało jej otuchy, również pewności.

Śmiało stanęła wraz z wielebnym przed zgromadzonymi, uśmiechała się, wyłapując wzrokiem znajomych, pozdrawiając ich lekkim skinieniem głowy, gromadząc w sobie siły do przemówienia.

- Niedawno utworzyliśmy komitet do walki o prawdę - zaczął wielebny - do walki o czystość. Powołaliśmy do niego najbardziej zacnych pośród nas, a przewodnictwo powierzyliśmy Mabel Sanders. Posłuchajmy, co chce nam

dzisiaj powiedzieć...

Mabel odchrząknęła, zbierając w sobie siły.

- Nie jestem dobrym mówcą - rozpoczęła - więc nie oczekujcie po moim wystąpieniu cudów. Powiem tylko, co mi leży na sercu. A na sercu mi leży, aby nasze Snow Hills stało się porządnym miasteczkiem. Jeśli takim ma się stać, to chyba każdy tutaj ze mną się zgodzi - zło należy tępić w samym zarodku, tępić i surowo karać. Wtedy - z tym, jestem pewna, również się zgodzicie - każdy widzi, że jest sprawiedliwość. Nasze moralne postępowanie da przykład naszym dzieciom, aby postępowaly w ten sam sposób. Uczciwy ojciec, uczciwa matka, to uczciwy syn i uczciwa córka. To porządna amerykańska rodzina, trzymająca się porządnym zasad. Nic więcej do szczęścia nie trzeba. Dlatego już dzisiaj nie lękajmy się piętnować tego, na co nie powinniśmy, jako prawi chrześcijanie, przyzwolić. Nie lękajmy się szczególnie wtedy, gdy dotyczy to naszych znajomych, czy nawet bliskich. Ja zacznę pierwsza! Wszyscy znacie rodzinę Mortimerów, prawda?

- Znamy! - odchrząknęło z sali.

- Chcę wam powiedzieć - zakomunikowała Mabel - że Frances zdradziła męża z Tedem Mertonem, wprowadzając w swój dom zgorszenie i zarazem wprowadzając je do Snow Hills. Nie muszę wam wyjaśniać, jaka to tragedia dla dzieci, nie muszę, gdyż wszyscy już na pewno wiecie, że zrozpaczony Jacob opuścił rodzinę...

- Wiemy! - zawrzało na sali.

- Ukarać ją! - wołali zebrani. - Ukarać! Publicznie napiętnować. Wygarbować skórę batami... Niech to się stanie przestrożą dla innych...

- Prawda! - zawołała Mabel, wznosząc dłonie do góry.

- Kto jest za tym, niech podniesie rękę...

Wszyscy je podnieśli.

Mabel, zadowolona, klasnęła.

- Jednak nie zapominajmy - zawołała - o karze dla Mertona. On przecież także zgrzeszył, on także powinien odpokutować...

- Tak! Tak! Racja!... Ale co dalej?

- Wybierzemy spośród nas ochotników, niech pochwyć jedno i drugie, czym prędzej przyprowadzą tutaj, a my ich osądzimy.

- Teraz ich osądzmy - krzyknął Procentowy John, z uciechą obserwujący rozwój wypadków.

- Tak, teraz! - zawtórowali inni.

Mabel rozłożyła ramiona, prosząc o spokój.

- Macie rację - przyznała. - Wymierzmy im baty. Niech ona dostanie piętnaście, a on dwadzieścia. Publicznie, na oczach wszystkich i ku przestrodze wszystkich.

Zgadza się?

- Zgadzaamy!

- Kto ich doprowadzi?

Procentowy John natychmiast wstał.

Och, jakże go cieszyła ta cała heca, jakże go cieszyło udawanie uczciwego faceta, a przy tym folgowanie swoim najgorszym instynktom. Samą rozkoszą było widzieć dyndającego na gałęzi Daya, rozkoszą było obserwować tych niby poczciwych i dobrych obywateli, w rzeczywistości gorszych zapewne i wredniejszych od niego.

- Ja chcę iść - zawołał. - Ja pójdę wraz ze swoimi ludźmi.

- W porządku - rzekła Mabel. - Przyprowadźcie ich tutaj. Niech wysłuchają naszych zarzutów, przyjmą do wiadomości swoje winy, a potem, po wymierzeniu kary, proszą nas wszystkich o wybaczenie.

Florentina Russell, z usposobienia kobieta łagodna i dobrotliwa, miewała niekiedy napady złego humoru, które przychodziły często nie wiadomo skąd.

Radziła sobie z nimi w ten sposób, że natychmiast wynajdywała jakieś zajęcia, jedno po drugim, zmuszające do wyteżonej pracy, która pozwalała jej zapomnieć o, jak mówiła, zwykłych głupstwach.

Był osiemnasty lipiec, sobota - dzień wypełniony od rana słońcem, rozświetlony piękną pogodą, upalny, ale trochę wietrzny, co łagodziło spiekotę. Florentina jednak, wcale nie uspokojona letnią aurą, nie potrafiła zapomnieć o problemach.

A były niecodzienne! Wcale nie dotyczyły spraw małżeńskich, czy rodzinnych, nie dotyczyły też spraw zdrowotnych, nie wynikały bynajmniej z niewłaściwego postępowania, to się zdarzało, Marity. Nie, one były spowodowane tym, co działo się w miasteczku. A działy się, zdaniem Florentiny, rzeczy wręcz straszne i wołające o pomstę do nieba.

Widziała na własne oczy, znalazła się wtedy w Snow Hills zupełnie przypadkowo, gdyż nagle wpadła na pomysł, aby odwiedzić salon kosmetyczny, jak umierał ksiądz Larry Day. Widziała, co z nim zrobiono, widziała ten zatrważający wybuch nienawiści, nienawiści rozszalałej, przypominającej wody nagle spiętrzonej przez ulewne deszcze rzeki, która z bulgotem pożera w mgnieniu oka wszystko, co tylko napotka na swojej drodze, rozbijając przy tym domy, przewracając

drzewa, uśmiercając ludzi.

Tak, wiedziała, co proboszcz uczynił i zgoda, postąpił ohydnie. Za takie rzeczy nie było wybaczenia. Tym niemniej to sąd, jej zdaniem, powinien wymierzyć karę, wymierzyć ją sprawiedliwie, zachowując przy tym powagę, dostojeństwo, a przede wszystkim nie poniżając samego siebie.

Bo mieszkańcy Snow Hills, myślała, zatracili wszelki umiar. Czym, na litość boską, różnią się od pospolitych kryminalistów? Niczym! Widziałam ich rozszalałe oczy.

Widziałam w nich pragnienie rzezi, pragnienie krwi i zarazem widziałam ten potworny strach proboszcza.

O nie! Nie chcę tu dłużej mieszkać. To złe miejsce, za dużo w nim demonów, zrodzonych z nienawiści.

Ale bała się o swoich uczuciach powiedzieć Christopherowi. Zresztą on przebywał w innej rzeczywistości, przebywał w świecie swoich doświadczeń, badań. Bez końca o nich rozmyślał, albo milcząc, ze wzrokiem utkwionym nie wiadomo w co, albo mówiąc rzeczy, z których niewiele pojmowała.

Drobne pocieszenie znajdowała w Maricie. Dziewczyna, nadal bezkrytycznie wpatrzona w ojca, zdawała się tak szczęśliwą, jak nigdy dotąd. Poza tym bardzo polubiła Mike'a Vernona i - Florentina przyznawała to z radością - naprawdę stanowili dobraną parę, a raczej by stanowili, ponieważ uważali swój związek nie za miłość, lecz za przyjaźń.

Tak więc zachowywała milczenie.

Zachowywała...

Ostatnie zdarzenie wyczerpało bowiem jej cierpliwość.

Szła sobie wtedy wolno Aleją Księżycową, rozmawiając o różnych głupstwach z towarzyszącą jej

Maritą, zatrzymując się przed wystawami sklepowymi lub wstępując na moment do sklepów.

Przy końcu ulicy, po jej przeciwległej stronie, tam gdzie zaczynał się miejski park, dostrzegły zbiorowisko ludzi.

- Czyżby jakiś festyn? - zapytała Marita.

- Nic o tym nie słyszałam - odparła zaciekawiona.

Udały się w tamto miejsce. Prędko, po przejściu drogi, natknęły się na Nicka Vernona, który na ich widok wyraźnie się zmieszał. Florentina natychmiast pojęła, że ponownie coś się wydarzyło, i to coś nie najlepszego.

- Co się dzieje? - spojrzała na Nicka.

- Pani Russell - odparł zakłopotany - nie chcę nic mówić, ale powinna pani wrócić do domu. To nie na pani i córki oczy. Ci ludzie doprawdy poszaleli...

- Co się dzieje? - powtórzyła.

I wtedy zabrzmiał przeszywający krzyk, kobiecy krzyk.

- To Frances Mortimer - spuścił głowę. - Wymierzają jej karę za zdradę małżeńską... karę chłosty...

- Mój Boże!

- Nie mogłem na to patrzeć. Parę osób, w tym ja, próbowało zapobiec tej grotesce, ale nasze starania przyniosły mierny rezultat. Niewiele brakowało, aby podenerwowani ludzie i nam się dobrali do skóry.

Florentina nie wierzyła własnym uszom. Przez moment patrzyła niedowierzająco na Vernona, lecz następny przeraźliwy wrzask prędko przywrócił ją do rzeczywistości.

- Bóg im tego nie daruje - wyszeptala drząc z nerwów i obróciła się ku Maricie: - Idziemy stąd - zakomenderowała. - Idziemy czym prędzej...

I poszły. Jednak ani jedna, ani druga nie przestawały rozmyślać nad tym, co niechcący ujrzały. Marita zamknęła

się w sobie, nie chcąc nawet w pamięci wracać do przykrych sytuacji, lecz powracała do niej w nocnych koszmarach.

Natomiast Florentina milczała, gdyż obawiała się, że rozmowy o przeprowadzce ze Snow Hills, natychmiastowej przeprowadzce, zapoczątkują małżeńskie niesnaski, burząc zgodne pożycie.

Lecz milczała do pewnego czasu, a konkretnie mówiąc właśnie do tej pięknej słonecznej soboty. Minionej nocy bowiem zrozumiała, że nabranie wody w usta wcale nie rozwiązuje kłopotów, a wręcz je powiększa.

Postanowiła zatem poważnie porozmawiać z mężem.

Aby stworzyć odpowiedni nastrój przygotowała pyszne śniadanie, takie śniadanie, za jakim przepadał: z ciasteczkami, z kremem czekoladowym, z aromatyczną rumową kawą.

Krzątała się w kuchni, nad słuchując jak wstaje, idzie do łazienki, goli się, nucać pod nosem arię z „Carmen”.

Jest w dobrym humorze, pomyślała. To dobrze.

Usiedli wreszcie przy stole.

- Naszej Maritki nie ma? - zagadnął Christopher.

- Nie, wyszła z rana.

- Prawdziwy latawiec. Poszła we mnie.

Florentina milczała.

Russell spojrzał na nią uważniej.

- Czy coś się stało? - zapytał.

- Tak - odrzekła.

- Co takiego?

- Chyba cię zaskoczę tym, co teraz powiem, lecz muszę to powiedzieć!

- Mów!

- Powinniśmy się stąd wyprowadzić...

Christopher wręcz oniemiał... Jego żona - mimo

powagi sytuacji - z trudem powstrzymała uśmiech, widząc, jak tuż przed ustami zatrzymał łyżkę.

- Wyprowadzić? Wyprowadzić ze Snow Hills? Dlaczego?

- Widzisz, mój drogi, jesteś pochłonięty pracą, nie dostrzegasz tego, co dzieje się wokół...

- A co się dzieje?

- Nic nie słyszałeś o Larrym Dayu?

- Słyszałem. To pedofil! Szeryf go zamknął...

- To prawda...

- Florentino!... Takie rzeczy czasami się zdarzają. Nie powinnaś się tym przejmować. Poza tym Marita jest już duża.

- Czy słyszałeś, co się stało dalej?

- A co się stało dalej?

- Więc nic nie wiesz?

- Nie wiem. Praca mnie za bardzo absorbuje. Przyznaję, że to czasami wręcz szkodliwe.

- Proboszcza Daya powieszono w biały dzień. Ludzie wyciągnęli go na siłę z więzienia, zaprowadzili do parku i tam dokonali samosądu...

Russell milczał. Rozmawiał parę razy z księdzem, polubił go i uważał za całkiem miłego człowieka. Po aferze z Lisą Mortimer zmienił, rzecz jasna, tę opinię.

- To nie wszystko - ciągnęła dalej Florentina. - Niedawno, wyobraź sobie, wybatożono publicznie Frances Mortimer, matkę tej biednej dziewczynki, za to, że zdradziła męża. Mieszkańcy Snow Hills, Christopherze, to jacyś psychopaci. Nic nie rozumiem z tego, co tu się dzieje. Dlaczego szeryf nie interweniuje? Dlaczego milczy?

- Nie wiem... To dziwne... To wbrew prawu!

- Wynośmy się stąd, póki nie jest za późno...

Russell bezradnie rozłożył ramiona.

- To nie takie proste - odparł. - Nawet jeśli to zrobimy, to nie tak szybko...

- Więc się zgadzasz?

- Twoje i Marity szczęście jest dla mnie najważniejsze. Skoro czujecie się źle w Snow Hills, to pożegnamy to miasto. Sądzę jednak, że przed podjęciem takiej decyzji powinniśmy pogadać z szeryfem. Być może coś to zmieni lub coś wyjaśni...

- Więc zrobmy tak...

- Zrobimy. Nawet już jutro.

Po południu Mike i Nick Vernonowie wybrali się w odwiedziny do Roya Sandersa.

Wzięli ze sobą na wszelki wypadek dwa pistolety, zostawili też u znajomych listy, które miano przekazać Policji Federalnej w sytuacji, gdyby coś im się stało.

Jechali obaj starym jeepem, jechali niewiele rozmawiając, ale myśląc o tym samym.

Dokumenty, przekazane im przez Bena Gowera, po starannym przeanalizowaniu ich treści, a przede wszystkim sprawdzeniu zawartych w nich danych, okazały się, niestety, prawdziwe.

Louis Ward, jedna z najszacowniejszych, najbardziej znanych w okolicy i nie tylko osób, Louis Ward, przyjaciel Mike'a, jedyny człowiek pomagający mu, gdy wraz z bratem nie miał się gdzie podziać, okazał się najprawdziwszym zbirzem, i to zbirzem pierwszej kategorii.

Należał bowiem, jak się okazało, do czołowych przedstawicieli amerykańskiej mafii: prał brudne pieniądze, handlował narkotykami, bronią, żywym towarem, prowadził sieć burdeli, działających na terenie całych Stanów. To natomiast, co robił w Snow Hills, było jedynie przykrywką, zasłoną dymną, bardzo sprytnym kamuflażem. W swoje

życie, w swoje interesy Ward wtajemniczył Roya Sandersa i Richarda Bromleya, którym daleko było do odgrywania czołowej roli w podziemnym światku, ale którzy, na zlecenie Warda, zajmowali się jego operacjami finansowymi.

Ojciec Vernonów, Kirk, rozszyfrował, jak wynikało z dokumentów, prawdziwą działalność trzech panów, zamierzając wnieść przeciw nim pozew do sądu. I najprawdopodobniej za ten zamiar zapłacił życiem. Niemniej nie było dowodów na to, że to właśnie Louis Ward uśmiercił starego Vernona.

Mabel Sanders zdziwiła się na ich widok i natychmiast oznajmiła, że Roya nie ma w domu. To pracuś, uśmiechnęła się. Nawet w soboty spędza czas w biurze.

Uśmiechnęła się dla niepoznaki. Wizyta Vernonów nie przypadła jej do gustu, gdyż Roy kiedyś skarżył się na obydwu braci. Poza tym jeden i drugi lubił zaglądać do kieliszka i choć ostatnio, co prawda, nie widziała ich wstawionych na ulicy, to miała o nich złe zdanie.

Gdy tylko odeszli, natychmiast złapała za telefon ostrzegając męża, że najprawdopodobniej za parę minut go odwiedzą.

Tymczasem Mike i Nick jechali już w stronę hotelu.

- To paskudna baba - powiedział młodszy z braci.

- Tak, nic przyjemnego - odparł z westchnieniem Mike, modląc się w duchu, aby w przyszłości niebo nie obdarzyło go kimś podobnym do pani Sanders.

- Jak myślisz, czy ona wie?

- Nie sędzę, ale...

Podjechali pod hotel.

Roy Sanders, zaalarmowany przez żonę, już na nich czekał. Siedział w recepcji, w wygodnym głębokim fotelu, umilając sobie czas pogawędką z sekretarką.

- Co was przyniosło? - zapytał nieprzyjemnie na ich widok.

- Odpraw ją - rzekł Mike. - To poważne sprawy, przychodzimy w poważnych sprawach... Odpraw...

Bromley przyjrzał się braciom, potem zerknął na kobietę, dając jej znak, aby na parę minut zniknęła.

- Więc?

- Louisa Warda i Richarda Bromleya nie ma w Snow Hills. Wyjechali... Dlatego przychodzimy do ciebie...

- Ward i Bromley? Co ja mam z nimi wspólnego?

- Roy! Dobierzemy ci się do dupy. Tobie i im. Wiemy, co robicie. Wiemy, że nasz ojciec wiedział. Chciał was zdemaskować, więc go zabiliście, pozorując samobójstwo... Ale z nami tak łatwo wam nie pójdzie...

Sanders znieruchomiał. Patrzył na Vernonów szeroko otwartymi oczyma. Jeśli udawał, to był naprawdę znakomitym aktorem.

- Zwariowaliście? - złapał się za serce.

- Przestań strugać idiotę!

- Wiesz, co ci powiem, Mike! Idźcie sobie do wszystkich diabłów. Nie muszę wysłuchiwać tych bzdur. Nikt mnie do tego nie zmusi. Wasz ojciec był porąbanym facetem i wy też jesteście porąbani. Wynoście się stąd. Nie chcę was oglądać.

Mike oparł się dłońmi o ladę, złapał Sandersa za rękę.

- Już nas nie spławisz! Uprzedź o tym swoich kompanów... Teraz sobie pójdziemy, pójdziemy wprost do biura szeryfa, aby mu przekazać, kto ponosi winę za śmierć naszego ojca. Nie wymigasz się, przekłety łotrze!

- Wynocha! - wystękał Sanders.

Bracia wyszli, a hotelarz wytarł chusteczką spocone czoło. Żałował w tej chwili, że kiedyś, powodowany nagłą

potrzebą finansową, zapożyczył się, i to poważnie zapożyczył, u Louisa Warda, który - gdy nie miał gotówki, aby spłacić dług - zażądał odeń przysług z początku drobnych, a wkrótce coraz znaczniejszych. Nim się Roy obejrzał, już po uszy tkwił w bagnie, już robił wszystko, co Louis mu kazał, na nic się przy tym nie oglądając.

Z czasem pogodził się z sytuacją. Ostatecznie nie on jeden postępował wbrew sobie, nie on jeden miał coś na sumieniu. Jeśli tak się głębiej zastanowić, to ludzi uczciwych można by ze świecą w garści szukać po całym świecie i zapewne niewielu by się ich znalazło.

Nawet, myślał sobie, Larry Day - osoba, według wszelkich założeń, z gruntu przyzwoita - okazał się mieć swoją czarną stronę. Cóż, takie to już życie, taki zasrany świat.

Jedynym facetem, który według jego wiedzy, nigdy się nie splamił, nigdy nie wszedł w żadne układy, był Kirk Vernon, wypisz wymaluj prawdziwy kowboj z westernu; twardy gość do końca walczący o swoje ideały.

Lecz porządni goście zazwyczaj przegrywają, więc Kirk Vernon również przegrał, bo nawet się nie spodziewał, że Louis Ward nie zna takiego słowa, jak skrupuły.

On sam, Roy Sanders, nie przyczynił się do uśmiercenia starego Vernona, chociaż Ward i Bromley poprosili go o pomoc, zdołał się wymówić za pewną, wyrządzoną im przysługę, która też go wiele kosztowała, ale nie tak wiele, aby z tego nie wyszedł w miarę cało. I dzięki Bogu. Mógł przynajmniej teraz udawać przed Vernonami, że naprawdę o niczym nie wie.

Jednak nie mógł pozostać beczynnym.

Wykręcił numer do Louisa Warda.

Głowa ciążyła mu straszliwie i kołowała na wszelkie

strony, jakby była małą łajbą miotaną falami na prawo i lewo. Stęknął, zachwiał się, podparł o szafę, patrząc na swoją zaczerwioną twarz, odbitą w posrebrzonym zwierciadle, przymocowanym do ściany. Zaklął z obrzydzeniem, czując w gardle mierzący nieprzyjemny smak wódki, którego, pomimo przeplukania ust miętą, nie mógł się pozbyć...

Poprzedniego dnia, po wizycie braci Vernonów, przestał nad sobą panować.

Upił się prawie do nieprzytomności, pragnąc w ten sposób uciec chociaż na parę godzin od rzeczywistości.

Już z nią sobie nie radził.

Najpierw porwanie Glorii i Amandy, później przerażająca śmierć Larry'ego Daya, potem chłosta wymierzona Frances Mortimer, a wreszcie wczoraj niespodziewana informacja o prawdziwym obliczu Louisa Warda, Richarda Bromleya i Roya Sandersa.

Jakby nie dosyć było tych nieszczęść, dochodziła do nich jeszcze sprawa Lisy Mortimer, tej prawdziwej, nie znanej nawet przybranym rodzicom, Lisy Mortimer...

To dziwna dziewczynka, myślał sobie Sam Wilder, przytrzymując się nadal szafy, inna niż wszystkie. Głowę bym dał, że próbowała swojego brata utopić! Przecież widziałem to na własne oczy. Dopiero gdy mnie spostrzegła, udała, że go ratuje.

Osunął się na podłogę, nie zwracając wcale na to uwagi. Ponownie przypomniał sobie tamte chwile.

Natychmiast zaniósł chłopaka do domu, położył do łóżka, okrył starannie kocem, zadzwonił po lekarza. Wprawdzie nie wydawało mu się, aby dzieciak ucierpiał, wołał jednak nie ryzykować. Lisa natomiast gdzieś zniknęła. Frances Mortimer, jeszcze nie przeczuwając, co ją czeka w najbliższej przyszłości, zjawiła się za moment roztrzęsiona

wraz z córką. Uspokoił ją, mówiąc, że Ronowi nic nie grozi. Wkrótce potwierdził to lekarz.

Potem siedzieli we dwoje w salonie, rozmawiając o najróżniejszych sprawach. O jednej tylko nie powiedzieli nawet słowa: o Jacobie Mortimerze.

Frances zdawała się wstrząśnięta rozwojem wypadków i najwyraźniej nim zmęczona, bardzo zmęczona. Zmęczona do tego stopnia, że nie miał serca zadawać jej pytań na temat Lisy, ale przecież musiał.

Zdziwiła się, kiedy zaczął, pytając, kim byli jej prawdziwi rodzice i co robili. Nie potrafiła nic na ten temat powiedzieć i, prawdę powiedziawszy, nie pojmowała po co. Wtedy Sam Wilder rzekł coś takiego, co do reszty wprowadziło ją z równowagi.

- Czy nie zauważyłaś czegoś dziwnego w zachowaniu córki? - zapytał.

- Dziwnego? - odparła pytaniem na pytanie.

- Tak!

- Co masz na myśli?

- Nie wszystko w sprawie Larry'ego Daya wydaje się jasne...

- Jak to?

- Przed śmiercią wyznał mi, że Lisa sprowokowała go do takiego zachowania. Podobno robiła to częściej...

- Sam!!! Jak ci coś takiego przez gardło przechodzi. Nie masz sumienia?

- Odpowiedz mi, Frances, na pytanie!

- Nie, nic takiego nie dostrzegłam. Twoja obecność zaczyna mnie męczyć...

- A ja dostrzegłem!

Frances zadrżała, popatrzyła z niedowierzaniem na szeryfa. Tak nie chciała ciągnąć dalej tej wymiany zdań o

Lisie. Tak nie chciała wracać do swoich obaw, do swoich lęków, do pytań, co się dzieje z jej dzieckiem, co siedzi w jego wnętrzu. Tak nie chciała...

- Co dostrzegłeś?

- Uśmiechała się, uśmiechała z mściwą satysfakcją, gdy wieszano Daya. Normalne dziecko tak nie reaguje...

- Idź już - szepnęła zmęczona Frances. - Pragnę zostać sama.

Widział po niej, że nie jest zdolna do dalszej dyskusji... Coś, był tego pewien, ukrywała, lub coś ją dręczyło...

Poszedł.

Potem już z Frances o Lisie nie rozmawiał...

Sam ocknął się, podniósł z wysiłkiem do góry, po czym ruszył do toalety, aby zimną wodą usunąć z siebie skutki przepicia.

Wszedł za parawan, włączył prysznic i westchnął z ulgą, gdy lekko podgrzana woda spłynęła na jego piersi, nogi, odświeżając ciało, tłocząc weń nowe siły.

Podniósł plastikową rączkę wyżej, kierując strumień na głowę.

I właśnie w tym momencie zabrzmiał dzwonek.

Wytarł błyskawicznie ciało, włożył do ust miętową gumę do żucia, szybko ubrał szlafrok, zerknął jeszcze do lusterka i czym prędzej zbiegł na dół, prosząc w duchu Boga o to, aby to nie były jakieś złe informacje o Glorii i Amandzie.

Przed drzwiami stali Florentina i Christopher Russellowie.

Nieco zdziwiony ich niespodziewanymi odwiedzinami, wpuścił oboje do środka.

Zdawali się zakłopotani. W każdym razie gdy już

usiedli w salonie, gdy im przyniósł kawę, spoglądali przez moment na siebie, jakby nie wiedząc, które ma zacząć.

- Jesteśmy zdenerwowani - oznajmiła wreszcie pani Russell - bo, widzisz Sam, lubimy cię, lecz przychodzimy z nieprzyjemną sprawą... To miasteczko jest straszne, ludzie w nim są straszni. Na ulicach dochodzi do samosądów, a ty nic z tym nie robisz... Nie tak to sobie wszystko wyobrażaliśmy, kiedy tu pojawiliśmy się po raz pierwszy. Okolice są przepiękne, dlatego pragnęlibyśmy tu zostać, ale jeśli nic się nie zmieni, to wyjedziemy... Co nam radzisz?

Wilder opuścił głowę.

- Jestem bezsilny - rzekł po chwili. - Wiem, że jest tak, jak mówisz, lecz nic nie mogę na to poradzić...

- Jak to? - zdziwiła się.

- Nie pytaj mnie, Florentino. Nie myślcie sobie też, że ze mnie tchórz. Proszę, nie myślcie tak. Jeśli chcecie wyjechać, to wyjedźcie na parę tygodni. Sytuacja, która tak was niepokoi, powinna lada dzień ulec zmianie. Wtedy was powiadomię. Nie ma potrzeby, abyście opuścili Snow Hills... Naprawdę nie ma...

Marita Russell czekała na rodziców w „Srebrnej Gwieździe”. Jak zwykle, gdy zaglądała do tego lokalu, zamieniła parę słów z Emie Davis, a kiedy przyszli nowi goście, została przy stoliku sama.

Tymi nowym gośćmi byli Procentowy John, Krwawy Fernando i Siwy Bob.

Wszyscy trzej przyjechali do miasta wyłącznie po to, aby trochę sobie wypić i zabawić się.

Usiedli całkiem niedaleko Marity, hałasując w najlepsze.

Procentowy John, opowiadając kumplom kawały, spojrział w pewnym momencie w stronę dziewczyny, spojrział

i oniemiał. Wręcz go zatkało. Nie mógł oderwać od niej wzroku.

Wyczuła jego spojrzenie i lekko się zatrwożyła, gdyż trzech mężczyźni obserwowali ją niczym towar na ladzie sklepowej.

- Chłopcy - szepnął John do dwóch pozostałych - muszę przerznąć tę skórkę! Muszę!

Ale w tym momencie wszedł do środka Christopher Russell. Ojciec i córka wyszli po chwili z lokalu.

- Dobrze - uśmiechnął się procentowy John. - Pojedziemy za facetem! Zobaczymy, dokąd zmierzają. Już ja się dobiore do jej tyłeczka...

Wyskoczyli błyskawicznie na ulicę...

- To mercedes! - zwołał Siwy Bob. - Facet jedzie „eska”, jest więc przy forsie! Za nim!

Wsiedli na motocykle. Procentowy John z zadowoleniem dostrzegł, że samochód zmierza za miasto. Mniej więcej dwie mile za Snow Hills wyprzedzili auto, dając znaki kierowcy, aby stanął. Marita, przyglądająca się motocyklistom, nie poznała ich w pierwszej chwili, gdyż mieli na głowach kaski.

Christopher Russell, nieświadomy powagi sytuacji i przekonany, że nieznajomi zatrzymują go w ważnej sprawie, nacisnął hamulec.

Procentowy John wolno do niego podszedł. Russell otworzył szybę, spoglądając z wyczekiwaniem na nieznanego mężczyznę.

- Dzień dobry - uśmiechnął się John, błyskawicznie wyciągając z kieszeni rękę, w której trzymał pistolet...

- Dzień dobry - ciągnął dalej. - Miło mi, że nas posłuchaliście, a teraz pozwólcie, że kawałek pojedziemy razem. Moi koledzy będą nas eskortowali...

Nim zaskoczony Christopher cokolwiek zrobił, John otworzył drzwi, wepchnął się na tylne siedzenie, zajmując miejsce tuż przy Maricie, potem przyłożył lufę do głowy jej ojca.

- Jedź sukinsynu! - rozkazał. - Jedź. Nie kuś mnie, abym nacisnął spust...

- Mój Boże - nie wytrzymała Florentina.

Po kilkudziesięciu jardach skręcili w boczną dróżkę. Zatrzymali się przy gęstym świerkowym lesie. Procentowy John wyciągnął Russellów z samochodu i spojrzął - zadowolony z obrotu sytuacji - na swoich towarzyszy, oczekujących z napięciem rozwoju wydarzeń.

Obie kobiety płakały. Christopher wydawał się pogrążony w jakimś letargu, zachowywał się jak bezwolny manekin.

Nagle, bez najmniejszego sygnału, bez jednego słowa, nie zwracając najmniejszej uwagi na przyjaciół, Procentowy John podniósł broń do góry.

Zabrzmiały dwa szybkie strzały i rodzice Marity upadli na ziemię.

Dziewczyna zaczęła przeraźliwie krzyczeć, lecz Procentowy John natychmiast do niej podskoczył, zakrywając jej usta dłonią. Próbowała się wyrwać, szamotała się na prawo i lewo, jednak bezskutecznie.

- Zanieście ich do lasu - krzyknął. - Ja zaś zabawię się z małą...

Pociągnął dziewczynę w krzaki, zadowolony, że straciła przytomność, że jest bezwolna. Ocknęła się, gdy ją gwałcił... Ponownie nakrył ręką jej twarz, nie pozwalając na krzyk...

Potem, gdy wyrzucił z siebie całą żądzę, zacisnął na szyi Marity dłonie, pragnąc się pozbyć i tego świadka...

Krwawy Fernando i Siwy Bob stali przy mercedesie, paląc papierosy.

Błyskawiczna akcja Johna wcale nie przypadła im do gustu, uznali, że posunął się za daleko, że mogą wyniknąć z tego poważne konsekwencje.

- Nie będzie żadnych konsekwencji - uspokoił ich. - Wrócimy tu wieczorem. Zakopimy trupy i zabierzemy samochód. Przemalujemy go, zmienimy tablice rejestracyjne, sprzedamy. A forsa, oczywiście, się podzielimy! W porządku?

- W porządku - zgodzili się.

Płynął przez smołę, przez czarną nie kończącą się smołę. Otaczała go z każdej strony, zdając się jakąś żywą i bezlitosną istotą, przed którą nie ma ucieczki.

Naraz dojrzał lekkie, prawie niewidoczne światło.

Rzucił się w jego kierunku, spodziewając się tam pomocy. Przesuwał się przez posępne mroczne kłęby, czując coraz większy ból, potworny rozlewający się po całym organizmie.

Mgła ustępowała, odsłaniając poplątane zarośla, majaczące tajemnicze kształty...

Jęknął.

Uzmysłowił sobie, że leży na mokrym, wilgotnym mchu, że wokół otaczają go drzewa i w tejże sekundzie przypomniał sobie, co się z nim stało.

W lesie było jeszcze dosyć widno. Rozejrzał się natychmiast za Florentiną, ale ponowna fala bólu powaliła go na ziemię. Leżał, oddychając ciężko i spazmatycznie. Dotknął dłonią żołądka, gdyż był pewien, że tam znajduje się źródło okropnych, przelewających się po nim skurczów. Jego palce spotkały się z czymś wilgotnym i lepkiem. Podniósł rękę do góry, obejrzał.

- To krew - mruknął do siebie. - Ja krwawię.

Powoli odwrócił się na drugi bok, wtedy ujrzał żonę. Pojął, że Florentina nie żyje.

Jej oczy, wytrzeszczone w jakimś bezkresnym zdumieniu, zastygły wpatrzone w dal.

Zaczął płakać.

Płakał coraz rozpaczliwiej, a jednocześnie, pokonując potworne męki, pełził do przodu, próbując odnaleźć córkę.

Po chwili wyczołgał się na drogę, zostawiając za sobą krwawy ślad. Marity jednak nigdzie nie było. Zrezygnowany zerknął na kępę krzaków, widniejących po drugiej stronie drogi. Opanowała go pewność, niezbita pewność, że znajduje się właśnie tam, lecz wraz z tym przeświadczeniem rósł w nim strach, że zginęła.

Nie zwracając już uwagi na ból, poderwał się do góry i kuśtykając przeszedł ścieżkę...

Jego córka leżała tuż za dużym krzakiem, leżała z bezwładnie rozrzuconymi rękoma, leżała pobrudzona, posiniaczona... rozebrana...

Klęknął przy niej, trwożliwie szukając oznak życia... ale ich nie znalazł.

Głaskał bezwiednie ją po głowie, całował po rękach, prosił, aby otworzyła oczy, aby nie odchodziła, nie zostawiała go samego. I płakał, płakał coraz bardziej bezsilny, coraz bardziej nic nie rozumiejący, bo jakże to tak? Jeszcze niedawno byli razem: on, żona i córka, niedawno uśmiechali się do siebie, spacerowali po mieście, zaśmiewali się z lada głupstwa, niedawno...

A teraz, w mgnieniu oka, został sam. Obie zginęły tak bezsensownie, zginęły przez podłych ludzi, zginęły bez powodu.

- Maritko - płakał - córeczko.... córeczko...

I przypominał sobie ich pierwsze spotkanie; przypominał, jak patrzyła na niego, jak się cieszyła, że go odnalazła. Przypominał sobie jej entuzjazm, jej radość, jej pogodną, życzliwe podejście do innych ludzi...

Och, gdyby ktoś go mógł w tej chwili zabić, unicestwić raz na zawsze, zamienić w kamień, uspokoić tę szalejącą w nim rozpacz, nabrzmiewającą z każdą sekundą, niepowstrzymaną, wszechogarniającą.

Delikatnie dotknął jej twarzy, otarł z piasku, a potem przytulił do siebie. I siedział tak kiwając się, nie przywiązując do niczego wagi.

- Nie bój się - mówił. - Nie zostawię cię tu samej. Nie zostawię cię w tym pośpym czarnym lesie. Wiem, że będziesz się bała, będzie ci zimno. Pójdę zaraz do samochodu po koc, okryję cię...

Poczuł naraz, że leci w ciemność.

- Tracę przytomność - szepnął do siebie. - Mam coraz mniej krwi...

Raz jeszcze dotknął szyi córki.

- Nie żyje... nic nie mogę zrobić... nie żyje... Cokolwiek bym uczynił, nie wyrwę jej śmierci. Nic już jej nie potrzebne. Ani moje współczucie, ani moje łzy...

Nagle przypomniał sobie twarze oprawców, przypomniał sobie ich wyszczerzone zęby, ironiczne uśmieszki, prymitywne dowcipy.

Bydłęta, pomyślał.

I w tejże samej sekundzie buchnęła w nim nienawiść, zabijając drugie uczucia, buchnęła i trawiła go coraz silniej.

Już zrozumiał, być może w ostatnich swoich minutach, jak powinien postąpić...

Pocałował Maritę w policzek, żegnając się z nią na zawsze, po czym ponownie wyszedł na ścieżkę, wsiadł do

samochoodu, włączył silnik i ruszył w stronę domu...

„Ja też umieram... Jest mi tak niedobrze, tak strasznie niedobrze... Snow Hills... Dlaczego tu przyjechałem, po co?... Łajdactwo, przeklęte łajdaki. Odpowiedź za to, odpowiedź straszliwie... Wy i wszyscy inni... Odpowiedź całe miasteczko...”

Nacisnął mocniej pedał gazu.

Samochód pruł przestrzeń niczym pocisk, a Russellowi zdawało się, że unosi się na jakiejś poduszce powietrznej. Światła wydobywały z mroku tak niepojęte kształty, niekiedy zamieniające się w jego żonę i córkę, wyciągające ku niemu ręce...

- To zwidy - mówił sobie. - Muszę wytrzymać, muszę...

Lecz siły opuszczały go z sekundy na sekundę. Już jedynie wysiłkiem woli zajechał przed willę, wysiadł z auta, a potem wszedł do podziemi, w budowę których włożył tak wiele wysiłku.

Zapłacicie mi za to, myślał, odkrywając kolejne drzwi. Nawet nie zdajecie sobie z tego sprawy, jakie przed wami piekło.

Wreszcie stanął przed ostatnimi, najgrubszymi, wykonanymi z metalu, kryjącymi za sobą rezultat jego wieloletnich prac, rezultat przerażający nawet jego!

Ostatnim wysiłkiem uruchomił system zabezpieczający i w tej samej chwili zgasała w nim świadomość.

Drzwi, a raczej wrota, wolno się rozsunęły na boki.

Mężczyzna zawsze sobie poradzi, rozważał Jacob Mortimer, popijając kawę w swoim gabinecie.

To prawda! Dużo nieszczęść sypnęło mu się na głowę i w zasadzie nic nie szło po jego myśli. Jednak czy należy się z tego powodu załamywać? W końcu nawet w Biblii jak wół stoi napisane, że po siedmiu latach chudych przychodzi siedem tłustych. On swoje chude, niech to szlag trafi, chyba zaliczył, więc czas najwyższy, aby zaczął się rozkoszować tłustymi. A co znaczą tłuste, to każdy jełop wie! Oznaczają mianowicie powodzenie pod każdym względem! Do czego rękę przyłożysz, to zamienia się w złoto. Oznaczają powodzenie u kobiet, a zatem głupia Frances może się wykichać lub polecieć sobie na księżyc, bo on znajdzie taką babkę, że wszystkich facetów w Snow Hills diabli wezmą z zazdrości. Będzie z nią spacerował głównymi ulicami, a oni będą wytrzeszczali gały, nie wierząc własnym oczom.

Jest tylko jeden problem, ale niestety dosyć poważny. Trudno mianowicie tak dokładnie stwierdzić, kiedy bessa ustępuje hossie. A jeśli mój czarny okres - dumął sobie - dopiero się zaczyna. Jeśli do dna zostało mi jeszcze całkiem, całkiem? Z drugiej strony cóż gorszego mnie może spotkać ponad to, co spotkało do tej pory? Oczywiście nic, chyba tylko śmierć...

Tu przerwał, bo do środka weszła Ewa Carroll prowadząc za sobą Rona we własnej osobie.

Jacob oniemiał. Nigdy do tej pory się nie zdarzyło, aby mały odwiedził go w pracy. Wystarczyło jednak rzucić nań

okiem, by się zorientować, że coś jest nie w porządku.

- Chłopak pana szukał, szefie - oznajmiła dziewczyna - więc go przyprowadziłam.

Zamknęła z westchnieniem drzwi.

Zamierzała, przygotowała się do tego psychicznie, powiedzieć Mortimerowi o tym, co spotkało jego żonę, lecz nie miała odwagi. W każdym razie Jacob był chyba jedyną osobą w Snow Hills, nie mającą o tym najmniejszego pojęcia.

Zauważał oczywiście, że ludzie przypatrują mu się dwuznacznie, ale nie dziwił się temu, mając świadomość, że Frances przyprawiła mu rogi.

- Siadaj, Ron - powiedział do syna.

- James został w kawiarni - oznajmił ni z tego, ni z owego chłopak.

- Chciałeś mi coś powiedzieć?

- Tak...

- Coś ważnego?

- Boję się, tato. Mamy nie ma w domu, więc przyszedłem...

- Mamy nie ma w domu?

- Jest przecież w szpitalu!

- W szpitalu?

- Nic nie wiesz?

- Co mam wiedzieć?

- Pobili ją źli ludzie, pobili ją za to, że przyjaźniła się z panem Mertonem...

- Jak to?

- Przyszli po nią. Kazała im przyjść pani Mabel. Potem ją pobili...

Mortimer milczał zaskoczony.

- Tato - ciągnął dalej chłopiec - ty i mama teraz się nie lubicie. Wiem o tym... Ale powiedz, czy i mnie nie lubisz?

- Nie gadaj bzdur, Ron - otrząsnął się. - Oczywiście, że cię lubię. Mów mi zaraz, co się dzieje!

- Chodzi o Lisę, Tato!

- Lisę?...

- Tak. Ona próbowała mnie zabić. Topiła mnie w basenie, ale zjawił się szeryf i mnie uratował... Nie patrz tak na mnie, tato! Naprawdę próbowała mnie zabić. Ona jest bardzo zła. Zabija zwierzęta, krzywdzi ludzi... Uwierz mi!

Jacob pokiwał głową. Biedny chłopak, myślał. Biedne dzieci. Oto do czego prowadzą kłótnie pomiędzy rodzicami. Nigdy nie przepadał za Lisą, lecz żeby aż tak?

- Dobrze, Ron - rzekł głośno - zbadam sprawę, przede wszystkim zorientuję się, co się stało z mamą. Jeśli chcesz, to możesz u mnie zostać!

- Nie, tato. Czeka na mnie James. Pójdziemy sobie na spacer, ale wieczorem, proszę cię, przyjdź do domu, bardzo cię proszę...

- Jeśli tak tego chcesz, to przyjdę. A teraz zmykaj. Mam dużo pracy.

Poczekał, aż za małym zamkną się drzwi i natychmiast poszedł do Ewy Carroll, aby sprawdzić informacje dotyczące Frances. Panna Carroll należała bowiem do tych osób, które zawsze wiedziały, co w trawie piszczy.

Nie wyglądała na zdziwioną, gdy ją zapytał.

- To prawda - odparła. - Wychłostano pana żonę...

- Wychłostano? Kto śmiał coś takiego zrobić?

- Jak to kto? Pastor Jackson wraz ze swoją kliką... Czemu pan taki zdziwiony? A z proboszczem to jak postąpili?

- To inna sprawa!

- Wcale nie. Jeśli ktoś popełnił bezprawie, to nie znaczy, aby bezprawiem na nie odpowiadać! Współczuję

pana dzieciom. Co one teraz, biedactwa, czują. Jak muszą przeżywać to, co spotkało ich matkę...

Jacob Mortimer, nie panując już nad sobą, wybiegł z budynku. Wsiadł do samochodu i natychmiast pojechał na Dragon Street. Miał w głowie istną nawałnicę myśli. Kiedy się przekonał, że Ron odnośnie Frances mówił prawdę, pojął, że o Lisie również może mówić prawdę... Było to wprost niewiarygodne, wręcz nie do przyjęcia, nie do zrozumienia... Ale przecież było.

Zatrzymał wóz z piskiem opon przed wjazdem na plebanię, skręcił w niego i wolno podjechał pod budynek.

Pastor Jackson urzędował w swoim gabinecie, a urzędowanie polegało na rozmowie z Mabel Sanders, wpatrzoną w wielebny jak w święty obrazek.

Oboje na widok rozgorączkowanego Mortimera natychmiast umilkli...

Jacob należał do ludzi bezpośrednich. Nigdy nie silił się na długie przemówienia i figury retoryczne, zawsze gadał to, co miał na języku.

- Kto wam pozwolił postąpić tak z moją żoną? - zadał pytanie, krztusząc się z wściekłości.

- Boża sprawiedliwość - odparł Jackson, uśmiechając się niewinnie i wręcz promiennie.

Lecz Mortimer wiele się nie zastanawiając uczynił coś takiego, co mało nie przypawiło Mabel Sanders o atak apopleksji.

Podszedł do wielebny, złapał go rękoma za kłapy podnosząc do góry, a prawą dłonią, otwartą dłonią, walnął na odlew w policzek, już i tak lekko zaczerwieniony.

- Ty złoczyńco - syknęła pani Sanders.

Mortimer przybliżył się do niej i wejrzał głęboko w jej oczy. Na pewno musiała zobaczyć w nich coś

nieprzyjemnego, bo więcej się nie odezwała.

- Zapłacicie mi za to bezprawie! - odezwał się cicho. - I wcale nie idzie mi tu o Frances, idzie mi o dzieci... Skrzywdziliście moje dzieci... Tego wam nigdy nie daruję...

- My też będziemy o tobie pamiętać - odgryzła się Mabel.

- To dobrze.

- Postaramy się, abyś zapamiętał swój dzisiejszy uczynek...

Nic już nie mówił, trzasnął drzwiami. Postanowił, że musi porozmawiać z szeryfem.

Kiedy ma się niewiele lat, łatwo zapomina się o kłopotach. A najłatwiej zapomina się o nich wtedy, gdy drzewa zielenią się liśćmi, kwiaty ubarwiają łąki, ptaki wyśpiewują trele, a cały wielki świat, niezmierny świat, zdaje się taki tajemniczy i fascynujący, ciągnący ku sobie magią tysiąca przygód, marzeniami o olbrzymich skarbach.

Ron i James również nie pamiętali o tym, co niedawno się wydarzyło. Gdy tylko wyszli poza Snow Hills, powędrowali kilkaset jardów leśną dróżką, prowadzącą w kierunku farmy Vernonów, lecz wkrótce zбочyli w las, z ciekawością obserwując otoczenie.

Słońce świeciło jeszcze jasno i stało dosyć wysoko na niebie, toteż drzewa utonęły w powodzi światłocieni. Nawet ciemne sieci, zadzierżgnięte gdzieś przez pająki, wydawały się drzeć od złotych promieni.

Chłopczy z ciekawością przyglądali się starym modrzewiom, zbierali szyszki pod sosnami i świerkami, łapali świerszcze, obserwowali z zainteresowaniem jaszczurkę, zastygłą na skalnym kamieniu.

Kapali się w strumieniu, zdążającym ku Ciemnym Stawom. A ile przy tym doznawali radości, gdy wzajemnie

się chlapali i wzajemnie obserwowali małe rybki, za nic nie mogąc sobie przypomnieć ich nazwy, gdy obaj leżeli na soczystej trawie, leżeli na plecach, zasłuchani w odgłosy przyrody, a po chwili wygadywali jakieś bzdury, śmieszne historyjki, wrywające z ich płuc salwy śmiechu.

Czas płynął szybko, nim się spostrzegli, zaczął zapadać zmierzch. Zmęczeni długim dniem, wolno wracali do miasta.

Nie zdawali sobie sprawy, bo skąd niby mieli wiedzieć, że wybrali nieszczególną porę na spacer. Las bowiem z minuty na minutę stawał się coraz bardziej niebezpieczny.

Powoli zbliżali się do miejsca, do którego ciągnął także Samotnik, olbrzymi szary Grizzly, niedźwiedź zabójca, mający na sumieniu parę ludzkich istnień i o wiele więcej napadów na pola namiotowe, biwaki, a nawet zaparkowane samochody...

Był to wyjątkowo agresywny osobnik, doświadczony, chytry, a przy tym sprawny niczym wiewiórka i rączy jak jeleń.

Jego ostatnim wyczynem, po którym polowano nań od kilku dni, było wywleczenie z namiotu dwudziestoletniej dziewczyny, studentki archeologii przebywającej na wakacjach, zabicie jej, a następnie częściowe zjedzenie.

Ścigany przez myśliwych przewędrował kilkadziesiąt mil, gubiąc w końcu pogon.

Teraz, wraz z lekkim wiatrem, wiejącym mu w nozdrza, wyczuł woń człowieka, a że zgłodniał, natychmiast ruszył w tym kierunku, przedzierając się między gęstymi świerkami.

Tymczasem bracia wędrowali drogą, nic nie podejrzewając. Ron pierwszy doznał uczucia, że nagle coś się

zmieniło.

Zabrzącał w nim taki wewnętrzny dzwoneczek mówiący: uważaj, coś jest nie w porządku. Chwilę później podobne doświadczenie nagłego lęku przypadło w udziale Jamesowi. Po prostu naraz świat stał się wrogi i - tego był James pewny - w środku lasu czyhał wielki, szkaradny pająk...

- Boję się - powiedział młodszy z Mortimerów. - Jest tak cicho! Ptaki chyba uciekły...

Przerwał gwałtownie. W kupie gęstych zarośli dostrzegł wielkie czerwone oczy, takie jakies błyszczące, bez wyrazu, wpatrzone w niego badawczo...

Krzyknął.

Ron zastygł.

- Potwór - wrzasnął jeszcze głośniejsze James.

Jego starszy brat zadrżał, drobne igielki przebiegły mu po plecach, czoło momentalnie okryło się potem. Spojrzał szybko tam, gdzie patrzył James, jednak niczego nie dostrzegł. Głupstwa, przeszło mu przez głowę, nie ma potworów.

Ale było mu nieswojo, bardzo nieswojo...

- Chodźmy stąd - nakazał.

James trwoźnie przypadł do niego i złapał go za rękę.

- Przestań - roześmiał się sztucznie Ron.

Nagle usłyszał z tyłu delikatny szmer. Odwrócił się czym prędzej, wytrzeszczając w niepomiernym zdumieniu oczy, gdyż w dali zamajaczył mu jakiś olbrzymi kształt, który za moment rozwiązał się niby mgła.

W tym samym momencie Samotnik, zbliżający się coraz bardziej do chłopców, zatrzymał się jak wryty, gdyż podmuch wiatru przyniósł jakiś inny, nie znany mu zapach, nie kojarzący się z niczym przyjemnym, wprost przeciwnie,

budzący lęk...

To coś, co wydzielało ową woń, musiało być w pobliżu, więc stanął na łapach, węsząc i nasłuchując. Do tej pory nie spotkał nigdy zwierzęcia, może poza tym, co biegło na dwóch nogach, mogącego mu zagrozić. A i to dwunogie zwierzę było silne wyłącznie z grzmiącym kijem, pozbawione go stawało się zupełnie bezbronne.

Teraz jednak, a podpowiadał mu to instykt, znajdował się w prawdziwym niebezpieczeństwie.

Zamarł. Z poszycia leśnego, tuż przed nim, wychylił się bezszelestnie wielki łeb olbrzymiego węża, mutanta stworzonego przez Russella, wznosił się bez wysiłku na wysokość dziesięciu stóp... Szeroka paszcza rozchyliła się, ukazując lśniące zęby...

Niedźwiedź zrozumiał, że nie ma w tym pojedynku najmniejszych szans. Szybko się odwrócił, starając się uciec, lecz potwór wystrzelił potężnym cielskiem, mierzącym około trzydziestu jardów, do przodu, wpijając się w łeb Samotnika i sącząc weń truciznę równie silną jak jad kobry.

Przerażliwy syk i jednocześnie ryk zdychającego niedźwiedzia, targnęły powietrzem.

Ron i James, słysząc ten ścinający krew w żyłach odgłos, rzucili się do panicznej ucieczki, zatrzymując się - po piętnastu minutach nieprzerwanego biegu - na skraju łąki.

- Co to było? - zapytał trwożliwie James. - Słyszałeś ten syk?

- Słyszałem. Wydawało mi się, że w dali... wydawało mi się, że widziałem potężnego węża... Ale to niemożliwe. Takich węży nie ma... nigdzie nie ma...

Przerwał, znieruchomiał. Drzewa w dali trzeszczały coraz silniej, jakby ktoś je gwałtem rozsuwał na boki, łamiąc przy tym kruche gałęzie. Trzask prędko się ku nim

przybliżał...

- Ron, mój Boże, Ron - wystękał, oddając ze strachu mocz.

Potężne lśniące cielsko śmignęło z krzaków, i przemieszczając się błyskawicznie, zbliżało się do zastygłych chłopców, przestraszonych, a jednocześnie jakby zaczarowanego widokiem, który dane im było ujrzeć. Wąż, poruszający się w iście szatańskim tempie, wydawał się wypełniać sobą całą przestrzeń...

Połknął ją w mgnieniu oka. James ujrzał, jak ogromny łeb unosi się do góry, nieruchomieje i naraz sunie ku nim, chwytając jego brata, i z miejsca, trzymając go w potwornych zębach, unosi się wraz z nim do góry.

James wrzasnął...

Odwrócił się i wyrwał z całych sił do przodu, czując za sobą śmierć. Wpadł do lasu, przemierzył go jednym skokiem i zatrzymał się przed nagle wyrosłym skalnym złomowiskiem, w którym dostrzegł wąski otwór, dosyć dobrze widoczny, w poświacie już wschodzącego księżyca. Wczołgał się do niego na parę stóp w głąb, przeżywając istne katusze. Po chwili usłyszał szmer, a potem złowieszczy syk...

Skulił się w sobie, wstrzymując oddech, zapominając, że istnieje...

Wąż, wyczuwając ciepło ofiary, uderzył łbem w otwór, próbując wpełznąć do środka, ale wejście było za wąskie. Jeszcze parę razy starał się pokonać przeszkodę, gdyż czuł przemożną ochotę zabicia, jednak nie dawał rady...

Po chwili odpełził w poszukiwaniu innych ofiar.

James nie ośmielił się wystawić głowy ze swojej dziupli aż do rana. Kiedy świtało, przyczołgał się ostrożnie do wyjścia, wychylił, przyglądając się otoczeniu.

Zauważył wiewiórkę, usłyszał ptasi szczebiot,

dochodzący z pobliskich drzew i zdecydował się na wyjście, walcząc z ogarniającym go ponownie strachem.

Ruszył biegiem, po godzinie udało mu się dotrzeć do Snow Hills, tam, na samym początku miasteczka, wyczerpany zemdłał. Parę minut później odnalazła go Daisy Davis i natychmiast zawiozła do szpitala, a także, na wszelki wypadek, poinformowała szeryfa.

Nazajutrz rano Sam Wilder - powiadomiony przez Jacoba Mortimera, że jego starszy syn, Ron, nie wrócił na noc do domu i w ogóle nie wiadomo, co się z nim dzieje - odwiedził młodszego z braci.

Jednak mały Mortimer wydawał się, pomimo opinii lekarza, nie w pełni władz umysłowych, a przynajmniej, według szeryfa, zupełnie niewiarygodny jako świadek.

Leżał rozgorączkowany, wzrok miał błędny i zastraszony, tym niemniej, wolno i niewyraźnie, odpowiadał na pytania.

- Powiedz, James - szeryf wziął go za dłoń - co się wydarzyło? Powiedz, czy byłeś z bratem? Powiedz, co spotkało Rona?...

Mały Mortimer nagle, gdy tylko usłyszał imię brata, zaczął machać rękoma, zakrywać nimi twarz...

- Wąż - wyjąkał. - Tam był wąż... Tam był potwór... On, on zabił Rona, zabił go, a potem ścigał mnie... Słyszałem, jak za mną pełźnie... Słyszałem... Boję się... On nadal chce mnie zabić...

Zakrztusił się, przerwał.

Wilder pokręcił głową.

- Posłuchaj mnie, chłopcze - przemówił. - To był zły sen, bardzo brzydki sen, ale był i już więcej do ciebie nie wróci. Zapomnij o nim. Nie widziałeś żadnego potwora! Rozumiesz?

- Widziałem, proszę pana, na pewno widziałem...

Szeryf popatrzył na lekarza.

- To wszystko - oznajmił. - Musi dojść do siebie.

Zajrzę tu jutro...

- Chłopak chyba przeżył tragedię... - zauważył doktor.

- O tak, przeżył...

Wilder wyszedł na korytarz. Szedł niespiesznie holem i myślał. Dręczyły go słowa Jamesa o jego bracie. Owszem, mały Mortimer nie sprawiał wrażenia w pełni przytomnego, jednak w bezsensownych pozornie zdaniach mogła się kryć jakaś prawda! A jeśli Rona faktycznie spotkało jakieś nieszczęście?

Westchnął.

Na rodzinę Mortimerów sypały się same tragedie i to nie bez jego winy. Powinien był zapobiec samosądowi nad Frances, powinien był... Tylko Procentowy John zagroził mu, że jeśli tak uczyni, to on odetnie Amandzie palec i wyśle mu przesyłką ekspresową do domu. Sam, poznawszy lepiej w ostatnich dniach tego typu, nie miał wątpliwości, że nie żartuje.

Tym niemniej intensywnie, lecz bardzo ostrożnie, starał się dowiedzieć, gdzie bandyci przetrzymują wszystkie porwane osoby. Jego ludzie jeździli po okolicy, zaglądali do rozmaitych barów, odwiedzali sąsiednie miejscowości, niestety bez rezultatów. Procentowy John wciąż był górą, a woda sodowa uderzała mu coraz mocniej do głowy.

A co do Mortimerów... Było coś jeszcze gorszego, była Lisa... Sam Wilder, pamiętający aż za dobrze słowa Larry'ego Daya i wydarzenie na basenie, przyglądał się bacznie dziewczynce, starając się pozyskać o niej jak najwięcej informacji. Przeprowadził krótkie wywiady z sąsiadami Mortimerów. Któryś z nich opowiedział mu

straszna historię... opowiedział, że wieczorem widział dziecko, przypominające małą Lisę, jak uciekało z jego ogrodu, przełaząc przez płot.

Nad ranem znalazł swojego psa martwego z odrąbaną głową. Nie był pewien, czy w mroku widział dobrze, więc nie powiadomił policji...

Sam momentalnie przypomniał sobie podobne przypadki i przypomniał też, że przynajmniej w jednym z nich również spostrzeżono małą dziewczynkę...

Czyżby Mortimerowie - dumal - przygarnęli na własną zgubę bestię? Czyżby za niewinną twarzyczką i błękitnymi oczętami kryła się dusza morderczyni?

Wiele na to wskazywało!

Sam już był na dziedzińcu szpitala, już wsiadał do chevroleta, kiedy ujrzał wjeżdżający na parking wóz Mortimera. Mężczyzna dawał mu znaki, by na niego poczekał.

Wilder skinął głową.

Po chwili Jacob siedział w jego aucie. Był zdenerwowany, bo natychmiast zapalił papierosa, nie pytając szeryfa nawet o pozwolenie.

- Nigdzie nie ma Rona - oznajmił. - Chłopak zaginął - Szukamy go!

- Mam złe przeczucia... Ale nie dlatego chciałem z tobą rozmawiać. Z początku zamierzałem to zostawić dla siebie, teraz jednak sądzę, że powinieneś o tym wiedzieć...

- O czym?

- Ron całkiem niedawno opowiedział mi nieprawdopodobną historię! Opowiedział mianowicie, jak jego siostra, Lisa, próbowała go zabić...

Popatrzył na Wildera, a widząc, że nic nie mówi, tylko zamyślony spogląda w przestrzeń przed sobą, wzruszył

bezradnie ramionami i głęboko się zaciągnął, wypuszczając po chwili dym.

- Oczywiście w to nie wierzę - ciągnął dalej. - To po prostu bzdura. W końcu znam własne dziecko...

- A ja wierzę - rzekł szeryf wyraźnie akcentując słowa.
- Lisa nie jest waszym prawdziwym dzieckiem, czyż nie tak?

- Nie jest... - wyjąkał zaskoczony Mortimer - ale...

- Ale - przerwał mu Wilder - prawdopodobnie, Ron nie kłamał! Chyba wzięliście na swoje barki, przygarnęliście do siebie, istotę złą jak wszyscy diabli.

- Dlaczego tak mówisz? Na czym opierasz to przypuszczenie?

Wilder spojrział mu prosto w oczy.

- Widziałem - stwierdził - jak starała się zabić Rona. Topiła go. Swoim przybyciem zapobiegłem temu...

Jacob Mortimer oparł się ciężko o siedzenie. Popiół z papierosa opadł na dół.

- Co teraz? - zadał pytanie.

- Zostaw to mnie.

- Dobrze - odparł cicho. - To nieprzyjemny dzień, bardzo nieprzyjemny. Mam jeszcze jedną sprawę, chociaż nawet nie chce mi się o tym gadać, bo jestem wstrząśnięty twoją opinią o Lisie, czuję się tak, jak gdyby... sam nie wiem, to zupełna beznadzieja...

- Pojmuję. Słucham?

- Dlaczego nie zapobiegłeś publicznemu, tak haniebnemu, sądowi nad moją żoną?

- Domyślałem się, że właśnie o to pragniesz zapytać. Nie mogłem, proszę, wierz mi... nie mogłem. Strasznie tego żałuję, strasznie... Ale nieszczęście twojej żony, nieszczęście Frances, zaczęło się dużo wcześniej i nie jesteś tutaj, podobnie jak ja, bez winy...

- Jak to?

- Proboszcz Day został, moim zdaniem, sprowokowany przez Lisę. Wcale jej nie skrzywdził i wcale jej nie zgwałcił. W Snow Hills, za moim milczącym przyzwoleniem, zamordowano, inaczej tego nazwać nie umiem, niewinnego człowieka.. Usprawiedliwia mnie to, że wtedy sądziłem inaczej, a także to...

- Jeśli tak było - szepnął poblądły Mortimer - to nic nas nie tłumaczy. Nic. Pójdę już. Niedobrze mi. Muszę to wszystko przemyśleć. Muszę dojść do siebie i muszę odnaleźć Rona. Gdybyś coś wiedział o moim chłopaku, proszę, abys mnie natychmiast powiadomił, natychmiast. Będę albo w swoim biurze, albo w hotelu. Wieczorem pójdę do domu. Ktoś przecież powinien zająć się dziećmi, gdy nie ma Frances.

- Nie zdradź się przed Lisą. Jeszcze nie mam przekonujących dowodów... Traktuj ją tak, jak zazwyczaj...

- Postaram się. Może ta nasza rozmowa, to tylko wstrętny sen, może moja córeczka nie ma nic wspólnego z tymi potwornościami, o których mi opowiedziałeś...

Sam Wilder nic nie odrzekł, przez moment patrzył jak Mortimer podąża ku szpitalowi, zgarbiony, nieszczęśliwy, postarzały naraz przynajmniej o dziesięć lat, a potem włączył silnik i ruszył do swojego biura.

Ted Gardner, mężczyzna na co dzień dosyć powściągliwy, rozważny, wprost tryskał humorem. Szeryfowi zdało się, że to całkiem inny człowiek niż ten, do którego przywykł. Spojrzał więc podejrzliwie na swojego zastępcę, gdyż nie było najmniejszych powodów do radości.

- Spodziewasz się potomka, Ted? - pozwolił sobie na złośliwość pod adresem kolegi.

- Dobre wiadomości, Sam, bardzo dobre. Przed

momentem rozmawiałem z Berkleyem. Chyba wie, gdzie ten sukinsyn przetrzymuje twoją żonę...

Szeryf znieruchomiał, zacisnął pięści...

Och, jakże czekał na ten moment. Jak błagał Boga, jak się modlił, aby nadszedł, aby usłyszał takie słowa.

- Co powiedział? - rzekł tak spokojnym tonem, że zaskoczył tym samego siebie.

- Nic szczególnego. Ma tutaj przyjechać, wtedy przedstawi nam sytuację...

- I wtedy dobierzemy się draniom do tyłków - podsumował szeryf.

Pełzacz, przyczajony w szuwarach jednego z jezior Ciemnych Stawów, wolno wypłynął na brzeg, bacznie obserwując otoczenie. Od paru dni intensywnie uczył się poruszania w nowym dla siebie środowisku, a niebywale rozwinięty instynkt pomógł mu prędko opanować tę sztukę.

Olbrzymi gad z wyglądu przypominał anakondę, jednak znacznie szybciej poruszał się od niej na lądzie, szybciej też trawił pokarm i w przeciwieństwie do zwykłych węży odczuwał, nawet zaspokoivszy głód, potrzebę zabijania.

Podobnie jak anakonda lubił wodę, pływał w niej błyskawicznie, bardzo długo pod nią wytrzymywał i instynktownie czuł, że to najbezpieczniejsze dla niego miejsce.

Najchętniej polował nocą, a wtedy jego zwięzione za dnia, pionowe źrenice - osłonięte nieruchomo zrośniętymi i przezroczystymi powiekami - rozszerzały się jak u kota. Lecz nie widział nimi najlepiej. Polegał głównie na niezwykle rozwiniętym zmyśle termicznym, pozwalającym mu odkryć najdrobniejsze wahania temperatury i obecność potencjalnej zdobyczy.

Atakował podobnie jak typowy dusiciel. Uderzał momentalnie łbem, oplatając ofiarę skrętami grubego cielska, ale mógł też, korzystając z tego, że wytwarza jad, ukąsić zdobycz. Stosował jeden i drugi sposób, a niekiedy je łączył.

Od innych dusicieli wyróżniała go poza tym inteligencja, a także szybki proces uczenia.

Tej nocy ponownie rozpoczął polowanie.

Niebo usypały świetliste gwiazdy. Od zachodu płynął lekki wietrzyk, powoli usuwając nagromadzony za dnia ukrop... W dali szumiały drzewa, a echo roznosiło melancholijny, to znów bardziej agresywny dźwięk gitary.

Procentowy John siedział przed namiotem, obserwując z rozbawieniem tańczących kolegów, których smagłe, opalone na brąz ciała, lśniły w blasku ognia, i tulił do siebie Kitty, następczynię Mary Lester, nawet nie spoglądając ku rudej Dorothy, oburzonej do żywego tym, że tak ją sobie lekceważy...

Procentowy John tryskał humorem. To była dobra chwila, jedna z najlepszych chwil w jego życiu.

Został bowiem, tego naprawdę nigdy by się nie spodziewał, ogólnie szanowanym - no, może prawie ogólnie - człowiekiem w Snow Hills. Przystał, z ogromną satysfakcją, do grupy Mabel Sanders, tworząc jak gdyby obywatelską policję w Snow Hills. Z przyjemnością obserwował przy tym bezsilnego Sama Wildera, wcale nie zdając sobie sprawy z tego, że szeryf wcale nie jest tak bezradny, jak z daleka to się wydaje.

Lecz mając według siebie, wszelkie w ręku atuty, jeszcze nie popuścił wodzy piekła, które w nim tkwiło. Wiedział, że przyjdzie odpowiedni ku temu moment.

Wtedy pragnął za jednym zamachem obrabować banki, złupić ludzi, zabić Sama Wildera, a następnie zniknąć, nawet wyjechać, rzecz jasna wyjechać z ogromną forszą, za granicę.

Jeśli coś mu psuło tak świetny nastrój, to wyłącznie pamięć Mary Lester. O tej skórcie - myślał sobie - będzie mi trudno zapomnieć. Jedyne pociecha w tym, że teraz nie należy już do nikogo. Poza robakami - przyszło mu złośliwie do głowy.

Podał butelkę dalej...

- Ty masz farta - mruknął Krwawy Fernando, prawie nieprzytomny od nadmiaru alkoholu w żyłach. - To taki ładny tyłeczek...

- Ładny - potwierdził Siwy Bob. - Powinieneś nam go wypożyczyć. Też coś się nam należy...

Obaj spojrzeli na siebie nieco pochmurnie. Postępowanie kolegi od paru dni coraz mniej im się podobało. Już uśmiercenie Mary Lester było bezcelowe.

Przystali na to z trudem, skuszeni obietnicą fury dolarów. Poza tym pragnęli naprawdę poszaleć w Snow Hills, popuścić wodze żądzom, na nic się nie oglądać, o nic nie dbać... Ale Procentowy John nie dopuszczał do tego. Potem - gadał. - Nie teraz, potem. Na razie otumańmy ludzi. Przecież widzicie, że zaczęli nas szanować, potem...

- Na święty nigdy - burknął wtedy Siwy Bob.

- Co chcesz przez to powiedzieć - zerknął na niego John.

- Po co te ceregiele z tymi miasteczkowymi bubkami? Chodzimy teraz niczym ulizane pieski.

- Słyszałeś kiedykolwiek o czymś takim jak strategia?

- To za trudne dla mnie.

- Właśnie! Dlatego zostaw to mnie. Przyjdzie moment, gdy opuścimy Snow Hills, a opuścimy je z forsą...

- Jak sobie życzysz.

Zamilkli. Procentowy John wcale nie zamierzał czekać za długo, aby wypełnić swoją obietnicę. Zdołał już poznać to

wszystko, co go interesowało. Jeśli jeszcze nie zaczynał, to tylko dlatego, że całkiem dobrze się bawił. Poza tym Siwy Bob - nieszczęsny olbrzymi kretyn, takie miał o nim zdanie - i Krwawy Fernando byli mu potrzebni do czasu. Nie zamierzał dzielić się z nimi łupem. Z góry przeznaczył obu na stracenie. Niech sobie się uśmiechają, póki mogą. On baksami z nikim nie będzie się dzielił.

Wciągnął do piersi mocniej świeże nocne powietrze, przymykając powieki, bo wtedy, mając je tak przymknięte, lepiej mu się marzyło o najróżniejszych rzeczach. Planował mianowicie, po ucieczce ze Stanów, kupić sobie elegancką posiadłość, porządny samochód, a od czasu do czasu, kiedy przyjdzie mu na to ochota, zaszaleć w nocnym klubie.

- Idę w krzaki - przerwała mu Dorothy.

- Tylko nie wpadnij tyłkiem w jakąś dziurę - zarechotał Krwawy Fernando.

Dziewczyna splunęła, podsumowując w ten sposób to co usłyszała i ruszyła w stronę najbliższych drzew, trzymając w dłoni latarkę. Szła dosyć prędko, gdyż naraz rozbolał ją żołądek i czuła, że długo nie wytrzyma. Miała serdecznie dosyć pobytu na łące, mieszkania pod namiotem, gotowania posiłków i obsługiwania wszystkim wokół. Pocieszało ją tylko to, co słyszała kilkakrotnie od Johna, że długo już to nie potrwa.

Znalazła odpowiednie miejsce. Ściągnęła momentalnie spodnie, oparła się o pień i rozluźniła z ulgą mięśnie, pozbywając się zawartości swojego żołądka. Z miejsca przyniosło jej to ulgę.

Naraz poczuła nieodparcie, że coś ją obserwuje. Prędko podniosła głowę i... wstrzymała oddech...

Przed nią wolno kołysał się łeb niewyobrażalnie wielkiego węża, z oślizgłych kłów, dobrze widocznych w

świetle lampki, ciekła ślina. Nieruchome oczy, przezroczyste, połyskujące czerwienią białek, wpatrzone w nią, ani drgnęły. Ale było w nich coś tak mrocznego i podłego, że Dorothy zdawało się, że czuje zapach piekła.

Przeżona do granic możliwości i obezwładniona mdlącym strachem, a równocześnie zafascynowana ogromem bestii, przez chwilę tkwiła nieruchomo, zbierając w sobie siły...

Pełzacz nie zamierzał atakować. Wiedział, że zdobycz już mu nie ucieknie. Był za szybki, a ona za wolna, aby tak się stało. Pamiętał dobrze dwa podobne stworzenia do niej, z których jedno uśmiercił, a drugie zniknęło w wąskim skalnym otworze. Uciekało bardzo powoli i dopadłby je bez trudu, gdyby nie ta jama.

Potem wrócił do pierwszego i urządził sobie krótką, nie zaspokajającą głodu ucztę.

Teraz zmysły podpowiadały mu, że podobnych istot jest w pobliżu całkiem dużo.

Tkwił więc nieruchomo, obserwując ofiarę i czekając, aż zacznie uciekać...

Dorothy wrzasnęła, poderwała się do góry, podciągając zarazem spodnie, i przytrzymując je jedną dłonią, a drugą odgarniając gałęzie, zaczęła się przedzierać ku obozowi, modląc się do Boga, aby potwór nie zaatakował jej od tyłu.

W ułamku sekundy, tak jej się zdawało, dobiegła do namiotu Procentowego Johna i kiedy już przed nim stanęła, wciąż przytrzymując ręką dzinsy, zdała sobie sprawę z tego, że głośno krzyczy...

Mężczyźni - pogrążeni po uszy w rozważaniach, jak postępować dalej, na niespodziewany widok: przeraźliwy wrzask, drżące mięśnie twarzy Dorothy i jej wytrzeszczone

oczy, nabrzmiałe i nieprzytomne, biegające na wszystkie strony zerwali się na równe nogi...

- Co się stało? - zapytał pierwszy Siwy Bob, starając się wzrokiem przeniknąć ciemności.

- Mój Boże - wyjąkała. - Mój Boże... Szlochała, szlochała tak, jak gdyby nie było dla niej ratunku...

- Co, do ciężkiej cholery? - potrząsnął nią John, a kiedy nie przestawała się trząść i płakać, uderzył ją w policzek. - Co się stało, gadaj?

- Wąż - szepnęła. - Tam jest wąż...

Krwawy Fernando parsknął śmiechem.

- Ta głupia dupa - rechotał - przstraszyła się węża, małego wężyka... Niech mnie...

Pozostali również ryknęli śmiechem...

- Do diabła - kwiczał Fernando - zaraz opadną ci spodnie, zaraz...

- To był potwór - Dorothy zacisnęła dłonie. - Miał olbrzymi łeb, był straszny, słyszycie? Straszny. Uciekajmy stąd, na litość boską, uciekajmy czym prędzej. Nie zostanę tu ani sekundy dłużej...

Procentowy John znów uderzył ją w twarz.

- Zamknij się nieszczęsna skórko - ryknął na dziewczynę. - Przez te cholerne prochy do reszty zgłupiałaś, ty nieszczęsna ćpunko. Potwór! Poszła srać i przy okazji zobaczyła potwora...

- Widziałam go - zaszlochała - naprawdę go widziałam...

Złapał ją za ramiona, silnie nią potrząsając.

- Mówię ci, zamknij się - powtórzył. - Zamknij się, bo cię zaszlachtuję...

Zamilkł. Zdało mu się, że usłyszał w dali przeciągły głuchy jęk niepodobny do niczego, co znał.

Wyteżył słuch, popatrując na kolegów, oni też coś słyszeli.

Dźwięk tymczasem narastał, dochodząc jakby z coraz bliższej odległości i zamieniał się w głośny, coraz głośniejszy syk...

- Co to? - zagadnął niepewnie Krwawy Fernando i odwrócił się do Johna, spojrział na niego, zobaczył, że stoi zwrócony ku czemuś, pokazuje tam ręką, nie mogąc wydusić z siebie słowa...

Pełzacz zbliżał się niczym szalejąca trąba powietrzna. Jego lśniące grube cielsko, błyszczące światłem odbitych płomieni ognisk, napędzane zwałami potężnych mięśni sunęło do przodu jak stalowy grot.

Dusiciel zatrzymał się przed namiotem Procentowego Johna, wznosił się do góry na wysokość kilku stóp, po czym śmignął ku grupce mężczyzn porywając z niej potężną paszczą właśnie Johna i unosząc go niczym szmacianą lalkę...

Ludzie zaczęli wrzeszczeć i wyć z przerażenia. Olbrzymi wąż niczym bicz wystrzelił ku nowej ofierze, uśmiercając ją w mgnieniu oka...

W obozie rozpętało się piekło.

Jeźdźcy Nocy uciekali we wszystkich kierunkach, krzycząc bez opamiętania...

W połowie drogi do lasu zginął Martin Smith...

Kilku mężczyzn sparaliżowanych strachem, bezskutecznie próbowało drżącymi niewładnymi dłońmi włączyć motory. Pełzacz odwrócił się ku nim, przez moment kołysał się, a potem ruszył z sykiem do przodu...

Dorothy, przemoczona własnym moczem, dobiegła do lasu, w nim szukając ratunku. Przykucnęła pod jednym z drzew wstrzymując oddech, nasłuchując wszelkich dochodzących jej dźwięków.

Siedziała tak nieruchomo przez pięć minut, nie śmiejąc nawet poruszyć palcem.

Potem zabrzmiał lekki szmer, szmer przybliżał się, był tuż, tuż... Wreszcie usłyszała krótki, głośny syk...

Rzuciła się gwałtownie do ucieczki.

Gałęzie jak ciężkie, zwolnione naraz sprężyny uderzały ją w twarz, jedna z nich rozcięła jej wargę... Oblizła ją językiem i poczuła smak krwi...

Pełzacz sunął wolno za kobietą, czekając, aż się zmęczy. Z jego gardzieli dobywał się przenikliwy, doprowadzający Dorothy do stanu grozy, dźwięk...

Biegła już wolno, kolana się pod nią uginały, nogi drżały.

Przyszedł taki moment, że zabrakło jej sił...

Upadła na ziemię, trzymając się za serce, i wytrzeszczając oczy w ciemność, aby cokolwiek dojrzeć.

I ujrzała wolno wychylający się zza pnia kształt, który jednym zrywem przebył dzielącą ich przestrzeń, przez chwilę zawisł nad jej głową, a potem nakrył ją potworną paszczką, miażdżąc ostrymi jak brzytwa kłami...

„Nie wszystko jest dobrze, Kochany Pamiętniczku. Oni czegoś się domyślają, a zwłaszcza szeryf. Ojciec przyszedł dzisiaj do domu, nie miał dobrego humoru, patrzył na mnie dziwnie, odzywał się niewiele, a raz go nawet przyłapałam na takim spojrzeniu, że... Tak, on chyba się domyśla. Może jeszcze nie do końca wierzy, ale na pewno się domyśla. Powinam bardzo teraz uważać. Muszę mu udowodnić, jak ogromnie się myli. Kiedy w to uwierzy, kiedy ponownie zrozumie, że jestem małą niewinną dziewczynką, jego jedyną najdroższą córeczką, wtedy go ukarzę za te chwile zwątpienia...

Mój pomysł pozbycia się Rona był dobry, lecz nie przemyślany do końca. Tak przecież mogło się zdarzyć, trzeba mi było wziąć pod uwagę to, że gdy będę go wpychała pod wodę, wyciskając z niego resztki życia, to ktoś wejdzie przez furtkę, ktoś to zobaczy... I tak niestety się stało, i tym kimś, również, niestety, okazał się sam szeryf...

On krąży wokół mnie - tak mi podpowiada przeczucie. Wie, że jestem zła, wie, że jestem zdolna do wszystkiego. Muszę więc ucichnąć. Muszę przeczekać ten okres, muszę udawać bardzo grzeczne maleństwo... Muszę...”

Lisa skończyła pisać, odłożyła pamiętnik na bok i podeszła do tekturowego pudełka, wsadziła do niego rękę i wyciągnęła małe szczenię. Przez chwilę głaskała pieska po głowie, uśmiechając się w zamyśleniu. Potem lekko zacisnęła palce na jego gardle, lecz zaraz je rozluźniła. Jeszcze nie teraz - szepnęła do siebie. - Jeszcze nie teraz...

Wyszła z pokoju, zeszła po schodach na dół. Jej ojciec siedział przed telewizorem, przyglądając się jakiemuś meczowi. Na dźwięk głosu Lisy natychmiast się ku niej odwrócił...

- Zobacz, tatusiu - zaczęła szczebiotać - kogo dzisiaj rano znalazłam... Był taki maleńki... i taki biedny... Musiałam go zabrać do domku, musiałam go nakarmić... Nie będziesz się za to na mnie gniewał, prawda? Nie każesz wyrzucić mi go z domu, prawda? On jest taki śliczny, taki maleńki, tak go kocham! Nie wyrzucaj go, tatusiu...

Jacob Mortimer spoglądał oniemiały na córkę. To co widział, było tak różne od tego, do czego już przywykł, z czym się pogodził; było tak odmienne od podejrzeń szeryfa, tak do nich nie przystające.

Zawstydził się, poczuł ogromną wewnętrzną skruchę, ogromne zażenowanie i bezgraniczny wstyd.

Poszaleliśmy w tym mieście - dumiał. - Małą biedną dziewczynkę, zgwałconą przez maniaka seksualnego, uważamy za potwora! Uważamy... ja uważam, bo szeryf przecież mnie przekonał. Trochę wcześniej Ron napłótl mi bzdur, a potem Wilder mnie do nich przekonał. Trudno nie wierzyć stróżowi prawa. Przypisujemy dziecku najgorsze zło możliwe pod słońcem, oskarżamy o maltretowanie i zabijanie zwierząt, tymczasem to wstrętne potwarz. Lisa jest najzupełniej normalna, jest dobra. Widzę to w tej chwili na własne oczy, widzę jak przytula tego malutkiego pieska, widzę...

- Dlaczego nic nie mówisz, tatusiu?

Jacob wstał z kanapy, podszedł do Lisy i pogłaskał ją po głowie. Popatrzyła nań niebieskimi oczyma i uśmiechnęła się promiennie.

- To ładny piesek - szczebiotała - jest cały taki biały, a

na brzuszku ma czarną łatkę. Popatrz, jaki śmieszny ogonek, jakie uszka...

Mortimer dusił łzy. Za wiele nieszczęść sypało się na jego rodzinę, stanowczo za wiele... Przypomniał sobie zdradę Frances, ucieczkę Teda, swoją rozpacz, publiczne znieważenie jego żony.

- Może u nas zostać, córeczko!

Lisa przytuliła się doń. Już wiedziała, że osiągnęła cel, wiedziała, że ojciec jej uwierzył. Postanowiła jednak dalej ciągnąć swoją grę, bo w tej chwili, w tej sytuacji zagrażał jej szeryf, zagrażał realnie, musiała od tego zagrożenia uciec.

- Tatusiu - rzekła - pragnę coś ci powiedzieć, lecz obiecaj, że nie będziesz na mnie krzyczał...

- Obiecuję!

- Widzisz, Ron mnie ostatnio nie lubił, sama nie wiem dlaczego. Kiedyś mu nie pożyczyłam, chociaż bardzo tego chciał, pieniędzy na lody. Zdenerwował się na mnie, obraził. I obiecał mi zrobić brzydkiego psikusa. Może zrobił, ale ja go i tak kocham...

- Porozmawiam z nim, córeczko, gdy tylko się odnajdzie....

- I wiesz, tatusiu - ciągnęła dalej Lisa - bardzo bym chciała, aby mama wróciła do domu, bez niej jest tak smutno. A jeszcze bardziej bym chciała, abyście znów byli razem i przestali się na siebie gniewać...

Utrafiła tą wypowiedzią prosto w jego serce. Cóż, nerwy wzburzone jeszcze całkiem niedawno jak morze po sztormie, już się uspokoiły, wściekłość minęła, ból oczywiście pozostał, lecz przy okazji pojawiło się opamiętanie. W porządku, wyjedzie ze Snow Hills, rozpocznie życie od nowa, znajdzie inną kobietę, stworzy inny dom... Jednak któż mu - na miły Bóg - zaręczy, że ta

następna karta stanie się lepszą od poprzedniej? Nikt. A przecież ma swoje lata, swoje też przeszedł i nie chce ponownie ryzykować...

Frances, tak w rzeczywistości, poza tym jednym nieszczęśliwym przypadkiem, należała do przyzwoitych kobiet. Złego słowa o niej byś nie powiedział. Zawsze uczciwa, zawsze przywiązana do dzieci, zawsze zwracająca uwagę na dom, religijna przy okazji. Prawda, popełniła błąd. Któż ich jednak, do ciężkiej cholery, nie popełnia. W końcu też ją parę razy, tak po cichu, z dala od miasteczka, zdradził. Owszem, co innego zdrada kobiety, co innego mężczyzny. Więc co?

Powinien jej wybaczyć?

Zaśmiał się sam z siebie.

Tak całkiem niedawno gotów ją był wraz z kochankiem zastrzelić, zmielić na pasztet, posiekać na maczek lub zrobić coś jeszcze gorszego, a obecnie...

Proszę, jaka zmiana. Czas szybko goi rany...

- To nie takie proste, Liso - odparł.

Był taki zadowolony z prośby swojej córeczki, taki zadowolony, że przygarnęła zwierzątko, że okazała się normalną, dobrą dziewczynką, żadnym tam, oby tego Wildera diabli wzięli, potworem.

Kiedyś, tuż przed adopcją Lisy, sądził, że swoich własnych dzieci nigdy mieć nie będzie. Tak zawyrokowali mądrzy lekarze, a jemu do głowy nie przyszło, że doświadczeni specjaliści również czasami się mylą. W każdym razie pokochał małą Lisę od razu. Nie mógł od niej oczu oderwać. Obiecał też sobie w dwójnasób wynagrodzić dziecku utratę rodziców.

- Proszę cię, tatusiu!

- Zobaczymy, córeczko, zobaczymy...

Budynek, leżący na przedmieściu Garden City, schowany w kupie gęstych wysokich drzew, zaniedbany i cichy, był wymarzonym miejscem na kryjówkę.

Podkradali się doń bardzo ostrożnie, trzymając w dłoniach odbezpieczoną broń, gotową do natychmiastowego użycia.

Sam Wilder przykucnął pod krzakiem, sięgnął po noktowizor.

- Nikogo nie widzę - szepnął do pozostałych towarzyszy.

Szli z nim jego zastępcy i kilku policjantów.

- Chyba są wewnątrz - dodał, wciąż obserwując teren.

W tej samej chwili powrócił Ralph Weler, który obszedł dom od tyłu. Zauważył tam stary samochód i okno do piwnicy z wybitą szybą. Opowiedział o tym szeryfowi.

- Skorzystamy z tego okienka - rzekł Sam. - Kiedy wejdziemy do środka, załóżcie noktowizory. Pamiętajcie o tym, aby akcję przeprowadzić błyskawicznie. Dranie muszą zostać najzupełniej zaskoczeni...

Skinęli tylko głowami.

Sam Wilder ruszył pierwszy.

Zgrabnie, cicho stawiając stopy, zważając na każdy ruch, kroczył ostrożnie przed siebie, rozglądając się na prawo i lewo, przytrzymując dłonią gałęzie, a potem delikatnie je puszczając.

Wkrótce dotarł do okna. Zajrzał do wewnątrz i podtrzymując się framugi, opuścił w dół.

Piwnicę zapełniały jakieś graty, porozwalane meble, stare radia, słoiki. Dostrzegł schody, prowadzące ku wyjściu, i zaczął po nich wchodzić. Pozostali podążali za nim.

Drzwi były otwarte...

Usłyszał dochodzące z pomieszczenia głosy. Przesunął się nieco w bok, aby mieć lepszą widoczność i zerknął przez otwór.

W pokoju paliło się słabe światło, płynące od jednej żarówki, umocowanej pod sufitem. Na podniszczonym tapczanie siedziało dwóch barczystych mężczyzn, intensywnie grających w karty.

- Mam, kurwa, tego dosyć - gadał jeden z nich. - Zabierajmy stąd tyłki. To pachnie coraz brzydziej.

- Nie głędź - odparł drugi. - Kilka dni i zwiniemy się stąd na zawsze, razem z forszą.

- Słuchaj, Fernando! A jeśli Procentowy John zamierza nas wykiwać?

- Nie pozwolimy na to...

Sam Wilder dał znak swoim ludziom.

Wpadli gwałtownie do pomieszczenia w mgnieniu oka obezwładniając obu bandytów i zakładając im na dłonie kajdanki. Byli tak zaskoczeni, że nawet nie pomyśleli o jakiegokolwiek obronie.

Szeryf przyłożył pistolet do czoła Siwego Boba.

- Gdzie moja żona i córka? - spytał krótko. - Gdzie pozostali? Mów do ciężkiej cholery, bo rozwalę ci łeb. Szybko...

Siwy Bob nie znał dobrze Sama Wildera, ale teraz, gdy spoglądał w jego oczy, pojął, jaki on i Fernando popełnili błąd, godząc się na współpracę z Procentowym Johnem. Ale było za późno na żale. Pozostawało nie nadstawiać dłużej karku i walczyć o jak najmniejszy wymiar kary.

- Wszyscy są na górze - spuścił głowę. - Tam leży klucz - wskazał dłonią na stołek.

Wilder złapał go w jednej chwili, wbiegł, przeskakując po parę schodów, na piętro, i otworzył drzwi...

Ujrzał wpatrzone w siebie oczy i naraz, nie wiedząc skąd, nie wiedząc kiedy, tulił na przemian w ramionach to Głorię, to Amandę, to garncących się do niego bliskich Briana Astora.

Podjechali, a raczej podeszli pod obóz Jeźdźców Nocy z samego rana, Wilder bowiem uznał tę porę za najbardziej odpowiednią, aby skutecznie zaskoczyć i zbić najzupełniej z pantafelów Procentowego Johna.

Ale w namiotach było pusto, a wokół panowała niczym nie zmacona cisza.

Szeryf oraz jego ludzie przypatrywali się z niedowierzaniem temu, co dane im było tu zastać. W pewnej chwili przestraszony jak nigdy Ralph Weler, Wilder zawsze miał go za wrażliwca, złapał się za usta, nie chcąc wymiotować, i pobiegł natychmiast pod najbliższe drzewo.

Pozostali byli bladzi, a chociaż niejedną okropną rzecz ujrzeli podczas policyjnej praktyki, to z tą tutaj nie potrafili się oswoić, nie potrafili jej pojąć, gdyż wykraczała jak gdyby poza rzeczywistość!

Obozowisko przenikało tchnienie śmierci... Paskudnej i bezlitosnej śmierci. Na całym jego terenie wały się porozrzucane ciała ze zmiażdżonymi, okrwawionymi głowami, sinymi obrzękłymi twarzami i wciąż wytrzeszczonymi oczyma - ciała w kałużach krwi.

- Do cholery, Sam - rzekł pierwszy Gardner, podchodząc do szeryfa. - Do ciężkiej cholery!!! Co tu się stało? Kto to zrobił? Jak zginęli ci ludzie?

Wilder przykucnął przy zwłokach Procentowego

Johna. W milczeniu przyglądał się śladom widniejącym na ciele, potem przyklnął oczy i zamyślił się...

Przypomniał sobie opowieść Jamesa Mortimera. Popełnił błąd nie wierząc wtedy chłopcu. Kto by jednak uwierzył w taką opowieść?

- Tego nie uczynił człowiek - szepnął. - Zabiło ich zwierzę...

- Zwierzę! Jakie zwierzę mogłoby tak uśmiercić tylu ludzi? Nawet największy grizzly nie zdobyłby się na coś takiego...

- To nie był niedźwiedź!

- Więc co, do diabła?

- Popatrz na to! To rana po ugryzieniu węża...

- Węża? Chyba bredzisz...

- Nie bredzę! Opisuję tylko to, co widzę. To był prawdziwy potwór. Trudno mi do końca ocenić jego wielkość, ale sądząc po śladach zębów, przerastał długością nawet anakondę czy też pytona. Jednak żaden z tych dusicieli nie jest jadowity... a ten był! Żaden też z olbrzymich węży nie uśmierca tylko po to, aby uśmiercić, a ten uśmiercał...

- To niemożliwe. Na pewno się mylisz!

- Kiedyś, dawno temu, łapałem węże. Trochę się na nich znam. To co mówię, wiem o tym, wygląda co najmniej nieprawdopodobnie. Popatrz zatem na twarze ofiar, spójrz jakie są obrzękłe, sine... Popatrz na rany po ugryzieniach... Lecz nie ma co gadać, dzwoniemy po ekipę. Naukowcy najlepiej nam wytłumaczą, co tutaj zaszło.

Mieszkańcy Snow Hills szybko dowiedzieli się o okropnej zbrodni. Ponieważ nikt z biura szeryfa nie mówił głośno co się stało, a szeryf także milczał, nie odpowiadając na pytania dociekliwych dziennikarzy, więc po miasteczku kursowały najrozmaitsze plotki.

Wszyscy natomiast już wiedzieli o tym, że Procentowy John porwał rodziny Astora i Wildera. Dawni jego znajomi, ludzie co mieli o nim dobre zdanie - na przykład Mabel Sanders - natychmiast nabrali wody w usta, unikając jak diabeł święconej wody wszelkich rozmów na ten temat.

Około południa w całym Snow Hills pojawiły się ogłoszenia, ostrzegające ludzi, aby nie chodzili, zwłaszcza wieczorem, poza jego granice.

W tym czasie Sam Wilder już wiedział, że Jeźdźców Nocy faktycznie zabił wąż.

Jego wcześniejszą opinię potwierdzili naukowcy, którzy długość gada ocenili na około dwadzieścia pięć - trzydzieści jardów, wyrokując jednocześnie, że w naturze takie zwierzę nie występuje, że jest to mutant, wyhodowany albo na drodze zabiegów genetycznych, albo powstały wskutek zmian w naturalnym środowisku.

Sam Wilder natychmiast przypomniał sobie Christophera Russella, i czym prędzej pojechał do jego willi, lecz nie zastał nikogo w środku. Przeczucie mu jednak podpowiedziało, że coś w tym pięknym domu jest nie tak, jak być powinno.

Zaczął zatem wszystko sprawdzać, oglądać i odkrył, że drzwi prowadzące w głąb domu są otwarte.

Włączył latarkę i zaczął schodzić w dół. Wkrótce natknął się na Russella, a raczej na jego ciało. Mężczyzna nie żył prawdopodobnie od kilku dni. Wilder przez długą chwilę przypatrywał się jego twarzy, smutnej, zastygłej w jakimś bezgranicznym cierpieniu...

Później wezwał ekipę śledczą, a sam dalej badał pomieszczenie.

Wreszcie dotarł do olbrzymiej pustej klatki, zabezpieczonej na wszelkie sposoby przed otwarciem, lecz teraz odkrytej na oścież. Było oczywistym, że naukowiec trzymał w niej coś, co mogło zagrażać otoczeniu: na przykład węża. Wkrótce potem Wilder odnalazł terrarium wraz z całą jego zawartością. Był zatem na dobrym tropie.

Russell, myślał, zajmował się gadami. Pracował również nad genetyką, przeprowadzał doświadczenia, a zatem mógł stworzyć nowy gatunek... Przypuśćmy - zastanawiał się - że tak było. Kto w takim razie strzelał do Russella? I dlaczego naukowiec wypuścił owego stwora na zewnątrz? Co kazało mu, tuż przed śmiercią, tak postąpić? A co się stało z jego żoną i córką? Gdzie są?

Sam westchnął. Niewiele z tego pojmował, chociaż wydawało mu się, że prawda jest tuż-tuż... prawie na dłoni... Tylko po nią sięgnąć. Oglądał z zainteresowaniem akwaria, wypełnione najniebezpieczniejszymi zwierzętami na świecie, i zastanawiał się, jak postąpić dalej.

Olbrzymiego węża należało - to nie ulegało wątpliwości - czym prędzej schwytać. Ekipa złożona z doświadczonych fachowców wyruszała w tym celu w teren nazajutrz z samego rana. Miał nadzieję, że się im powiedzie...

Poza tym należało odszukać Florentinę i Maritę

Russell, jeśli jeszcze obie żyły.

Oprócz tego miał na głowie Louisa Warda, Roya Sandersa i Richarda Bromleya.

Dowody wydawały się wystarczające na to, aby całą trójkę natychmiast, a szczególnie Warda, posadzić na wiele lat za kratki. Ward, ma się rozumieć, wynajmie najlepszych adwokatów, lecz to mu niewiele pomoże. Będzie raz na zawsze skończony. Tym niemniej zacznie się prawdziwa wojna. Gangsterzy tego pokroju nie sprzedają łatwo skóry.

Pozostawała też Lisa Mortimer. Niewiele mógł tu wskórać. Nie miał przeciw dziewczynce najmniejszych dowodów, a podejrzenia nie wystarczały. Musiał czekać, aż popełni błąd...

No i nadal nie wiedział, co się stało z Richardem Astorem. Na pewno, tak sądził, zniknięcie chłopaka należało łączyć ze zniknięciem Mary Lester. Ale jak? Czy oboje uciekli z rąk porywaczy, czy też stało się coś znacznie gorszego?

Nazajutrz rano Jacob Mortimer odwiedził swoją żonę w szpitalu. Zaskoczył ją swoim widokiem, a nawet przestraszył. Pomyślała bowiem w pierwszej chwili, że przychodzi rozmawiać o natychmiastowym rozwodzie.

Jacob jednak delikatnie się uśmiechnął, naraz - jednym szybkim ruchem - wyjął zza pleców wiązaną piękną biało-czerwonych róż i podał je zdumionej i zaskoczonej Frances.

Przez moment patrzyli na siebie, ale ich spojrzenia mówiły najwidoczniej wystarczająco dużo i aż nadto wymownie, bo pobladła zmizerniała kobieta po raz pierwszy od wielu dni się uśmiechnęła. A Jacob, w chwilę później, ujął jej dłoń, przytulił ją do swojego policzka i klęknął u wezłowania chorej.

- Źle mi bez ciebie - szepnął.

Uścisnęła silniej jego palce.

- Zapomnimy o tym wszystkim - szeptał dalej. - Zapomnimy o Mertonie, zapomnimy o księdzu; wyniesiemy się ze Snow Hills, aby zacząć od nowa. Powiedz tylko: tak. Proszę cię... Nie możemy być z dala od siebie, bo się kochamy. Kiedy usłyszałem o tym, co ci uczyniono, moja nienawiść i moja złość, cały wewnętrzny ból - natychmiast zniknęły... Wyjedziemy stąd, zapomnimy o złu... Powiedz, że się zgadzasz!

Ponownie uścisnęła jego palce.

- Zgadzam się, Jacob, szepnęła.

Przymknął oczy. Było mu lżej na sercu, znacznie lżej.

Tak bardzo pragnął też zrzucić z siebie ciężar związany z Ronem, opowiedzieć o zniknięciu chłopca, opowiedzieć o swoich obawach, o posądzeniach szeryfa dotyczących Lisy; pragnął, ale nie chciał martwić żony.

Mortimer, prosto ze szpitala, pojechał do biura szeryfa, aby powiadomić go o swojej decyzji.

Usiadł w fotelu, wyjął z ust gumę. Wilder przypatrywał mu się zimno, ciekaw, co ma do powiedzenia.

- To potwarz - rzekł Mortimer. - Lisa jest normalną dobrą dziewczynką. Przyznam, zaskoczyłeś mnie w pierwszej chwili, byłem załamany, zacząłem w te rewelacje wierzyć. Mam w domu zbrodniarza, myślałem sobie. Któregoś ranka obudzę się z podejrniętym gardłem, myślałem. Ale moja córka dzięki Bogu prędko wyprowadziła mnie z błędu. Po pierwsze zaopiekowała się małym pieskiem, zaopiekowała się nim z taką miłością, z taką dobrocią, że z miejsca odrzuciłem te nienormalne, te wstrętne, te wariackie podejrzenia. Potem, dzięki temu podłemu - jak mówisz - dziecku - pogodziłem się z żoną.

- To pięknie - skomentował Wilder. - Co dalej?

- Wyprowadzamy się ze Snow Hills i chcemy, abyś dał nam święty spokój.

Wilder rozłożył ręce.

- Nie mam dowodów obciążających twoją córkę - powiedział. - Nigdy jej nie nakryłem na gorącym uczynku. Raz, co prawda, widziałem, jak topi Rona, ale byłem jedynym świadkiem i mogłem się mylić... Oczywiście, że mogłem... Tym niemniej proszę, Jacob, abyś nadal uważał... A teraz mam coś do powiedzenia! Weź się w garść...

Mortimer zeszywniał.

- To Ron - wystękał. - To na pewno Ron. Mój synek zginął, prawda?

- Chyba tak. Nie mamy całkowitej pewności, ale chyba tak...

- Jak to: nie macie całkowitej pewności?

- Nie znaleźliśmy ciała. Na chłopaka mogły napaść dzikie zwierzęta... Liczymy się z tym, fakty na to wskazują, i - przykro mi to mówić - zabić...

- Jak to?... Co ty gadasz?!... to...

- Powtarzam - przerwał Wilder - nie jest to jeszcze pewne.

Mortimer podniósł głowę.

- Będę czekał - zakomunikował. - Będę małego szukał na własną rękę. Gdy już z nami będzie, natychmiast wyjedziemy...

- Życzę powodzenia...

Do gabinetu wszedł Adam Gardner.

- Sam, czy mogę cię poprosić?

- Oczywiście... Poczekaj, Jacob, moment...

- Nie ma potrzeby. Już idę...

Minął Gardniera i zamknął za sobą drzwi.

- Co się stało? - szeryf popatrzył na swojego zastępcę.

- Tych dwóch zbirów zeznało, że ich koleżka, Procentowy John, zabił Mary Lester i Richarda Astora. Podobno zamordował też całą rodzinę Russellów. Ciała Marity i Florentyny Russell są porzucone za miastem.

Wilder potrząsnął z niedowierzaniem głową.

Wydawało się mu, że jakiś czarnoksiężnik otworzył nad Snow Hills worek, z którego sypnęły się najgorsze nieszczęścia.

- Natychmiast tam jedziemy - zdecydował.

Bracia Vernonowie dowiedzieli się o śmierci Russellów nazajutrz rano. Mike rozpląkał się jak dziecko, tym bardziej, że nie oszczędzono mu szczegółów.

Jego ukochaną brutalnie zgwałcono, następnie zabito bez litości, z chwilowego kaprysu.

Dla starszego Vernona świat ponownie zatracił sens. Chciał natychmiast ze sobą skończyć, lecz nie miał odwagi, wobec tego postanowił, a brat wraz z nim, zachować się po męsku. Był już wyłącznie prawdziwym desperado, szukającym śmierci. Jego serce przepelniała nienawiść do świata, który tak okrutnie obszedł się z jego marzeniami.

Miał ten świat za nic, miał go za prawdziwe szambo, wciągające w siebie bezpowrotnie to co dobre, co uczciwe.

Tego wieczora obaj przypięli do pasów broń i ruszyli do miasteczka, do baru „Srebrna Gwiazda”, aby tam rozprawić się z Louisem Wardem, rozprawić się z nim, nie czekając na wyroki żadnych sądów, rozprawić się, pomścić śmierć ojca i matki.

Wewnątrz budynku nie było tak tłoczno jak zazwyczaj. Emie Davis, na widok Vernonów ubranych na czarno, z pistoletami przy boku, oniemiała z wrażenia.

- Cześć, Emy - powiedział Mike. - Od dzisiaj pracujemy dla Louisa. Czy jest u siebie?

- Tak - odparła zaskoczona, nic nie podejrzewając, gdyż wiadomym było, że Ward lubi Astorów.

- Zaraz przyjdziemy - rzekł spokojnie Mike.

Szli do góry po schodach. Kiedy weszli na korytarz,

minęli trzech ludzi z obstawy Warda. Nim tamci zdążyli zareagować, wystrzelali ich jak kaczki, a następnie wdarli się do gabinetu bossa.

Szef „Srebrnej Gwiazdy” szukał gorączkowo broni w szafie, lecz nie mógł jej znaleźć. Przeklinał sam siebie za nieostrożność, za to, że uwierzył, że w Snow Hills, gdzie mało kto znał jego prawdziwe oblicze, jest najzupełniej bezpieczny.

Wiedział dokładnie o knowaniach Vernonów. Sanders opowiedział mu całą historię z detalami. Cóż, stało się trochę nieprzyjemnie, jednak radził sobie nie z takimi problemami. Prawdę powiedziawszy miał dosyć udawania dobrego serduszka w stosunku do Mike’a. Najchętniej by wykastrował gnoja na pierwszym zakręcie, a jego jądra zawiesił na lampie. Ale dyplomacja jest dyplomacją. Lepiej mieć przyjaciół niż wrogów. Kiedy Sanders gadał wzburzony - przestraszył się głupi safandula, że bracia wybierają się do szeryfa, aby go oskarżyć - roześmiał mu się w nos... Wiadomo, zatrudni takich prawników, takich wyjadaczy, że tuzin Vernonów i Wilderów może mu co najwyżej uszczypnąć tyłek, a i to niezbyt mocno.

Tymczasem bracia sprawili mu niespodziankę: zachowali się nieprzewidywalnie.

Powinien ich, niech to szlag trafi, zawczasu wysłać na tamten świat.

- Dobry wieczór - powiedział Mike, opuszczając wzdłuż ciała dłonie z dymiącymi jeszcze rewolwerami.

Ward wyciągnął przed siebie ramiona, jakby pragnął zaczarować obu mężczyzn, jakby za pomocą magii chciał ich wyrzucić z pomieszczenia, raz na zawsze o nich zapomnieć.

- To wy? - zapytał głupio.

- To my.

- Dlaczego?...
 - Bo przez ciebie zginął nasz ojciec, bo nie wierzymy już w sprawiedliwość...
 - Przestańcie. Dogadamy się.
 - Dogadasz się ze wszystkimi, lecz nie z nami...
- Mike nacisnął spust, patrząc, jak Ward opiera się o blat, coraz ciężej nad nim nachyla, wreszcie na niego upada...
- Nick! - rzekł po chwili, dłużej niczym wieczność.
 - Tak?
 - Przyszła pora, aby złożyć wizyty panom Sandersowi i Bromleyowi...

- Jest źle, Glorio - powiedział wieczorem Wilder do swojej żony, gdy siedzieli na kanapie przytuleni do siebie. - Powoli wypełnia się to, co przepowiedziała Margaret Nelson. Procentowy John okazał się zbrodniarzem bez skrupułów. Wstępne badania potwierdzają zeznania jego koleżków. To on zabił Russellów. Zabił też innych ludzi, w tym Richarda Astora. To był prawdziwy psychopata. Posuwał się do najgorszych rzeczy i nie miał najmniejszych zahamowań...

- To nie twoja wina...

- To nie jest takie proste. Wydawało mi się, że należy dać mu spokój. Potem zbadać, gdzie was przetrzymuje i uwolnić... Może należało postąpić inaczej...

- Jak?

- Właśnie tego nie wiem. Nie umiałem zaryzykować twojego życia lub życia Amandy. Ale przez moją decyzję wiele osób zginęło. Jest jeszcze coś, co nie daje mi spokoju...

- Co takiego?

Sam spostrzegł, że się zagalopował. Wcale nie chciał opowiadać żonie o wydarzeniach w obozie Jeźdźców Nocy, nie chciał opowiadać o tym, jak ci ludzie umierali. Nie chciał opowiadać o olbrzymim wężu, którego szukali na próżno przez cały dzień.

Jednocześnie nic go nie dręczyło tak bardzo, jak ta sprawa.

Teraz już wszystko pojął, zrozumiał to, czego nie potrafił uchwycić wcześniej.

Christopher Russell, jeden z najwybitniejszych

genetyków na świecie, zapalony hodowca węży - o czym mało kto wiedział! - stworzył sobie znanym wyłącznie sposobem dusiciela - mutanta. Obserwował go, badał jego reakcje, zachowanie. Gdy Procentowy John w okrutny sposób pozbawił życia jego rodzinę, zrozpaczony mężczyzna, pragnący tylko zemsty, dotarł ostatkiem sił do swojej posiadłości, a tam uwolnił swoje dzieło... Na kim pragnął się zemścić?

Może na nim, na Samie Wilderze, może na całym Snow Hills...

Na takie pytanie nikt już nie odpowie.

Tymczasem wąż, bestia mierząca około trzydziestu jardów, buszował sobie gdzieś w najlepsze, gotując się do następnej napaści. Był, przypuszczalnie, bardzo odporny i znacznie przewyższał, pod względem dostosowania do środowiska, pospolitą anakondę - był od niej szybszy, inteligentniejszy... Co w tej sytuacji on, Sam Wilder, powinien uczynić? Wezwać na pomoc specjalne służby? Zarządzić wielką obławę? Wyznaczyć nagrodę za łeb gada?

Pięć dni... Jeśli w tym terminie nie odnajdzie węża, to ściągnie do miasteczka posiłki. Innego wyjścia bowiem nie będzie...

- Jutro chcę porozmawiać z pastorem Jacksonem!

- Z wielebnym? - spytała Gloria. - Dlaczego?

- Pragnę mu powiedzieć, co o nim myślę. Pragnę też powiedzieć, że moim zdaniem Larry Day nie dopuścił się poważnego przestępstwa. To mała Mortimer skłoniła go do zła. Naturalnie też ponosił winę, jednak nie taką, aby go publicznie powiesić...

Wilder przerwał nagle, gdyż zabrzmiał telefon. Sięgnął dłonią do stolika, podniósł słuchawkę.

- Vernonowie zabili? - pytał zdumiony. - Wszystkich

zabili? Tak, pojmuję. Są w areszcie? Dobrze, zaraz przyjadę...

Odłożył ciężko tubkę.

- Coś poważnego? - spytała Gloria.

- Tak - rzekł. - To już prawdziwe piekło. Bracia Vernonowie zastrzelili Warda, Sandersa i Bromleya. Muszę iść, Glorio!

Mabel Sanders siedziała przy stoliku i czytała biblię, konkretnie zaś Apokalipsę świętego Jana. Jej zdaniem czas sądu i czas kary, o których tak pięknie pisał apostoł, zbliżał się nieodwołalnie. Dane jej było, dzięki za to Bogu, stanąć w szeregu obrońców wiary oraz prawdy.

Natarczywy dźwięk domofonu spowodował, że Mabel odłożyła swoją lekturę na bok. Spojrzała na zegarek. Dochodziła dwudziesta druga, a zatem to Roy powracał z pracy.

Jednak to nie był jej mąż, tylko szeryf, i to szeryf z nadzwyczaj poważną miną.

- Coś się stało? - zapytała.

- Mogę wejść do środka? - powiedział.

Wpuściła go bez słowa, zastanawiając się, o co mu chodzi. Usiadł w fotelu i ciężko westchnął.

- Mabel - zakomunikował - Roy nie żyje. Zastrzelili go bracia Vernonowie...

Poczuła, jak podłoga wiruje pod jej stopami. Szeryf poderwał się i prędko przyniósł z kuchni szklanę zimnej wody, którą kobieta powoli wypijała.

- Oprócz niego zginęli też Louis Ward i Richard Bromley. Wszyscy trzej, twój mąż również, zajmowali się praniem brudnych pieniędzy, handlem żywym towarem, narkotykami. Poza tym mają na sumieniu wiele ludzkich istnień, w tym Kirka Vernona. Dlatego Mike i Nick zrobili to,

co zrobili. Jeśli chodzi o mnie, mówię to szczerze, obu rozgrzeszam. Odpowiedzialności prawnej, rzecz jasna, nie unikną...

Mabel nadal milczała.

- To wszystko kłamstwo - wydusiła wreszcie z siebie.
- To jakaś podła intryga...

- Przyszedłem, aby cię powiadomić. Musisz też, najlepiej jutro rano, wybrać się do kostnicy i zidentyfikować zwłoki Roya. Przykro mi...

Patrzył, jak płacze, jak wyciera z policzków łzy, nie mogąc nad sobą zapanować, ale nie żałował jej. Pamiętał bowiem za dobrze, z jaką pewnością siebie osądzała innych, gdy on nie mógł się temu przeciwstawić, gdy musiał znosić samowolę Procentowego Johna.

- Byłaś żoną prawdziwego łajdaka, Mabel - rzekł z drwiną w głosie. - Pójdę już. Nie zapomnij go jutro obejrzeć...

Wyszedł na dwór, nie oglądając się już na panią Sanders, i nie zważając na jej coraz to bardziej rozpaczliwy szloch.

Spojrzał na nocne niebo.

Rzadko było tak obsypane gwiazdami, jak tego wieczoru. Świat, gdy tak nań spoglądał, wydawał się piękny, nieskończenie dobry i doskonały.

Szły sobie wolno przez miasto, rozmawiając z przejęciem. To znaczy Mary Bromley mówiła dużo, Anna Sanders w niczym jej nie ustępowała, ale Penny Astor, zazwyczaj bardzo gadatliwa, tym razem milczała. Mary nawet sądziła, że to z powodu Anny. Obie znały się słabo i mogły być sobą trochę skępowane.

Anna jednak wkrótce odeszła, a Penny jak milczała, tak milczała.

- Wiesz, jakie rzeczy opowiadają o tych ludziach? - zapytała Mary. - O tych Jeźdźcach Nocy?

Penelopa milczała.

- Podobno, wyobraź sobie, znaleziono ich martwych. Podobno ktoś ich zabił. Słyszałam całkiem nieprawdopodobne historie. Jeden z chłopaków nawet gadał, że to sprawka samego diabła...

Penny wzruszyła obojętnie ramionami.

- Muszę już iść - rzekła. - Ojciec prosił, abym się nie spóźniła. Nie chcę wracać na piechotę...

- Penny?...

- Tak?

- Opowiesz mi o tym, jak cię porwali?

- Nie ma o czym. Zamknęli nas w ciasnej klitce, karmili raz dziennie. To wszystko...

- To musiało być ekscytujące...

- Chcę o tym zapomnieć...

- No dobrze... Nie ma sprawy. Spotkamy się jutro?

- Tak, przedzwonię do ciebie...

Penelopa odeszła.

Mary skręciła w boczną uliczkę, prowadzącą do jej domu. Szła rozmyślając o Adamie Winklisie. Szczęśliwie nikt samobójstwa chłopaka nie łączył z jej osobą. Zresztą w miasteczku od tamtej pory wydarzyło się tyle ciekawych rzeczy, że o śmierci Winklisa przestano wkrótce mówić.

Doszła do willi, otworzyła furtkę i usiadła na ławce, przyglądając się otoczeniu.

Czuła się tak dobrze, czuła się najważniejsza na całym świecie, jedyna i niepowtarzalna.

Kiedy tak siedziała, z domu wyszła jej matka. Stała przed nią i spojrzała na nią nieco dziwnie. Zdawała się być w kiepskim nastroju.

Nie lubiły się obie. Nigdy nie potrafiły znaleźć wspólnego języka, zapewne dlatego, że obie miały podobne charaktery - dbały wyłącznie o siebie. Donna często wyjeżdżała z miasta w jakichś sprawach, znikwała na parę tygodni, wracała nagle i zaraz ponownie wyjeżdżała, niewiele sobie robiąc z Richarda, ślepo w nią wpatzonego. Prawdę powiedziawszy kręciła nim tak, jak chciała.

Ten zimny wyrachowany zazwyczaj człowiek zamieniał się w ciepłą posłuszną galaretkę na widok swojej ślicznej żony.

Donna wyjęła z ust papierosa.

- Prawdziwe święto, kochanie - oznajmiła. - Twój tatuś odszedł, stałyśmy się bogate!

- Jak to, odszedł?

- Przeniósł się na łono Abrahama, moja droga córeczko. Właśnie kilkanaście minut temu taką informację przekazał mi Sam Wilder. Twego staruszka zastrzelono. Tak to jest, skarbie, gdy człowiek zajmuje się brudnymi interesami... Mamy forsy jak lodu.

Mary popłakała się. Wprawdzie rzadko ojca widywała, wprawdzie nie miała z nim, podobnie jak z matką, najlepszego kontaktu, ale, jakby na to nie patrzeć, straciła ojca, a ojca zawsze ma się jednego.

Siedziała więc do późna w ogródku, rozmyślając, jak to wszystko teraz będzie wyglądało, co uczyni jej matka, czy znajdzie sobie nowego faceta, kiedy - znajdzie, czy wyjadą obie ze Snow Hills. Potem zaczęła się zastanawiać nad pogrzebem i nad tym, jak się na niego ubierze. Rzecz jasna ubierze się na czarno, będzie bardzo smutna, poważna i będzie strasznie rozpaczała. Wszyscy zaś będą się jej przypatrywali, podziwiali po cichu jej piękną kreację, a także współczuli. Biedny tata, ale życie trwa dalej... i ona będzie w nim brała udział, i to jeszcze jak...

Anna szła powoli do domu, zastanawiając się nad ostatnimi wydarzeniami w Snow Hills. Było ich dosyć dużo i trudno było je nazwać dobrymi, wprost przeciwnie, należało je nazwać złymi, a nawet bardzo złymi. Trudno też było nie dostrzec, choć starała się o tym nie myśleć, że w jakiś sposób są zgodne z przepowiednią Margaret Nelson.

O ile tuż po usłyszeniu złowrogiego proroctwa, naprawdę się bała, naprawdę czuła się co najmniej nieswojo, a wieczorami przesiadywała w domu, bojąc się wytknąć głowę na zewnątrz - o tyle wraz z upływem czasu obawy i lęki zepchnęła w głąb swojej podświadomości, starając się żyć najzupełniej normalnie i pokładając ufność w Bogu.

Tym niemniej nigdy tak późno, jak w tej chwili, do domu nie wracała, i to napawało ją drobnym niepokojem, ale jednocześnie zwiększało zaufanie we własne siły.

Zresztą czego miała się obawiać? Robert's Way była oświetlona, okna domów pulsowały jasnym światłem, rozpraszającym mrok. Wszystko było w najlepszym

porządku. Poza tym gwiazdy na niebie migotały nadzwyczaj wyraźnie, a po nieboskłonie płynął złoty romb księżycy.

Doszła do bocznej dróżki, którą niegdyś chodziła, znacznie skracając sobie wędrówkę. Ścieżyna przecinała ogródki, potem niewielki park, strumyk...

Był tylko jeden szkopał. Wieczorem, po zapadnięciu mroku, robiło tu się naprawdę ponuro i nieprzyjemnie, zawsze musiała zwalczać w sobie lęk, gdy decydowała się na krótszą trasę.

Ale wybierając ją, mogła odciąć się raz na zawsze od nieprzyjemnych wspomnień, od obaw, od rozmyślań o słowach Margaret Nelson.

Z tą myślą wstąpiła na dróżkę, prędko podążając nią do przodu. Lecz dobrze było planować, a gorzej wykonywać. Wkrótce otoczyły ją gęste zarośla, co rusz wydawało jej się, że o kilka jardów przed sobą widzi przyczajoną postać, czekającą właśnie na nią. Przystawała, pragnęła zawrócić, jednak z tyłu było równie mroczno. Więc szła dalej, z ulgą dostrzegając, jak straszdyło z wolna zamienia się w krzak.

W połowie drogi usłyszała szelest...

Natychmiast stanęła, odruchowo przykładając dłonie do serca...

Z krzaków rzeczywiście dochodził całkiem wyraźny szmer, taki jak gdyby jakieś duże stworzenie ocierało się o pień drzewa...

Odgłos to się przybliżał, to oddalał.

Anna poczuła, że pomimo lekkiego wieczornego chłodu poci się jak mysz...

Dźwięk tymczasem wydawał się coraz bliższy, wydawał się ku niej podążać, wprost ku niej.

Nie miała już wątpliwości, że zarośla poruszają się z sekundy na sekundę mocniej, trzeszczą, łamią się...

Naraz wprost na dróżkę wyskoczył duży pies. Przez moment spoglądał z wyczekiwaniem na Annę, a potem pobiegł w przeciwną stronę...

Odetchnęła. Dopiero teraz uzmysłowiła sobie, że ledwo trzyma się na drżących nogach. Potrząsnęła z niezadowoleniem głową, rozmyślając o swoim bezsensownym zachowaniu, roześmiała się nawet, obiecując sobie zawsze podążać do domu na skróty, podążać właśnie tą dróżką.

Kiedy dotarła na miejsce, zastała w pokoju zapłakaną matkę, prawie nieprzytomną, czerwoną od potoku wylanych łez. Natychmiast pojęła, że stało się coś naprawdę złego.

Wtedy matka powiedziała jej o śmierci ojca.

Cela jest koszmarnym miejscem, jest czymś co powoduje, że natychmiast zaczynasz tęsknić do szerokich przestrzeni, zielonych lasów, wysokich domów, falującej wody.

Ale Mike i Nick Vernonowie nie odczuwali takich nastrojów. Byli obaj otepiali, wpatrzeni we własne wnętrza, nie przywiązujący już do niczego wagi. Chwilami zamieniali ze sobą parę słów. Później ponownie zapadało pomiędzy nimi milczenie.

Około południa odwiedził ich szeryf i zabrał obu do swojego gabinetu na przesłuchanie.

Prawdę powiedziawszy Sam Wilder najchętniej wypuściłby Vernonów na wolność, gdyż miał ich za prawych ludzi, lubił ich i cenił. Natomiast o zabitych, zwłaszcza o Wardzie, miał jak najgorsze zdanie. Rzecz jasna nawet do niedawna nie przypuszczał, że człowiek ten zajmuje taką pozycję w przestępczym świecie...

Sam, mający w ręku dokumenty od Vernonów, nie miałby wielkich problemów z wsadzeniem Warda na wiele lat za kratki. Zrobiłby to z prawdziwą przyjemnością.

Cóż, Mike, facet co przeszedł cholernie dużo, a w ostatnim czasie zdołał się, wraz z bratem, jakoś pozbierać, głównie dzięki pomocy Christophera Russella i chyba - miłości do jego córki, przeżył taki wstrząs na wieść o ich śmierci, że postanowił wziąć sprawiedliwość we własne ręce, na nic przy tym się nie oglądając. Jeśliby Procentowy John żył, jego też by obaj wykończyli.

- Zrobiliście fatalny ruch - powiedział, gdy siedzieli już w jego gabinecie. - Wiem, że sobie na to zasłużyli, ale wy na pewno nie zasłużyliście, aby gnić w pudle...

- Wszystko nam jedno, Sam - odparł starszy Vernon. - Może stałoby się inaczej, gdyby... Nie ma o czym gadać... Oni zamordowali naszą matkę i naszego ojca. Mieliśmy moralne prawo odplącić im pięknym za nadobne.

- Wiem, wiem też, co myśleliście. Wyobrażaliście sobie zapewne, że sprawiedliwość ich nie dosięgnie, że wyłożą olbrzymią forszę na stół, aby jej uniknąć. To, mówiąc uczciwie, zawsze jest możliwe. Różni są sędziowie i różni adwokaci. Musicie sobie teraz uzmysłowić, jak straszne niebezpieczeństwo wisi nad waszymi głowami. Wspólnicy Warda, nie muszę wam gadać jakiego pokroju to ludzie, zrobią wszystko co możliwe, aby dobrać się wam do tyłków. W więzieniu nie będzie to trudne...

- Chcesz powiedzieć, że nas zabijają?

- Tak...

- Nie dbamy o to...

- Pragnąłem was tylko ostrzec. Musicie bardzo, ale to bardzo uważać.

- Dzięki za radę. Mam jedno pytanie!

- Jakie?

- Powiedz, kto uśmiercił tych bandytów...

- Nie mogę. A nawet gdybym powiedział i tak byście nie uwierzyli. Mike, jakim człowiekiem był Christopher Russell?...

- Zamknięty w sobie, ale dobry...

- Czy wiesz, czym się zajmował?

- Nigdy o tym nie mówił, a mnie to nie interesowało.

To za mądre dla mnie.

- Czy niekiedy zachowywał się dziwnie?

- Co masz na myśli?
- Może się czegoś obawiał?
- Nie odniosłem takiego wrażenia.
- Dobrze. Pójdziecie teraz do celi. Będę was

informował o rozwoju wypadków.

Szeryf po wyjściu Vernonów posiedział jeszcze przez kilkanaście minut u siebie, a potem pojechał do pastora Jacksona. Wielebny, najwyraźniej w nie najlepszym humorze, przyjął go zimno, prawie opryskliwie, ale Wilder nie pozwolił się zbyć.

Zamierzał powiedzieć temu człowiekowi prosto w oczy, jakie ma o nim zdanie i o tym, że postara się, aby odpowiedział za swoje czyny.

- Słucham! - zagadnął pastor, gdy obaj siedzieli już w fotelach, spoglądając na siebie uważnie i próbując odgadnąć to, co każdy z nich może powiedzieć, co powinien powiedzieć.

Sam Wilder ponownie przypomniał sobie minione dni, kiedy był bezsilny, kiedy musiał przyglądać się rzeczom, do których w normalnej sytuacji by nigdy nie dopuścił...

- Przyszedłem oznajmić - zaczął - że postaram się uczynić wszystko, aby wielebny przestał sprawować swoją funkcję, aby wyjechał z miasteczka i jeszcze odpowiedział przed sądem za swoje postępowanie.

Pastor poczerwieniał w jednej sekundzie. Ruszał ustami, jakby zabrakło mu naraz powietrza.

- A to czemu? - oburzył się.

- Bo człowiek uczciwy, a tym bardziej duchowny, nie powinien pozwolić na bezprawie, nie powinien do niego dopuścić. Nikt go do tego nie upoważnił, aby prawo brał w swoje ręce...

- Jestem bożym sługą.

- Jezus powiedział: „Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamieniem...”

- I co z tego?

- Co z wielebnego za człowiek? Przecież Larry Day był przyjacielem pastora, przecież wiedzieliście o sobie dużo. Czy ktoś taki jak ksiądz mógł popełnić zbrodnię?

- Popęłnił.

- To wcale nie takie pewne. Lisa Mortimer mogła, tak sądzę, celowo kłamać...

- Dzieci są prostolinijne!

- Nie zawsze. Mam powody sądzić, że w jej przypadku jest inaczej...

- Co to za powody?

- Zachowam je dla siebie. W każdym razie bezprawie dobiegło końca. Procentowy John, przywódca motocyklistów, porwał moją żonę i córeczkę, a potem mnie szantażował, dlatego pozostawałem bezczynny. Teraz gdy umarł, a umarł straszną śmiercią, postaram się zaprowadzić porządek...

- Co to znaczy: straszną śmiercią?

Sam Wilder przez chwilę milczał.

- To znaczy - rzekł wreszcie - że upomniało się o niego piekło.

James Mortimer długo pozostawał pogrążony w letargu. Gorączkował, bredził różne rzeczy przez sen. Czasami przez kilkanaście minut rzucał się w łóżku jak ryba nagle pozbawiona wody.

W majakach śnił, że błądzi po czarnych bagniskach, ucieka przed czymś, co jest tuż-tuż... Potem odzyskiwał przytomność, widział pochyloną nad sobą pielęgniarkę, wyciągającą ku niemu z uśmiechem dłoń.

Naraz palce kobiety przeistaczały się w obłe cielsko, twarz zmieniała barwę, obrastała łuskami, a z ust wysuwał się długi jęzor...

Ponownie zapadał w ciemność...

Gdy odzyskał przytomność, na dworze był piękny dzień. Słońce stało wysoko na niebie i poprzez wpółluchylone okno słało do pokoju kaskadę promieni. Światło grało cieniami na pościeli, ogrzewało twarz chłopca...

James uśmiechnął się.

Przez moment nie pamiętał o straszliwym spacerze. Przez moment świat zdawał się pogodny i bezpieczny. Co prawda nie czuł się za dobrze, trochę bolała go głowa, no i był osłabiony.

Ponownie zasnął.

Gdy się obudził, zauważył na stoliku bukiet kwiatów. Natychmiast pomyślał, że to prezent od rodziców. Ale zaraz przypomniał sobie ich rozstanie i zrobiło mu się ogromnie smutno.

Jednak w parę godzin później przyszli do niego oboje,

przyszli mama i tata.

Wyglądali pogodnie. Już się pogodzili, dumał. Zaraz też zrobiło mu się lżej na sercu.

Frances usiadła przy nim i głaskała go po głowie.

Ojciec spoglądał na tę scenę ze wzruszeniem, ukradkiem wycierając łzy.

Opowiadali mu o wielu rzeczach, opowiadali, co się dzieje w domu. Mówili o rodzeństwie.

A później, James od razu zadrżał, spytali o Rona. Znów przypomniał sobie czerwone błyszczące oczy. Ogromny łeb wzniesiony nad głową brata, przeraźliwy syk...

Odwrócił głowę.

- Co się stało, synku? - spytała zaniepokojona Frances.
- Gdzie jest twój braciszek?

- Jego już nie ma, mamó - odparł. - Pożarł go potwór...

Spojrzeli po sobie zdumieni i przestraszeni nie na żarty. Z ich synkiem nadal coś było nie tak... albo... albo faktycznie zdarzyła się tragedia i chłopiec bredził, gdyż wskutek szoku nadal nie potrafił przedstawić tego, co zaszło.

- Potwór? - zdumiała się Frances.

- Wielki wąż, olbrzymi... Mnie też gonił, ale uciekłem.

Już nie wiedzieli, jak z nim rozmawiać. Naprawdę ich zaniepokoił. W chwilę potem, gdy wyszli na korytarz, postanowili porozmawiać z lekarzem, a przede wszystkim z psychologiem.

Noc przyszła prędko.

Mary Bromley była sama w domu. Matka wyjechała pozałatwiać jakieś sprawy związane ze spadkiem. A ona tkwiła w domu, czekając z niecierpliwością na Annę Sanders, do której przed momentem zadzwoniła i która powinna wkrótce się pojawić.

W oczekiwaniu na koleżankę wyszła do ogrodu i usiadła na hamaku, obserwując gwiazdy. Usiłowała odnaleźć na nieboskłonie Wielki i Mały Wóz, ale wypatrzyła tylko ten pierwszy.

Potem przymknęła oczy.

Śmierć ojca wcale jej nie wzruszyła. Prędko pogodziła się z jego odejściem.

Owszem, lubiła go, lubiła gdy sprawiał jej prezenty, kupował drogie ciuchy, zabierał na eleganckie przyjęcia - ale czy kochała? Tego nie wiedziała.

Wieczór był piękny. Ciepły i pogodny. Lekki powiew wiatru obmywał jej twarz. W trawie cykały świerszcze. Z dala dochodził okrzyk sowy. Lecz w pewnym momencie, jak na zawołanie, wszelkie odgłosy ucichły.

Mary spojrzała na zegarek. Dochodziła dziewiąta. Westchnęła i poszła do domu, a konkretnie mówiąc do kuchni, aby zaparzyć sobie kawę. Gdy włączyła czajnik, pojawiła się Anna.

Mary nie do końca ujawniła przed koleżanką swoją prawdziwą naturę. O ile w obecności Penelopy Astor nie miała najmniejszych skrępowań i robiła to, co chciała, o tyle

przy Mary zachowywała się inaczej, czyli odgrywała rolę grzecznej panienki z dobrego domu. Dlaczego tak postępowała, na to sama nie potrafiłaby odpowiedzieć.

Powód natomiast był prosty: Anna posiadała prostolinijną naturę, nie lubiła kłamać, zawsze traktowała dobrze bliźnich, lubiła zwierzęta. Poza tym, w przeciwieństwie do swojej matki, wcale nie pragnęła uchodzić za ostoję wszelakich cnót. Jednym słowem nie było w niej tej drugiej, tej ciemnej strony, tak dobrze zauważalnej u Penny, a tym bardziej u Mary.

Dlatego też, pomimo znajomości od pierwszej klasy, pomimo tego, że zawsze siedziały razem, Mary Bromley znacznie bardziej ceniła sobie towarzystwo córki Astora niż rezolutnej, dobrze wychowanej panny Sanders.

Jednak tego dnia, bez najmniejszego powodu, Mary zapragnęła sprawdzić, czy Anna jest rzeczywiście niepodatna na jej wpływ. Nie zamierzała uczynić nic wielkiego, wcale nie. Kupiła tylko bardzo dobre wino, planując poczęstować nim Annę. Niech sobie trochę wypije. Niech jej zaszumi w głowie. Niech poczuje tę przyjemność. Później pokaże tej grzecznej dziewczynce swoje, wcale nie grzeczne, stroje. Będą je przymierzały, będą o nich gadały. Rzecz jasna przy okazji powspominają tatusiów, może trochę nawet popłaczą, Anna z dobrego serca, ona zaś by uczynić dobre wrażenie.

Podawała przyjaciółce napój.

Wkrótce wyszły ponownie na dwór.

- Nigdzie nie mogę znaleźć miejsca - powiedziała Anna, kołyszając się delikatnie na hamaku. - To takie straszne. Mam nadzieję, że tych potwornych Vernonów żywcem obedną ze skóry.

- Paskudne typy - zgodziła się Mary.

- Mama jest zrozpaczona - ciągnęła Anna.

- Moja natomiast ma to w tyłku. Tyle ją to obchodzi, co zeszłoroczny śnieg. Zawsze zdradzała ojca na prawo i lewo. Teraz ma szerokie pole manewru... Rano wyjechała na dwa tygodnie!

- Tak mi przykro...

- Głuptasku, to samo życie. Zawsze ktoś cię wystawi do wiatru, nawet najbliżsi...

- Nie mów tak, to okropne.

- Ale prawdziwe!

- Ja ufam ludziom.

- Mnie również?

- Dlaczego mam ci nie wierzyć?

Mary wzruszyła obojętnie ramionami. Ta naiwna gąska niekiedy denerwowała ją tak bardzo, że sama nie wiedziała, jak z nią wytrzymuje. Jednego była najzupełniej pewna: Anna za swoje dobre serduszko i za swoją głupotę ciężko kiedyś zapłaci...

- Świat jest bezsensowny - stwierdziła. - To bezrozumna maszyna. Ludzie natomiast są potworami, wszyscy. Ja także...

Anna nie odpowiedziała. Lubiła Mary, lecz czasami jej się bała, bo nie rozumiała jej słów, jej zachowania, jej cierpkich uwag, a wreszcie wiecznej ironii.

- Pamiętasz ten wieczór - spytała - gdy poszliśmy do Margaret Nelson?

- Głupia starucha!

- Wcale nie była taka głupia. Sądzę, że próbowała nas ostrzec...

- Nie lubię do tego wracać...

Anna zamilkła. Rozmawiały o różnych rzeczach, jednak ona wciąż miała przed oczyma twarz ojca, jego oczy, słyszała jego głos. Chociaż nie rozmawiali ze sobą za często,

choć wciąż gdzieś wyjeżdżał, bez przerwy coś załatwiał, rzadko bywał w domu, to przecież, czuła to, bardzo ją kochał, tylko może nie potrafił tego okazać.

Położyła na jego trumnie mały polny kwiatek. Później, gdy wszyscy już się rozeszli, wróciła ponownie na grób. Stała nad nim długo wpatrzona w krótki napis, w marmurowy krzyż. Wiatr lekko, sennie kołysał drzewami, po niebie gromadami płynęły obłoki...

Wraz z odejściem ojca, była tego pewna, czuła to tak namacalnie, odchodziło też jej dzieciństwo. Bezpownotnie zamykała się księga wypełniona beztruskimi dniami, poczuciem bezpieczeństwa.

Anna wtedy pojęła, że życie nie jest okrutne, ale ciężkie.

- Pójdziemy na górę? - zapytała Mary.

- Po co?

- Pokażę ci swoje rzeczy...

Rzeczy Mary Bromley, myślała Anna, ciuchy, których zazdrości jej cała klasa! Tajemnicze szeleszczące materiały o barwach strojów z tysiąca i jednej nocy: długie, zwiewne lub wprost przeciwnie - króciutkie, podkreślające urodę właścicielki. Niejedna pragnęła takie nosić, ubierać się podobnie. I przy tym perfumy, używane przez Mary... Te niezgłębione wody, czarujące zapachami kwiatów i jaśminowych nocy...

Weszły do pokoju.

Mary natychmiast podeszła do ogromnej szafy, otwierając ją na oścież i wyciągając z niej piękny ciemnoczerwony kostium.

- Byłam w nim na ubiegłorocznej zabawie sylwestrowej - opowiadała. - Tańczyłam wtedy z tym i tym - zaczęła sypać nazwiskami. - Astor, mówię ci, nie potrafił

oderwać ode mnie oczu. Przykleił się, biedny chłopaczyna, do mnie... Zakochał na zabój. Cóż, udałam, że też mi na nim zależy, w końcu to całkiem przyzwoity i przystojny chłopak...

Dlaczego mam uczucie, zastanawiała się Anna, że coś jest nie tak? Dlaczego się boję? Dlaczego coś we mnie krzyczy, abym natychmiast stąd wyszła.

Była, tak bez powodów, straszliwie zdenerwowana. Oblewał ją zimny pot, drżały kolana, żołądek nieprzyjemnie się kurczył. Podeszła naraz do okna i natychmiast od niego odskoczyła, bo miała idiotyczne wrażenie, że coś ją śledzi, że coś się w nią wpatruje.

Oszalałam, myślała.

Kropla potu spłynęła po jej czole, dotknęła wargi...

- Co się z tobą dzieje - zainteresowała się Mary. - W ogóle nie słuchasz, co do ciebie mówię... Popatrz, jak to ładnie wygląda!

Podniosła suknię do piersi, stanęła na środku pokoju, uśmiechając się z zadowoleniem do swojego odbicia w lustrze...

- Nie ma co - rzekła głośno. - Całkiem sympatyczna z ciebie panienka, Mary, sympatyczna i ładniutka...

Przymrużyła oko do przyjaciółki i wykonała głębokie uwodzicielskie dygnięcie...

W następnej chwili Anna zastygła ze zgrozy...

Okienne szkło w jednej chwili rozsypało się z brzękiem na podłogę. Widziała wyraźnie, jak na zwolnionym filmie, biegnące po nim z trzaskiem rysy...

Mary, przestraszona niespodziewanym odgłosem, odwróciła się na pięcie i bezwolnie zasłoniła dłońmi twarz, cofając się z lękiem do tyłu...

A w oknie...

W oknie kołysał się łeb węża, ogromny, wpatrujący

się nieruchomymi, błyszczącymi krwiście oczyma w dziewczynę...

Anna pragnęła uciekać, lecz nie mogła się nawet poruszyć. Przeżywała stan podobny do tego z nocnych koszmarów, gdy przed sobą ma się uosobienie zła, ale nie sposób się od niego uwolnić...

Długi widlasty język naraz się wysunął...

Wąż uderzył, a raczej śmignął ku Mary, chwytając jej głowę potworną paszczą...

Anna usłyszała chrzęst miażdżonej kości i ten odgłos przywrócił jej przytomność.

W ostatniej chwili skoczyła do przodu otwierając drzwi i wyskakując na zewnątrz pokoju.

W sekundę potem Pełzacz uderzył w drzwi...

Anna pędziła po schodach...

Nie zastanawiając się nad tym co czyni, nie myśląc, że popełnia błąd, wybiegła na dwór i uciekała w stronę garażu, bo dostrzegła, że jest otwarty. Wpadła do niego spocona, nieprzytomna, drżąca, przemoczona moczem i nacisnęła przycisk, automatycznie zasuwający drzwi.

Tymczasem Pełzacz sunął do przodu, ku garażowi, ale nie zdążył zaatakować...

Anna usłyszała przenikliwy syk...

Gad, wściekły, że nie pochwycił ofiary, podniósłszy łeb, pełzł wolno wokół garażu, szukając dostępu do przycichłej dziewczyny...

Anna dopiero teraz, słysząc szmer czołgającego się po ziemi cielska, dostrzegła duże szkliste okna, a co gorsza zauważyła, że jedno z nich nie jest nawet zamknięte...

Szelest przybliżał się...

Dziewczyna w panice zaczęła iść na czworakach przed siebie, wyciągając do przodu dłonie, gdyż w ciemności

niewiele widziała. Powtarzała machinalnie dwa słowa, nawet nie zdając sobie z tego sprawy!

- Boże, pomóż - mówiła. - Boże, pomóż...

Wtem trafiła na samochód. Auto stało postawione na kanale, przygotowane do badań, gdyż Bromley, tuż przed swoim zgonem, chciał trochę pogrzebać przy silniku.

Anna, nie zastanawiając się wiele, wczołgała się pod samochód i opuściła w dół, tuląc się w kąciaku...

Pełzacz wsunął łeb przez otwarte okno i skierował się, ostrożnie badając teren, w stronę, gdzie wyczuwał zdobycz...

Anna usłyszała tuż przy sobie, na gorze, szmer...

Przymknęła oczy, wstrzymała oddech...

Wąż zasyczał, głośno, gniewnie i przenikliwie...

Ofiara, wiedział o tym, była pod tym ciemnym przedmiotem, zasłaniającym do niej drogę... Uderzył głową w auto, próbując w ten sposób zepchnąć pojazd na bok i poszerzyć otwór, ale wóz nie przesunął się nawet o cal...

Dziewczyna, słysząc jak gad raz po raz uderza w bok samochodu, ponownie zaczęła się modlić, prosząc Stwórcę o litość...

Dźwięki, z początku głośne, brzmiały, podobnie jak syk, coraz ciszej, wreszcie umilkły...

Lecz Anna Sanders nie śmiała się poruszyć z miejsca.

Pełzacz czołgał się wśród zarośli, sunął prędko pomiędzy drzewami. Niekiedy unosił łeb do góry, na sekundę zastygał w bezruchu, po czym ruszał dalej w poszukiwaniu żeru.

Z każdej strony płynęły ku niemu odgłosy życia. Wiedziony instynktem podążał miejscami zaciemnionymi, prawie nie widocznymi dla oczu przypadkowego przechodnia.

To były jego najprzyjemniejsze chwile, gdy wraz z

kolegami siedział późnymi wieczorami w parku, gadając o dziewczynach i pociągając z butelki tanie wino.

Tu świat był prosty: żadnych problemów, żadnego wysłuchiwania kazań przemądrzałych profesorów, czy nadwrażliwych rodziców.

Do domu zresztą przychodził rzadko, miał tak dosyć pogawędek ze swoim ojcem i swoją matką, że wołał nocować u kumpli, albo włóczyć się bez celu po mieście.

Trochę weselej się zrobiło, gdy do Snow Hills przyjechał Procentowy John. To był gość!... pewny siebie, zdecydowany. Prędko wszedł z nim w komitywę, załatwiając mu różne drobne usługi.

Polubili się. I dogadali. Zawarli pomiędzy sobą cichą umowę. Umowa przewidywała, że kiedy Jeźdźcy Nocy będą już wyjeżdżali, to on zabierze się wraz z nimi w daleki świat.

John poddawał go różnorodnym próbom. Posłuchaj, Paul - mówił doń. - Potrzebuję forsy. Gwizdnij trochę starym, przecież mają baksów po uszy...

No i gwizdał.

Posłuchaj - gadał. - Interesuje mnie ta skórka... Taka jasna blondyneczka....

I opowiadał co to za dziewczyna, gdzie ją widział, z kim szła, a on zajmował się całą resztą, czyli doprowadzał do spotkania. Trzeba uczciwie powiedzieć, że przywódca motocyklistów cieszył się powodzeniem. Panienki go lubiły. Cóż, dziewczynom zawsze imponują silni, pewni siebie faceci. Jednak John nie za bardzo potrafił zapomnieć o pięknej Mary Lester. Wystarczyło tylko o niej wspomnieć w jego towarzystwie, a od razu zaczynał zgrzytać z nerwów zębami...

Ale na co dzień o tym nie pamiętał lub też nie chciał pamiętać.

Przyszły piękne dni. John zyskał sobie, odpowiednią postawą wobec Larry'ego Daya, szacunek w miasteczku, a on, Paul Davis, czerpał z tego niezłe profity, innymi słowy popularność Procentowego Johna zwiększyła i jego popularność.

Miał coraz więcej koleżanek i kolegów. Cieszył się coraz większym poważaniem.

Nawet rodzice nie zadawali mu głupich pytań.

Potem, w ciągu jednej nocy, przyszedł kataklizm. John zginął, a wraz z nim jego ludzie.

Z marzeń pozostały nici.

Ale nie zmienił postępowania. Stał się nawet jeszcze gorszy. I tak planował opuścić Snow Hills wcześniej czy później. Ciągnął go wielki świat, ciągnęły go pieniądze. Gadał z kumplami o wielkich skarbach, o bogatych bankach, w podziemiach których leżą sztaby złota i drogocenne kamienie...

Miał trochę czasu. W końcu stuknęło mu dopiero piętnaście lat.

Oderwał butelkę od ust, podał siedzącej przy nim dziewczynie, zaciągającej się właśnie wzmocnionym koką papierosem, niejakiej Isabel Buck, szesnastolatce wizytującej krewnych, i zaczął rozmawiać z kumplami o ostatniej serii rozgrywek NBA, byli to Harry Walker i Sam Porter, koledzy ze szkoły, była jeszcze jedna dziewczyna. Za nic na świecie nie potrafił zapamiętać jej imienia i nazwiska, więc nazywał ją Laleczką. Wiedział tylko, że przyszła razem z Isabel.

Mąciło mu się w głowie. Świat zdawał się falować jak stara łajba na rozwścieczonym oceanie. Przytulał mocniej dziewczynę, szepcząc jej różne głupoty do ucha...

Potem...

Potem, w ciągu jednej sekundy, rozpętało się piekło.

Nawet nie zdążył nic zauważyć, nawet niczego nie widział...

Tylko niespodziewany gwałtowny przyływ powietrza uderzył go w twarz, a do uszu dobiegł ścinający krew w żyłach syk...

Laleczka, wrzeszcząc wniebogłosy uniosła się parę jardów nad ziemią... Rękoma i nogami młóciła powietrze i krzyczała, krzyczała...

Patrzyli na to widowisko, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co się dzieje.

Pierwszy ocknął się Harry...

- Spieprzajmy - wrzasnął.

Dopiero teraz do głowy Paula dotarło, że to coś, co uniosło dziewczynę do góry, to waż...

Zerwał się do ucieczki, w panice nie zwracając najmniejszej uwagi na pozostałych, ale było za późno...

Pełzacz upuścił martwą dziewczynę na ziemię...

Popełnili błąd: zamiast uciekać w stronę oświetlonej ulicy, widocznej mgliście za drzewami, zaczęli uciekać w gęste zarośla.

Po kilkudziesięciu jardach biegu Paul upadł na ziemię, nakrył dłońmi głowę, bojąc się nawet drgnąć.

Naraz usłyszał przeraźliwy wrzask, zaraz potem drugi, wreszcie do jego uszu dobiegło wołanie o pomoc Isabel, lecz wkrótce, przerwane wyciem umierającego w strasznych męczarniach człowieka, ucichło.

Paul pocił się jak mysz ze strachu. Wydalił z siebie, nie panując nad mięśniami, kał i mocz. Po raz pierwszy od dłuższego czasu modlił się do Boga, prosząc go o ratunek...

Z tyłu, może dziesięć jardów za sobą, usłyszał trzask gałęzi... Natychmiast, ostatnim wysiłkiem, poderwał się i ponownie ruszył do biegu... Wydobywał z siebie ostatnie siły, czując za plecami śmierć...

Raptem coś go uderzyło potężnie w plecy i obaliło niczym lekki puszek...

Potoczył się po ziemi jak zabawka, kątem oka dostrzegając trójkątny łeb z zimnymi przezroczystymi oczyma prędko przybliżający się do jego twarzy.

Nagle coś trzasnęło - nie zdawał sobie z tego sprawy, że to jego własna głowa, ciało przeszył dreszcz niewyobrażalnego bólu...

Zapadła ciemność.

Mała Amanda Wilder bardzo źle spała tej nocy i sama nie wiedziała dlaczego.

Zwykle zasypiała szybko. Niekiedy jednak przychodziły takie wieczory, długie i złe, gdy nie potrafiła zmrużyć oka.

Była wtedy pewna, że za oknem jest diabeł, a w każdym razie jest jakieś zło.

Zazwyczaj odmawiała krótką modlitwę, przeżegnywała się parę razy, zapalała światło. To w zupełności wystarczało, aby przegonić wszelkie nieczyste siły. W ostateczności szła do pokoju rodziców, bezpardonowo wchodziła do ich łóżka i wtedy już naprawdę przestawała się lękać. Mama natychmiast ją przytulała, a tata również był zadowolony.

Tym razem jednak było inaczej!

Leżała w obszernym wygodnym łóżku wraz z rodzicami, leżała tuląc się to do jednego, to do drugiego, i nadal nie spała.

Zło, była tego najzupełniej pewna, przyszło pod jej domek, przyczało się na dole pod jego murami, tylko czekając na odpowiednią okazję.

- Śpij, kochanie - powiedziała Gloria.

- Nie mogę - odparła. - Przyszły do nas strachy.

Jej mama ciężko westchnęła.

Nie wierzy mi, pomyślała dziewczynka. - Dorośli są niekiedy tak głupi. Nic a nic nie dostrzegają. Nic nie rozumieją.

- Mamusiu! One naprawdę tam są. Może tylko jeden, a może jest ich wiele. Wiem o tym...

- To powietrze, córeczko! Jest tak straszliwie duszno, tak duszno. Zaraz otworzę okno. Wtedy natychmiast zaśniesz, natychmiast...

- A jeśli strach wejdzie przez okno?

- Będzie się bał. W końcu i ja, i tata jesteśmy razem z tobą...

- To może być, mamusiu, duże straszidło...

Sam Wilder parsknął głośnym śmiechem.

Gloria też się roześmiała, pocałowała Emy w policzek, podniosła się do góry i podeszła do okna, otwierając je na oścież. Z ulgą wciągnęła w płuca świeże powietrze...

- Piękny wieczór - powiedziała.

Pragnęła jeszcze dodać, że z chęcią wybrałaby się w tygodniu na jakąś wycieczkę, lecz umilkła, gdyż w dali zabrzmiał przeszywający, dziki okrzyk. Mimo woli wzdrygnęła się.

- Sam - zapytała - słyszałeś to?

- To tylko kot, kochanie.

Położyła się z powrotem do łóżka. Wkrótce zasnęła. Sam także. Amanda jednak nadal wierciła się z boku na bok, bo zło - była tego pewna, po prostu o tym wiedziała - wcale nie odeszło, wcale nie zniknęło, lecz się zbliżyło. Było coraz bliżej...

Zaczęła, tak jak ją uczyła mama, modlić się do Anioła Stróża, aby miał ją w swojej opiece. Gdy skończyła, wstała, przybliżyła się ostrożnie do okna i wyjrzała na dwór.

W dali, miała bardzo dobry wzrok, zobaczyła niewyraźny bardzo długi kształt.

Ale po chwili rozpląnął się niczym cień. Na dworze było cicho, cichutko.

Puchacz, który zazwyczaj sobie hukał, tym razem milczał...

Nagle, pośród zarośli, dostrzegła dwa jarzące się czerwone punkty, Wyglądały tak, jakby były oczyma.... Amandzie zdawało się, że się w nią wpatrują... Potem, nagle, zniknęły.

Dziewczynka czym prędzej wróciła do rodziców i delikatnie, nieśmiało, zbudziła ojca.

- Co się stało, Emy? - spojrzał na nią z lekkim niepokojem.

- On tam jest... On naprawdę tam jest...

Sam wzruszył bezradnie ramionami. Emy tego wieczora była wprost nieznośna.

Zapowiadała się długa bezsenna noc...

- Był tam. Patrzył na mnie...

Niechętnie się podniósł. Wziął małą za rączkę.

- Chodźmy - powiedział. - Sprawdźmy to razem...

Wyrzwał przez okno. Kręcił głową na wszystkie strony.

- Nikogo nie ma! Widzisz?

- Naprawdę był...

- Dobrze, Emy, wierzę ci, ale wracamy do łóżeczka!

- Zobacz! - zawołała z odcieniem triumfu w głosie.

Wilder naraz zeszywniał. Zerknął w kierunku dłoni córki i dojrzał wyraźnie dwa błyszczące czerwone punkty... przybliżające się w zawrotnym tempie...

Przypomniał sobie węża. Nawet mu do głowy wcześniej nie przyszło, że tajemnicze stworzenie może dotrzeć do miasta... Ale teraz...

Wyteżył wzrok...

Olbrzymie, grube cielsko, zdające się nie mieć końca, sunęło wprost pod jego dom. Przez moment, zafascynowany wielkością węża, nie potrafił od niego oderwać spojrzenia.

Pełzacz zatrzymał się, wznosił trójkątny łeb, i kołysząc się, wpatrywał wprost w Wildera...

Szeryf natychmiast odskoczył do tyłu. W jednej chwili obudził Glorię...

- Bierz małą i uciekaj na dół do piwnicy! - wrzasnął. - Natychmiast!... Natychmiast!...

Porwał w ręce pistolet i ruszył za żoną. W tej samej chwili, kiedy zatrząskiwiał za sobą drzwi, Pełzacz uderzył... Jak zwolniona nagle sprężyna śmignął w okno, wydając przesywający syk...

Wilderowie zbiegali po schodach.

Wąż wybił drzwi i wychylił się, utrzymując cielsko w powietrzu, na zewnątrz...

Amanda zaczęła wniebogłose krzyczeć, zawtórował jej szloch nieprzytomnej z lęku Glorii...

Sam, stojąc już w drzwiach prowadzących do podziemi domu, parę razy wystrzelił. Gdy biegł po schodach, usłyszał rumor miotającego się na prawo i lewo węża.

Trafiłem go, pomyślał.

Wbiegli do komórki. Natychmiast zaczął blokować wejście najróżniejszymi przedmiotami. Gloria, w pierwszym momencie niezdolna do najprostszej czynności, wkrótce do niego dołączyła...

Po paru minutach usiedli zmęczeni, ciężko oddychając...

- To był prawdziwy potwór, tatusiu, prawda? - zapytała Amanda, przecierając rączkami twarz. - On chce nas pożreć, prawda?

- Nic nie mów... - szepnął, kładąc palec na jej buzi. -
Nic...

Zdawało mu się, że słyszy delikatny szmer. Kurczowo zacisnął dłoń na ręczce pistoletu, mierząc nim do tego czegoś, co było tuż-tuż...

Gloria przymknęła oczy.

Odgłosy, po kilkunastu minutach niewyobrażalnego napięcia, ucichły.

Nad ranem, bardzo ostrożnie, opuścili kryjówkę. Sam, starannie przeglądając dom, dostrzegł przy oknie ślady krwi...

Następnego dnia w Snow Hills rozpętało się prawdziwe piekło. Odnaleziono w różnych miejscach trupy wielu osób. Zginął między innymi syn Davisów, zginęła Mary Bromley, zginął Tony Whittier i pastor Jackson. Wszyscy już wiedzieli o zabójcy, wężu - mutancie wyhodowanym przez Christophera Russella.

Opowiadano sobie przerażające wieści o jego długości i niezapokojonej żądzy mordowania. Opowieści nabrały dodatkowej barwy, gdy w południe odnaleziono Annę Sanders, zdrową, lecz otepiałą, nie w pełni władz umysłowych... Na miasteczko padł blady strach, ludzie bali się własnego cienia.

Wielu natychmiast pakowało rzeczy i czym prędzej wynosiło się za granice osady.

Wśród wyjeżdżających znalazła się rodzina Mortimerów. Jacob i Frances dowiedziawszy się o wężu pojęli, że James mówił prawdę. Ron został zabity, nic nie mogło go przywrócić do życia.

Pragnęli zapomnieć o tragicznych wydarzeniach w Snow Hills, rozpocząć wszystko od nowa, więc z prawdziwą ulgą opuszczali to miejsce. Nikt nie wiedział dokąd jada, nawet szeryf.

Sam Wilder od rana wydzwaniał po różnych instytucjach, rozmawiał między innymi z FBI, z dowódcą najbliższej jednostki wojskowej, tłumacząc długo co zaszło i prosząc o pomoc w zorganizowaniu obławy na węża, a również o pomoc w zabezpieczeniu miasta przed jego

ponownym atakiem.

Najdłużej przekonywał pułkownika Clarka Sandsa.

- Szeryfie - roześmiał się wojskowy - ile pan wypił?
Mówi pan, że miał trzydzieści jardów, tak?

- Posłuchaj pan! - wrzasnął, nie panując nad sobą. - Mam tu przeszło kilkadziesiąt trupów sinych i opuchniętych, przeżartych jadem. Ledwo co sam uszedłem cało. Widziałem go na własne, powtarzam, na własne oczy. On istnieje tak, jak w tej chwili rozmawiam z panem. Potrzebuję pomocy! Potrzebuję miotaczy ognia... Natychmiast!...

Pułkownik przez moment milczał.

- Dobrze - rzekł wreszcie. - Podeślę panu kilka helikopterów z ludźmi. Jeśli jednak coś pan kręci, to osobiście skopię panu tyłek. Zaraz wydam odpowiednie rozkazy.

Okolo trzeciej ruszyła oblawa. Wilder, jeszcze przed jej rozpoczęciem, zaprowadził agentów FBI i dowódcę żołnierzy do prosektorium, aby przypatrzyli się zabitym. Po oględzinach nikt z nich nie miał już najmniejszych wątpliwości.

Przeczesano okolicę w promieniu wielu mil, jednak nie odnaleziono najmniejszych śladów po wężu. Zdawało się, że rozpląnął się w powietrzu.

Wieczorem ustawiono wokół Snow Hills reflektory, zabezpieczono wszelkie drogi prowadzące do miasta, wszelkie przesmyki, ale Pełzacz nie zaatakował...

Tak minął jeden tydzień, drugi, trzeci, czwarty...

W piątym wyjechali agenci FBI, a pułkownik Sands odwołał swoich ludzi.

- Nic tam po nich - powiedział. - Tak zobaczą tego węża, jak ja świętego Mikołaja...

- On się pojawi - rzekł Wilder. - Jestem o tym

przekonany...

- Zaczyna pan, szeryfie, wpadać w chorobę psychiczną...

- Proszę zrozumieć! To mutant. Zwierzę będące w jakimś sensie wężem, ale zarazem i nie! Ono jest nieprzewidywalne. Nic nie wiadomo o stopniu jego inteligencji, o jego zmysłach. Jeśli znów zaatakuje, a to bardzo możliwe, zabije wielu osób...

- Minał cały miesiąc...

- Może zjawić się nawet dzisiaj!

- „Może”, to ogromnie niekonkretne słowo...

- A co by pan powiedział na moim miejscu?

- Przykro mi, odwołuję ludzi... Jutro... Do jutra ma pan czas...

Wieczorem Sam Wilder spotkał się z burmistrzem. Brian Astor wciąż jeszcze nie doszedł do siebie po stracie syna. Znacznie się postarzał, trochę posiwiał. W niczym nie przypominał twardego, przepelnionego energią człowieka, którym niedawno był.

Żał było na niego patrzeć.

- Brian, należy zarządzić ewakuację - rozpoczął szeryf.

- Po co?

- Jutro opuszczą Snow Hills żołnierze. Będziemy zdani tylko na siebie. Nie zdołamy zapewnić ludziom bezpieczeństwa. A waż, jestem tego pewny, ponownie zaatakuje...

- Ewakuacja... Czy wiesz, o co prosisz?

- Wiem...

- To niczego nie zmieni!

- Owszem. Bo ktoś zostanie...

- Jak to?

- Widzisz, to stworzenie wyczuwa nawet drobne

wahnięcia temperatury... Skieruje się zatem tam, gdzie będzie ofiara. A ja już będę na nie czekał...

- To straszne ryzyko!

- Pragniesz przez następne miesiące żyć w niepewności?

- Nie.

- Więc musimy tak postąpić. Wieczorem zadzwonię do pułkownika i wtajemniczę go w swój plan. Poproszę też, aby mi pomógł go przeprowadzić. Za dwa dni w miasteczku nie będzie, poza mną i moimi ludźmi, żywej duszy...

W czwartek Snow Hills opustoszało. Wiele osób wyjechało własnymi samochodami, część wywiozło wojsko. Wszyscy zgodzili się, że to dosyć rozsądne wyjście. Nie zazdrościli też szeryfowi - oczywiście po cichu - roli, jaką wkrótce miał odegrać.

Był bardzo ładny dzień. Taki, o którym nieraz się marzy w długie jesienne wieczory lub chłodne zimowe poranki.

Sam Wilder i jego zastępcy zamknęli się w domu. Przez parę godzin czytali książki, prasę... Potem oglądali telewizję...

Czekali na zmierzch.

Pierwsze cienie za oknami pojawiły się jak niespodziewany złodziej. Mrok zaczął zapadać szybciej, niż jeszcze przed dwoma tygodniami.

Sam wyłączył telewizor, zapalił lampkę, przysłonił okno, wziął do ręki miotacz ognia i z powrotem usiadł w fotelu... Pozostali poszli za jego przykładem.

Czas płynął bardzo wolno, minuta po minucie ciągnął się w nieskończoność, dłużył. Szeryf z każdą sekundą mocniej zaciskał dłonie na broni, bacznie nad słuchując nawet najdrobniejszych szmerów za oknem...

Dopiero teraz uświadomił sobie niebezpieczeństwo, na które się narażają.

- Waż jeśli zaatakuje - zastanawiał się - to uczyni to nagle... Będzie niewiele czasu na reakcję... Może nie zdążymy zareagować...

Po północy wzmógł się wiatr. Świstał coraz mocniej, kołysząc konarami, i zagłuszając swoim zawrotem inne dźwięki...

Jednak noc nadal mijała spokojnie...

Nad ranem szeryf usnął.

Gdy się przebudził, zegar wskazywał dziewiątą rano. Za oknem śpiewały ptaki.

Przybliżył się do niego i wyjrzał na zewnątrz. Na dworze było cicho i spokojnie.

Wyszedł z domu, rozejrzał się po terenie. Najmniejszych śladów przygniecionej trawy, najmniejszych śladów węża...

O dziesiątej zaczęli się rozchodzić do domów.

Następnego wieczoru, gdy ponownie wszyscy zgromadzili się w willi szeryfa, sytuacja powtórzyła się joda w jotę, to znaczy nic się nie wydarzyło. Trochę się uspokoili, rozluźnili, zaczęli nawet kpić z samych siebie. Szóstej nocy prawie zapomnieli o obawach i ostrożności.

Wilder grał w szachy z Gardnerem. Weler ogrywał w karty Berkeleya...

Uderzenie przyszło raptownie, w mgnieniu oka...

Szyba pękła z hukiem, otwierając w sobie ciemną dziurę, z której wystrzelił trójkątny łeb...

Nim mężczyźni, zaskoczeni sytuacją, zdążyli cokolwiek zrobić, waż pochwyił za głowę i tułów Berkeleya, i wywlócił go na dwór...

- Uciekajmy stąd - ryknął Gardner. - Nie poradzimy

sobie... Uciekajmy, do jasnej cholery...

- Do okna - krzyknął szeryf. - Prędko do okna, stańcie po jego bokach... Gdy uderzy, natychmiast użyjcie broni...

Posłuchali go. Serca trzęsły się im w piersiach. Plecy opływały potem. Wilder nadstawił uszu, nasłuchując zewnętrznych odgłosów.

- Pełźnie - szepnął cicho. - Uwaga...

Ciemny kształt śmignął z sykiem do środka... W tej chwili, jakby na komendę, naciśnęli spusty...

Jaskrawoczerwone języki ognia buchnęły z luf, ogarniając potężne cielsko żółtymi płomieniami.

Pełzacz z przeraźliwym sykiem, wywołującym dreszcz grozy, z sykiem, którego obecni mężczyźni długo nie potrafili zapomnieć, wycofał się na zewnątrz...

Wybiegli na dwór.

Waż, cierpiąc okrutne męki, rzucał się na wszystkie strony, pragnąc ugasić trawiący go ból...

Wilder ponownie naciśnął spust, to samo uczynili Weler i Gardner. Pełzacz wydając z siebie jazgoczące dźwięki, wzniósł się do góry prawie na całą swoją długość...

Mężczyźni nie zwalniali spustów... Języki ognia otoczyły gada ze wszystkich stron, zamieniając go w płonąca pochodnię. Po chwili upadł na ziemię...

Życie w Snow Hills wkrótce wróciło do normy. Ludzie tak samo szybko pojawili się w miasteczku, jak je opuścili. Starali się zapomnieć o nieszczęściach, naprawić wyrządzone sobie wzajemnie krzywdy i wielu z nich to się udało.

Niebawem wybrali Wildera burmistrzem, pamiętając o jego dzielnej postawie.

Były szeryf dobrze się wywiązywał z nałożonej na niego funkcji. Niekiedy jednak wracał pamięcią do

minionych wydarzeń i wtedy się zastanawiał nad tym, co się stało z rodziną Mortimerów, a zwłaszcza z Lisą... Lecz nigdy, pomimo starań, nie udało mu się tego dowiedzieć...

Bracia Vernonowie, po wielomiesięcznym procesie, zostali uniewinnieni. Sąd uznał, że działali w stanie silnego wzburzenia, co było istotną okolicznością łagodzącą; jako drugą okoliczność, znacznie ważniejszą, podano, że dzięki nim aresztowano kilku groźnych przedstawicieli świata przestępczego.

Mike i Nick nigdy nie powrócili do Snow Hills. Z czasem o nich zapomniano.

Ale na miejscowym cmentarzu widywano niekiedy wysokiego przystojnego mężczyznę, kładącego kwiaty na mogile Marity Russell...

Siwy Bob i Krwawy Fernando zostali skazani na wiele lat więzienia. O Tedzie Mertonie zaginął słuch.

Anna Sanders skończyła anglistykę, wyszła dobrze za mąż i doczekała się liczego potomstwa. Swoim dzieciom mówiła, że Bóg może w jednej chwili zmienić nawet najgorsze przeznaczenie człowieka.